Walczący, zamordowani, pochowani w tajemnicy
– po latach odnajdywani na „Łączce”

Waldemar Kowalski

Bohaterowie z dołów śmierci

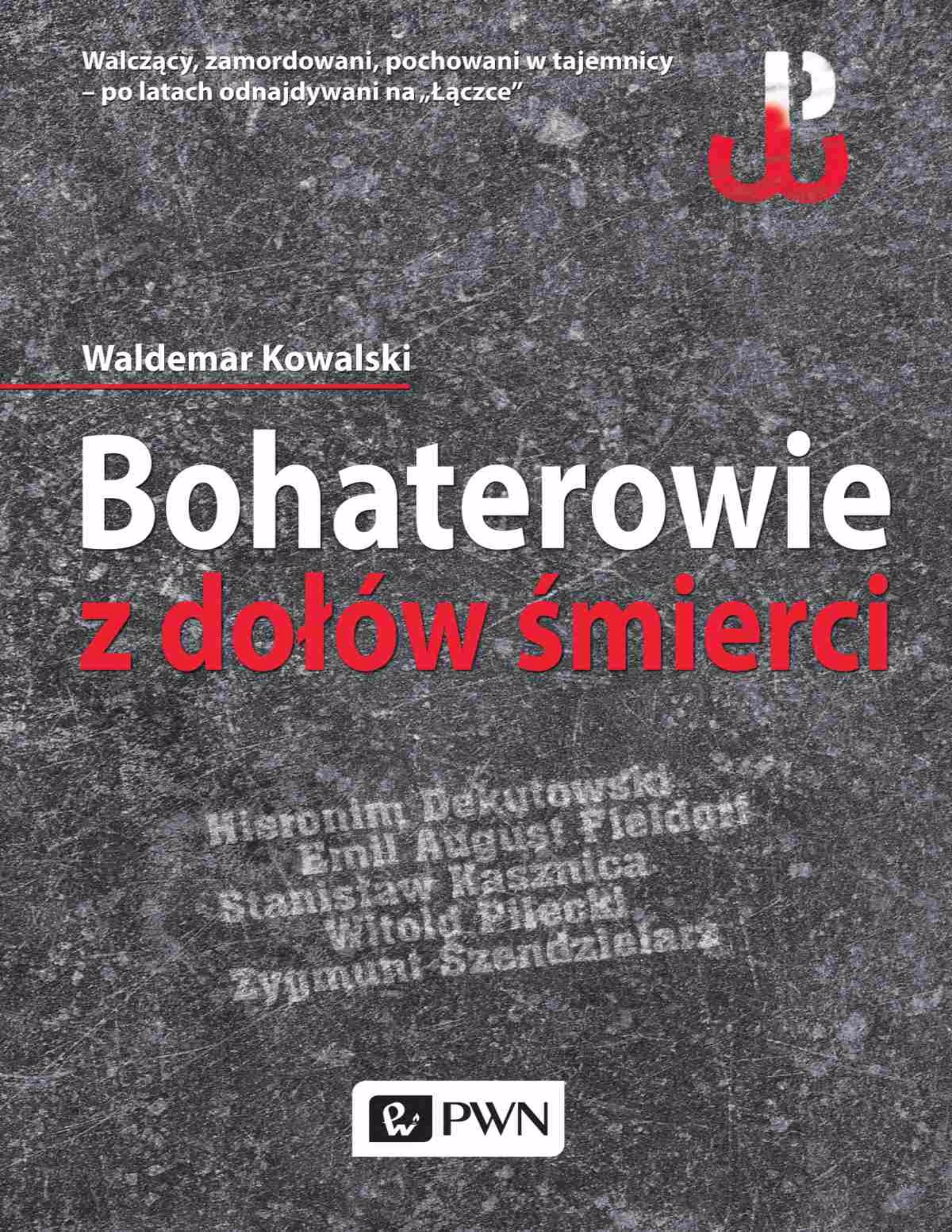

PWN

Waldemar Kowalski

Bohaterowie z dołów śmierci

PWN

Projekt okładki i stron tytułowych
Agata Pieńkowska

Ilustracja na okładce
goir/Shutterstock

Redaktor inicjujący
Katarzyna Kucharczuk

Wydawca
Joanna Adamczyk

Redaktor prowadzący
Jolanta Kowalczuk

Korekta i indeks
Ingeborga Jaworska-Róg

Fotoedycja
Barbara Chmielarska-Łoś

Produkcja
Mariola Iwona Keppel

Skład wersji elektronicznej na zlecenie Wydawnictwa Naukowego PWN
Marcin Kapusta / *konwersja.virtualo.pl*

Copyright for the text © by Waldemar Kowalski, 2016

ISBN 978-83-01-18747-7

eBook został przygotowany na podstawie wydania papierowego z 2016 r., (wyd. I)
Warszawa 2016

Wydawnictwo Naukowe PWN SA
02-460 Warszawa, ul. Gottlieba Daimlera 2
tel. 22 69 54 321; faks 22 69 54 288
infolinia 801 33 33 88
e-mail: pwn@pwn.com.pl; www.pwn.pl

Informacje w sprawie współpracy reklamowej: reklama@pwn.pl

SPIS TREŚCI

Od autora
Dlaczego wyklęci?

Część I. Kłamstwo
Walka o Polskę
Ludowa sprawiedliwość
Niesławny adres
Łączka

Część II. Ofiary
Stanisław Kasznica – ostatni komendant NSZ
Hieronim Dekutowski – wyklęty cichociemny
Zygmunt Szendzielarz – legendarny partyzant
Witold Pilecki – ochotnik do Auschwitz
August Emil Fieldorf – dowódca Kedywu

Część III. Prawda
Przywrócić tożsamość
Życie po życiu
Historia zatacza koło

Aneksy
Bibliografia
Przypisy
Spis ilustracji

OD AUTORA

Niech żyje wolna Polska! Takeśmy wołali,
Gdy nas wyprowadzano ostatni raz z celi.
Obyście tej wolności, bracia, doczekali,
Której już nam nie będzie dane z wami dzielić.
Tadeusz Porayski, *Służewiec*

Do czasu oddania tej książki do wydawnictwa, pod koniec kwietnia 2016 roku, w ramach uruchomionego jesienią 2011 roku projektu „Poszukiwanie nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego 1944–1956", na obszarze kwatery „Ł" Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie, czyli na tzw. Łączce, odnaleziono szczątki ok. 200 osób zamordowanych przez komunistów, które uprzednio były osadzone w więzieniu mokotowskim. Kości kolejnych ok. 100 straconych wciąż czekają na odszukanie i podjęcie z ziemi.

Interdyscyplinarny zespół naukowców, kierowany przez pełnomocnika prezesa Instytutu Pamięci Narodowej ds. poszukiwań nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego 1944–1956 prof. Krzysztofa Szwagrzyka, przeprowadził na Łączce już dwa etapy działań poszukiwawczo-ekshumacyjnych. Na sporządzonej przez Polską Bazę Genetyczną Ofiar Totalitaryzmów liście zamordowanych, którym po dziesięcioleciach przywrócono tożsamość, figuruje obecnie 40 nazwisk. Sytuacja jest jednak dynamiczna – w każdym momencie można spodziewać się ogłoszenia kolejnych personaliów zidentyfikowanych ofiar komunistycznego terroru.

Podczas gdy w laboratorium genetycznym Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie prace nad identyfikacją odkopanych szczątków trwają nieustannie, badacze z IPN, Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu i Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie wciąż czekają na wznowienie prac poszukiwawczo-ekshumacyjnych w terenie.

Przed rozpoczęciem trzeciego etapu poszukiwań konieczne jest załatwienie wszystkich niezbędnych formalności związanych z przeniesieniem prawie 200 istniejących grobów. Powstały one w latach

80. w miejscu dawnego pola więziennego, na którym grzebano ciała więźniów niesławnego więzienia przy ul. Rakowieckiej. Bezimienne doły śmierci dosłownie „przykryto” nowymi pomnikami, aby zatrzeć wszelkie ślady zbrodni.

Sporo zostało jeszcze do zrobienia, ale dobrze, że przynajmniej z prawnego punktu widzenia wiele wydaje się rozstrzygnięte. Prace na Łączce mają być kontynuowane na podstawie specjalnej ustawy przyjętej przez Sejm RP 15 maja 2015 roku[1]. Zgodnie z nią decyzję w sprawie przeniesienia istniejących grobów podejmuje właściwy wojewoda, na wniosek prezesa IPN.

Gdy powstawała ta książka, przygotowania do wznowienia prac na Łączce zmierzały w dobrym kierunku. Kontynuacja projektu była już tylko kwestią czasu. Jeżeli obyło się bez dodatkowych trudności, to w chwili, kiedy publikacja trafiła na półki księgarń, latem 2016 roku, na Łączce trwa najważniejszy etap poszukiwań. Nie ma wątpliwości, że jest niezbędny. Towarzyszy mu wielka nadzieja przywrócenia Polsce i Polakom zapomnianych przez lata bohaterów XX stulecia.

Mam świadomość trudności podjętego zadania. Jakkolwiek część treści tej książki, poświęcona niezidentyfikowanym wciąż ofiarom represji, szybko może ulec dezaktualizacji, jestem przekonany, że mówienie, a w tym przypadku pisanie na bieżąco o dokonujących się na naszych oczach wielkich rzeczach, ma głęboki sens. Byłoby czymś wspaniałym, gdyby dwaj bohaterowie tej publikacji – rtm. Witold Pilecki i gen. August Emil Fieldorf – jak najszybciej znaleźli się na liście osób, które po latach odzyskały tożsamość. Do tego grona należą już pozostałe postacie, o których traktuje ta książka. Losy majorów Zygmunta Szendzielarza i Hieronima Dekutowskiego oraz ppłk. Stanisława Kasznicy starałem się przybliżyć w kontekście trwających od kilku lat prac poszukiwawczo-ekshumacyjno-identyfikacyjnych.

Wspomniana trójka ma swoje fizyczne groby, przy których każdy może się pomodlić, zapalić znicz czy złożyć kwiaty. Major Dekutowski i ppłk Kasznica znaleźli się w gronie 35 zidentyfikowanych ofiar, które pochowano w powstałym na Łączce Panteonie Żołnierzy Niezłomnych-Wyklętych. Był to uroczysty, państwowy pogrzeb, z udziałem najwyższych przedstawicieli państwa, w tym premier Ewy Kopacz. Dzień 27 września

2015 roku, kiedy tłumy szczelnie wypełniły warszawski cmentarz[2], niejednemu zapadł głęboko w pamięci.

Także mjr Szendzielarz otrzymał oznakowane miejsce na tym wyjątkowym w krajobrazie stolicy cmentarzu, co jeszcze kilka dekad temu było dla komunistów nie do pomyślenia. Zgodnie z wolą rodziny spoczął w powązkowskim grobie swej jedynej córki, Barbary, zmarłej w 2012 roku. W bezpośredniej bliskości Panteonu, nieopodal dołu śmierci, do którego został niedbale wrzucony. Uroczysty pogrzeb legendarnego partyzanta ziemi wileńskiej z 24 kwietnia 2016 roku, odprowadzonego na cmentarz w długim kondukcie przez tysiące Polaków, kończył ważny etap procesu przywracania Polsce bohaterów. Ci ludzie, niegdyś walczący za najwyższą sprawę, później zapomniani, po kilkudziesięciu latach od egzekucji symbolicznie narodzili się na nowo. Dziś zajmują często poczesne miejsce w świadomości jednostek i zbiorowości.

Publikacja jest poświęcona ludziom, którzy „żyją”, choć już dawno zostali zamordowani. Sądzonym, ale pozbawionym prawa do obrony. Tym, o których – jeśli przyjrzeć się intencjom katów – mieliśmy mówić tylko mimochodem, widząc w nich bandytów, pospolitych zbrodniarzy, zdrajców narodu, antypaństwowych szkodników. Bohaterom, którzy ginęli w kazamatach więzienia mokotowskiego po odczytaniu sentencji wyroku, rzekomo „w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej”. Skazanym na karę śmierci, często wielokrotną, utratę praw publicznych i przepadek mienia raz na zawsze. Zupełnie jak sądzeni po wojnie hitlerowscy zbrodniarze…

To także opowieść o konsekwentnie zamazywanej prawdzie i zręcznie utkanym kłamstwie. Planie, według którego Polska miała już nigdy nie upomnieć się o szczątki tych, którzy walczyli o jej niepodległość. Nie tę fasadową państwowość, znamienną dla powojennych rządów komunistów, ale pełną, suwerenną. O sytuację, gdy o losie kraju decyduje wspólny głos wszystkich jego obywateli.

W książce opisano bohaterów, ale nie tych spiżowych, którzy istnieją w naszej wyobraźni za sprawą narodowych mitologii, lecz ludzi z krwi i kości, targanych dylematami, uwikłanych często w sytuacje bez wyjścia. Jest mowa o złamanych życiorysach, trudnych i niejednoznacznych decyzjach oraz poniesionej wielkiej ofierze. O żelaznej motywacji, która cechowała członków antysowieckiego oporu mimo poważnych różnic w poglądach na kształt państwa. Nade wszystko o bezimiennych ofiarach

represyjnego systemu, wprowadzonego w Polsce gwałtem i siłą, przy przemożnej „pomocy” z zewnątrz.

Wreszcie to publikacja o wielkim wysiłku włożonym w proces przywracania nam, Polakom, wielkich postaci rodzimej historii. O specyfice żmudnej pracy, często w niesprzyjających warunkach, przy poszukiwaniu i identyfikacji ofiar represji komunistycznych. O ciążącej na naukowcach presji, o nadziejach i oczekiwaniach rodzin tych, których zamordowano strzałem w tył głowy lub powieszono na szubienicy.

Książka, choć wyposażona w aparat naukowy, ma spełniać przede wszystkim funkcję popularyzacyjną. Niewątpliwie cennym dodatkiem są rozmowy z badaczami różnej profesji, uczestniczącymi w niezwykle ważnym i potrzebnym procesie przywracania tożsamości ludziom, którzy ginęli za wolną Polskę. Jeżeli publikacja okaże się choćby skromnym dodatkiem, komentarzem do wydarzeń, których jesteśmy świadkami, a przy okazji pobudzi do refleksji i zgłębienia podjętego, niełatwego przecież tematu, to z nawiązką wypełni zadania, jakie przed nią postawiłem.

Historia toczy się na naszych oczach. Jestem przekonany, że to, co dzieje się od kilku lat na Łączce, dzieje się do dziś i dziać się będzie, pozytywnie wpłynie na nasze narodowe i obywatelskie samookreślenie, wzmocni naszą zbiorową tożsamość. Już dawno minął moment, gdy po latach kłamstw, niedomówień i milczenia, nazwaliśmy zło po imieniu. To najlepszy czas, aby głośno mówić o bohaterach, którzy ginęli, bo marzyła im się wolna Polska. My, depozytariusze tej wolności, jesteśmy dziś świadkami ich powtórnych narodzin.

Warszawa, 20 kwietnia 2016 r.

DLACZEGO WYKLĘCI?

Ponieważ żyli prawem wilka
historia o nich głucho milczy
Zbigniew Herbert, *Wilki*

To było jedno wielkie kłamstwo. Począwszy od określenia żołnierzy podziemia niepodległościowego „bandytami”, przez pociągnięcie ich do rzekomej odpowiedzialności – która z prawem nie miała nic wspólnego – a następnie publiczne odsądzenie od czci, skazanie i najczęściej wykonanie wyroku przez strzał w tył głowy, po zakopanie „gdzieś” w bezładzie. Tak władza komunistyczna postąpiła z tymi, których dziś nazywamy bohaterami.

Jak wiadomo, nie ma życiorysów idealnych. Bezsprzecznie jednak największą motywacją tysięcy Polaków, opierających się postępującej sowietyzacji, była walka o ojczyznę.

Byli ofiarami po wielokroć. Ci, którzy przeżyli areszty i więzienia, a także pobyt w innych miejscach odosobnienia oraz represji, zmagali się nie tylko z władzą ludową, lecz także z własnymi przeciwnościami, czysto ludzkim cierpieniem. I nawet gdy przeszli bez żadnej skazy na honorze wymyślne tortury fizyczne i psychiczne, zadawane przez wyjątkowo znających się na rzeczy „fachowców” z Urzędu Bezpieczeństwa, czekała ich śmierć dwojaka. Nie umierali tylko wskutek działania kata w czasie egzekucji. Umierali również symbolicznie, gdyż wypchnięto ich poza margines społeczny, poza nawias pamięci.

Kiedy komuniści przystępowali do ostatecznej rozprawy z członkami ruchu oporu, kraj, doświadczony ponad pięcioletnią okupacją, przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy – ogólna bieda i niedostatek, ruina gospodarcza, skrajne wyniszczenie ludności, zmęczonej codzienną trwogą, poddawanej zaplanowanej przez Niemców polityce terroru oraz eksterminacji. W tej nadzwyczajnie trudnej sytuacji przyszło działać żołnierzom polskiego podziemia niepodległościowego. Partyzanci różnych struktur, powstałych po rozwiązaniu Armii Krajowej w styczniu 1945 roku, musieli podejmować

decyzje, które wcale nie gwarantowały osiągnięcia zamierzonego celu. Czy z tamtej beznadziejnej sytuacji było w ogóle jakieś wyjście?

Żołnierze wybierali między kapitulacją wobec wielkiej machiny komunistycznego państwa, wspieranej usilnie przez Moskwę, a trwaniem przy swojej wizji kraju, który pamiętali sprzed kilku lat – niewolnego od konfliktów wewnętrznych, ale całkowicie suwerennego i niepodległego. Wybór tej drugiej możliwości oznaczał dalsze wyrzeczenia, ciągłe ukrywanie się pod zmienionymi personaliami, zerwanie kontaktu z najbliższymi, codzienną walkę o byt.

Dziesiątki tysięcy Polaków nie złożyło po 1945 roku broni. Byli przekonani, że czynią dobrze, zgodnie z własnym sumieniem. Wybrali najtrudniejszą drogę, pozostając w konspiracji. Inni, wierząc w moc prawną ogłaszanych przez władze amnestii, postanowili się ujawnić. Z różnym skutkiem. Niektórzy próbowali zacząć nowe życie w drastycznie zmienionej po wojnie rzeczywistości. Byli tacy, którzy swej decyzji żałowali jeszcze długo.

Zgoła inne dylematy mieli ci, którzy z zamiarem dalszej walki „poszli w las” – ten rzeczywisty i ten symboliczny, oznaczający działanie w ukryciu, uznawane przez komunistów za nielegalne i szkodliwe. Bez większej nadziei na poprawę swego losu, nie łudząc się co do rzeczywistych intencji władz, wiedli nadzwyczaj trudny żywot. Wróg mógł być wszędzie, szczególnie w miejscach, gdzie szukano schronienia. Okoliczni mieszkańcy różnie reagowali, obawa o własne życie niekiedy górowała nad poparciem dla słusznych idei. Partyzanci nie wytrwaliby jednak tygodni, miesięcy, a nawet lat, gdyby nie bezinteresowna pomoc innych osób.

Rekordzista – sierżant Józef Franczak „Lalek” – nosił przy sobie broń przez większą część życia. Walczył już we wrześniu 1939 roku z Niemcami, potem z Sowietami i polskimi komunistami. Jeszcze 18 lat po wojnie jego nazwisko figurowało w aktach bezpieki, poszukującej rzekomo „groźnego bandyty”. Wpadł w obławie SB i milicji wskutek donosu, wydawałoby się, dobrego znajomego. Śmierć tego partyzanta[3] symbolicznie kończyła epopeję zbrojnego antykomunistycznego oporu.

Gdy w 1993 roku Liga Republikańska zorganizowała wystawę poświęconą losom żołnierzy partyzantki antykomunistycznej po wojnie, po raz pierwszy usłyszeliśmy o „wyklętych”. Autorzy ekspozycji uznali, że

właśnie to określenie najlepiej oddaje tragizm i złożoność losów tych, którzy nie złożyli broni wraz z końcem wojny. Osoby te wyklęła jednak nie tylko władza ludowa. Słowo to odnosiło się także, a może przede wszystkim, do sytuacji po 1989 roku. Do dziwnego zapomnienia o antykomunistycznym podziemiu przez władze nowo powstałej III Rzeczypospolitej[4].

Od czasu organizacji wystawy minęły już ponad dwie dekady, a wciąż o „wyklętych” mówimy. Wciąż, a może na dobrą sprawę dopiero?

CZĘŚĆ I
KŁAMSTWO

WALKA O POLSKĘ

Polska tonie w czerwonej powodzi… Istnieje przysłowie,
że „tonący brzytwy się chwyta”, jakże ono obecnie pasuje
do wielu Polaków! Toniemy – a nadzieja, której się chwytamy –
pozostaje niestety tylko przysłowiową brzytwą.
kpt. Zdzisław Broński „Uskok”, dziennik, 1 maja 1949 r.

Podłość przelewa się rynsztokami cuchnącymi.
Męty społeczne i oportunizm rozrastają się jak liszaj.
Ale Polska się broni. Polsce rady nie dadzą. […] Polska walczy,
pomimo sprzeniewierzeń i zdrad, pomimo ugody, pomimo trądu
demoralizacji życia pod wpływem działania rozkładowego okupanta…
Henryk Józewski w liście do Władysława Raczkiewicza, maj 1946 r.

Od lat toczy się dyskusja, czy z chwilą zakończenia II wojny światowej (a nawet wcześniej – w roku 1944) na ziemiach polskich wybuchło nowe powstanie zbrojne, tym razem o zdecydowanie antykomunistycznym charakterze. Jeżeli przyjąć tezę o kolejnej walce powstańczej jako najlepiej oddającej charakter ówczesnego oporu, to należałoby uznać ją za najdłuższy polski zryw niepodległościowy. Za takim ujęciem problemu przemawiają skala i zakres walki powojennego podziemia z aparatem komunistycznym[5]. Z pewnością nie była to wojna domowa[6] – taką tezę szerzyli przez lata propagandziści Polski Ludowej. Przyjęcie jej byłoby równoznaczne z twierdzeniem, że polscy komuniści działali samowolnie, bez sowieckiej inspiracji i pomocy. Tymczasem było zupełnie inaczej[7].

Faktem jest, że żołnierze podziemia niepodległościowego, zwanego też poakowskim (drugą konspiracją), o których mówimy w odniesieniu do okresu 1944–1956, mieli jasno sprecyzowany cel: odzyskanie przez Polskę pełnej suwerenności państwowej. Plan ten nie zmienił się od 1939 roku, gdy jej przywrócenie stało się głównym hasłem manifestu Polskiego Państwa Podziemnego[8]. Do tego celu nawiązywały struktury cywilne i wojskowe świetnie zorganizowanego ruchu oporu. O wolną Polskę przez lata walczyły z bronią w ręku Armia Krajowa (AK, wcześniej Służba Zwycięstwu Polski – SZP i Związek Walki Zbrojnej – ZWZ) oraz wiele

innych organizacji zbrojnych. Część z nich uległa później scaleniu z AK, część – zachowała pełną niezależność.

Oddzielić od tego grona należy utworzoną w latach wojny na ziemiach polskich partyzantkę prokomunistyczną. Owszem, walczyła z Niemcami, ale nie po to, aby przywrócić Polsce niepodległy byt. Powojenne państwa, idąc tokiem myślenia konspiracji inspirowanej przez Moskwę, miały być całkowicie uzależnione od Związku Sowieckiego.

Za tezą o antykomunistycznym powstaniu przemawiają także liczby. Łącznie w latach 1944–1956 w podziemiu niepodległościowym w różny sposób działało od 120 do 180 tys. ludzi. Wiosną 1945 roku na ziemiach polskich, których granice wytyczyła w Jałcie tzw. Wielka Trójka, w regularnych oddziałach leśnych służyło nawet 17 tys. żołnierzy. Przyjmuje się, że w połowie tego roku funkcjonowało ponad 340 oddziałów zbrojnych różnej wielkości![9] Co więcej, według zawyżonych danych MBP w maju 1945 roku liczebność „band" – jak komunistyczna propaganda określała oddziały partyzanckie – wynosiła aż 29,5 tys. ludzi[10].

Stosowane w literaturze przedmiotu rozróżnienie na podziemie antykomunistyczne oraz antynazistowskie (antyniemieckie) wynika z przyjęcia układu chronologiczno-geograficznego, a nie z analizy założeń programowych i działalności organizacji konspiracyjnych. Nadrzędnym celem głównych nurtów polskiego podziemia było odzyskanie suwerennego państwa. Z tej perspektywy narodowość czy ideologiczne oblicze okupanta schodziły na dalszy plan[11] – piszą autorzy wprowadzenia do *Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956*.

Jako że żołnierze partyzantki niepodległościowej nawiązywali do wcześniejszych tradycji Polski Podziemnej nie tylko ideowo, lecz także organizacyjnie[12], powojenny ruch oporu na ogół uznaje się za bezpośrednią kontynuację sześcioletniego wysiłku na rzecz odzyskania pełnej wolności[13].

Dalsza, różnie interpretowana walka o Polskę, z chwilą gdy z jej przedwojennego obszaru niemal całkowicie wycofały się już wypierane przez Armię Czerwoną od wschodu wojska niemieckie, wydawała się naturalną koleją rzeczy. Nie zmieniło tego nawet rozformowanie wielkiej konspiracyjnej siły zbrojnej.

Stan ten przypominał pewne okresy powstania styczniowego, gdy władza państwowa ustabilizowana była jedynie w dużych ośrodkach, zaś w terenie istniała tylko iluzorycznie[14] – charakteryzował nierówną walkę z postępującą sowietyzacją Polski Władysław Siła-Nowicki, były żołnierz AK i inspektor WiN na Lubelszczyźnie.

19 stycznia 1945 roku gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek" wydał rozkaz o rozwiązaniu AK, motywując swą decyzję zmieniającymi się realiami okupowanej Polski – wróg, z którym rodzime podziemne wojsko walczyło przez lata, przestał być już realnym zagrożeniem[15].

Wszyscy trzeźwo myślący dostrzegali jednak w Sowietach nowego okupanta, pamiętając represje zapoczątkowane feralnego 17 września 1939 roku. W swym ostatnim rozkazie komendant podkreślił, że zajęcia ziem polskich przez Armię Czerwoną nie należy uznawać za „zwycięstwo słusznej sprawy", za którą Polacy zaczęli walczyć już z chwilą rozpoczęcia wojny[16].

Obecne zwycięstwo sowieckie nie kończy wojny. Nie wolno nam ani na chwilę tracić wiary, że wojna ta skończyć się może jedynie zwycięstwem słusznej Sprawy, triumfem dobra nad złem, wolności nad niewolnictwem[17] – pisał gen. Okulicki.

Jeszcze tego samego styczniowego dnia, gdy rozwiązaniu uległa AK, Okulicki wydał tajny rozkaz nakazujący dalszą działalność w konspiracji, której ostatecznym celem miała być, jak to ujął, „odbudowa niepodległości". Apelował też o utrzymanie łączności z jego osobą, a także działanie za wiedzą Delegata Rządu i w porozumieniu z nim.

Epopeja wielkiej podziemnej armii właśnie się kończyła, co nie było równoznaczne z zaniechaniem prób utworzenia organizacji bezpośrednio się do niej odwołujących, opartych na istniejących już strukturach terenowych, sieci kontaktów i dowództw. Te z kolei za wszelką cenę starała się rozbić armia sowiecka, która przekroczyła przedwojenną granicę II RP na początku stycznia 1944 roku.

Sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej (PPR) Władysław Gomułka „Wiesław" uznał wieść o postępach Sowietów za wyjątkowo dobrą nowinę. Nic dziwnego, walka z polską „reakcją" wymagała – jak głoszono w partyjnych kręgach – mobilizacji wszystkich sił demokratycznych, wolnościowych i postępowych. Także, a może przede wszystkim, tych przybyłych ze Wschodu[18]. Armię Krajową Gomułka

traktował jak sprzymierzeńca hitlerowskich Niemiec, który walczył z okupantem tylko „dla pozoru”. Według wykładni PPR – przekonywał komunistyczny dygnitarz – razem z oddziałami Narodowych Sił Zbrojnych, w niemieckich mundurach, AK szła *do walki na wszystkich frontach z partiami walczącymi o oswobodzenie Polski*[19].

Żołnierzy podziemia – niezależnie od ich przekonań politycznych – przedstawiano jako „wywrotowców” i „terrorystów”, próbujących zakłócić rzekomo normalne życie „ludu pracującego miast i wsi”. Wzywano do ostatecznej rozprawy z „wrogim elementem”, apelując o zdławienie tego ogniska zamętu bez okazywania litości[20].

O tym, że komuniści nie przebierali w słowach, świadczy notatka sporządzona przez Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy Wojska Polskiego 8 grudnia 1944 roku. Podkreślono w niej dokonanie przez „polskie bandy” wyjątkowo złego wyboru i stawiano je w jednym rzędzie z nazistami: *Ulotki AK i NSZ nie różnią się od ulotek hitlerowskich ani językiem, ani zamierzonym celem. Nie jest to przypadkowe. W tej wojnie nie było i nie ma pozycji pośredniej. Albo z państwami sprzymierzonymi szczerze i konsekwentnie w sojuszu sowiecko-angielsko-amerykańskim, albo na równi pochyłej ku hitlerowskim Niemcom. Ten, kto schodzi z drogi współpracy z którymkolwiek z aliantów, stacza się na drogę faktycznego współdziałania z Niemcami. […] Kto chce walczyć z rzeczywistymi organizacjami odradzającego się państwa polskiego, staje się sojusznikiem hitleryzmu*[21].

Gdy w maju 1945 roku, przynajmniej pozornie, umilkły strzały w wyzwolonej spod jarzma Niemców Europie, Władysław Gomułka nie wyobrażał sobie walki z „siłami reakcji” bez pomocy Armii Czerwonej. Ponad miesiąc później, 18 czerwca, w czasie rozmów z przewodniczącym PSL Stanisławem Mikołajczykiem, towarzysz „Wiesław” kategorycznie stwierdził: *Może jeszcze […] padnie nowych kilkuset ludzi – lecz to nas nie przestraszy. […] Zniszczymy wszystkich bandytów reakcyjnych bez skrupułów. Możecie jeszcze krzyczeć, że leje się krew narodu polskiego, że NKWD rządzi Polską, lecz to nie zawróci nas z drogi*[22].

Rząd londyński, AK i inne struktury Polski Podziemnej, owe „zaplute karły reakcji”, stały się w ujęciu propagandy PPR synonimem zaprzaństwa, zdrady narodowej, uwstecznienia. Słowem, reprezentowały wszystko, co złe i co należało zwalczyć siłą. W związku z tym zwrócono się o pomoc do

Józefa Stalina. Zresztą nawet i bez tej prośby sowiecki generalissimus nie stałby bezczynnie.

W drugiej połowie 1944 roku na terenie tzw. Polski Lubelskiej, a więc obszarze kontrolowanym przez komunistów, znajdowało się – według różnych szacunków – od 2,5 do 3,5 mln czerwonoarmistów. Mniej więcej w połowie 1945 roku niemalże 50% wszystkich enkawudzistów stacjonujących w tej części Europy przebywało na ziemiach polskich. Łącznie 15 pułków wojsk Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych (NKWD), ok. 35 tys. ludzi[23]. Walkę ze „szpiegami" wspierały specjalne oddziały operacyjne kontrwywiadu wojskowego „Smiersz", odpowiadające za likwidację wszelkich „wrogich" elementów na tyłach Armii Czerwonej[24].

Generał Nikołaj Bułganin, wysoki sowiecki przedstawiciel przy Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego (PKWN), otrzymał od przełożonych szczegółowe wskazówki oraz szerokie pełnomocnictwa[25], pozwalające na skuteczne zwalczanie polskiego podziemia: *surowo czuwać nad dokładnym i nieodwołalnym wykonywaniem zarządzeń wydanych przez Naczelne Dowództwo, dotyczących oczyszczania tyłów Armii Czerwonej z wszelkiego rodzaju grup i formacji „rządu" emigracyjnego, z oddziałów zbrojnych tzw. Armii krajowej, a także pilnować rozbrajania wymienionych grup i oddziałów i internowania przez organy „Smiersz" ich kadry oficerskiej*[26]. Postawione przed Bułganinem zadania miały być realizowane w ścisłej współpracy z NKWD.

Ogrom skali akcji przeczesywania lasów, wymierzonej w polskie podziemie niepodległościowe, uwidaczniają częste raporty, utrzymane w charakterze sprawozdań, przesyłane przez sowieckich dowódców na biurka ludowego komisarza spraw wewnętrznych (szefa NKWD) i prawej ręki Stalina – Ławrientija Berii, jego następcy Siergieja Krugłowa bądź innych wysokich sowieckich oficjeli. Uwzględniano w nich straty własne i nieprzyjaciela, a także okres, w których tłumiono opór „band". Były to gigantyczne operacje wojskowe[27].

Mimo przygniatającej dysproporcji sił polskie oddziały niepodległościowego podziemia podejmowały walkę. Najpierw opierając się działaniom NKWD i Armii Czerwonej, a następnie rodzimych sił zbrojnych i milicji. Walka ta, siłą rzeczy, musiała niekiedy przypominać ucieczkę zwierzyny łownej przed kłusownikami. Nie ograniczała się jednak

tylko do obrony. Wręcz przeciwnie, często to polscy partyzanci wychodzili z niej zwycięsko, ku rozgoryczeniu wielu czołowych komunistycznych dygnitarzy[28].

Interesujące, że ta sama partyjna elita, która z otwartymi ramionami witała w 1944 roku żołnierzy sowieckich, przyznawała się do błędów przy zwalczaniu „wrogich elementów". Jednocześnie motywowała własne szeregi do skuteczniejszej walki z podziemiem, a nie wyręczaniem się żołnierzami ze Wschodu.

Uważaliśmy, że sprawa jest rozwiązana wraz z pobytem na ziemiach naszych Armii Czerwonej. Byliśmy zbyt leniwi, aby sami organizować swoje bezpieczeństwo. Dziś w Białostockiem, Lubelskiem i Rzeszowskiem wojska sowieckie likwidują bandy akowskie. Powinny być u nas garnizony sowieckie, ale bandy akowskie powinniśmy sami likwidować. Nasza rola militarna była niewielka i niedostateczna. Nie jesteśmy u siebie gospodarzami[29].

Ten gorzko brzmiący wniosek padł z ust komendanta głównego Milicji Obywatelskiej (MO) gen. Franciszka Jóźwiaka, który apelował o skuteczniejszą walkę rodzimych sił bezpieczeństwa z AK-owską reakcją na plenarnym posiedzeniu KC PPR 20 maja 1945 roku. Rzeczywiście, bilans „zasług" Sowietów w walce z niepodległościowym podziemiem mógł poważnie zawstydzać elitę PPR.

Łącznie na obszarze Polski Ludowej enkawudziści aresztowali 65–70 tys. osób, w tym ok. 27 tys. żołnierzy AK. Zatrzymanych, którzy wpadli, próbując się ujawnić, często oddawano do dyspozycji funkcjonariuszy bezpieki. Posądzanych o sprzyjanie podziemiu i innych „zagrażających" porządkowi publicznemu wywożono w głąb Związku Sowieckiego; wojskowych osadzono w obozach jenieckich[30], m.in. w celu „nakłonienia" ich do służby w Wojsku Polskim[31]. Do tej liczby należałoby doliczyć też tysiące bezprawnie aresztowanych mieszkańców Pomorza oraz mieszkańców Górnego Śląska, co podwyższa wspomnianą statystykę na niekorzyść Sowietów do 110–120 tys. osób, których pozbawiono wolności. Jeżeli do tego rachunku dodamy liczbę Polaków zatrzymanych przez rodzimych komunistów, to uzyskamy bilans ok. 0,5 mln ofiar[32].

Jak zatem przedstawiały się krajowe siły zaangażowane w zwalczanie podziemia? Pod koniec 1945 roku elita władzy dysponowała ok. 24 tys.

funkcjonariuszy UB, 29 tys. oficerów i żołnierzy KBW oraz 56 tys. funkcjonariuszy MO. W marcu 1946 roku dla właściwej koordynacji tej znacznej, ponad stutysięcznej siły (nie licząc wojsk sowieckich!) utworzono Państwową Komisję Bezpieczeństwa, której celem był nadzór nad operacjami wymierzonymi w „reakcyjne" podziemie. Komisji przewodził minister obrony narodowej, a szef MBP był jego prawą ręką[33].

Dla tysięcy ludzi pod bronią, którzy składali konspiracyjną przysięgę, wkroczenie Sowietów było równoznaczne z nowym konfliktem zbrojnym. Nie wszyscy przedstawiciele Polski Podziemnej, której etos wciąż miał wielkie znaczenie dla społeczeństwa, byli jednak przekonani do takiej formy walki[34].

Tragizm sytuacji dostrzegał Delegat Rządu na Kraj i były szef Kierownictwa Walki Cywilnej Polskiego Państwa Podziemnego, Stefan Korboński. W depeszy do Centrali w Londynie z 27 kwietnia 1945 roku pisał o „żywiołowych migracjach" ludzi do lasu. *Przyczyna: z jednej strony masowe aresztowania i pobór do wojska, z drugiej – mistyczna wiara ludności, że przeżywany okres jest przejściowym i że wkrótce Polska będzie prawdziwie niepodległa. Ten czas młodzież chce przeczekać w lesie, przynajmniej do zimy*[35].

Pułkownik Jan Rzepecki, Delegat Sił Zbrojnych na Kraj, w odezwie do żołnierzy podziemia wystosowanej 27 maja 1945 roku wskazywał na beznadziejność ich położenia, apelując jednocześnie o służbę Polsce w inny, nieuwzględniający walki zbrojnej sposób. Powoływał się przy tym na rozkaz gen. Okulickiego i zarządzenia władz londyńskich. Dwa miesiące później, 24 lipca, wprost wzywał do „zaprzestania działań oddziałów leśnych" i podjęcia przez byłych już żołnierzy AK jawnej pracy na rzecz przyszłej, wolnej Polski[36].

Pułkownik Franciszek Niepokólczycki, inna czołowa postać polskiej konspiracji, był przekonany, że o żadnej kapitulacji przed komunistami nie mogło być mowy. Zwracał uwagę jednak, że *trzeba było szukać innej formy walki*. W jednym z listów z 1958 roku pisał: *Ciągłość walki była dla mnie oczywistą, formy jej – różne. Czy byliśmy na to przygotowani? W minimalnym stopniu…*[37]

Rozkaz z 19 stycznia 1945 roku z pewnością nie dotarł do wszystkich oddziałów pozostających w konspiracji, był też różnie odbierany, czasami tylko i wyłącznie jako niewiele znaczący gest polityczny. Jako że sam gen.

Okulicki oraz podległe mu sztaby nie ujawnili się, niekiedy słowa dowódcy AK traktowano jako… wezwanie do jeszcze lepszego zakonspirowania struktur podziemia[38].

Złożyć broń czy dalej walczyć? Co miał na myśli gen. Okulicki, wspominając o tym, że sowieckie panowanie nad Polską „nie kończy wojny”? Te pytania musiały nurtować polskich żołnierzy i ich dowódców.

Wszelkim interpretacjom towarzyszył swoisty spór o dziedzictwo AK i właściwe zagospodarowanie jej spuścizny. Tysiące ludzi pod bronią z pewnością potraktowało słowa „Niedźwiadka” jako wezwanie do ponoszenia kolejnych ofiar za Polskę. Przecież zwierzchnik największej podziemnej siły zbrojnej nie zdjął z poszczególnych dowódców moralnego obowiązku odpowiedzialności za własnych żołnierzy. Wiedziano, co się dzieje w „nowej” Polsce po klęsce planu „Burza”, który ujawnił prawdziwe zamiary „wyzwolicieli” ze Wschodu. Rozpoczynało się jedno wielkie polowanie na żołnierzy podziemia[39].

Tym wszystkim należy tłumaczyć fakt, że w kolejnych miesiącach od wydania rozkazu o rozwiązaniu AK zorganizowany opór przeciw sowieckiej obecności w Polsce wcale nie zelżał[40].

Co więcej, w zależności od obszaru rodziły się nowe struktury konspiracyjne, także lokalne samoobrony. Potęgował się chaos organizacyjny. Bezład ten najdobitniej przejawiał się w tendencji, o której wspominał Józef Rybicki, były dowódca Kedywu Okręgu Warszawa. Jak notował, po 19 stycznia 1945 roku na terenie kraju powstało… 1298 różnych organizacji[41].

Niedługo polskie środowisko konspiracyjne obiegła smutna wiadomość o podstępnym aresztowaniu przez NKWD przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, z gen. Okulickim na czele. „Wrogów” przetransportowano do Moskwy. Celem było osądzenie rzekomych agentów i katów narodu polskiego[42].

Fakt aresztowania „szesnastu” w Pruszkowie (marzec 1945 r.) utwierdził nas w przekonaniu, iż nie ma dla nas innego miejsca na ziemi niż w lesie[43] – zapisał w pamiętniku były podkomendny „Łupaszki”, oficer V Brygady Wileńskiej AK Lech Leon Beynar, bardziej znany polskim czytelnikom jako Paweł Jasienica.

Proces ten ma charakter polityczny. Chodzi o ukaranie za działalność skierowaną przeciw Armii Czerwonej, działalność zagrażającą interesom

Związku Radzieckiego, wymierzoną przeciwko Narodom Zjednoczonym w ich walce z Niemcami. Jednym słowem chodzi o ukaranie polskiego podziemia[44] – mówił podczas mowy obronnej główny oskarżony, były komendant AK[45].

Tymczasem w kraju, zgodnie z życzeniem sądzonego generała, schedę po AK zaczęła przejmować, i dostosowywać do nowych realiów, ściśle zakonspirowana niepodległościowa organizacja – „NIE". Działała jednak nadzwyczaj krótko – wobec wszelakich trudności związanych z rozwinięciem swych tajnych struktur już w maju 1945 roku zastąpiła ją Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ). Ta zaś została rozwiązana już w sierpniu, zaraz po likwidacji Rady Jedności Narodowej. Nie minął miesiąc, a były już komendant DSZ płk Rzepecki powołał do życia Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji „Wolność i Niezawisłość", znany szerzej jako Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość" (WiN)[46]. Niekiedy na nazwanie powstających szybko po sobie kolejnych struktur konspiracji poakowskiej używa się łączonej nazwy: NIE-DSZ-WiN[47].

Warunki życia obywatela polskiego dalekie są od tego obrazu, który mieli przed oczyma ginący żołnierze Polski Podziemnej. Wierni jej testamentowi podejmujemy polityczną walkę o jego urzeczywistnienie. Nie naszą jest winą, że podstawowe prawo wolnego obywatela w demokratycznym państwie – prawo zrzeszania się – musimy realizować w postaci tajnej[48] – napisali założyciele nowej konspiracyjnej struktury.

Ruch, którego pierwszym prezesem był płk Rzepecki, stanowił największą zakonspirowaną organizację niepodległościową po wojnie. Według szacunków w latach 1945–1946 liczebność WiN wynosiła ok. 20–30 tys. zaprzysiężonych[49]. Łącznie, przez ponad pięć lat działalności, funkcjonowały cztery komendy (zarządy) organizacji. 1 marca 1951 roku w więzieniu mokotowskim stracono prezesa ostatniego, IV Zarządu – ppłk Łukasza Cieplińskiego – i jego współpracowników[50]. O dacie tej przypomina obchodzony od 2011 roku Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, wyznaczony właśnie na pierwszy dzień marca[51].

Wraz z powstaniem WiN zmianie uległa koncepcja oporu. Starano się odrzucić walkę zbrojną i dywersję na rzecz politycznych nacisków, wsparcia dla Polskiego Stronnictwa Ludowego jako legalnej opozycji dla PPR. Efektem miało być doprowadzenie do wolnych wyborów oraz

wycofanie wojsk sowieckich z terytorium kraju[52]. *Obecną rzeczywistość w Polsce oceniamy jako sowiecką okupację, która przekreśla niepodległość Narodu Polskiego. Musi więc być prowadzona dalsza walka polityczna o odzyskanie tej niepodległości*[53] – głosiła deklaracja Naczelnego Wodza i tzw. rządu londyńskiego.

Zamiar bezkrwawej walki zrealizowano tylko częściowo, nigdy bowiem, szczególnie we wschodnich obszarach kraju, nie porzucono idei czynnego oporu. Część środowisk konspiracyjnych (głównie podziemie narodowe), które wierzyły w sens dalszej walki, postanowiła kontynuować bardziej doraźne antysowieckie działania[54].

Organizacje ideowo związane z ruchem narodowym nie widziały szansy na odnalezienie się w nowej rzeczywistości. Narodowa Organizacja Wojskowa (NOW) i Narodowe Siły Zbrojne (NSZ) już w listopadzie 1944 roku, a więc po niepowodzeniu planu „Burza", wspólnie utworzyły liczące od 22 do 30 tys. żołnierzy Narodowe Zjednoczenie Wojskowe (NZW)[55], wspierane przez działaczy Stronnictwa Narodowego (SN). Z tego grona wyłamało się radykalne skrzydło, skupione wokół międzywojennych idei głoszonych przez Obóz Narodowo-Radykalny (ONR). Organizacja Polska (OP) – sprawująca kierownictwo tego ruchu – zanegowała zasadność wspólnego wysiłku w ramach NZW. Odtąd tworzyła konspiracyjną strukturę, nawiązującą bezpośrednio do NSZ (często jako NSZ-OP)[56].

NSZ-owcy wierzyli w rychły wybuch III wojny światowej, który miał umożliwić dalszą, skuteczną walką z sowieckim okupantem. Do tego celu, jak wówczas sądzono, prowadziło nawet zawieranie porozumień, oczywiście w ograniczonym zakresie, z lokalnymi dowódcami Wehrmachtu. Przykładem tego były działania Brygady Świętokrzyskiej NSZ[57], której – jako jedynemu polskiego oddziałowi zbrojnemu – udało się przedostać na Zachód i nawiązać kontakt z Amerykanami, a nawet wyzwolić niemiecki obóz koncentracyjny w czeskim Holiszowie[58].

W połowie 1945 roku pod bronią ciągle pozostawały takie formacje niepodległościowe, jak: Konspiracyjne Wojsko Polskie (KWP), dowodzone przez kpt. Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca", Wielkopolska Samodzielna Grupa Ochotnicza „Warta", Ruch Oporu Armii Krajowej (ROAK), Eksterytorialny Wileński Okręg AK, a także Zgrupowania partyzanckie – mjr. Józefa Kurasia „Ognia", kpt. Henryka Flamego „Bartka" czy kpt. Antoniego Żubryda „Zucha"[59].

Akcje zbrojne, za takie uznawano choćby ataki na posterunki MO[60], więzienia i areszty UB czy likwidacje konfidentów, których działalność zagrażała nie tylko istnieniu oddziału, całej siatki konspiracyjnej, lecz także życiu ludności cywilnej, stanowiły w przeważającej mierze odpowiedź na działania władz. Była to jedna z form samoobrony, cechująca nierówną walkę z potężnym okupantem sowieckim[61].

Na każdy strzał, oddany w naszym kierunku, będziemy odpowiadali strzałami tak długo, aż w Polsce wezmą górę racje rozumu i serca nad maniactwem przekonywania wiernych synów Ojczyzny obelgami, kłamstwem i terrorem. […] I niech nikt nie stara się poruszyć naszych sumień nawoływaniem do „budowania Polski": według nas walka ze zdradą i bezprawiem jest fundamentem Polski[62] – ostrzegał komunistów w lipcu 1945 roku kpt. „Warszyc"[63].

Władza wielokrotnie kusiła zakonspirowanych żołnierzy perspektywą spokojnego życia i puszczenia w niepamięć ich rzekomych przestępstw. Warunkiem było przyznanie się do „błędów" i dobrowolne złożenie broni, amunicji i materiałów wybuchowych. Pierwsza amnestia, ogłoszona dekretem z 2 sierpnia 1945 roku, weszła w życie 21 sierpnia i obowiązywała miesiąc (po czym została przedłużona do 15 października) [64].

Skutki tej propagandowej decyzji były oczywiście widoczne. We wrześniu większość oddziałów AK-DSZ i NSZ uległa rozwiązaniu, podobnie jak wiele innych lokalnych struktur partyzanckich. Jeżeli wierzyć danym MBP, z amnestii skorzystało ogółem niespełna 40 tys. osób, z czego prawie 32 tys. stanowili członkowie „nielegalnych organizacji". Czy taki bilans zadowalał komunistów? Z pewnością liczyli na więcej. Na istną lawinę ujawnień…[65]

Jeśli chodzi o amnestię, to ciekaw jestem, jakie da rezultaty. Z dwojga złego lepiej jest z niej skorzystać, niż tkwić beznadziejnie w lasach. […] Dalsze pozostawanie w wojennym podziemiu nie ma już sensu i celu. Jakież to jednak upokarzające, że ludzie z podziemia, ci najlepsi z najlepszych, zostali potraktowani jak przestępcy, którym wybacza się zbrodnię walczenia o Polskę. To jest po prostu haniebne…[66] – pisał 3 sierpnia 1945 roku delegat Korboński.

Niezależnie, czy się z nim zgodzimy, czy też nie, słowa zatroskanego losem Polski i Polaków londyńskiego działacza oddają życiową

beznadzieję, w jakiej przyszło tkwić tysiącom polskich żołnierzy od nastania władzy komunistycznej. Ocena tamtych postaw, często tragicznych wyborów, nie może być więc jednoznaczna. Czy jednak ujawnienie się załatwiało problem, jakim była postępująca sowietyzacja ojczyzny? Oczywiście, że nie.

Tak więc amnestia 1945 roku pozostawiła po sobie więcej pytań niż odpowiedzi. Ciągła obawa przed dekonspiracją, ukrywanie się, wykluczały jednak regularną walkę. Liczyło się głównie przetrwanie. Łudzono się jeszcze, że „kwestia polska" powróci w niedalekiej przyszłości na arenę międzynarodową, że w Polsce zostaną rozpisane wolne wybory, w których wygra PSL Mikołajczyka[67]. Wszelka nadzieja szybko jednak prysła jak bańka mydlana… Wskutek rozpętania terroru, sprzyjającego pomówieniom, jak również fałszerstwu pozorowanych na demokratyczne powszechnych głosowań, legalna opozycja straciła podstawę swojego istnienia[68].

Podczas gdy potężna machina państwowa przystąpiła do operacji fałszowania referendum ludowego z czerwca 1946 roku, propaganda za wszelką cenę odwracała uwagę od tego procederu. W tym samym czasie sowieccy obserwatorzy – czytamy w obszernych raportach zdawanych do NKWD – zauważyli ponoć „wzmożoną aktywność band", skutkującą częstszymi niż zwykle „akcjami terrorystycznymi"[69].

Rok 1947 okazał się dla polskiego podziemia wielce znamienny i zarazem tragiczny[70]. Sfingowane wybory parlamentarne, które dały władzy ludowej pozorną legalność działania, w rzeczywistości całkowicie zaprzepaściły szansę na demokrację nad Wisłą[71]. Ogłoszona 22 lutego 1947 roku druga amnestia spowodowała kolejną falę ujawnień. Pozostający w konspiracji żołnierze mieli czas na przyznanie się do „błędów" do 25 kwietnia. W większości wypadków nieufnie i podejrzliwie odnosili się do intencji władz.

Prasa informowała jednak o ostatniej szansie na dokonanie „dobrego" wyboru. Wszystkim „nawróconym" gwarantowano spokojną egzystencję w demokratycznej Polsce, otwierano też więzienia itd. Gomułka wielokrotnie apelował do wszystkich „skruszonych" i ofiar „polityki reakcji", wzywając do powrotu do rzekomej normalności.

Amnestia objęła łącznie ok. 53,5 tys. osób; do tej liczby należy dodać ponad 23 tys. tych, którzy ujawnili się już po aresztowaniu przez komunistów. Ogółem można więc mówić o 76,5 tys. amnestionowanych,

z czego – jak wynika z danych MBP – niecałe 26 tys. działało w „nielegalnych” organizacjach[72].

Po amnestii 1947 roku trudno już mówić o zorganizowanym podziemiu niepodległościowym. Pozostała nieliczna partyzantka, grupy „wyklętych”, ukrywające się w lasach. W ich przypadku ujawnienie się byłoby równoznaczne z wieloletnim więzieniem bądź natychmiastową śmiercią.

Żołnierze, nie mając żadnych złudzeń co do obietnic komunistów, trwali w oporze. Wiedzieli, że byli intensywnie rozpracowywani – wraz z amnestią aparat bezpieczeństwa wszedł w posiadanie niezliczonych ilości informacji dotyczących specyfiki działań podziemia, a także nazwisk dowódców poszczególnych oddziałów[73]. Ich liczebność nie przekraczała nawet 2 tys. żołnierzy[74].

Przez kolejne lata komuniści konsekwentnie likwidowali kolejne grupy partyzantów. „Wyklętym” chodziło głównie o przetrwanie, a świadomość zbliżającego się końca i rychłej śmierci musiała być przygnębiająca. Ich losy w znacznej mierze zależały od postawy okolicznej ludności. Stosunek do „chłopców z lasu” był oczywiście różny, nie brakowało jednak form większego lub mniejszego wsparcia dla ukrywających się konspiratorów. Tym bardziej że często uznawano ich za żołnierzy Wojska Polskiego[75]!

Pojęcie „lasu” – tłumaczył Siła-Nowicki – *jest pojęciem umownym. „Las” – to było raczej krótkotrwałe kwaterowanie na wsi, przemieszczanie się z miejsca na miejsce, od czasu do czasu walki staczane z ekspedycjami milicyjnymi i KBW. To działania, zarówno zaczepne, jak i obronne, dla których fundament i podstawę stanowiły znakomita znajomość terenu i życzliwe nastawienie ludności, u której można było liczyć niemal zawsze na całkowite poparcie*[76].

W znacznej mierze dzięki pomocy cywilów przez 18 lat po wojnie komunistom z powodzeniem wymykał się sierż. Józef Franczak „Lalek”, weteran walk z Niemcami i Sowietami, były podkomendny kpt. Zbigniewa Brońskiego „Uskoka”, operującego na Lubelszczyźnie. 21 października 1963 roku był ostatnim dniem życia „Lalka” – otrzymał on śmiertelne trafienie w czasie obławy przeprowadzonej przez SB[77] i MO w podlubelskim Majdanie Kozic Górnych[78].

Śmierć sierż. Franczaka kończyła długą kartę zbrojnego oporu antykomunistycznego. Moralnie zwycięskiego. Smutny epilog dopisała do niej zdrada, której – jak się okazało po latach – padł ofiarą ostatni

„wyklęty”. Jego los jak w soczewce skupia w sobie dramaty żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego po II wojnie światowej.

Ilu z nich, tak jak „Lalek”, poległo z bronią w ręku? Według niepewnych danych MSW z lat 70. ubiegłego wieku w okresie 1945–1955 śmierć poniosło ok. 9 tys. członków konspiracji. Szacunki te nie są jednak pełne[79]. Bilans strat niepodległościowego ruchu oporu po wojnie był zapewne wyższy[80].

LUDOWA SPRAWIEDLIWOŚĆ

Przeświadczenie o AK, o nas, że zasłużyliśmy jedynie na to,
aby nas sądzić i przebaczać nam, jest najpodlejszą nikczemnością.
Nas nie wolno w ogóle sądzić…
kpt. Stanisław Sojczyński „Warszyc”, lipiec 1945 r.

Sądowa farsa, z jaką mieliśmy do czynienia w latach stalinizmu, spowodowała śmierć tysięcy więźniów politycznych skazanych w pokazowych procesach, rzekomo w majestacie prawa. Ofiar komunistycznego terroru było wiele więcej – dziesiątki tysięcy osób zginęło z wycieńczenia lub wskutek tortur w więzieniach, aresztach tymczasowych lub w komunistycznych obozach. W stalinowskiej Polsce, a więc w okresie 1944–1956, przez więzienia mogło przejść nawet 2 mln osób[81]! Także obławy i pacyfikacje oraz inne zakrojone na szeroką skalę akcje wojskowe, wymierzone w polskie podziemie niepodległościowe, przynosiły śmiertelne żniwo. Rabowano przy okazji dobytek niewinnej ludności miast i wsi, który przepadał ponoć „zgodnie z prawem”.

Na bandycki terror reakcji odpowiedzieć naszym terrorem. Postawić zasadę odpowiedzialności zbiorowej wsi za zbrodnie dokonywane na jej terenie. Na akty zbrodnicze reagować natychmiast: nakładaniem kar materialnych, konfiskowaniem dobytku; masowymi aresztami […]; natychmiastowe na miejscu rozstrzeliwanie schwytanych z bronią w ręku, właścicieli domów, w których broń została znaleziona; w skrajnych wypadkach, przy napotkaniu na zbrojny opór wsi, spalenie wsi[82] – nakazywał komunistyczny „kodeks postępowania”.

Komuniści tworzyli nie tylko specjalne grupy operacyjne, lecz także tzw. bandy pozorowane[83], których członkowie – w odpowiednich przebraniach – dokonywali rozbojów „na konto” zbrojnego podziemia antykomunistycznego. Wszystko oczywiście po to, aby zdyskredytować je w oczach okolicznej ludności.

Delegat Korboński wspominał o organizowaniu przez bezpiekę fikcyjnych oddziałów partyzanckich wyposażonych w legitymacje PSL-u[84]. Celem była prowokacja ludności wiejskiej. *Po pewnym czasie* – pisał

działacz Polskiego Państwa Podziemnego – *przyjeżdża bezpieka z dokładną listą i aresztuje wszystkich, którzy z bandą* [podstawioną przez komunistów – W.K.] *się zetknęli*[85].

Funkcjonowały ponadto „szwadrony śmierci", czyli grupy egzekucyjne (tak nazywano też cywilne bojówki PPR-u[86]) – zabijały od razu, często w lasach, „w imię sprawiedliwości"[87].

Za likwidację „wroga wewnętrznego" odpowiadał Wydział III UBP ds. zwalczania band. Do zadań jego funkcjonariuszy należały działania terenowe, a także przeprowadzenie zatrzymań podejrzanych. *Wydziały i Sekcja do walki z bandytyzmem mają za zadanie prowadzić i organizować walkę z bandami terrorystycznymi, bandytami pojedynczymi o politycznym zabarwieniu, nieprzyjacielskimi spadochroniarzami, dezerterami i uchylającym się od służby wojskowej oraz ścigać osoby współpracujące z bandytami i dezerterami. […] Organizują sieć wywiadowczą, agenturę i informację, których zadaniem jest rozpracowanie i ujawnienie – celem likwidowania w zarodku – formujących się band terrorystycznych i istniejących już ich baz*[88] – instruował swych podwładnych minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz.

Co się działo po ujęciu „bandytów"? Aresztowanych członków niepodległościowej partyzantki przekazywano w ręce pracowników Wydziału Śledczego MBP[89]. Ci, stosując różne metody, za wszelką cenę usiłowali wydobyć od ujętych zadowalające zeznania, potrzebne do sformułowania aktu oskarżenia. Ich podpisanie przez wyczerpane śledztwem ofiary było równoznaczne z zasądzeniem wyroku śmierci. Była to tylko kwestia czasu. W ten sposób komuniści krok po kroku eliminowali potencjalne zagrożenie. Sztukę tę opanowali do perfekcji.

Kim byli ci cieszący się złą sławą funkcjonariusze UB, którzy w zetknięciu ze swymi ofiarami stawali się „panami życia i śmierci"? Łączył ich model postępowania – szczególnie wyrafinowane okrucieństwo, wzorowane na działaniach NKWD. W przeważającej liczbie wypadków byli wewnętrznie zdemoralizowani, nieobyczajni, niestabilni emocjonalnie. Wielu nadużywało alkoholu, nie panując później nad swoim zachowaniem – także w sytuacjach życia codziennego. Innym problemem była nieznajomość… języka polskiego. Znaczny procent ubeków stanowili bowiem funkcjonariusze obcego pochodzenia. Zdarzało się, że instytucja,

w której byli zatrudnieni, powiatowe czy wojewódzkie UB, wysyłała ich na kursy polszczyzny. Prawdziwą zmorą był analfabetyzm[90].

Z punktu widzenia rekrutujących na etatowe stanowiska w MBP najważniejsze nie były kwalifikacje i doświadczenie osób ubiegających się o angaż, ale stopień oddania ideom komunistycznym, podporządkowanie władzy. Nic więc dziwnego, że w 1945 roku co trzeci pracownik resortu posiadał zaledwie niepełne wykształcenie powszechne. Do 1955 roku statystyka ta nieco się poprawiła, dalej jednak przemawiała na niekorzyść funkcjonariuszy. Przeważało wówczas wykształcenie niepełnie średnie (34%), powszechne (30,5%), z kolei wskaźnik niepełnego powszechnego spadł o ponad połowę (15,3%). Tylko 2,5% zatrudnionych miało ukończone studia wyższe. Zdecydowanie przeważało pochodzenie robotnicze (w latach 1945–1955 zawsze powyżej 60%); mniej więcej co piąty pracownik miał korzenie chłopskie (w omawianym okresie między 16 a 24%)[91].

Statystyki nie kłamią. W 1945 roku prawie połowę (47%) kadry zatrudnionej w aparacie bezpieczeństwa stanowili pracownicy w wieku 22–30 lat, a więc młodzi i niedoświadczeni. W miarę upływu czasu procent ten jeszcze się zwiększał. Co ciekawe, w roku zakończenia II wojny światowej MBP zatrudniało prawie 600 „młodocianych” – niepełnoletnich, bo przed 18. rokiem życia. Niemal pięciokrotnie więcej (niespełna 2700) służbistów ukończyło 40 lat[92].

Pewne jest, że działania bezpieki wobec żołnierzy podziemia niepodległościowego nie miały w sobie nic z przypadku. Aresztowanie uruchamiało długi łańcuch czynności, zakończony uśmierceniem ofiary. Po drodze były więzienie, przesłuchania, przemoc fizyczna i psychiczna, obrzydliwa w swoim przekazie kampania propagandowa, „sąd” będący parodią i pochodną decyzji politycznych podejmowanych „na górze”.

Był to skrupulatnie utkany plan morderstwa sądowego. Realizowany z niezwykłą starannością przez ważne postacie komunistycznego aparatu represji – MBP, Wojskowej Prokuratury Rejonowej i Naczelnej Prokuratury Wojskowej, Wojskowych Sądów Rejonowych oraz Najwyższego Sądu Wojskowego. Nie istniała żadna możliwość obrony przed tą wielką, stanowiącą monolit, zmilitaryzowaną machiną państwa represyjnego[93]. W latach 1952–1953 było w niej zatrudnionych ok. 200 tys. funkcjonariuszy, pracowników, żołnierzy i oficerów różnego szczebla[94], a także ok. 100 tys. funkcjonariuszy ORMO[95].

Wśród grona oprawców centralne miejsce zajmowali oficerowie śledczy, prokuratorzy wojskowi i sędziowie[96]. Byli przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości, a kształtowali rzeczywistość bezprawia, którą sami sankcjonowali. Gotowy materiał obciążający dostarczali im oficerowie prowadzący brutalne przesłuchania. To na podstawie protokołów ze śledztw sporządzano akt oskarżenia. Po jego powstaniu los skazańca był już przesądzony, a cały proces – wyreżyserowany.

Represyjność procedur sądowych wynikała nie tylko z nadzwyczajnej surowości prawa i uległości sędziów wobec dyspozycji wydawanych przez centrum władzy politycznej. W ogromnej części przewodów sędziowie po prostu nie brali pod uwagę metod prowadzenia śledztw […]. Sędziowie, na ogół w pełni świadomie, akceptowali jawnie fałszywe dowody i wymuszone zeznania, przewody prowadzili w sposób wrogi wobec podsądnych, a jako regułę przyjmowali domniemanie winy oskarżonych[97] – zwraca uwagę prof. Andrzej Paczkowski.

Intencje i motywacje sędziów to jeden, oczywiście bardzo ważny, aspekt działania komunistycznego sądownictwa. Kolejny to okoliczności, w jakich wydawano krzywdzące wyroki za całkowitym przyzwoleniem władz, po kursie politycznym i zgodnie z kierunkiem propagandy. Za takie sprzyjające atmosferze strachu, nagonki i poniżenia czynniki należy uznać choćby miejsce przeprowadzania procesów. Więźniów politycznych skazywano nie tylko w gmachach sądów, lecz także na terenie więzień (tzw. procesy „kiblowe")[98].

Oświadczam, że w tych warunkach panowała na sali rozprawy sądowej atmosfera przymusu i terroru psychicznego; oskarżeni i świadkowie z więzienia byli pod trwałym naciskiem lęku przed oprawcami, którzy siedzieli – jako jedyni widzowie na Sali – na ławce naprzeciw ławy oskarżonych. W tej sytuacji nikt z więźniów (oskarżonych czy świadków) nie miał pełnej swobody zeznań[99] – pisał autor słynnych *Rozmów z katem*, były oficer AK Kazimierz Moczarski. W listopadzie 1952 roku sądzono go „za zamkniętymi drzwiami", na terenie mokotowskiego więzienia.

Skazywano również w trakcie tzw. sesji wyjazdowych WSR. Skrupulatnie dobierano wtedy widzów pod zawczasu przygotowane postępowania, mające w sobie wiele z teatru farsy, ale i przenikliwej grozy.

W pierwszym przypadku „publiczność" najczęściej stanowili funkcjonariusze UB, których zresztą podsądni już dobrze znali. W drugim,

gdy wojskowe sądy „obradowały” bliżej ludu, na miejsce postępowania spędzano z domów okolicznych mieszkańców, a skazanie ofiary przeradzało się w polityczny wiec. Gapie oglądali „widowisko” przy szczelnie obstawionych wojskiem ulicach[100].

Dyktat przy pomocy usprawiedliwiającego państwowe bezprawie wyroku sądowego jest poręcznym narzędziem władzy, nie mającej demokratycznej legitymacji. Wyrok pozwala odrzeć ofiarę z godności, ukryć za kurtyną sali sądowej faktycznego autora decyzji. Korzystanie przez dyktaturę z tego wygodnego instrumentu wymaga pewnych zabiegów organizacyjnych i legislacyjnych. Ich celem jest maksymalne ograniczenie niepożądanych niespodzianek ze strony sędziów. Potrzeba takiej organizacji sądów była szczególnie niezbędna komunistom, którzy wzorem Marksa i Lenina sprowadzali państwo do jego funkcji represyjnej, czyniąc je „organem ucisku jednej klasy przez drugą”[101] – charakteryzuje komunistyczny wymiar sprawiedliwości prof. Andrzej Rzepliński.

Skazywano na podstawie prawa wprowadzonego siłą i terrorem[102]. Wśród najważniejszych komunistycznych aktów prawnych[103], z punktu widzenia walki z podziemiem, należy wymienić dwa dekrety PKWN: „O rozwiązaniu tajnych organizacji wojskowych na terenach wyzwolonych” z 24 sierpnia 1944 roku oraz „O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną, jeńcami oraz dla zdrajców narodu polskiego” z 31 sierpnia 1944 roku. Ponadto trzeba mieć na uwadze dekrety: „O ochronie państwa” z 30 października 1944 roku, „O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa” z 16 listopada 1945 roku[104], „O odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego” z 22 stycznia 1946 roku, „O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa” z 13 czerwca 1946 roku. Komuniści wspomagali się też kodeksem karnym Wojska Polskiego z 23 września 1944 roku[105].

Wybór był naprawdę szeroki. Lektura treści aktów procesowych dotyczących członków polskiego podziemia dowodzi tylko prawidłowości, że komuniści dążyli do pozbycia się rzekomych „wrogów ludu” raz na zawsze. Miało temu służyć przypisanie ofiarom całej gamy absurdalnych zarzutów, oszczerstw, opartych na wyssanych z palca argumentach. Zawsze można było zacytować konkretny ustęp dekretu, a z oskarżeń

o „przestępstwa przeciw państwu”, tak częstych dla systemu stalinowskiego, nie można już było się wybronić. Ochrona państwa, jak mniemano, wymagała specjalnych prerogatyw, co w praktyce przekładało się na niczym nie skrępowaną dowolność w działaniu zarówno śledczych, jak i sędziów[106].

Istniała również cała masa innych przepisów, pozwalająca komunistom na zupełną swobodę w stosunku do zatrzymanych. Sam resort bezpieczeństwa[107] wytworzył wiele aktów normatywnych[108], które regulowały pracę śledczych. Zasady te stanowiły oczywiście odzwierciedlenie ówczesnego kodeksu postępowania karnego. Przykłady? Rozkazy ministra Stanisława Radkiewicza z maja 1945 roku – „w sprawie dopuszczania czynów bezprawnych przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa publicznego i MO w stosunku do osób zatrzymanych” i „o bezzasadnym przetrzymywaniu w więzieniach i obozach pracy”[109]. Na ustępy z przytoczonych aktów powołano się m.in. podczas rozpraw sądowych. Chodziło o udowodnienie istnienia rzekomej kontroli nad samowolą oficerów śledczych.

To była oczywista zasłona dymna. Stosowanie tortur w stosunku do przesłuchiwanych było bowiem w przekonaniu komunistów ważnym ogniwem walki klasowej. Uchodziło nie tylko za skuteczną czynność egzekwowania zadowalających zeznań, lecz także – o czym usilnie przekonywano w kręgach władzy – normalne działanie wobec wszystkich „nieprawomyślnych”[110].

Instrukcja szefa Departamentu Służby Sprawiedliwości płk. Henryka Holdera z lutego 1946 roku zalecała, aby w czasie procesów podkreślać, że „walka z bandami to nie walka z tradycjami bojowych czynów AK, to walka o ład i bezpieczeństwo w państwie, walka z faszystowskim podziemiem”[111]. Tak ujęta ideowość komunistycznej walki czyniła z tortur zwyczajne narzędzie pracy. Co więcej, narzędzie usprawiedliwione, a także – dopóki służyło „udowadnianiu” rzekomych win – potrzebne, a nawet niezbędne. Cóż było złego w zwyczajnym biciu? – dziwili się oprawcy[112].

O konieczności znęcania się nad więźniami przekonywały wpływowe postacie stalinowskiego aparatu represji. *Zadaniem bezpieczeństwa publicznego jest bić wroga – zadaniem zaś prokuratora jest dopilnowanie praworządności rewolucyjnej. Każdy z tych organów ma swoje metody*

pracy[113] – stwierdził dyrektor Departamentu Śledczego (III) MBP płk Józef Różański w grudniu 1950 roku.

Katowanie więźniów, czy to własnymi rękoma, czy też za pośrednictwem wiernych, ślepo oddanych wykonawców, sprawiało Różańskiemu osobistą satysfakcję. Często dawał też oficerskie „słowo honoru", obiecując, że wyjawienie współpracowników utrzyma w tajemnicy. Słowo nic niewarte[114].

Co taki chłopak może zrobić, gdy ma przed sobą pułkownika akowskiego? On nie dorósł do jego badania, oddziaływania na niego. Wobec tego leje go ze złości[115] – bronił sadystycznych metod niedoświadczonych śledczych minister Radkiewicz, przemawiając na plenum KC PPR 20 maja 1945 roku.

Zapomniał dodać, że starsi stażem oprawcy z UB byli równie bezlitośni i często ich „oddziaływanie" na oskarżonego sprowadzało się właśnie do zastosowania szerokiej gamy drastycznych środków. Mieli bezsprzecznie przewagę nad młodymi, ideowo spaczonymi podwładnymi. To takie tuzy MBP, jak oficerowie prowadzący: Różański, Anatol Fejgin czy Roman Romkowski, wyznaczały trendy ówczesnych technik śledczych[116].

Zbrodnie komunistycznej bezpieki okresu stalinizmu demaskowali zarówno więźniowie, jaki i ich oprawcy. Kulisy działań aparatu represji ujawnił ppłk Józef Światło, wysoki funkcjonariusz MBP, wicedyrektor X Departamentu, wcześniej – zastępca szefa WUBP w Warszawie, Olsztynie i Krakowie. W grudniu 1953 roku, w czasie podróży do Berlina Wschodniego, uciekł na zachodnią stronę miasta, po czym na falach Radia Wolna Europa zdradzał szczegóły ubeckich zbrodni, wskazywał nazwiska oprawców[117].

Co to za ludzie?[118] *Cały skład personalny bezpieczeństwa to przede wszystkim oficerowie sowieccy i agenci sowieckiego wywiadu, a potem: szabrownicy, spekulanci, zboczeńcy, których przeszłość partyjna i polityczna, delikatnie mówiąc, pozostawia wiele do życzenia*[119] – relacjonował skruszony komunista. Sam też, co oczywiste, miał wiele na sumieniu.

Innym razem, skądinąd słusznie, przyznawał: *Skazanie człowieka za przestępstwo polityczne powoduje większe konsekwencje niż procesy zwykłych kryminalistów. Zarówno w Rosji sowieckiej, jak i w krajach*

okupowanych przez Moskwę, kryminalista, złodziej, morderca po odsiedzeniu swojej kary odzyskuje wolność. Skazany w procesie politycznym, oskarżony o zdradę polityczną, nigdy już prawdziwej wolności odzyskać nie może[120].

Jesienią 1957 roku Polacy dowiedzieli się po raz kolejny o represjach aparatu bezpieczeństwa, śledząc głośny proces Różańskiego, Fejgina i Romkowskiego. Cała trójka została skazana za łamanie prawa przez stosowanie „niehumanitarnych" metod w śledztwach[121]. Podsądni składali obszerne zeznania, a informacje z „pierwszej ręki", choć wątpliwej proweniencji, zupełnie obnażyły zbrodniczy charakter rządów komunistów[122].

Struktury UB, Informacji Wojskowej, prokuratury i sądownictwa, które w latach 1944–1956 zwalczały organizacje i osoby działające na rzecz suwerenności i niepodległości Polski, uznano na mocy uchwały sejmowej z 16 listopada 1994 roku odpowiedzialnymi za „cierpienie i śmierć wielu tysięcy obywateli polskich".

Nie jest znana dokładna liczna osób aresztowanych przez organy bezpieczeństwa za działalność określaną jako „antypaństwowa". Rozbieżność danych powstałych w różnych okresach i z różnych inspiracji nakazuje ostrożność w ich przytaczaniu. Według szacunków komunistycznego Departamentu Więziennictwa w okresie 1945–1953 w więzieniach przebywało ok. 1 mln osób. W tej liczbie musieli być oczywiście więźniowie polityczni, ale brakuje informacji co do konkretnych kategorii osadzonych. Inna statystyka DW, wskazująca, że w latach 1951–1953 zaledwie 10% wszystkich aresztowanych stanowili „antypaństwowcy", wydaje się mało wiarygodna[123]. Tym bardziej że w latach 1944–1956 komunistyczne sądy wydały prawie 100 tys. wyroków skazujących za działalność „na szkodę państwa"[124].

Ilu więźniów politycznych zapłaciło za zmyślone zarzuty najwyższą cenę? Dokładną liczbę 2810 straconych w latach 1944–1956 podaje rejestr sporządzony przez Centralny Zarząd Zakładów Karnych w 1990 roku, jest to jednak szacunek niepełny (dotyczy wszystkich kategorii więźniów) i z pewnością zaniżony[125]. Według innych danych od czasu utrwalenia władzy ludowej po rok 1956 na mocy wyroków sądowych wykonano egzekucje na 4–5 tys. więźniów[126].

Z ustaleń IPN wynika, że łącznie w okresie stalinizmu wydano w Polsce ponad 8 tys. wyroków śmierci. Prawie 5,9 tys. z nich orzekły sądy wojskowe (wykonano niemal 50%), skazując więźniów za rzekome przestępstwa „przeciwko państwu”[127].

Ustalenie dokładnej liczby żołnierzy niepodległościowej partyzantki, zamordowanych po uprzednim wtrąceniu do więzień, jest zadaniem trudnym, jeśli nie niewykonalnym. Można jedynie domniemywać, że gros ofiar tzw. mordów sądowych stanowili właśnie członkowie podziemia antykomunistycznego bądź osoby z nimi ściśle powiązane.

NIESŁAWNY ADRES

Za dywizję wołyńską, nie kwiaty i wianki –
Szubienica w Lublinie. Ojczyste Majdanki.
Za sygnał na północy, bój pod Nowogródkiem –
Długi urlop w więzieniu. Długi i ze skutkiem…
Kazimierz Wierzyński, *Na rozwiązanie Armii Krajowej*

Rodziny ofiar stalinizmu dobrze znają adres Rakowiecka 37[128]. Więzienie mokotowskie, a ściślej areszt śledczy MBP Warszawa I, do dziś – na wspomnienie o wielu zakatowanych bohaterach – przyprawia o mdłości. Przez lata o tym budzącym zrozumiałą grozę miejscu mówiło się o tylko szeptem.

Kompleks więzienny, zbudowany w latach 1902–1904 przed Rosjan, przejęty w 1918 roku przez władze odrodzonej Polski, wykorzystywany później przez Niemców, krótko przez Sowietów, w końcu objęli nadzorem komuniści. To tam, za wysokimi murami, w zimnych więziennych celach, karcerach bądź piwnicach, ostatnich chwil dożywali ci, którzy różnymi sposobami walczyli z postępującą sowietyzacją kraju[129].

Więzienie na Rakowieckiej podlegało Departamentowi Więzień i Obozów MBP, ale od czerwca 1947 roku władzę nad nim sprawował w praktyce Departament Śledczy MBP. Jego dyrektor, płk Różański, korzystający z szerokich uprawnień, mógł sobie pozwolić na wszystko.

To było typowe więzienie śledcze, miejsce, gdzie nie osadzano przypadkowych „wrogów”, np. w celu jednorazowego przesłuchania. To przy Rakowieckiej właśnie przeprowadzano wielomiesięczne, wyniszczające śledztwa. Na podstawie zeznań formułowano akty oskarżenia, równoznaczne z orzeczeniem najwyższej kary. W murach mokotowskiego więzienia decydowano o życiu i śmierci[130].

Na miejsce, w którym w stosunku do przesłuchiwanych dopuszczano się wszystkiego, mówiono: „Pałac Cudów”. To specjalny gmach połączony podziemnym korytarzem z niesławnym Pawilonem X[131]. Nazwa uprawniona. Funkcjonariusze UB dokonywali tam rzeczy, których

przetrwanie graniczyło z ludzką wytrzymałością. Często nawet po kilkanaście godzin dziennie pastwili się nad ofiarami[132].

Co na to władze więzienia? *Nic mi nie jest wiadomo, aby wobec więźniów osadzonych w pawilonach śledczych stosowane były środki przymusu. Krzyków bitych więźniów nie słyszałem*[133] – zeznał po latach naczelnik kpt. Alojzy Grabicki…

Tymczasem, gdy w grudniu 1948 roku pracę w więzieniu mokotowskim rozpoczął ubecki oprawca ppłk Józef Dusza, tortury – jak zeznał po latach – były już na porządku dziennym. Stosowano je wobec tzw. opornych, czyli tych więźniów, którzy nie przyznawali się do postawionych im zarzutów[134].

W takim wypadku referowano negatywne wyniki śledztwa Różańskiemu, względnie Światle, i oni wtedy dawali polecenie bicia. Były też przypadki, że Różański lub Światło przychodzili na przesłuchanie, rozpoczynali grzecznie rozmowę, częstowali aresztowanego papierosami, rozmowa się stopniowo zaostrzała i dochodziło do rękoczynów z ich strony. Wtedy oficer śledczy bił go dalej – już bez zezwolenia[135].

Moczarski, więziony na Mokotowie i wiele razy przesłuchiwany tam przez ubeckich śledczych, w liście do Naczelnej Prokuratury Wojska Polskiego w Warszawie z 24 lutego 1955 roku wymienił 49 rodzajów tortur psychicznych i fizycznych[136]. Wśród nich znalazły się: bicie całego ciała „gdzie popadnie” – ręką, batem, drutem, linijką czy pałką gumową; bicie szczególnie czułych na ból miejsc, m.in. nasady nosa, łopatek, podbródka, pięt, palców u rąk i nóg. Ponadto: wyrywanie włosów z różnych części ciała, miażdżenie palców, wyrywanie paznokci, przypalanie płomieniem lub papierosem, kopanie, kłucie różnymi przedmiotami. Poza tym stosowano wielogodzinną „gimnastykę” (aż do omdlenia), „stójkę” bądź zmuszanie do niespania przez 7–9 dni. Moczarski wymienił także wymyślne i chuligańskie obrzucanie obelgami czy malowanie na czole rzucającego się w oczy napisu „Gestapo”. To oczywiście tylko część bogatej palety metod śledczych UB[137].

Zresztą Moczarskiemu, ofierze por. Eugeniusza Chimczaka i wielu innych sadystów (także wspomnianego ppłk. Duszy), płk Różański już w styczniu 1949 roku oświadczył, że niechybnie „pójdzie do ziemi”. *[…] sąd jest na nasze usługi i gdy my tutaj postawiliśmy Panu krzyżyk, to sąd musi dać Panu taki sam krzyżyk – czy Pan jest winien, czy nie*[138].

Wiceminister bezpieczeństwa publicznego Romkowski nie mylił się, zapowiadając Moczarskiemu „piekielne śledztwo”[139].

Metody UB równie dobrze zapamiętał inny były akowiec, niegdyś żołnierz Batalionu „Zośka”, Stanisław Krupa, osadzony w niesławnym X Pawilonie więzienia mokotowskiego. Dzień po dniu różnymi sposobami zmuszano go do składania zeznań dotyczących szczegółów działalności konspiracyjnej. Oficerowie śledczy, niewzruszeni kolejnymi odmowami, powtarzali, że prędzej czy później złamią niepokornego więźnia. – *Już my ci pomożemy w ujawnieniu prawdy…* – słyszał wielokrotnie Krupa.

I pomagali, dzień i noc, całymi miesiącami. Bito mnie pięściami i linijką – po twarzy i po rękach, bito metalowym prętem w nogi pod kolana. Jak mięśnie zdrętwiały i padałem, podnoszono mnie kopniakami. Kopano, gdzie popadło, najchętniej w krocze. Kiedy moi oprawcy stwierdzili, że bicie już na mnie nie działa, sięgali po inny sposób. Wiązano mi ręce oraz nogi i sadzano na haku, w ten sposób, że plecami opierałem się o ścianę, a wyciągnięte, skrępowane nogi, opierano o taboret. Boże, cóż to za koszmarna tortura! Cały ciężar ciała spoczywa na centymetrowej grubości końcówce wbitego w ścianie i zagiętego – w pewnej odległości i pod kątem prostym – żelaznego haka. W dodatku sadzają cię tak, żebyś opierał się na kości ogonowej. Nawet niewielkie poruszenie powoduje, że hak wbija się w odbytnicę. Ile razy ja przy tej operacji mdlałem…[140]

Gdy nawet ta wymyślna metoda nie skutkowała, sięgano po inne sposoby. Tym razem nie stawiano na doraźne złamanie więźnia, wychodząc z założenia, że prędzej czy później i tak zacznie sypać. Kazano więc delikwentowi stać godzinami w bezruchu w zimnym pomieszczeniu, zupełnie nago. Tak zwana stójka mogła trwać miesiącami![141]

W bogatym repertuarze tortur poczesne miejsce zajmowało osadzenie w karcerze, mokrym albo suchym. Ten pierwszy był jak na warunki więzienne dość sporym pomieszczeniem, wypełnionym lodowatą wodą bądź szambem. W takich warunkach testowano więźniów. Trzy tygodnie wytrzymał w nich gen. August Emil Fieldorf „Nil”.

Z kolei karcer suchy przywodzi na myśl najgorsze klaustrofobiczne skojarzenia. Więzień wchodził do niego przez niewielki otwór i… siedział godzinami, a najczęściej dniami. W półmroku, we własnych odchodach…

W końcu korytarza cela o wymiarach metr na metr, tak żeby delikwent nie mógł się położyć. Bez okna. Zastępował je malutki otwór wentylacyjny –

w lecie zamykany, zimą otwierany. Powierzchnia ścian i podłogi bardzo szorstka, wykładana gruboziarnistym, ostrym żwirem. A siedziało się nago i boso[142] – charakteryzował niesławny karcer w Pawilonie XII więzień Mokotowa.

Potwierdził to inny osadzony, także były akowiec, Władysław Minkiewicz: *Nigdy nie zapomnę wrażenia, kiedy nie wiedząc o co chodzi, zostałem doprowadzony przez dobrze znaną więźniom śledczym oddziałową Rózikową nie do pokojów śledczych, tylko przed jakieś drzwi w piwnicy. Tam oznajmiła mi ona, że mam się rozebrać w jej obecności do naga, złożyć ubranie w kostkę, po czym otworzyła drzwi do jakiejś klitki i kazała mi wejść do środka*[143].

Wykwalifikowany personel więzienia, strażnicy i porządkowi robili wówczas wszystko, aby uprzykrzyć pozbawionym wolności ostatnie chwile i tak dramatycznego życia. Poniżanie oraz obrażanie więźniów było na porządku dziennym. Wszystko to widział i słyszał ks. Jan Stępień, nie tylko duszpasterz, lecz także działacz Stronnictwa Narodowego oraz żołnierz NOW-NZW[144]. To on zapamiętał ostatnią drogę rotmistrza Pileckiego, wyprowadzanego na egzekucję[145].

Tragicznym doświadczeniem była też odsiadka w wieloosobowej celi ogólnej, gdzie – podobnie jak w celach jednoosobowych – oczekiwano na zatwierdzenie wyroku[146]. Tomasz Wolfram, któremu szczęśliwie złagodzono najwyższy wymiar kary, przesiadywał w takich warunkach razem z ks. Stępniem. Oto co zapamiętał:

Cela na drugim piętrze obliczona [na] *dwudziestu pięciu więźniów pękała w szwach. Było nas w niej blisko stu trzydziestu. Połowa to kryminaliści, złodzieje rozmaitej maści: fałszerze, kasiarze, doliniarze, potokarze, gołębiarze i inni. Blisko sześćdziesięciu to tzw. polityczni już z wyrokami, przeznaczeni do odsiadki w centralniakach. Cała gama rozmaitych organizacji: socjaliści i PSL-owcy, AK-owcy, WIN-owcy, NSZ-owcy, członkowie rozmaitych organizacji politycznych, niepodległościowych, słowem wrogowie ludu – „zaplute karły reakcji”*[147].

Niekiedy skazańców informowano o zastosowaniu prawa łaski, co było jednak rzadkością. Najczęściej po upływie okresu od miesiąca do trzech miesięcy byli mordowani. Czas ten był niczym innym jak oczekiwaniem na śmierć[148].

Wspomniany już Moczarski, po skazaniu na najwyższy wymiar kary, oczekiwał na wyrok (sąd zamienił mu w końcu karę na dożywocie, osadzony wyszedł na wolność na fali amnestii 1956 roku) w jednej celi z katem getta warszawskiego – SS-Gruppenführerem Jürgenem Stroopem. Zasłużony działacz polskiego podziemia i czołowy niemiecki zbrodniarz w okupowanej Warszawie. Dziewięć miesięcy razem. Czyż to nie była największa tortura dla bohatera? Tymczasem dla komunistów obaj byli „bandytami”[149].

Więźniom, wobec których orzeczono karę śmierci, „sprawiedliwość” wymierzano w dwojaki sposób. Zabijano zazwyczaj wieczorem. Skazaniec natychmiast osuwał się na zimną betonową podłogę po otrzymaniu strzału w tył głowy niczym ofiara zbrodni katyńskiej. W innym przypadku dusił się pod naporem ciężaru własnego ciała, wisząc na szubienicy, z pętlą założoną na szyi. Pierwszy rodzaj egzekucji przewidziano dla więźniów politycznych skazanych przez Wojskowe Sądy Rejonowe. Wieszani byli natomiast ci, wobec których śmierć orzekły sądy powszechne. W ten sposób tracono na ogół więźniów kryminalnych i zbrodniarzy niemieckich[150]. Ale taką formę zejścia z tego świata przewidziano też dla jednego z największych polskich bohaterów XX wieku – gen. Fieldorfa „Nila”.

Było to pomieszczenie bez okien, oświetlone elektrycznie, bez umeblowania biurowego lub umeblowania celi więziennej. Sprawiało wrażenie typowego więziennego pomieszczenia, służącego do tego rodzaju czynności[151] – charakteryzował miejsce straceń przez powieszenie były stalinowski prokurator Witold Gatner[152], obecny przy egzekucji Fieldorfa.

Zasady egzekucji przez rozstrzelanie regulował Kodeks Wojskowego Postępowania Karnego (KWPK), wprowadzony w życie w połowie 1945 roku. Uzupełnieniem do niego był wydany jesienią 1946 roku przez MBP ściśle tajny okólnik w sprawie wykonywania wyroków śmierci. Według instrukcji skazaniec miał być wyprowadzany każdorazowo na podwórze gospodarcze więzienia, a następnie – przywiązywany do palika przy murze. Co najmniej 10 metrów dalej ustawiać miano złożony z pięciu osób (dowódca i czterech żołnierzy) pluton egzekucyjny. Śmierć powinna być zadawana przez strzały salwą, zalecano celowanie w serce ofiary[153].

W praktyce często odchodzono od tych przepisów, a wyroki śmierci wykonywano naprędce w warunkach, o których nie było mowy w żadnym

państwowym zarządzeniu. Egzekwowano je szybkim strzałem w kierunku odwróconej ofiary. Celowano w głowę, powodując często rozległe obrażenia twarzy. Pocisk opuszczał czaszkę m.in. przez usta, nos, oczodół[154]. Stosowanie tzw. metody katyńskiej świadczy o intencji sprawców – liczyło się jedynie natychmiastowe uśmiercenie skazańca. Nie przywiązywano natomiast wagi do faktu, że strzał z bliskiej odległości w potylicę utrudniał identyfikację ofiary. Ciał zabitych i tak przecież celowo nie wydawano rodzinom[155].

Wykorzystywanie plutonów egzekucyjnych było zatem normą dość krótko, więzienna praktyka sprawiła, że z czasem skazańcowi w głowę strzelał już tylko jeden człowiek. Niewykluczone, że chodziło o zmniejszenie ryzyka wystąpienia niepożądanych incydentów – członkami plutonu byli bowiem najczęściej żołnierze KBW, czyli ludzie spoza jednostki więziennej. Fakt, że byli uzbrojeni, mógł mieć w tym wypadku – ze względów bezpieczeństwa – decydujące znaczenie.

Więzień z Rakowieckiej widział, jak oprawcy prowadzili swe ofiary na śmierć: *Z największej celi, na drugim piętrze, już po apelu, można było zobaczyć przez okno więźnia, prowadzonego bocznym podwórzem przez kilku oddziałowych. Czasami udawało się go nawet rozpoznać […]. Doprowadzano skazańca zawsze do tego samego miejsca, oddziałowy otwierał jakieś drzwi, w które wchodził więzień i po chwili rozlegał się strzał. Wystarczył tylko jeden*[156].

Inny świadek wyprowadzania skazańców na egzekucję zapamiętał: *Wywołanego z tobołkiem w ręku prowadzono do małej celi w suterenie zachodniego skrzydła głównego gmachu, zwanego potocznie „Ogólniakiem”. Stąd około północy co najmniej trzech strażników prowadziło skazańca do starej kotłowni, w południowo-zachodniej części podwórza więziennego. Trzymany pod ręce przez dwóch strażników wchodził do środka. Kiedy przekroczył próg – padał strzał w tył głowy, w potylicę. Na ogół jeden strzał wystarczał. Ci, którzy zabijali, mieli wprawę, nie chybiali, za pierwszym strzałem rozwalali mózg*[157].

Miejsce, które pojawia się w relacjach więźniów, to specjalna cela w wolnostojącym bunkrze (nazywana „starą kotłownią”) za gmachem magazynu odzieżowego, w sąsiedztwie więziennego szpitala. Skazaniec wchodził do niej jako pierwszy i mniej więcej na wysokości przedsionka dawnej kostnicy padał martwy[158].

Niewielki budynek, o którym mowa, nie zachował się do czasów obecnych, ale przetrwał w relacjach więźniów. Z cel aresztu można było bowiem ujrzeć ostatnią drogę skazańców, wiodącą najczęściej od tzw. Pawilonu Ogólnego. Większe niż zwykle poruszenie na placu mimo nocy bądź skoro świt (jeszcze przed apelem, na który budzono więźniów o godz. 5 rano), ofiara prowadzona w asyście strażników, wchodząca do jakiegoś bunkra – to wszystko nie zwiastowało niczego dobrego. Wynoszone po dłuższej chwili ciało nieboszczyka przesądzało sprawę[159].

Tak więc przepisy więziennictwa jedno, praktyka – drugie. To więźniowie Mokotowa przechowali wiedzę na temat egzekucji współtowarzyszy, które komuniści zamierzali utrzymać w ścisłej tajemnicy[160]. Ubolewał nad tym m.in. płk Holder, który w piśmie do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z 16 września 1946 roku informował: *W szczególności wykonywanie wyroków odbywa się częstokroć w więzieniach nieomal na oczach innych więźniów. Samo pozbawienie życia skazańca odbywa się poprzez oddanie znienacka strzału, często w kark delikwenta, ciało zagrzebywane jest w pobliżu*[161].

Dopiero z czasem podjęto decyzję o wytypowaniu nowego miejsca na wykonywanie wyroków śmierci. Po powstaniu tzw. Dwunastki, czyli Pawilonu XII – gmachu dobudowanego na początku 1950 roku do Pawilonu X – „politycznych” zabijano także w jego podziemiach. Wyciszone ściany minimalizowały ryzyko usłyszenia strzałów przez innych więźniów. Specjalny ściek umożliwiający spływanie krwi ofiary sprawiał, że łatwiej było zatrzeć ślady zbrodni[162].

Według innych źródeł więźniów mordowano nie w piwnicach Pawilonu XII, a w sąsiadującym z nim tzw. małym pawilonie (także w podziemiach), jak również w specjalnej celi umiejscowionej między „Pałacem Cudów” a Pawilonem X[163].

Kto celował do największych polskich bohaterów?

Skoro pluton egzekucyjny przez długi czas istniał tylko w teorii, ktoś musiał uśmiercać skazańców. Czynili to etatowi pracownicy więzienia, odpowiedzialni za „zadania specjalne”. W praktyce wykonywali obowiązki kata, pozostając w dyspozycji konkretnego WUBP. Każdorazowo po egzekucji wpisywali się do protokołu wykonania kary śmierci, wypełniając rubrykę „dowódca plutonu egzekucyjnego”. Oprócz kata na dokumencie

podpisy składali: naczelnik więzienia, prokurator i lekarz. Protokoły czasami uwzględniały też obecność sędziego oraz księdza[164].

„Czarna robota” była domeną st. sierż. Piotra Śmietańskiego[165] i sierż. Aleksandra Dreja[166]. Oba szwarccharaktery z Mokotowa uchodziły za jednostki zdemoralizowane, niestabilne emocjonalne, przejawiające sadystyczne skłonności, a przy tym nadużywające alkoholu[167]. W większości wypadków kaci nie cieszyli się poważaniem nawet w środowisku funkcjonariuszy więziennych. Uważani byli za niezrównoważonych, wyobcowanych, przekonanych o własnej bezkarności. Zabijali z zimną krwią jak w fabryce, niekiedy w kilkuminutowych odstępach[168]. Później odbierali jednak to, co było dla nich najważniejsze – wysokie wynagrodzenie pieniężne[169].

Łącznie w pierwszej dekadzie Polski Ludowej w więzieniu mokotowskim uśmiercono ponad tysiąc osób, przy czym mniej więcej co czwarty skazaniec został pogrzebany na obszarze cmentarza komunalnego Powązki.

To już pewne – o losach tysięcy ofiar komunizmu będzie przypominać powstające w siedzibie dawnego aresztu MBP przy ul. Rakowieckiej Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL[170].

ŁĄCZKA

Kiedy opadła groza pogasły reflektory
odkryliśmy że jesteśmy na śmietniku w bardzo dziwnych pozach
jedni z wyciągniętą szyją
drudzy z otwartymi ustami z których sączyła się jeszcze ojczyzna
Zbigniew Herbert, *Przebudzenie*

Wiemy, gdzie szukać. Wiemy to, co komuniści przez dekady skrzętnie ukrywali przed opinią publiczną i rodzinami pomordowanych w więzieniu mokotowskim. Ciała wywozili potajemnie, pod osłoną nocy, pod ceglany mur, zlokalizowany na północno-wschodnim krańcu cmentarza komunalnego (cywilnego) Powązki.

W przewodnikach cmentarnych z okresu PRL, w rozdziałach poświęconych poszczególnym kwaterom tej nekropolii, na próżno szukać wzmianek o tajnych pochówkach ofiar mordów sądowych z Mokotowa[171]. Nic dziwnego, przez długi czas na miejscu więziennego pola grzebalnego funkcjonowała kompostownia. Jeszcze w latach 90. stał tam… kontener na śmieci[172].

To wystarczający dowód na intencje komunistów. Przez lata konsekwentnie zacierali ślady po pochówkach swych ofiar, w wiadomym celu. Nikt nigdy, poza gronem sprawców, nie mógł poznać pełnej prawdy. Straconych w egzekucjach więźniów politycznych grzebano w pośpiechu, w bezładzie, bez szacunku. Właśnie o to chodziło w tym zbrodniczym systemie – zastraszyć, przedstawić w niekorzystnym świetle, zabić, pozbyć się ciała i zataić fakty, aby całkowicie wyprzeć z pamięci. Tak, aby ów „wróg” Polski Ludowej nigdy nie odzyskał już tożsamości[173].

W pierwszych latach stalinizmu oprawcy grzebali ofiary warszawskich więzień, poza powązkowską Łączką, na cmentarzu na Służewie przy ul. Wałbrzyskiej[174], Cmentarzu Bródnowskim przy ul. św. Wincentego, na terenie praskiego więzienia karno-śledczego nr III przy ul. 11 Listopada oraz w rejonie Toru Wyścigów Konnych na Służewcu. Lokalizacje te dotyczą więźniów wszystkich kategorii, przetrzymywanych w aresztach UB, więzieniach oraz obozach na terenie stolicy[175].

Na początku 1948 roku Departament Więziennictwa MBP wprowadził przepisy, w myśl których ciała więźniów zmarłych i straconych, których nie odebrała ich rodzina, podlegały pochówkom na „najbliższych miejscowych cmentarzach”. Nie można jednak mówić o wypracowaniu jednolitych zasad grzebania skazańców – wręcz przeciwnie, były one zróżnicowane w zależności od konkretnych województw. Poprzedzała je skomplikowana, biurokratyczna procedura.

Zezwolenie na pochówek wydawał prokurator. Mając jego zgodę, naczelnik więzienia podejmował decyzję, co do miejsca i formy „pogrzebu”. Wiadomo było jednak, że pochówek nie będzie miał nic z ceremonii, do jakiej chrześcijanie i wierni wszystkich innych religii świata przywiązują tak wielką wagę. W przypadku grzebania ofiar więzienia mokotowskiego na Łączce nie można mówić o jakiejkolwiek uroczystości pożegnalnej, a nawet poszanowaniu ludzkich zwłok.

Komunistyczna nomenklatura rozróżniała zmarłych w więzieniu (np. z wycieńczenia czy chorób) bądź zakatowanych w śledztwie[176], samobójców z celi, straconych w egzekucji na mocy wyroków śmierci oraz „bandytów”. Za tych ostatnich uważano żołnierzy podziemia, dla władzy członków „leśnych band”, zabitych np. w czasie obławy, których ciała przekazywano do więzień celem pochówku.

Tylko w dwóch pierwszych przypadkach przewidywano powiadomienie rodziny o śmierci więźnia, a następnie wydanie jej jego zwłok. Mając do czynienia z ciałami „bandytów”, niejako z automatu uruchamiano procedurę grzebania na najbliższym cmentarzu bądź oddawano zwłoki do zakładów anatomii[177]. O ile oczywiście nie urządzono pochówków „gdzie popadnie”, czyli zazwyczaj blisko miejsca śmierci, albo też, dla pohańbienia ofiary, np. na torfowiskach, wysypiskach śmieci czy w dołach kloacznych[178].

Choć to naczelnik więzienia był osobą decyzyjną, nie miał pełnej niezależności. Musiał zasięgać opinii przełożonych – szefa wydziału więziennictwa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, a także stojącego w hierarchii nad nim przewodniczącego WUBP. Rzadko w kwestii pochówku głos zabierały natomiast osoby władne z Departamentu Więziennictwa MBP czy też Departamentu Sprawiedliwości MON. Choć ten ostatni ustalał powszechne procedury

egzekucyjne, praktyka często odbiegała od tego, co spisane i oficjalnie obowiązujące[179].

W niektórych wypadkach zezwalano na wydanie zwłok rodzinie, a w innych wypadkach było polecenie pogrzebania zwłok przez administrację więzienia. […] W wypadkach samobójstw więźniów na oddziałach śledczych otrzymywałem jedynie dyspozycję co do sposobu pochowania zwłok, a wszelkie dochodzenia w tej sprawie odbywały się poza moją osobą i o wynikach tych nie byłem informowany. Nazwisk więźniów zmarłych w pawilonach śledczych nie znam[180] – relacjonował po latach naczelnik Grabicki. Jak dodawał, w przypadku zgonów o „bliżej nieokreślonych przyczynach", przeprowadzano sekcje zwłok w Zakładzie Medycyny Sądowej. Od 1953 roku dokonywano ich w szpitalu MBP przy ul. Wołoskiej.

Procedury procedurami, ale na podstawie praktyki pochówków dobitnie widać, że dwie wspomniane kategorie „wrogów", czyli „bandyci" i straceni w egzekucji, były traktowane wręcz synonimicznie. Przecież ofiary mordów sądowych były dla władzy najgorszymi bandytami, niegodnymi nawet pochówku w oznaczonym grobie. Co z tego, że przepisy z 1948 roku zalecały sporządzanie dokumentacji – w aktach miały się znaleźć dokładne wytyczne, pozwalające zlokalizować miejsce pochówku więźnia (numer grobu oraz alei). Robiono tak, jak uważano. W zdecydowanej większości wypadków rodziny straconych nic o egzekucjach swych bliskich nie wiedziały! Nie zwracały się przeto o wydanie zwłok…

Informowanie rodzin o śmierci najbliższych – jeżeli nawet miało miejsce – ograniczało się z reguły do urzędowych, surowo brzmiących pism z informacją o konieczności niezwłocznego odebrania pozostałych po zmarłym rzeczy, w terminie – z wielu przyczyn – niemożliwym do dotrzymania. Notatkę taką wysyłano najczęściej kilka tygodni, a nawet miesięcy, po dacie śmierci. Często stanowiła ona jedyny ślad korespondencji pomiędzy więzieniem a rodziną straconego lub zmarłego[181] – tłumaczy w jednym z wywiadów prof. Szwagrzyk.

Protokoły z przeprowadzenia egzekucji sporządzano w trzech kopiach, wyłącznie na użytek więzienia. Wieść o wykonaniu wyroku śmierci przekazywano tylko do poszczególnych urzędów – w tym gminy, stanu cywilnego, bezpieczeństwa publicznego (na szczeblu wojewódzkim), a także właściwego resortu (MBP)[182].

Problemem warszawskich oprawców było to, że służewiecki cmentarz przy kościele św. Katarzyny[183] nie był do więziennych pochówków przystosowany. Co prawda grzebano na nim straceńców z Mokotowa (ofiary procesów politycznych) już od trzech lat, ale miejscowy proboszcz nie popierał tych zupełnie niejasnych, tajemniczych, samowolnych działań. Gdy więc w kwietniu 1948 roku naczelnik Grabicki zwrócił się do księdza z apelem o wyznaczenie nowych miejsc pod pochówki skazańców, spotkał się z odmową. Najprawdopodobniej wtedy właśnie wysunięto pomysł przeznaczenia na potrzeby więzienia odrębnego pola grzebalnego na komunalnych Powązkach (kwatery „Ł").

Cmentarz ten, o charakterze cywilnym, powstał 18 sierpnia 1945 roku i graniczył z cmentarzem wojskowym. Na początku 1964 roku, na wniosek ZBoWiD, cmentarz komunalny i stanowiącą jego część kwaterę „Ł" włączono do Powązek Wojskowych[184].

Straceni na mocy wyroków śmierci więźniowie z Rakowieckiej, uchodzący za „wyjątkowo groźnych", nie mieli prawa do jawnego pochówku. Nie przewidziano dla nich nawet prawa wpisu do cmentarnego rejestru. Mieli zostać wrzuceni do dołów w całkowitej tajemnicy. Tak postąpiono z 276 więźniami (249 Polakami, 15 Ukraińcami i 12 Niemcami) [185].

Co tak naprawdę działo się z ciałami zamordowanych?

Po wykonaniu wyroku śmierci i stwierdzeniu zgonu przez obecnego przy egzekucji lekarza rozpoczynano działania zmierzające do pozbycia się zwłok ofiar. Kłamstwo prześcigało kłamstwo. W praktyce oznaczało to wywóz ciała w tajemnicy i pośpiechu na cmentarz i wrzucenie go do wykopanego zawczasu dołu. Od wiosny 1948 roku kierunek był jeden – skraj cmentarza tuż przy murze Powązek, czyli dzisiejsza „Łączka"[186].

Wcześniej, zanim jeszcze przygotowano transport, wysługiwano się więźniami niemieckimi. Odpowiadali oni na ogół za zabranie ciał zamordowanych i uprzątnięcie miejsca zbrodni. Często później przekazywali innym skazańcom to, co zobaczyli na własne oczy. Wieść niosła się po celach, nic dziwnego – widok był naprawdę zatrważający[187].

Jakkolwiek starano się działać dokładnie, przy następujących często zaraz po sobie egzekucjach całkowite pozbycie się śladów mordu było zadaniem niezwykle trudnym. Skazaniec idący na śmierć, schodzący na dół

do jednego z pomieszczeń piwnicznych, nie mógł nie dostrzegać krwi należącej do uśmierconego kilka lub kilkanaście minut wcześniej poprzednika. Czy czuł coś szczególnego? Nawet jeśli, to trudno było o reakcję wobec błyskawicznego strzału stojącego za plecami kata.

Nazajutrz [po egzekucji – W.K.] *rano, około godz. 5.00, mały jednokonny wóz unosił martwe ciała bohaterów poza mury więzienia. Żelazne obręcze kół stukały miarowo o bruk więziennego dziedzińca, przypominając bicie werbli. Towarzyszyła im nasza serdeczna modlitwa*[188] – zapamiętał świadek więziennego życia, ks. Stępień.

Inny osadzony potwierdził: *Przed świtem „Ślepy Oleś”*[189] *krytym konnym furgonem – takim jak do śmieci, wywoził trupa na… Tu szeptana informacja była dwojaka: jedni mówili, że gdzieś na Służewiec; inni, że na Okęcie. Czy tu, czy tam – grzebano jednakowo. Równano grób z ziemią, żeby ślad nie został*[190].

Wicenaczelnik więzienia mokotowskiego por. Ryszard Mońko, który był obecny m.in. przy egzekucji rotmistrza Pileckiego, zaprzeczał, jakoby uczestniczył w procederze wywozu i grzebania zwłok zamordowanych więźniów. *Nie brałem w tym udziału. Od dyżurnych wartowników słyszałem, że ciała zabitych wywoziła gdzieś sanitarka więzienna. Często jechał w niej naczelnik, który miał prawo jazdy*[191] – zeznał po latach.

Jamy grobowe przygotowywano na Łączce jeszcze za dnia. Kopano na głębokość nieprzekraczającą dwóch metrów – początkowo prace te wykonywali jeńcy niemieccy, także więźniowie Mokotowa, później również inni osadzeni, narodowości polskiej. Po uzyskaniu decyzji o wydaniu zwłok przewożono je początkowo na zwykłym chłopskim wozie. Ładunek stanowiły drewniane skrzynie, w których znajdowały się ciała straconych. Stukot wyruszającego z dziedzińca pojazdu napędzanego siłą konia zachował się w pamięci więźniów[192].

Jeden ze świadków, Władysław Minkiewicz, wspominał, że osadzeni początkowo nie byli świadomi, że oto na ich oczach dokonuje się proces zacierania śladów po uśmierconych: *Dopiero po pewnym czasie skojarzyliśmy dwa fakty. Otóż było tak, że z reguły poprzedniego dnia, już po wieczornym apelu, słyszeliśmy wyraźnie jeden, dwa lub trzy strzały, przy czym ilość strzałów zawsze zgadzała się dokładnie z ilością skrzyń wywożonych nazajutrz o świcie. Wniosek był już prosty…*[193]

Z czasem ulepszono procedurę transportu, wykorzystując co prawda rzucającą się w oczy ciężarówkę z plandeką, ale szczelnie zakrywającą zwłoki zamordowanych. Tak przewiezione ciała wrzucano do dołów. Wielokrotnie zdarzało się, że dokonywano pochówków zbiorowych – kilka ofiar lądowało ot tak, w jednej jamie. Jeszcze tylko zasypać „mogiły", wyrównać teren, oddalić się niepostrzeżenie i… praca wykonana[194].

Więźniów chowano bez trumien, rzadkością było umieszczanie ich w zbitych z desek półtrumnach bądź zwyczajnych skrzyniach (były przydatne do kolejnych transportów), częściej np. w workach po cemencie. Część skazańców pochowano zupełnie nago, innych w samej bieliźnie, urągając tym samym oficerom konspiracyjnych struktur polskiej armii. Co więcej, zdarzało się, że grzebano ich w mundurach Wehrmachtu! Niewykluczone, że szczątki polewano środkami chemicznymi, głównie wapnem – oczywiście w celu zatarcia śladów[195].

W przypadku ofiar z Łączki nie ma jednak co do tego stuprocentowej pewności, gdyż o takim procederze wspominają relacje dotyczące więźniów pochowanych na Służewie. Jednak w czasie prac na Powązkach naukowcy nie raz odkrywali na kościach ślady białego nalotu nieznanego pochodzenia. Wątpliwości powinna rozstrzygnąć analiza chemiczna.

Gdyby nie relacja człowieka, który własnoręcznie grzebał ofiary Mokotowa, trudno byłoby ustalić miejsce pochówku pomordowanych. Władysław Turczyński[196], bo o nim mowa, pracował w więzieniu jako strażnik. Przewoził zwłoki straconych na cmentarz, wrzucał je do dołów śmierci, zacierał ślady[197]. Prawie 300 ciał…

Pochówki, mimo że niedbałe, były przemyślane. Turczyński musiał mieć świadomość, że jego mocodawcom zależy na pozbyciu się wszelkich śladów. Choć grzebał często w pośpiechu, o świcie lub po zapadnięciu zmroku, w tej czynności nie było miejsca na jakikolwiek błąd. Ale wszystkiego nie dało się zaplanować. Czasem zdarzały się nieprzewidziane trudności, m.in. wynikające z warunków pogodowych bądź związane z podjazdem do miejsca wyznaczonego wcześniej pod pochówek.

Z treści złożonych przez Turczyńskiego zeznań wynika, że ciała zabitych członków polskiego podziemia niepodległościowego umieszczano w grobach pojedynczych lub zbiorowych, w zależności od okoliczności. Przestrzeń dla pochówków miał stanowić czworobok o wymiarach 20 × 20 × 26 × 39 m [198].

Relacja strażnika, choć niezawierająca żadnych szczegółów dotyczących personaliów więźniów pochowanych na Łączce, była przełomem. Została zweryfikowana i w znacznym stopniu potwierdzona. Turczyński, być może w związku z zawodną ludzką pamięcią, nie mówił o konkretach; niewykluczone, że część niewygodnych dla siebie faktów zwyczajnie przemilczał[199].

To, co zeznał pod przysięgą, zrelacjonowano w tzw. protokole Kosztirki z 12 kwietnia 1956 roku – dokumencie zawdzięczającym swą nazwę zastępcy Prokuratora Generalnego PRL, Kazimierzowi Kosztirce. To on przewodniczył komisji[200], przesłuchującej mokotowskiego strażnika-grabarza, powiernika tajemnicy Łączki[201].

W protokole napisano: *Jak podaje Turczyński, procedura chowania zwłok odbywała się w ten sposób, że po otrzymaniu polecenia pochowania zwłok udawał się on* [Turczyński – W.K.] *w dzień na cmentarz i tam kopał grób (początkowo przy pomocy Niemców – jeńców pracujących w więzieniu, potem więźniów), a następnie w nocy przywoził zwłoki na cmentarz. Zwłoki od dłuższego czasu wożono samochodem (początkowo furmanką), przy czym podjeżdżano samochodem pod sam grób i wprost z samochodu składano zwłoki do dołu. Przeważnie chowano zwłoki bez trumny, w niektórych przypadkach w półtrumnie, tzn. skrzynce zbitej z desek. Doły kopano na głębokość 1,5–2 m, jak wynika ze śladów stwierdzonych na miejscu długości mniej więcej 2 m, a szerokości 60–70 cm. Po włożeniu zwłok do dołów zasypywano je i zrównywano z ziemią.*

Jak podaje Turczyński, niekiedy chował do jednego grobu jedne zwłoki, niekiedy zaś kilka zwłok, w zależności od tego, ile osób miał on danej nocy pochować. Jak podaje Turczyński, groby kopał on kolejno w 6 rzędach, a mianowicie począwszy od prawej strony […] w jednym rzędzie do końca terenu, po czym wracał i zaczynał w drugim rzędzie. Gdzie należy kopać, orientował się według śladów poprzedniego grobu. Kolejność ta była czasem naruszana, zdarzały się bowiem wypadki, że gdy samochód miał trudności z podjazdem do danego miejsca, zwłoki [zakopywał – W.K.] *też na tym terenie, ale w zupełnie innym miejscu. Miał miejsce też wypadek, że gdy pewnego razu Turczyński przyjechał w nocy ze zwłokami, chcąc pochować je w przygotowanym za dnia grobie, okazało się, że w międzyczasie pochowano jakieś inne zwłoki z więzienia Warszawa II* [tzw. Gęsiówki – W.K.].

Żadnej dokumentacji w więzieniu, wskazującej, gdzie kogo pochowano, wobec których wykonano kary śmierci – nie ma. Biorąc za początkowy moment chowania na tym terenie na Powązkach połowę 1948 roku (moment ten wskazano, bynajmniej nie jest pewny), wynika z ewidencji więziennej, że do obecnego czasu pochowano na tym terenie 248 osób. Cyfra ta też nie jest absolutnie pewna, gdyż podaje Turczyński, mogło się również zdarzyć, że w początkowym okresie chowano tam w sporadycznych wypadkach zwłoki zmarłych naturalną śmiercią w więzieniu na Mokotowie[202].

Co interesujące, to materiały wytworzone w czasach stalinizmu pozwoliły zweryfikować słowa więziennego strażnika. Dzięki zdjęciom lotniczym pochodzącym z lat 1951–1955, znajdującym się w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie, możemy usystematyzować dotychczasowy stan wiedzy[203]. Zanim przystąpiono do poszukiwań ofiar komunizmu na Łączce, dokładnie przeanalizowano rzeczone fotografie. Porównano je z współczesnymi fotografiami satelitarnymi badanego terenu. Całość skonfrontowano z faktami historycznymi i dostępnymi relacjami źródłowymi. W ten sposób udało się wyznaczyć teren poszukiwań.

Na zdjęciach widać, jak daleko od innych kwater, wzdłuż muru cmentarnego biegną słabo widoczne rzędy starego pola więziennego. Sześć rzędów niekiedy nachodzi na siebie. Prostopadle do nich widoczny jest kolejny, tworzący z poprzednimi kształt przypominający literę „L”, z pogrubioną jej pionową linią. Czasem sekwencja pochówków nagle kończy się, by po kilkunastu metrach pojawić się ponownie – tłumaczy kierujący pracami na Łączce prof. Szwagrzyk[204].

Jak udało się ustalić, ofiary terroru komunistycznego, stracone w więzieniu mokotowskim w latach 1948–1956, chowano nie na powierzchni ograniczonej przez sześć rzędów grobów – jak wynikało z zeznań Turczyńskiego. Teren pochówków był większy, ostatecznie odkryto osiem rzędów dołów śmierci. To, co dziś nazywamy Łączką, to zatem jedynie niewielki obszar dawnego pola więziennego. Groby ofiar komunizmu znajdują się – obok kwatery Ł – także w kwaterach Ł II oraz M i M II[205].

Komuniści robili jednak wszystko, abyśmy nigdy nie poznali pierwotnego rozmiaru terenu więziennych pochówków. Już w latach 50.

nawieziono tam warstwę ziemi i gruzu, sięgającą ok. 1,5–2 m głębokości. Oficjalnie chodziło o wyrównanie różnic w terenie pomiędzy obydwoma cmentarzami, wszak niebawem zamierzano je połączyć. Wszystko wskazuje na to, że prawdziwą intencją komunistów było zatarcie wszelkich śladów zbrodni. Jakby zamierzano raz na zawsze odciąć się od niewygodnej przeszłości, ostatecznie poniżyć ofiary i przekreślić wszelką nadzieję, tlącą się jeszcze wśród ich bliskich[206]. Wytyczono też nowe alejki cmentarne, a jedna z nich – asfaltowa – przecinała dawne pole więzienne dokładnie na połowę. Zamiar był oczywisty[207].

O wyrachowanym charakterze działań sprawców świadczy fakt, że w okresie stanu wojennego na wyrównanym obszarze Łączki zaczęto urządzać… nowe pochówki. To była kolejna „operacja maskująca", prowadząca – jak sądzono – do ostatecznego celu.

Począwszy od 1982 roku, przez dwa kolejne lata, komuniści konsekwentnie grzebali w części dawnego pola więziennego (kwatery Ł i ŁII) zasłużone dla Polski Ludowej jednostki, głównie wyższych oficerów Wojska Polskiego, wysokich funkcjonariuszy Informacji Wojskowej, resortu bezpieczeństwa publicznego czy wymiaru sprawiedliwości. Łącznie mowa o prawie 200 grobach[208].

Blisko bohaterów leżą dziś komunistyczni oprawcy, jak np. sędzia Roman Kryże, który w czasach stalinowskich wydał kilkadziesiąt wyroków śmierci. Niekiedy kaci – to niezwykły paradoks historii – spoczywają bezpośrednio nad swymi ofiarami. Mieli wystawne pogrzeby, podczas gdy zwłoki więźniów niedbale wrzucano do dołów. Sporych rozmiarów grobowce całkowicie przykryły i, co gorsza, przedzieliły kości straconych[209].

Grabarze, którzy pracowali na obszarze dawnego pola więziennego w latach 80., musieli natrafiać na porozrzucane szczątki żołnierzy podziemia. Można się spodziewać, że leżą one gdzieś w bezładzie, często nadzwyczaj płytko, pod kilkudziesięciocentymetrową warstwą ziemi. Kiedyś były zwykłą przeszkodą przy codziennej pracy. Naukowcy badający Łączkę nie mają co do tego wątpliwości[210].

Jedynie niewielki fragment pierwotnego pola więziennego nie został wykorzystany jako obszar pod nowe pochówki. Jednak nikt nie kierował się w tym względzie sumieniem. Ten kawałek ziemi pozostawiono, bo

graniczył z cmentarnym murem, a przez to doskonale nadawał się na umiejscowienie… śmietnika[211].

Działania władz nie zagłuszyły jednak społecznej inicjatywy. Po 1956 roku, na fali częściowej (jak się okazało – wyjątkowo krótkotrwałej) liberalizacji systemu, bliscy ofiar wzięli inicjatywę we własne ręce. Zbywani do tej pory kłamstwem, występowali do władz z oficjalnymi prośbami o zlokalizowanie miejsca tajemnych pochówków i rozpoczęcie ekshumacji. Kolejny raz spotykali się jednak z odmowami. Wszystkie apele trafiały w próżnię, rozbijały się niczym o ścianę[212].

Wobec dziwnej zasłony milczenia, spuszczonej przez władze na kwestię więziennych pochówków, szukali jakiegokolwiek śladu po straconych. W aktach prokuratorskich, więziennych, Urzędu Stanu Cywilnego. Wertowali wspomnienia byłych więźniów i świadków egzekucji. Na własną rękę szukali prawdy i choćby symbolicznej sprawiedliwości, której odmówiono ich bliskim.

Chodzili na cmentarz, pytali grabarzy, zarządców, każdego, kto mógł coś wiedzieć. Zazwyczaj wracali z niczym. Zbywani, zapamiętali rozkładanie rąk, inne dziwne gesty oraz niedomówienia. Tylko nieliczni z bliskich zamordowanych mogli mówić o sprzyjającym losie. Poinformowani w sekrecie m.in. przez znajomych zatrudnionych w sądownictwie, a nawet funkcjonariuszy UB[213], przechowywali latami cenne informacje[214].

W 1992 roku wdowa po jednym ze skazańców złożyła zeznania, w których mowa o tajemniczym miejscu na końcu cmentarza komunalnego, przylegającym do wojskowej nekropolii: *grabarz i pilnujący, mieszkający przy cmentarzu Grzelak, powiedział mi, żebym poszła prosto aleją do końca i będą odciski drewniaków. Musiało to być bezpośrednio po śmierci męża, około lipca 1952 roku. Miejsce to było pilnowane i obserwowane na pewno. Ja nie zrobiłam grobu tylko stawiałam znicze i kwiaty. Wbiłam krzyż, gdy wyrosły drzewa. Rozmawiałam z kierownikiem cmentarza Sokolnickim, pytałam, czy wie, co się dzieje. Milczał, nie potwierdzał i nie zaprzeczał. To mnie utwierdzało*[215].

Te praktyki zrozpaczonych bliskich ofiar – wbijanie w ziemię drewnianych krzyży (regularnie usuwanych przez funkcjonariuszy UB, stale nadzorujących teren cmentarza)[216], zostawianie kartek czy zdjęć – zapamiętała reportażystka Małgorzata Szejnert, prowadząca dziennikarskie śledztwo dotyczące tajnych pochówków ofiar komunizmu

w Warszawie[217]. W Dzień Wszystkich Świętych, 1 listopada 1988 roku, przyszła na skraj powązkowskiego cmentarza. Ujrzała niewielkich rozmiarów teren, sąsiadujący z polem, na którym powstało w ostatnich latach wiele świeżych grobów. Jak zapamiętała, ta część, przypominająca właśnie typową łączkę, pozostała niemal nietknięta, zlokalizowana dziwnie na uboczu[218].

To, co usłyszała Szejnert trzy miesiące później z ust naczelnika Grabickiego, było co najmniej zastanawiające. Zwiększyło ilość wątpliwości, jakie pojawiły się w głowie po pierwszej wizycie na skraju Powązek. – *To jest tajemnica* – odpowiedział były rządca komunistycznego więzienia, pytany o miejsce grzebania zamordowanych więźniów. O dalszej rozmowie nie było już mowy[219].

Jak się okazało, 11 lat wcześniej Grabicki potwierdził przed sądem, że ofiary z Rakowieckiej wywożono na specjalnie wydzielony teren Powązek. Zeznał też, że każdy skazaniec w chwili składania do grobu miał przy sobie „kartkę w rodzaju jakiejś folii", potwierdzającą jego personalia[220]. Naukowcy badający Łączkę nie stwierdzili dotąd żadnych śladów po tego rodzaju oznaczeniach. Nie wpływa to korzystnie na wiarygodność relacji Grabickiego.

Musiała upaść w Europie żelazna kurtyna, aby o zbrodniczości komunizmu mówić głośno i na podstawie faktów. W 1990 roku, już w wolnej Polsce, ukonstytuował się społeczny komitet budowy pomnika niewinnie straconych w więzieniach na terenie Warszawy. Przewodził mu były żołnierz Armii Krajowej, Stanisław Karolkiewicz[221]. Rodziny nie wiedziały, gdzie dokładnie leżą ich bliscy, ale tylko dzięki swojemu wieloletniemu uporowi w poszukiwaniach wskazały niewielki czworobok o wymiarach 16 × 16,9 × 17,9 × × 17 m[222]. Czyli to, co pozostało z dawnej Łączki. Nie myliły się.

Właśnie tam, niemal po dwóch latach, stanął monument w kształcie pękniętego muru z krzyżem, z wmurowanymi tablicami z nazwiskami ofiar oraz symbolem Polski Walczącej. Uroczyste odsłonięcie pomnika odbyło się 1 listopada 1991 roku[223]. Trwało już wtedy śledztwo w sprawie ustalenia miejsc pochówku pomordowanych więźniów, prowadzone przez Główną Komisję Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie.

Dekadę później, w 2001 roku, córki, synowie, siostry, bracia czy małżonkowie ofiar więzienia mokotowskiego otrzymali od pionu śledczego IPN wykaz miejsc grzebania ofiar komunistycznych represji w okresie obejmującym lata 1944–1956. Uwzględniono w nim 186 miejsc. O konkretnych personaliach więźniów grzebanych na Łączce wówczas się jeszcze nie mówiło[224].

Dziś, po 15 latach od wspomnianych wydarzeń, sporo się zmieniło. Wiemy więcej, nadrabiamy zaległości. Ale wielu członków rodzin zamordowanych bohaterów wciąż wyczekuje na moment, gdy w końcu, po dekadach kłamstw i niedopowiedzeń, prawda wyjdzie na jaw.

Przełomem, jeśli chodzi o Łączkę i nie tylko, było porozumienie IPN, Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwa Sprawiedliwości podpisane 10 listopada 2011 roku[225], zakładające współpracę wspomnianych instytucji przy szukaniu i badaniu miejsc pochówków ofiar komunizmu. Efektem było uruchomienie projektu „Poszukiwanie nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego 1944–1956”[226].

To właśnie w jego ramach zespół badaczy pod przewodnictwem prof. Szwagrzyka przeprowadził na Łączce dwa etapy działań poszukiwawczo-ekshumacyjnych[227]. Pierwsze szczątki ludzkie podjęto z dołu śmierci 23 sierpnia 2012 roku[228]; do tej pory wydobyto kości należące do ok. 200 osób[229]. Do końca kwietnia 2016 roku udało się potwierdzić genetycznie, a następnie przedstawić opinii publicznej tożsamość 40 ofiar[230].

Wielu bohaterów wciąż „czeka”. Czekają też ich najbliżsi, w tym syn rotmistrza Pileckiego, Andrzej. W czasie prac często, wraz z siostrą Zofią Pilecką-Optułowicz, odwiedzał Powązki. To, co zobaczył, głęboko utkwiło mu w pamięci.

Widok był straszny, bo w dołach śmierci ciała leżały bez żadnego porządku, jedne na drugich, ze śladami kul w czaszce, pogruchotanymi kośćmi. To, co wtedy zobaczyłem, boli mnie do dzisiaj. Boli nas wszystkich, dzieci pomordowanych, którzy musimy na to patrzeć. We mnie dodatkowo nadzieja miesza się ze zwątpieniem. Czasami rozmyślał o tym, gdzie mogli zakopać ciało taty i dochodzę do wniosku, że może niektóre wyróżniające się szczególnie osoby, jak generał August Fieldorf „Nil” czy nasz ojciec, zostały ukryte gdzie indziej i tak zakamuflowane, że nie mamy możliwości

do nich dotrzeć. A innego dnia odżywa we mnie wiara, że to właśnie tu, na „Łączce”, leży mój ojciec[231].

Pozostaje z nadzieją patrzeć w przyszłość. Oby niedaleką.

CZĘŚĆ II
OFIARY

STANISŁAW KASZNICA – OSTATNI KOMENDANT NSZ

Ten, kto nie przeszedł tortur, nie ma prawa osądzać
Stanisław Kasznica na ostatnim widzeniu z siostrą Eleonorą

Gdy umierał, był w sile wieku. Nie ukończył nawet czterdziestki…

Zapowiadał się na świetnego prawnika, miał kontynuować rodzinną tradycję. Tajniki przyszłego zawodu poznawał od ojca, Stanisława Wincentego – znanego i cenionego naukowca, znawcy prawa administracyjnego, rektora Uniwersytetu Poznańskiego. W 1906 roku Kasznica senior poślubił Amelię z Malewskich, która po dwóch latach urodziła mu pierworodnego syna[232].

Stanisław – imię otrzymał po ojcu – przyszedł na świat 25 lipca 1908 roku we Lwowie. Dorastał w atmosferze przepełnionej patriotyzmem i poszanowaniem dla tradycji. Nic dziwnego, głowa rodziny była dumna z przodków. Wśród rodzinnych opowieści przewijała się i ta poświęcona prof. Józefowi Kasznicy (ojcu prof. Kasznicy) – znawcy prawa kanonicznego, współpracownikowi paryskiego Hotelu Lambert, kierowanego przez księcia Adama Jerzego Czartoryskiego[233]. Jego żoną była Izabela Trębicka herbu Ślepowron, wnuczka Antoniego Trębickiego, posła Sejmu Czteroletniego (1788–1792), który złożył swój podpis pod oryginalnym aktem Konstytucji 3 maja[234]!

Stanisław Kasznica senior miał w swym bogatym życiu ważny epizod walki o niepodległość – w listopadzie 1918 roku, jako pracownik lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza, stanął do boju o miasto zaatakowane przez Ukraińców[235].

Gdy Polska powracała na mapę świata, na rozmowy z synem o polityce było jeszcze za wcześnie, ale i takie w końcu przyszły. Obaj Kasznicowie związali się przecież ze środowiskami narodowymi. Reprezentowali jednak inne nurty prawicy, dość znacznie różniąc się w ocenie ówczesnej sytuacji[236]. Ojciec był działaczem Stronnictwa Demokratyczno-

Narodowego. W latach 1922–1927 zasiadał w Senacie RP z ramienia Narodowo-Chrześcijańskiego Stronnictwa Ludowego[237].

Jego najstarszy syn miał czwórkę rodzeństwa: braci Jana (ur. 1912), Andrzeja (ur. 1923) i Wojciecha (ur. 1925) oraz siostrę Eleonorę (ur. 1928). Troje ostatnich było owocami związku ojca z Eleonorą z Malewskich, siostrą zmarłej w 1921 roku Amelii[238]. Eleonora, 20 lat młodsza od prof. Kasznicy, otrzymała błogosławieństwo umierającej siostry. Dzieci ją uwielbiały, miała pomóc w ich wychowaniu. Była wdową, jej mąż Juliusz Merak poległ walcząc z bolszewikami[239].

W Poznaniu, gdzie od 1920 roku w związku z angażem profesora na uniwersytecie[240] zamieszkała rodzina Kaszniców, żywe były echa jednego z nielicznych zwycięskich zrywów narodowych – powstania wielkopolskiego. Tam wszystko się zaczęło: 27 grudnia 1918 roku tłumy poznaniaków, nieprzywykłych do życia w wolnym kraju, z entuzjazmem witały jadącego odkrytą limuzyną sławnego gościa – pianistę i dyplomatę (późniejszego premiera) Ignacego Jana Paderewskiego. Jego przemówienie z balkonu miejscowego Hotelu Bazar wlało w serca Polaków nadzieję i wiarę. Podjęli broń, aż wywalczyli wolność.

Gdy powstanie miało się ku końcowi, Stanisław był 10-letnim chłopcem. Dziejowe wydarzenia odgrywały się jednak na oczach dziecka, wywierając na nie istotny wpływ. Ojciec robił zresztą wiele, aby przechować pamięć o polskim czynie niepodległościowym. Młodzieniec chętnie słuchał opowieści o rodzimej historii. Szczególnie jako uczeń miejscowego elitarnego gimnazjum im. Karola Marcinkiewicza (nazywanego pieszczotliwe „Marcinkiem”), które ukończył w 1926 roku[241].

Żaden z przedstawicieli rodu nie pozostał głuchy na wezwanie ojczyzny do walki w jej obronie. Służyli jej również podczas pokoju ciężką, rzetelną pracą, angażując się w różnorodne formy działalności na polu publicznym. Swoją niezłomną postawą i wytrwałą aktywnością zasłużyli sobie na szacunek i ważne miejsce w historii Polski. W kryzysie i niewoli ponosili koszty nierzadko większe niż inni[242] – przypomina Marta Szczesiak-Ślusarek.

Gdy oblicze polskiej polityki całkowicie odmienił przewrót majowy dokonany przez zwolenników marszałka Józefa Piłsudskiego, młody adept nauki związał się z ruchem narodowym. Szedł pod prąd i zawsze bronił swoich poglądów. *Występował ostro przeciwko sanacji przy wyborach*

sejmowych, rozwijał żywą działalność, narażając się nieraz na guzy[243] – wspominał studencką aktywność syna prof. Kasznica.

Jeszcze jako student Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu w Poznaniu (w latach 1928–1933, z przerwami na służbę wojskową) Stanisław rozpoczął działalność w Obozie Wielkiej Polski (OWP) i Młodzieży Wszechpolskiej. Udzielał się w tzw. Bratniej Pomocy, był też członkiem, a następnie prezesem (od 1938 roku) Polskiej Korporacji Akademickiej Helionia. Działał również w Związku Akademickim Młodzież Wszechpolska, udzielał się w Aeroklubie Wielkopolskim[244].

Akademicki okres życia ukształtował Kasznicę w znacznym stopniu. To wtedy zaczął udzielać się politycznie, zostając reprezentantem nurtu prawicy, dla którego najwyższą wartość stanowił naród. Nie porzucił tej drogi aż do śmierci. Wtedy też nawiązał znajomości na całe życie. Jego przyjacielem z uczelnianej ławki był Lech Neyman, rówieśnik, który zginie razem z nim w jednej egzekucji…[245]

W latach 1931–1932 Kasznica junior odbył szkolenie wojskowe, przydzielony do Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. Dyplom uczelni otrzymał w 1933 roku, ale do wykonywania zawodu konieczna była aplikacja. Znalazł zatrudnienie w znanej warszawskiej kancelarii, należącej do Ignacego Weinfelda. Później na jakiś czas zamieszkał w Gnieźnie, gdzie zarabiał jako radca prawny. Wszelkie potrzebne egzaminy złożył do 1935 roku.

Nieco wcześniej, w 1934 roku, wstąpił do Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR-ABC). Nie był szeregowym członkiem, a ważnym ogniwem działalności tajnych struktur Organizacji Polskiej (OP). Miał wtedy 26 lat i już jasno sprecyzowane poglądy na życie. Nie zmienił tego nawet fakt delegalizacji ONR przez władzę sanacyjną (jeszcze w 1934 roku)[246]. Kasznica skupił się na aktywności wśród studentów – wraz z Neymanem wspólnie organizowali tzw. Młodzież Narodowo-Radykalną, która działała na poznańskiej uczelni legalnie od 1937 roku. Obaj próbowali szerzyć idee narodowe także wśród gimnazjalistów[247].

O wojnie od [19]38 r. stale słyszeliśmy i szczerze mówiąc my, dzieci, bardzo życzyliśmy sobie (po cichu…!) zapoznać się z nią, gdyż płynęła w nas krew Powstańców 1863 r., konspiratorów, prawdziwych konspiratorów. A do tego mieliśmy bujną wyobraźnię, więc wyobrażaliśmy sobie nasz udział w walce z wrogiem niemały i bohaterski… Nic więc

dziwnego, że gdy chłopcy [Stanisław i Jan – W.K.] *przywieźli o dziesiątej rano wiadomości ze wsi, że wojna o czwartej rano rozpoczęła się, że Niemcy wkroczyli w nasze granice, to radość nasza i podniecenie było wielkie*[248] – wspominała siostra Stanisława.

Agresja Niemiec na Polskę 1 września 1939 roku rzuciła ciągle młodego, bo zaledwie 31-letniego, prawnika w wir wojny. Kasznica na krótko przed jej wybuchem (na początku roku) przyjechał z Gniezna do Warszawy. Był przygotowany do służby – ostatnie ćwiczenia odbył w 1938 roku. Zmobilizowano go do wojska, wraz z bratem Janem, 25 sierpnia 1939 roku.

W czasie kampanii polskiej jako podporucznik walczył w składzie 7 Dywizjonu Artylerii Konnej, organizacyjnie włączonej do Wielkopolskiej Brygady Kawalerii pod dowództwem gen. Romana Abrahama (w składzie Armii „Poznań"). Dowodził I plutonem 2 baterii. Uczestniczył w bojach nad Bzurą. Następnie przebijał się do Warszawy przez Laski, Sieraków i Kutno, aż w końcu dotarł do stolicy. Brał udział w obronie miasta[249].

Jego brat nie miał tyle szczęścia, poległ w walce pod Laskami, 18 września. Tymczasem Stanisław kończył kampanię ze stopniem porucznika i srebrnym krzyżem Virtuti Militari V klasy na piersi. Tym samym odznaczeniem pośmiertnie uhonorowano też jego brata[250].

Profesor Kasznica zapisał w wojennych notatkach: *Bracia odbywali służbę w dwóch różnych bateriach, każda z nich gdzie indziej była odkomenderowana. Spotkali się jednak pod Warszawą w Puszczy Kampinoskiej. Staś nam później opowiadał, że znalazł go* [Jana – W.K.] *w skrajnej rozpaczy z powodu strasznej, nieoczekiwanej klęski. Poszedł na zwiady z żołnierzem. Żołnierz wrócił, on nie. Staś był przekonany, że zginął i że szukał śmierci. My nie wierzyliśmy temu…*[251]

Walka osamotnionego Wojska Polskiego z dwoma agresorami (17 września wschodnie województwa Rzeczypospolitej zaatakowała bez wypowiedzenia wojny, realizując postanowienia paktu Ribbentrop–Mołotow, Armia Czerwona) była z góry przegrana. Zajęto, a następnie „wytarto" z mapy młode, bo zaledwie 21-letnie państwo, ale Polska nie skończyła się nagle w październiku 1939 roku.

Jeszcze w toku walk o Warszawę, 27 września, powstała tajna organizacja Służba Zwycięstwu Polski, będąca zaczątkiem Polskiego Państwa Podziemnego (w listopadzie 1939 roku SZP została przemianowana na Związek Walki Zbrojnej). I właśnie działalność w jego

strukturach, także różniących się od siebie znacząco, mocno ukształtowała przyszłych „żołnierzy wyklętych”. Zaczęła się długa droga naznaczona cierpieniem, wcale nie gwarantująca ostatecznego sukcesu.

Kasznica był jednym z tych, którzy zstąpili do podziemia zaraz po kapitulacji kraju. *[…] zrzucił mundur i od razu wskoczył w robotę konspiracyjną i odtąd bez przerwy trwał w niej aż do chwili swego aresztowania, podejmując coraz ryzykowniejsze zadania i zajmując coraz odpowiedzialniejsze stanowiska*[252] – zapisał we wspomnieniach ojciec przyszłego komendanta NSZ.

Choć okupacja stała się faktem, Stanisław zdecydował się pozostać w Warszawie. Tymczasem w Poznaniu okupanci wzięli prof. Kasznicę (i wielu innych pracowników uniwersyteckich) za zakładnika i osadzili w jednym z ośrodków odosobnienia[253]. Tak czyniono z cywilami, których planowano wywieźć na obszar Generalnego Gubernatorstwa. Co się z nimi stało? Przetransportowano ich koleją do Limanowej i… pozostawiono na pastwę losu. Najbliżsi konspiratora przetrwali tylko dzięki pomocy krewnych, mieszkających w Kroczowie[254].

Stanisław, działający już od miesięcy w warszawskim podziemiu, robił, co mógł, aby poprawić los najbliższych. Dopiero w 1942 roku udało mu się jednak namówić ich na przeprowadzkę do stolicy. Kasznica uruchomił kontakty i polecił ojca do pracy w Delegaturze Rządu. Szczęśliwie profesor otrzymał posadę w Departamencie Spraw Wewnętrznych. To właśnie w Warszawie napisze *Polskie prawo administracyjne*, opublikowane w podziemnej drukarni Służby Cywilnej Narodu (SCN), będące pozycją obowiązkową dla każdego uczestnika tajnych kompletów z zakresu prawa[255]. Młodsi bracia Kasznicy także rozpoczęli konspiracyjną działalność, zaciągając się do Armii Krajowej. Siostra – Eleonora – pracowała w organizacji Pomoc Żołnierzowi (popularna „peżetka”)[256].

Stanisław działał wówczas w Grupie „Szańca” – tajnej organizacji o rodowodzie ONR-owskim. Odpowiadał za sprawy administracyjne, piastując kierownicze stanowisko w Komisariacie Cywilnym. Współtworzył też Organizację Wojskową Związku Jaszczurczego (OW ZJ).

Spotykałem się z nim często, regularnie. Obcowaliśmy ze sobą na gruncie spraw publicznych, walki z okupantem. Tkwił głęboko, całą swą istotą w swej organizacji, walczył odważnie z ciągłym narażaniem życia. Wyżywał się w niej, zaspokajał swoją ambicję, czerpał zadowolenie z tego, że jest

kimś, że może perorować, że jest słuchany, że rządzi na pewnym odcinku… [257] – wspominał ojciec Stanisława.

We wrześniu 1942 roku w życiu ciągle młodego konspiratora nastąpił przełom – kilkanaście organizacji o proweniencji narodowej weszło w skład Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). Choć na mapie polskiego podziemia niepodległościowego powstał nowy, znaczący podmiot, nigdy nie był on jednolitą strukturą. Przykładem wewnętrznych tarć w NSZ były dalsze losy Kasznicy.

Zanim jednak został postawiony przed kolejnym ważnym wyborem, umiejętnie korzystał ze swojego talentu organizatorskiego. Był szefem Administracji Ogólnej SCN – wcześniej działał w Związku Jaszczurczym (z którego wyłoniła się SCN). Współtworzył tajną administrację na okupowanych ziemiach zachodnich, przygotowując je do włączenia w przyszłości w obszar powojennej Polski. Za sprawy cywilne odpowiadał także po wejściu w lipcu 1943 roku do Prezydium Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej (TNRP). Wobec dalszych wypadków nie widział jednak możliwości współdziałania z Armią Krajową[258].

Naród polski musi raz jeszcze – jak w roku 1918 – stworzyć administrację państwową, niemal z niczego. Szczególnie w administracji ogólnej nie będzie fachowców. Już dziś powstały zręby nowej polskiej administracji oparte o Obóz Narodowy, na których naród nasz będzie mógł spokojnie oprzeć się w budowie Wielkiej Polski i skutecznie zlikwidować wszelkie próby zamachowe komunizmu czy sanacji[259] – napisano w notce „od wydawców”, dołączonej do *Polskiego prawa administracyjnego*. Książka, jak wierzono, miała wychować nowe pokolenia Polaków, którzy z powodzeniem poświęcą się odbudowie administracji państwowej.

Kasznica nie tylko zajmował się działalnością w terenie – organizacją struktur administracyjnych na okupowanych obszarach – lecz także przygotowaniem kadr. Odpowiadał m.in. za szkolenia członków NSZ, współtworzył siły policyjne, czyli formację Obrony Narodowej (ON), w której ramach funkcjonowały tzw. trójki antykomunistyczne. Zasługą przyszłego komendanta NSZ było też stworzenie od podszewki regulaminu sądów kapturowych dla SCN[260].

Zdecydowanie opowiadał się on za powrotem w granice przyszłej Polski tzw. Ziem Zachodnich. Koncepcja oparcia zachodniej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej nie była wymysłem komunistów, lecz pojawiła się

w prasie środowisk narodowych już w końcu 1940 roku. Apelowano o walkę na rzecz „Wielkiej Polski”, podnosząc głównie aspekt terytorialny. Jednocześnie postulowano odzyskanie ziem wschodnich. Powojenną Rzeczpospolitą widziano jako państwo zarówno ze Szczecinem i Wrocławiem, jak i Lwowem oraz Wilnem[261].

Początek roku 1944, kiedy kierownictwo AK wydało rozkaz do rozpoczęcia akcji „Burza”, okazał się znamienny dla przyszłości Kasznicy. Komendant główny gen. Bór-Komorowski, w celu usprawnienia akcji ujawniania się i przejmowania okupowanych dotąd terytoriów z rąk Niemców, zarządził podporządkowanie się AK innych, mniejszych konspiracyjnych struktur.

Część członków NSZ – podobnie jak Armia Ludowa czy Bataliony Chłopskie – uszanowała tę decyzję, podpisując w marcu 1944 roku umowę scaleniową. Inni, wśród nich Kasznica, pozostali wierni tradycji ONR-u. Funkcjonowały odtąd dwie niezależne struktury pod szyldem NSZ, dla rozróżnienia nazywane NSZ-AK i NSZ-ONR[262].

Dodatkowo, w lutym 1945 roku, z inicjatywy Stronnictwa Narodowego rozpoczęło działalność Narodowe Zjednoczenie Wojskowe (NOW). Grupowało oddziały narodowców, którzy uznali wcześniej przewodnictwo AK.

Po podziale środowiska narodowego Kasznica pełnił jeszcze kilka istotnych funkcji. Współtworzył Radę Polityczną NSZ; był też ważnym ogniwem Organizacji Polskiej (OP), działając w dwóch Komitetach: Wykonawczym i Politycznym. W połowie 1944 roku był już na szczeblach władzy. Najpierw, od lipca, jako szef I Oddziału Komendy Głównej NSZ, potem, od września tego roku, jako komendant Okręgu VIII z siedzibą w Częstochowie (później przemianowany na Okręg V). Na tym stanowisku zastał go wybuch powstania warszawskiego.

To właśnie z Częstochowy potajemnie przedostał się on do walczącej z Niemcami stolicy, aby wspomóc powstańców, choć – jak podkreślała jego siostra – uważał wybuch walk w Warszawie za złą decyzję. Dowodził grupą złożoną z ok. 30 żołnierzy NSZ, walczącą na Ochocie[263]. W powstaniu wzięli też udział dwaj jego bracia. Andrzej walczył w pułku „Baszta”[264] na Mokotowie, Wojciech – w Batalionie „Łukasiński” na Starym Mieście[265]. W ogarniętej powstaniem Warszawie, a ściślej na Powiślu,

przebywała też siostra Kaszniców – Eleonora. Jako peżetka została przydzielona do Grupy Bojowej „Krybar”[266].

Wysokie straty własne sprawiły, że oddział Kasznicy faktycznie przestał istnieć po trzech dniach walk, a sam komendant okręgu częstochowskiego zdecydował o wyjściu z rujnowanej z premedytacją przez Niemców Warszawy. Opuścił ją wraz z uchodzącą z miasta ludnością cywilną. Kierunek wydawał się oczywisty – Częstochowa. Rodzina Stanisława przez jakiś czas mieszkała blisko niego – uchodząc przez Sochaczew dotarła do podczęstochowskiej wsi Lipie. Potem profesor wraz z żoną wrócili do Poznania. Naukowiec ponownie zatrudnił się na uniwersytecie[267].

Tymczasem Kasznica przebywał pod Jasną Górą do kwietnia 1945 roku, po czym przeniósł się do rodzinnej Wielkopolski (żona i dzieci zostały w Częstochowie). Komenda NSZ wysyłała zaufanych ludzi na tereny poniemieckie (w tym i Pomorze), aby zorganizować tam sprawnie działającą siatkę antykomunistyczną.

Kasznica zamienił więc Okręg VII na II, z kierownictwem w Poznaniu. Przebywając w mieście, które bardzo dobrze znał, kierował też Inspektoratem Obszaru Zachodniego Dowództwa NSZ. Tymczasem skończyła się długa, wyniszczająca polskie państwo i naród wojna. Okoliczności nie były jednak sprzyjające; od kilku miesięcy nie istniała już AK. Nowy nieprzyjaciel przyszedł ze Wschodu – władza komunistyczna popierana przez miliony żołnierzy Armii Czerwonej i tysiące funkcjonariuszy represyjnych struktur totalitarnego systemu. Ale opór się nie skończył.

Kasznica, jak wielu jego towarzyszy walki, pozostał w konspiracji. Związał się jawnie z antysowiecką organizacją „NIE”, od marca 1945 roku zastępował komendanta „NIE” na ziemiach zachodnich (Okręg Poznań) – Jana Kamieńskiego „Konara” (delegowanego na to stanowisko przez gen. Augusta Emila Fieldorfa). Kasznica i Kamieński szybko nawiązali dobrą współpracę, obaj – jako członkowie OP – byli sobie bliscy ideowo. Po miesiącu Kasznica sam objął funkcję szefa Okręgu Poznańskiego wspomnianej organizacji. W lipcu kierował Radą Inspektorów przy Dowództwie NSZ[268].

Po wojnie, przebywając już w Poznaniu, wstąpił dla zmylenia komunistów do Milicji Obywatelskiej. Chodziło o infiltrację struktur

milicyjno-wojskowych nowej władzy w celu zdobycia niezbędnych informacji o ich funkcjonowaniu[269].

Kasznica z powodzeniem przeniknął też do środowiska akademickiego swojej dawnej uczelni, gdzie m.in. z jego inspiracji powstały tajna Legia Akademicka oraz organizacja Pokolenie Polski Niepodległej (filia działała w Gdańsku). To on stał też za powołaniem do życia tzw. Armii Polskiej, której głównym celem było stworzenie sprawnie działającego wywiadu. Łączył więc działalność *stricte* wojskową z polityczną, jednocześnie pozostając aktywnym działaczem akademickim.

Cztery miesiące po wyznaczeniu Kasznicy na funkcję Inspektora Okręgów I (pomorskiego) i II (poznańskiego), a także szefa Okręgu Poznań NSZ, terytorium kraju opuścił jego bezpośredni przełożony, a zarazem komendant NSZ, Zygmunt Broniewski „Bogucki". Naturalną koleją rzeczy było scedowanie jego dotychczasowych obowiązków na Kasznicę[270]. Obaj spotkali się wcześniej, w lipcu 1945 roku, w podwarszawskim Brwinowie. „Bogucki" zostawił swojemu następcy niezbędne wskazówki i instrukcje, sam udał się natomiast na Zachód do gen. Władysława Andersa. Przed wyjazdem, 5 lipca, wydał ostatni rozkaz nakazujący dalszą antysowiecką działalność[271].

Łudzono się jeszcze, że wkrótce wybuchnie III wojna światowa, a Zachód tym razem poważnie zaangażuje się w rozwiązanie „sprawy polskiej". Były to jednak płonne nadzieje, tak jak w 1939 roku. Alianci zachodni nie zamierzali drażnić Stalina, swojego bądź co bądź sojusznika. Z czarnym scenariuszem liczył się oczywiście ostatni komendant NSZ, dlatego – jak wynika z relacji Stefana Nowickiego „Rogala", autora *Zapisków i wspomnień*, który w grudniu 1945 roku uczestniczył w tajnym spotkaniu Komitetu Politycznego OP z Kasznicą na czele – myślał o przedostaniu się na Zachód wraz ze swoimi oddziałami[272].

Fakt, że rozpatrywał taką ewentualność, potwierdziła jego siostra Eleonora. Jak podkreśliła, była ponoć nawet możliwość przerzutu brata do któregoś z zachodnich krajów drogą lotniczą, ale ten nie chciał opuścić swych podkomendnych. Przeczuwał jednak, że jego dni na wolności są policzone[273].

Kasznica, jako podpułkownik, dalej jednak tkwił w oporze. Jak wspomniano, pełnił obowiązki dowódcy całej organizacji – sprawował zwierzchnictwo nad trzema obszarami, na które składało się 11 okręgów

NSZ. Od czerwca był też zwierzchnikiem wywiadu OP, w której piastował także inne kierownicze stanowiska[274].

Na przełomie lat 1945/1946 podporządkował resztki NSZ Narodowemu Zjednoczeniu Wojskowemu (NOW). Zaangażował się także w działalność dywersyjną i wywiadowczą, finansową przez USA (CIC – wywiad wojskowy) – zbierał informacje o sytuacji politycznej, gospodarczej i wojskowej na ziemiach polskich, a następnie przekazywał je na Zachód[275].

Pełnienie tylu funkcji jednocześnie nastręczało nie tylko trudności natury formalnej, lecz także mogło usypiać czujność. Mogło się to skończyć tragicznie, wiadomo bowiem, że polscy komuniści i wspierający ich Sowieci urządzali w owym czasie liczne obławy na partyzantów. Tych, których nie udało się złapać, kuszono amnestią i obietnicami wolności.

O tym, ile były warte takie „słowa honoru”, żołnierze podziemia przekonali się nie raz. Przykładem choćby żona legendarnego partyzanta mjr. Jana Piwnika „Ponurego”, kierowniczka wydziału łączności zagranicznej Oddziału V Komendy Głównej ZWZ-AK, która, ufając płk. Różańskiemu, wyjawiła informacje o członkach Zrzeszenia WiN, z płk. Janem Rzepeckim na czele[276]. Skończyła tragicznie. Targana wyrzutami sumienia, popełniła samobójstwo[277].

Komendant Kasznica nie miał takich dylematów, ale musiał uważać. Dochodziły do niego głosy o aresztowaniach członków OP z Poznania. Musiał wyjechać ze stolicy Wielkopolski[278]. Ukrywał się m.in. w Łodzi i na Podhalu. Zmienił wygląd – zapuścił wąsy, wyrobił fałszywe dokumenty na nazwisko Piotrowski. Ale wszędzie było mnóstwo donosicieli, opłacanych z państwowej kasy. Mimo to miesiącami był bezskutecznie poszukiwany przez połączone siły UB i NKWD. Urządzano na niego obławy w rodzinnym majątku w Krosinku, próbowano go złapać także w Poznaniu[279].

Właściwie nieuchwytny pozostał sztab zachodniego obszaru [NSZ], kierowany przez Kasznicę, który jest również zastępcą komendanta głównego NSZ[280] – raportował 19 grudnia 1945 roku w piśmie do Berii Siergiej Dawydow, funkcjonariusz NKWD przeniesiony do stołecznego MBP. W tym samym dokumencie Dawydow meldował, że organy bezpieczeństwa publicznego zadały siłom NSZ „znaczący cios”, aresztując

tylko w październiku i listopadzie 879 członków tej formacji. Zarzucono im działalność „terrorystyczno-dywersyjną”.

Za zwalczanie podziemia odpowiadał Departament III stołecznego resortu. W 1947 roku ta sama komórka wydała rozkaz zatrzymania Kasznicy, oskarżając go m.in. o działalność agenturalną. Podpisał go kpt. Roman Wysocki, zastępca kierownika Wydziału III Departamentu VIII MBP. Także Dawydow w raporcie zapewniał, że *podjęto kroki w celu wykrycia i likwidacji sztabu Obszaru Zachodniego*. Za pomoc w schwytaniu „groźnego bandyty” wyznaczono nagrodę pieniężną[281].

To, że Kasznica wpadnie w końcu w sidła UB, wydawało się nieuniknione. Tak też się stało. Ostatni komendant NSZ został podstępnie aresztowany w Zakopanem 15 lutego 1947 roku, gdzie zatrzymał się wraz z rodziną (w willi „Hanna”). Małżonkowie nie spodziewali się „gości”. Córka Kasznicy na własne oczy widziała, jak tajniacy przeszukują pokój i brutalnie biją jej ojca. Rewizja okazała się jednak skuteczna – tajna dokumentacja zawierająca m.in. adresy członków OP wpadła w ręce komunistów[282].

Jak ubecy odnaleźli ukrywającego się Kasznicę? Najprawdopodobniej wpadli na jego trop wskutek donosu jednego ze współpracowników (Eleonora Kasznica wskazała nazwisko Leszka Proroka[283], byłego współpracownika jej brata ze struktur ONR w Poznaniu). Ubecy doskonale orientowali się w sytuacji, musieli otrzymać więc dokładną informację o miejscu pobytu poszukiwanego. Z relacji siostry aresztowanego wynika, że nawet po wydaniu jej brata konfident zamierzał inwigilować rodzinę Kaszniców[284].

Po wojnie nie działa mu się krzywda i miał się dobrze. Potem przyszedł do nas i mi się oświadczył! Kazali mu. Pamiętam, że ojciec poprosił mnie i mamę do pokoju, a jego wyprosił, wyrzucając mu, ze wydał jego syna UB. Prorok zachował się podle i całkowicie poddał się strachowi, ogłupiał po prostu. Przecież był związany z inną dziewczyną, wszyscy o tym wiedzieli, ale musiał wykonać polecenie i przyszedł z tymi oświadczynami. Chodziło o to, by dojść do nas, wejść do naszej rodziny[285] – wspominała Eleonora Kasznica.

Schwytany dowódca NSZ miał dopełnić swych dni za kratkami mokotowskiego więzienia, dokąd trafił po pobycie w areszcie MBP przy ul. Koszykowej. Rodzina praktycznie nie wiedziała, co się z nim dzieje. Ojciec, dzięki kontaktom na poznańskiej uczelni (był dziekanem), dysponował szczątkowymi informacjami z drugiej ręki, dostarczanymi przez zaufane osoby. Tymczasem komuniści milczeli. Nikogo z najbliższych aresztowanego nawet nie przesłuchali.

Kasznica coraz więcej traci na humorze i załamuje się. Mówi, że pragnąłby już mieć sprawę sądową i wyrok, i zdaje sobie sprawę, że czapa go nie minie. Jest religijny, więc życia sobie nie odbierze i lepiej niech to uczynią przedstawiciele bezpieczeństwa. Nadmienia, że ppłk Różański ma już wyrok na niego przygotowany. Powiedział, że gdy wieczorem czasem gaśnie światło, to jego oficer śledczy ucieka za drzwi. Widzi Kasznica, że ma dobrze wyrobioną markę, gdyż nawet w więzieniu komuniści się go boją, żeby w ciemności nie udusił[286] – relacjonowano w jednym z więziennych donosów, o których wspominał płk Światło.

„Śledztwo w sprawie groźnego bandyty", jak Kasznicę rysowali komuniści, zakończyło się po roku. Aż tyle czasu próbowano złamać ostatniego dowódcę NSZ, stosując kary cielesne i wpływając różnymi, wyrafinowanymi metodami na jego psychikę.

Zeznania, które złożył poddawany brutalnemu śledztwu więzień, wyczerpany fizycznie i mentalnie, trudno uznać za wiarygodne. Inaczej bowiem nie można wytłumaczyć faktu nazwania przez Kasznicę likwidowanych przez podległe mu struktury członków PPR „działaczami demokratycznymi". *Trójki antykomunistyczne na podstawie własnego wywiadu ustalały lokale organizacyjne stronnictw demokratycznych i aktywnych działaczy demokratycznych, których w następstwie masowo likwidowano. Przy likwidacji działaczy demokratycznych wywiązywała się strzelanina za ich osłoną, co pociągało za sobą dalsze ofiary*[287].

O tym, że Kasznica miał na sobie ślady wskazujące, iż był torturowany, świadczy relacja jego siostry, Eleonory. Przed ogłoszeniem wyroku zezwolono na krótkie spotkanie rodzin z oskarżonymi. Komendant NSZ po raz ostatni w życiu zobaczył matkę, siostrę i żonę – Reginę z domu Niedźwiałkowską (w związku małżeńskim od grudnia 1939 roku).

Eleonora Kasznica pamiętała brata jako zawsze gotowego do działania, pełnego pomysłów, wręcz tryskającego energią człowieka. Wtedy ujrzała

przygarbionego mężczyznę, który wyraźnie miał dosyć. *Pamiętam, że spytał mnie, czy przypominam sobie potężnego mężczyznę, który siedział za mną na sali sądowej, i powiedział, że gdy na rozprawie mówił coś niezgodnego z tym, co zeznawał podczas śledztwa, to był później przez tego człowieka rozliczany – bity*[288].

Brat miał na twarzy szramy po pobiciu i placki na głowie po wyrwanych włosach. Ręce miał już w porządku, ale wyrywali mu paznokcie. Mówił, że trzymali go zimą w celi z wodą po kolana, miał wybite zęby. Zwróciłam uwagę, że jest bardzo szczupły, mizerny. […] Spokojnym głosem opowiadał nam o tym wszystkim, a więc o torturach. W końcu same widziałyśmy te blizny. Jeszcze miał nadzieję, że go wypuszczą, ale była to nadzieja ludzi, którzy nie tracą nadziei[289].

W innej rozmowie siostra Kasznicy tak relacjonowała ostatnie widzenie z bratem: *Był strasznie zmieniony, widać było, szramy, bez zębów, opowiedział nam o swoich torturach, żeby wiedzieć, ja mówiłam: „Słuchaj, ja dopadnę tego, kto cię wydał”. A on mówi: „Słuchaj, Ela, ten kto nie przeszedł tortur, to nie ma prawa osądzać, bo jedni wytrzymają, a inni nie są w stanie wytrzymać, więc nie wolno mścić ci się”*[290].

Jak zapamiętali najbliżsi skazańca, podczas spotkania były widoczne u niego objawy gruźlicy, związane z fatalnymi warunkami panującymi w celi, a także stosowanymi przez komunistów torturami. Ślady po wyrywanych włosach oprawcy starali się ukryć przez ogolenie przesłuchiwanemu całej głowy. *Próbą złamania więźnia było osadzenie go w celi z człowiekiem, który podczas prowadzonego śledztwa dostał szału i zagrażał więźniowi*[291].

Ojciec oskarżonego napisał we wspomnieniach*: Na sesji sądu, na której ogłoszono wyrok, były obecne jego żona, Leońcia i Elunia. Rozmawiały z nim jakieś pół godziny: opowiadał o tym, co przeszedł w śledztwie. Był opanowany, spokojny, nawet pogodny. Odniosły wrażenie, że nie wierzy w możliwość wykonania wyroku*[292].

Proces rozpoczął się 11 lutego 1948 roku i budził niemałe zainteresowanie mediów. Prasa i radio, rzecz jasna wcześniej odpowiednio poinstruowane, językiem najgorszej propagandy na bieżąco relacjonowały przebieg „rozpraw”, zamieszczając m.in. wyciągi z zeznań oskarżonych. Oprócz Kasznicy i Neymana sądzono także czworo innych NSZ-owców: Mieczysława Paszkiewicza, Andrzeja Jastrzębskiego, Wandę Skalską

(Salską) oraz Stefanię Żelazowską-Sokołowską. Składowi sędziowskiemu przewodniczył ppłk Alfred Janowski. Obok niego zasiedli mjr Stanisław Chojnacki i por. Henryk Szczepański. Mowy oskarżycielskie z niebywałym zacięciem wygłaszał prokurator płk Czesław Szpądrowski[293].

„Życie Warszawy" z 13 lutego 1948 roku donosiło: *Kasznica Stanisław. Adwokat. Komendant główny NSZ i twórca krwawych „trójek". Zeznaje równym, spokojnym głosem, okresami potoczystymi, czyściutko wymuskanymi. Nigdy w głosie nie zadrży wzruszenie. Jakiekolwiek. Jest w tym człowieku jakaś gładka, wytworna i obłudna układność, za którą czai się dobrze opanowany strach – i coś ponadto. Nienawiść…*[294]

Kasznicy zarzucono współpracę z Gestapo (tajna niemiecka policja polityczna), zwalczanie partyzantki komunistycznej, stworzenie „morderczych" sądów kapturowych[295] i działalność wywiadowczą na rzecz obcych państw[296]. Innym zarzutem była kolaboracja z Niemcami. *Operowałem określeniami wróg nr 1 wróg nr 2. Niemcy zmieniły się we wroga nr 2. To było istotne przesunięcie tylko, a nie kwestia przyjaciel czy wróg*[297] – tłumaczył ostatni komendant NSZ.

Zeznając przed sądem, mówił wyważonym głosem, nie dał się ponieść emocjom. Przyznał się do ukrywania pod fałszywym nazwiskiem, a także unikania służby w Wojsku Polskim, dowodzonym przez oficerów z sowieckiego nadania[298].

Wojskowy Sąd Rejonowy w końcu orzekł, że oskarżony winien jest popełnionych „zbrodni". Postępowanie, które z rzetelnym procesem nie miało nic wspólnego, zakończyło się skazaniem podsądnego czterokrotnie na śmierć, utratę praw obywatelskich i honorowych „na zawsze", a także przepadek mienia. Neyman także miał być stracony. Pozostali sądzeni usłyszeli wyroki od 7 do 15 lat pozbawienia wolności. Wyroki końcowe odczytano 2 marca 1948 roku. Wtedy właśnie siostra skazańca, obecna na sali rozpraw, zapamiętała znamienny rosyjski akcent prokuratora.

Kasznica nie prosił o łaskę Bieruta, na ostatnim widzeniu z rodziną dziękował Bogu za wytrwanie tylu trudnych chwil. Jego ojciec próbował w toku procesu mediować u kard. Adama Sapiehy w Krakowie, mając jeszcze nadzieję, że syn uniknie śmierci na rzecz odsiadki w więziennej celi. Nie udało mu się jednak nic wskórać[299].

Oczekiwanie na egzekucję musiało być trudnym doświadczeniem, ale Kasznica znosił wszystko z godnością. Nie wyparł się idei, jakim służył.

Był przekonany, że walczył o suwerenną Polskę. Poświadcza to relacja jego ojca, wspominająca o więźniarce Rucie Czaplińskiej, córce znajomego prof. Kasznicy, którą osadzono w sąsiedztwie celi podpułkownika. *Porozumiewali się ze sobą alfabetem Mors[e]a. Po pewnym czasie znali już swoje nazwiska i rozmawiali ze sobą jako krewni. Później przenieśli go gdzie indziej, wiedziała jednak o nim wszystko od towarzyszy niedoli: cudownie z entuzjazmem wyrażano się o jego postawie ideowej*[300].

10 maja Najwyższy Sąd Wojskowy nakazał wykonanie wyroków. Dwa dni później Kasznica i Neyman stanęli, jeden po drugim, przed obliczem „kata Mokotowa". Była godzina 21.30, gdy Śmietański wystrzelił w kierunku ostatniego dowódcy NSZ. Piętnaście minut później nie żył także Neyman.

Przy egzekucji obecni byli: wicenaczelnik więzienia por. Mońko, lekarz – dr Stefania Jabłońska, duchowny – ks. Wincenty Martusiewicz. Wszyscy, wraz z wiceprokuratorem Naczelnej Prokuratury Wojskowej mjr. Stanisławem Cypryszewskim, złożyli podpisy na protokole wykonania wyroku śmierci z 12 maja 1948 roku. Stracony podpułkownik zostawił żonę i 8-letnią córkę…[301]

Świadkiem ostatnich chwil życia Kasznicy był Stanisław Salski, dobry znajomy komendanta, także osadzony na Rakowieckiej, który w trakcie jego egzekucji przebywał akurat w więziennym szpitalu. Widział, jak strażnicy wyprowadzali skazańca przez dziedziniec pod ścianę, gdzie jednym celnym strzałem pozbawiano więźniów jakiejkolwiek nadziei.

Staszek nie dał się prowadzić. Szedł oficerskim, sprężystym krokiem w stronę budy (buda stała vis-á-vis okien szpitala). Gdy dochodził, oprawca strzelił w tył głowy, kopniakiem wrzucił zabitego do budy. Następnie ciała w papierowych torbach chowano pod wiatrakami […] na terenie więzienia[302].

Absurdalne, ale prawdziwe, że kochający ojczyznę prawnik został uznany za zbrodniarza i skazany „w świetle prawa" na najgorszą karę. Choć wiele lat służył idei niepodległości, zaliczono go w poczet zdrajców i wyklęto ze społeczeństwa. Tak zbrodniczy system próbował eliminować tych, którzy nie godzili się z nowym porządkiem, co więcej, próbowali go zmieniać. Nic nie mogło po nich pozostać. Nawet grób.

Nie dziwi więc, że ostatni komendant NSZ nagle zniknął bez śladu. Rodzina, także prześladowana przez komunistów[303], mogła co najwyżej

snuć domysły. Ojciec straconego zanotował, że „przez dłuższy czas” miewano wątpliwości co do dalszego losu więźnia i jego ewentualnej egzekucji. Wraz z upływem lat, stopniowo znikały[304].

To była chyba poczta pantoflowa. Ktoś nam tę informację przekazał. Nie przyszło do nas żadne oficjalne pismo – opowiadała siostra zamordowanego[305], wspominając moment, w którym dowiedziała się o śmierci brata. Ale co do miejsca jego pochówku dalej mogła tylko spekulować.

Co się stało z NSZ po śmierci Kasznicy? Tydzień po pojmaniu ostatniego komendanta władze komunistyczne ogłosiły amnestię dla członków podziemia. Apele o ujawnianie się traktowano na ogół z rezerwą, ale część żołnierzy konspiracji postanowiła złożyć broń. Tak też zrobili niektórzy dawni podwładni podpułkownika, podporządkowani po wojnie strukturom Narodowego Związku Wojskowej (NZW – w jego ramach działały Narodowa Organizacja Wojskowa i NSZ)[306].

Pozostali wybrali inną drogę. Tkwili w ukryciu, dalej zbrojnie opierając się sowietyzacji kraju. Jako członkowie „leśnych” oddziałów rozbrajali miejscowe posterunki milicji, napadali na urzędy, nękali funkcjonariuszy władzy, likwidowali kolaborantów[307].

Najdłużej w oporze wytrwała Komenda Powiatowa NZW Bielsk Podlaski, która ujawniła się dopiero przy okazji amnestii z jesieni 1956 roku. Jednostki prowadziły samodzielną walkę jeszcze dłużej – rekordzistą był Andrzej Kiszka „Dąb”, zatrzymany przez SB 31 grudnia 1961 roku[308].

Kilka lat wcześniej, w 1957 roku, rodzina straconego ostatniego dowódcy NSZ wnioskowała o jego rehabilitację. Nie pomogła amnestia ogłoszona przez władze, a także częściowa odwilż polityczna, z którą tak wielkie nadzieje wiązali Polacy. Komuniści nabrali przysłowiowej wody w usta. Trzeba było czekać kilkadziesiąt lat, aby coś w tej materii uległo zmianie.

Dopiero wyrok Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego z 30 września 1992 roku zwrócił Kasznicy honor, uznając, że podpułkownik zginął, bo walczył o niepodległość[309]. W 2009 roku ostatni dowódca NSZ został pośmiertnie uhonorowany Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Było to kolejne wysokie wyróżnienie państwowe tego patrioty,

odznaczonego wcześniej Virtuti Militari i dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

Miejsce jego pochówku wciąż pozostawało nieznane. Jeszcze w 2005 roku zrezygnowana siostra ostatniego komendanta NSZ oznajmiła: *Nie jesteśmy w stanie go odszukać*[310]. A jednak. Dziś wiemy, gdzie oprawcy z więzienia mokotowskiego grzebali – choć to za dużo powiedziane – swoje ofiary.

20 lutego 2013 roku, na specjalnej konferencji zwołanej przez IPN[311], oficjalnie ogłoszono, że Stanisław Kasznica jest wśród kolejnej grupy zidentyfikowanych ofiar stalinowskiego terroru[312]. Jego szczątki przeleżały w bezimiennej mogile na Łączce prawie 65 lat.

Dziś kości podpułkownika znajdują się w wyeksponowanym miejscu powązkowskiej nekropolii wojskowej. Ze zlokalizowanej całkowicie na uboczu jamy grobowej, graniczącej z murem cmentarnym, a nawet zwykłym kontenerem na odpady (!), trafiły do Panteonu Żołnierzy Niezłomnych-Wyklętych.

HIERONIM DEKUTOWSKI – WYKLĘTY CICHOCIEMNY

Amnestia to jest dla złodziei, a my to jesteśmy Wojsko Polskie!
„Zapora” na wiadomość o ogłoszeniu amnestii
przez władze komunistyczne, luty 1947 r.

Rówieśnik niepodległej Polski. Los chciał, że o tę niepodległość przyszło mu walczyć. Doświadczony, ale ciągle młody. W chwili śmierci – 30-letni „starzec”. Żył krótko, choć niesamowicie intensywnie…

Cichociemny, szef Kedywu Inspektoratu AK Lublin-Puławy, dowódca zgrupowań partyzanckich poakowskiej organizacji WiN na Lubelszczyźnie i Rzeszowszczyźnie. Legenda partyzanta twardo opierającego się sowietyzacji Polski, konsekwentnie zamazywana w okresie komunizmu, przetrwała. Po dziś dzień symbolizuje całkowite oddanie ojczyźnie w skrajnie trudnych warunkach sowieckiego zniewolenia.

Dekutowski nie pamiętał okresu zaborów – gdy Polska powróciła na mapę świata, miał ledwie półtora miesiąca. Przyszedł na świat 24 września 1918 roku w Dzikowie pod Tarnobrzegiem (obecnie w granicach miasta). Rodzice – Jan i Maria – ochrzcili Hieronima 10 listopada 1918 roku, w przeddzień wielce symbolicznych wydarzeń, na pamiątkę których co roku obchodzimy jedno z najważniejszych świąt państwowych.

Chłopiec wychowywał się w wielodzietnej rodzinie – był najmłodszym spośród dziesięciorga dzieci Dekutowskich. Ojciec trudnił się blacharstwem, był właścicielem zakładu. W 1919 roku rodzina przeniosła się z prowincji do miasta – Tarnobrzeg znajdował się już w granicach odrodzonej Rzeczypospolitej. Raz wywalczona wolność nie jest jednak dana na zawsze, o czym Hieronim nie raz przekona się w przyszłości. Konieczność walki o ojczyznę, ale i poszanowanie dla tradycji oraz religii, wpajane już za młodu, będą mu bliskie aż do śmierci[313].

Naukę rozpoczął „Henek”, jak zwracali się do niego rówieśnicy, w 1925 roku. Uczęszczał do szkoły podstawowej im. hetmana Jana Tarnowskiego. Pięć lat później kształcił się już w miejscowym gimnazjum, także pod

patronatem wybitnego dowódcy, którego dokonania sławi jedna ze zwrotek hymnu państwowego[314].

Tarnobrzeskie gimnazjum nie było tylko miejscem, gdzie najmłodszy z Dekutowskich pobierał nauki. Uczył się też życia w wymiarze praktycznym, zaczął udzielać się społecznie. Wstąpił do Sodalicji Mariańskiej, krzewiącej wśród młodych uczniów ducha wiary katolickiej. Jako że uchodził za chłopca o niespożytej energii, w 1934 roku rozpoczął przygodę z harcerstwem, zostając członkiem drużyny im. gen. Jana Henryka Dąbrowskiego[315]. *Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść pomoc bliźnim i być posłusznym Prawu Harcerskiemu*[316] – ślubował nastolatek z Tarnobrzega.

Harcerstwo wiele go nauczyło, oswoiło z koniecznością radzenia sobie w trudnych, nieprzewidzianych warunkach. Towarzysze z zastępu zapamiętali Dekutowskiego jako wyjątkowo aktywnego, kochającego przygody, a przy tym zaradnego druha.

Wszędzie był niestrudzony druh „Reżu–Drewniak” [harcerskie przezwisko Dekutowskiego – W.K.]*: inicjator, organizator i wykonawca. Koledzy, a zwłaszcza młodsi, uznawali jego cechy, lubili go, imponował im. Był urodzonym wodzem, a przy tym bardzo zdyscyplinowanym. Przez cały okres pracy z Henkiem w harcerstwie, nie przypominam sobie ani jednego przypadku, aby dyskutował z jakimkolwiek poleceniem lub nie wykonał go*[317] – wspominał przyjaciel z młodzieńczych lat, Adam Przybylski.

W istocie, Dekutowski już za młodu był świetnym organizatorem. W tej roli jeszcze nie raz sprawdzi się w przyszłości, już jako żołnierz Wojska Polskiego. Zanim jednak założy mundur z orzełkiem, będzie się udzielał w hufcu przysposobienia wojskowego.

Jako harcerz nie bał się żadnej przygody, jako uczeń – nie brylował. Mając niespełna 20 lat, przystąpił do egzaminu dojrzałości. Wynik nie był zadowalający – po oblaniu egzaminu pisemnego z historii, języka niemieckiego i matematyki nie został dopuszczony do części ustnej. Zresztą już w czasie nauki gimnazjalnej przejawiał raczej zdolności manualne, najlepsze wyniki uzyskując z rysunku. Ale nie załamał się, marzył o podjęciu studiów[318].

Wiedza z historii była wtedy jego piętą achillesową, nic dziwnego więc, że Dekutowski ponownie oblał ten przedmiot na kolejnym egzaminie maturalnym, do którego przystąpił w lutym 1939 roku. W maju osiągnął

jednak to, do czego uparcie dążył. Do trzech razy sztuka – mógł powiedzieć zadowolony abiturient. Studia okazały się jednak mrzonką. Dekutowski nosił się co prawda z zamiarem zdawania na medycynę we Lwowie, ale tymczasem nastąpiła dziejowa, jak się okazało, katastrofa[319].

Wybuch wojny we wrześniu 1939 roku przekreślił plany 21-latka, choć jednocześnie przesądził o jego trwałym związku z wojskiem. Nie wiadomo jednak, czy Dekutowski walczył z Niemcami w kampanii polskiej. Dysponujemy jedynie informacją, że 8 września opuścił bombardowany od kilku dni Tarnobrzeg, najprawdopodobniej z zamiarem przedostania się do Lwowa[320]. Wcześniej, w pierwszych dniach feralnego miesiąca, udzielał się natomiast wraz z kompanami z Wojennego Pogotowia Harcerskiego, pomagając obrońcom rodzinnego miasta[321].

Według niektórych relacji miał na ochotnika zgłosić się do armii po tym, jak nie otrzymał przydziału bojowego. W listopadzie 1948 roku, w czasie odsiadki w celi mokotowskiego więzienia, już po skazaniu na karę śmierci, Dekutowski wspominał w „prośbie o łaskę” wystosowanej do prezydenta Bieruta o swojej służbie wojskowej we wrześniu 1939 roku. Nie udało się jednak potwierdzić wiarygodności tej informacji[322].

Co interesujące, w Kronice I Drużyny Harcerskiej, do której należał, zanotowano w 1940 roku, że po przedostaniu się na Zachód Dekutowski wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych i bohatersko poległ pod Narwikiem w Norwegii, uhonorowany wcześniej za odwagę na polu walki aż czterema Krzyżami Walecznych[323].

Jakie były fakty? Tarnobrzeski harcerz z pewnością nie brał udział w bojach o norweski port, co więcej, nie wstąpił nigdy do 1 Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, dowodzonej przez gen. Zygmunta Szyszko-Bohusza, która walczyła z Niemcami w dalekiej Skandynawii.

Jak Hieronim wydostał się z zajętej przez Niemców i Sowietów Polski? Prawdopodobnie udało mu się dotrzeć do wspomnianego Lwowa, skąd skierował się w stronę tzw. przedmościa rumuńskiego. 12 października 1939 roku dołączył do żołnierzy płk. Bronisława Ducha[324], którzy kierowali się w stronę granicy węgierskiej. Osiągnięto ją, przechodząc przez rejon Karpat Wschodnich, 17 października. Na terytorium Węgier Dekutowski został osadzony w obozie dla internowanych, z którego szybko uciekł. Przedostał się do Budapesztu, skąd najprawdopodobniej szlakiem przez Bałkany i Włochy dotarł do Francji[325].

Przebywając w północnej części tego kraju, pod koniec listopada został żołnierzem Armii Polskiej (tak nazywano zalążek PSZ na Zachodzie). Zaciągnął się do 2 Dywizji Strzelców Pieszych gen. Bronisława Prugar-Ketlinga, o czym wspominał w skreślonym własnoręcznie życiorysie. W marcu 1940 roku mianowano go starszym strzelcem.

W tym czasie Dekutowski, jako podchorąży, uczęszczał też do szkoły piechoty w Coëtquidan w Bretanii. Właśnie tam usłyszał wieść o kolejnej niemieckiej agresji, tym razem na Francję. W szeregach 2 DSP brał udział w kampanii obronnej, walcząc o wzgórza Clos du Doubs. Gdy klęska Francji zbliżała się wielkimi krokami (kapitulację podpisano w Compiègne 24 czerwca), Dekutowski na rozkaz dowództwa, wraz z innymi żołnierzami dywizji, przekroczył granicę ze Szwajcarią. Nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób ewakuował się następnie do Wielkiej Brytanii. Na brytyjskiej ziemi stanął najpóźniej 27 czerwca. Właśnie rozpoczynał się nowy, jakże ważny etap w życiu młodego żołnierza[326].

Skierowano go na północ, do Szkocji. Wraz z nastaniem nowego roku, już 1941, Dekutowski udał się do Dundee w celach kształceniowych. Niebawem został absolwentem tamtejszej podchorążówki. Służył też w 1 Brygadzie Strzelców gen. Gustawa Paszkiewicza, m.in. w plutonie czołgów. W 1943 roku przeniesiono go do Sekcji Szkolnej Ośrodka Radiowego Sztabu Naczelnego Wodza[327].

Ciesząc się poważaniem oraz ogólnie dobrą opinią, wziął udział w wielu kursach i szkoleniach, ważnych z punktu widzenia dalszej walki z okupantem. Wyraził chęć do działania w antyniemieckiej konspiracji na terenie okupowanej Polski, zgłaszając się w kwietniu 1942 roku na przeszkolenie „do pracy w Kraju”[328]. Same chęci jednak nie wystarczyłyby, aby trafić do elitarnego grona cichociemnych[329]. Mówiono o nich: „najlepsi z najlepszych”.

Dekutowski musiał więc odznaczyć się ponadprzeciętnością, udowodnić, że warto mu zaufać, że – niezależnie od okoliczności – spełni pokładane w nim nadzieje. Przełożeni bardzo chwalili sobie zaangażowanie młodego żołnierza. W jednej z opinii, przedłożonej zwierzchnikom jako uzasadnienie jego awansu, napisali: *Inteligencja duża. Dyscyplina, Wyniki b. duże. Lojalność […] b. duża. Opanowany, b. chętny i zdolny. Bardzo ambitny,*

sumienny, ideowy. Fizycznie silny. Zdolność org. duże. Jako dca i wychowawca – dobry. Ogólnie – bardzo dobry[330].

Szkolenia Polaków na brytyjskiej ziemi obejmowały nie tylko ćwiczenia fizyczne czy skoki spadochronowe, lecz także przygotowanie z dywersji oraz sabotażu. Każdy cichociemny poznawał metody działania konspiracyjnego, uczył się nawiązywania kontaktów, szyfrowania, radiotelegrafistyki i pracy wywiadowczej. Kursy praktycznych umiejętności łączono z wykładami – wiedza na temat tajników radzenia sobie w konkretnych sytuacjach, w zależności od warunków, mogła przecież uratować życie w rzeczywistości tak silnie naznaczonej przez terror i represje[331].

Istotną cechę szkoleń stanowiło kompleksowe przygotowanie kursantów. Przyswojenie sobie umiejętności oraz nabycie automatyzmu były tylko wstępnym etapem i nie decydowały o przydatności cichociemnego w ruchu oporu. W kraju potrzebowano specjalistów z różnych dziedzin, w tym oficerów dywersji, wywiadu, oficerów sztabowych itd., itd. Dlatego każdy z uczestników kursu walki konspiracyjnej musiał umieć poradzić sobie jako dowódca grupy[332] – pisze Kacper Śledziński, autor publikacji poświęconej cichociemnym.

Jakie zadania przydzielano takim członkom polskiej żołnierskiej elity jak Dekutowski? Cichociemni działali zgodnie z wiele mówiącą dewizą „Wywalcz Polsce wolność lub zgiń!” – po zrzucie do okupowanej ojczyzny było już za późno na jakikolwiek moment wahania. Spadochroniarze odpowiadali m.in. za szkolenie kadr dywersyjnych (jako instruktorzy i wykładowcy na podziemnych kursach), organizowanie i realizowanie działań dywersyjnych, a następnie przejście do partyzantki, działalność wywiadowczą w strukturach wywiadu ofensywnego Oddziału II KG AK, organizację łączności, a nawet odtworzenie lotnictwa w ramach sił zbrojnych. Elitarni spadochroniarze mogli być też emisariuszami politycznymi, dostarczającymi ważne informacje od Naczelnego Wodza do Komendanta Głównego AK. Celem nadrzędnym był jednak udział w powstaniu powszechnym, przygotowywanym przez władze Polski Podziemnej[333].

Jak podkreśla Jędrzej Tucholski, autor pierwszej polskiej monografii o tym elitarnym oddziale, spośród cichociemnych rekrutowało się wiele znanych postaci polskiej konspiracji: *komendant główny AK, 8*

komendantów i zastępców komendantów okręgów, 7 szefów sztabów i kilkunastu szefów oddziałów w KG AK, obszarach i okręgach[334].

Skoro Dekutowski stał się jednym z wybrańców, musiał przyswoić sobie wszystkie niezbędne zasady konspiracji. Był jednym z zaledwie 316[335] żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych (PSZ) na Zachodzie (nie licząc grupy 28 kurierów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych), których przerzucono drogą powietrzną do okupowanego kraju[336]. Przysięgę złożył 4 marca 1943 roku, przebywając w ośrodku szkoleniowym Audley End. Został pełnoprawnym cichociemnym. Odtąd znano go jako „Zaporę”[337].

Podpułkownik Michał Protasiewicz nie szczędził pochwał pod adresem młodego, ale gotowego do dalszych poświęceń rekruta: *Bardzo energiczny i pojętny. Bardzo ambitny. Dobry wpływ na otoczenie. Zdolności organizacyjne i dowódcze duże. Życiowo mało wyrobiony – raczej młodzieńczy. Spokojny, małomówny. Dyscyplina i lojalność służbowa – duża. Patriotyzm bardzo dobry. Ogólnie dobry. Nadaje się na stanowisko oficerskie*[338].

Minęło pół roku, zanim Hieronim położył stopę na polskiej ziemi. Zrzucono go wraz z dwoma towarzyszami z pokładu brytyjskiego bombowca Halifax pod Wyszkowem w nocy z 16 na 17 września 1943 roku[339].

Spadochroniarze nie mieli pewności, czy uda im się wylądować w uzgodnionym wcześniej miejscu, czy misja zakończy się szczęśliwie, czy też może wpadną w ręce nieprzyjaciela. Co prawda tylko pierwszy zrzut cichociemnych – z 15 lutego 1941 roku – odbywał się bezpośrednio nad terytorium Rzeszy, to i tak ryzyko było spore[340]. Na wszelki wypadek każdy żołnierz miał przy sobie, oprócz wyposażenia pierwszej potrzeby, dwie fiolki z trucizną. Ponadto, co zdarzało się już wielokrotnie wskutek niesprzyjających warunków pogodowych, w każdej chwili lot mógł zostać zawrócony. Tym razem szczęśliwie obyło się jednak bez przeszkód.

„Zapora” rozpoczynał najważniejsze zadanie życiowe, tym razem na ziemiach kontrolowanych przez nieprzyjaciela. Świeżo upieczony podporucznik potrzebował jeszcze trochę czasu, aby przygotować się do działania. Pojechał na krótko do Warszawy, gdzie na własne oczy zobaczył realia życia pod okupacją. Po niezbędnym okresie aklimatyzacji był gotowy do dalszej walki[341].

Skierowany w październiku 1943 roku na Zamojszczyznę[342], trafił pod komendę dowództwa Okręgu Lublin AK. Przydzielono go na krótko do oddziału Tadeusza Kuncewicza „Podkowy” (działał w rejonie lasów zwierzynieckich), po czym mianowano dowódcą jednej z kompanii pułku piechoty Inspektoratu Rejonowego AK Zamość. Chrztem bojowym cichociemnego był udział w brawurowym ataku na Źrebce (5–6 grudnia 1943 roku), wieś skolonizowaną przez Niemców. Jednej nocy partyzanci zdobyli sporo potrzebnej broni. Już wtedy Dekutowski wykazał się doskonałym przygotowaniem bojowym[343].

Wraz z początkiem nowego roku „Zapora” przeniósł się na ziemię lubelską. Współtworzył tamtejszy Kedyw (Kierownictwo Dywersji AK), piastował kierownicze stanowisko, dowodząc dywersją w Inspektoratach Rejonowych Lublin-Puławy. W nowym miejscu działalności poznał ppor. Stanisława Wnuka „Opala”, którego mianuje swoim zastępcą[344]. Według ustaleń części historyków to właśnie on, po aresztowaniu przez UB w grudniu 1945 roku, zdradzi przełożonego…

Niemal dwa lata wcześniej, w początkach stycznia 1944 roku, „Zapora” musiał zmagać się z innymi problemami. Przedwojenne granice polskie właśnie przekroczyły pierwsze oddziały Armii Czerwonej. Ale początkowo naiwny Dekutowski nie zakładał, że Sowieci zachowają się w stosunku do Polaków tak perfidnie, jak to działo się w rzeczywistości. *Nie płacz, Zula, zbliżają się Rosjanie, już prawie słychać katiusze. Dołączymy do nich, razem pójdziemy na Berlin* – tymi słowy uspokajał siostrę Zuzannę, gdy ta wiosną 1944 roku odwiedziła go, stacjonującego wraz z oddziałem w rejonie Borowa[345].

Oddział „Zapory” szybko stał się jednym z największych zgrupowań partyzanckich na okupowanych polskich ziemiach. W połowie 1944 roku liczył ok. 200 ludzi; później skupiał nawet 300–400 zbrojnych. Był prawdziwym postrachem komunistów w województwach lubelskim, rzeszowskim i kieleckim. O jego sile oraz aktywności świadczą dziesiątki wykonanych w tym czasie akcji dywersyjno-sabotażowych[346].

Niewątpliwie jedną z najważniejszych misji, w których brał udział „Zapora”, było zabezpieczenie akcji lotniczej „Most I”, organizowanej przez polskie podziemie w porozumieniu z emigracyjnymi władzami w Londynie, przy wiedzy i wsparciu Zachodu. W połowie kwietnia 1944 roku kilkanaście alianckich samolotów – a na ich pokładach zaopatrzenie

oraz kolejni przewidziani do walki w okupowanym kraju cichociemni – wylądowało na polowym lotnisku blisko miejscowości Pawlin. Cała akcja, mimo że bardzo niebezpieczna, zakończyła się pomyślnie[347].

Niebawem partyzanci zaczęli przygotowywać się do wzięcia udziału w akcji „Burza". W praktyce jednak – w związku z koncentracją licznych oddziałów sowieckich w rejonie operowania zakonspirowanych żołnierzy Dekutowskiego (w okręgu lubelskim) – zdecydowane wyjście z ukrycia groziło katastrofą. Ostatecznie „Zapora" i jego ludzie nie ujawnili się. Takie było założenie dowództwa.

W końcu lipca 1944 roku, po ukryciu broni, dowódca pozwolił podkomendnym na rozejście się, rozwiązując *de facto* oddział. Pozostali przy nim jedynie najbliżsi współpracownicy. W tym czasie zwierzchnik „Zapory", szef Okręgu AK Lublin, wpadł w ręce Sowietów i po ciężkim śledztwie podjął decyzję o wezwaniu podkomendnych do złożenia broni. Dekutowski, świadomy prawdziwych intencji nowego wroga ze Wschodu, nie podporządkował się jednak wydanemu przez gen. Kazimierza Tumidajskiego „Marcina" rozkazowi nr 127[348].

Na wiadomość o wybuchu powstania warszawskiego partyzant próbował przyjść stolicy na odsiecz, ale po częściowej reaktywacji oddziału nie udało mu się przedostać do walczącego miasta[349]. Dowódca wraz z garstką ludzi pozostali w ukryciu, kontynuując przeprowadzanie akcji bojowych głównie na ziemi lubelskiej. Niemcy szybko znienawidzili nieuchwytnego partyzanta. „Zaporczycy" niezwykle skutecznie atakowali głównie posterunki i komendy MO, ale także niemieckie transporty. Z powodzeniem wysadzali też tory kolejowe oraz urządzali napady na kolonistów „rasy panów". To była dywersja w czystej postaci[350].

Delegat Korboński pisał: *Dzięki posiadaniu zdobycznych samochodów ciężarowych Zaporczycy potrafili dokonać w ciągu doby kilku akcji na terenie dwóch, a nawet trzech powiatów i błyskawicznie odskoczyć. Ciągle zmieniali kwatery, nigdy nie stacjonowali dwa razy z rzędu w tej samej wiosce*[351].

W lutym 1945 roku, a więc już po rozwiązaniu AK, „Zapora" został ranny w nogę podczas nierównej walki z oddziałami Armii Czerwonej i 1 Armii Wojska Polskiego, dowodzonej przez gen. Zygmunta Berlinga.

W czerwcu tego roku partyzant otrzymał awans na majora i nową misję do wypełnienia – jako dowódca oddziałów leśnych w lubelskim

Inspektoracie DSZ[352]. Choć dalej trwał w walce, szansę na spodziewany konflikt aliantów zachodnich ze Związkiem Sowieckim malały. W sierpniu, w związku z kończącym się właśnie terminem obowiązywania amnestii, Dekutowski wraz z towarzyszami broni nawiązał kontakt z Wojewódzkim Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie. Celem było uzgodnienie warunków ujawnienia się[353]. Jak się okazało, „Zapora" zmienił zdanie, rezygnując z tego pomysłu. Czyżby zdał sobie sprawę, jak traktuje się więźniów politycznych w katowni UB urządzonej na lubelskim zamku[354]?

Planował przedostanie się do Czech, skąd mógłby przekroczyć granicę amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Niestety w październiku 1945 roku, już na czeskiej ziemi, konspiratorzy wpadli w zasadzkę miejscowej bezpieki, niektórzy trafili nawet do więzień. Dekutowski uszedł cało, próbował jeszcze co prawda interweniować w sprawie ujętych kolegów w amerykańskiej ambasadzie w Pradze, ale bezskutecznie. Podając się za wracającego z prac przymusowych robotnika, przyjechał pociągiem do zajętej przez Sowietów Polski. Nie zrezygnował z konspiracyjnej walki[355].

Uszczuplony oddział „Zapory" operował odtąd w widłach Wisły i Sanu, przechodząc pod rozkazy lokalnych struktur WiN-u[356]. Ukrywający się dowódca działał już wówczas pod przybranym nazwiskiem jako Mieczysław Piątek. W tym czasie, po ogłoszeniu przez władze kolejnego aktu amnestyjnego, poważnie rozważał możliwość złożenia broni. Liczył na dobrą wolę komunistów i uwolnienie więzionych partyzantów, m.in. kpt. Franciszka Abraszewskiego „Borutę", byłego inspektora lubelskiego WiN. Był luty 1947 roku, niespełna dwa lata po wojnie[357].

Właśnie wtedy – jak wynika z dokumentacji wytworzonej przez MBP – miała zapaść decyzja o rozwiązaniu i rozbrojeniu oddziału „Zapory". Uzgodniono ją na wspólnej konferencji z udziałem przedstawicieli obu stron, przeprowadzonej 18 lutego. Szczegóły miano konsultować na kolejnym spotkaniu. Już pięć dni później w piśmie do szefa WUBP w Lublinie „Zapora" komunikował, że przystąpił do akcji ujawnienia siebie i swoich oddziałów[358].

W pamiętniku kpt. Zygmunta Brońskiego „Uskoka" znajduje się wpis z marca 1947 roku, w którym autor wspomina o rozmowach Lubelskiego

Inspektoratu AK z warszawskim UB. *Podczas pertraktacji uwidoczniły się intencje UB, zmierzające do rozładowania nas i likwidowania pojedynczo. Przez nieujawnienie się dowództwo UB nie mogło zyskać kompletnych materiałów, a ci, którzy się ujawnią, będą mieli uproszczoną drogę w tłumaczeniu się podczas różnych dociekań, po prostu wszystko mogą zwalać na dowództwo*[359] – napisał w pamiętniku „Uskok".

Aby zdać sobie sprawę z trudności przy podjęciu decyzji o ujawnieniu się, wypada prześledzić wydarzenia, będące tłem działań „Zapory" i jego ludzi. Sfałszowane przez komunistów wybory do sejmu z lutego 1947 roku przekreślały jakąkolwiek szansę na demokrację; jednocześnie walka zbrojna, w pełnym tego słowa znaczeniu, była z góry skazana na klęskę. Co prawda nieliczne oddziały partyzanckie pozostawały przy broni, ale ograniczyły się już tylko do obrony, rezygnując z działań zaczepnych. Głównym celem było przetrwanie. Liczono oczywiście na pomoc ludności cywilnej, choć zdawano sobie sprawę, że każdy jej przejaw groził surowymi represjami. Wyklęcie przez władzę musiało się źle skończyć…[360]

Mając na uwadze dodatkowo propagandę komunistyczną, rozgłaszającą wszem wobec o „zdrajcach narodu", chowających się na melinach i w lasach, rzekomo łupiących i mordujących cywilów, trudno było nie drżeć o los swój i najbliższych. Zawierzyć funkcjonariuszom UB i oddać się w ich ręce? Ryzyko było bardzo wielkie. Często je podejmowano, nierzadko też tych decyzji żałowano do końca życia.

Przy końcu lipca [1945 r.] *ujawniło się parę grup partyzanckich w Lubelszczyźnie. Częściowo ujawniła się grupa „Zapory" (sam „Zapora" nie ujawnił się, ale wyemigrował na Zachód) oraz oddziały „Opala", „Ostoi", „Zagłoby", „Jordana" i inne pomniejsze. Wprowadziło to zamęt w terenie, partyzanci nieujawniający się pozostali bez kierownictwa i bez kierunku. Rozszerzała się samowola. Partyzantka zaczęła schodzić na dzikie drogi. Władze bezpieczeństwa, które w owym okresie przyjęły taktykę dyplomacji, pogarszały ten stan rzeczy z dnia na dzień*[361] – zanotował „Uskok".

Ujemne skutki dekonspiracji dostrzegał oczywiście także sam „Zapora". W gruncie rzeczy chodziło o odpowiedź na pytanie: jakiej Polski chcieli żołnierze niepodległościowego podziemia? Czy to, co robili od miesięcy, ukrywając się przed władzą ludową, miało jakikolwiek sens?

Mimo wszystko Dekutowski głęboko wierzył w celowość oporu, pozostając wierny starym ideałom. Zdawał sobie jednak sprawę, że kiedyś – raczej prędzej niż później – będzie musiał zarzucić tajną działalność. Przecież dobrze wiedział, co się wokół niego dzieje. Rozwiązywały się kolejne organizacje, przeprowadzano obławy, pacyfikacje i aresztowania. Termin końca amnestii, wyznaczony na 25 kwietnia 1947 roku, nieubłagalnie się zbliżał…[362]

Wszyscy nie możemy się ujawnić, ponieważ nie możemy okazać ludziom, że działalność nasza była niepotrzebna i walka niesłuszna, że ludzie, którzy zginęli, zginęli niepotrzebnie. Stwierdzał, że broń maszynowa, za którą tyle krwi naszej wylało się, nie może być zdana, gdyż będzie potrzebna jeszcze do ostatecznej rozgrywki, która w przyszłości nastąpi[363] – twierdził „Zapora".

W czerwcu 1947 roku, przebywając we wsi Siewalka, partyzant zdał broń i podpisał się pod stosowną deklaracją ujawnieniową. Niebawem doszły go jednak słuchy, że władze, które od miesięcy prowadziły z nim negocjacje w tej sprawie, nie uznały jego decyzji. Wytłumaczenie było proste – termin amnestii wygasł już ponad miesiąc temu. „Zapora" musiał pozostać w ukryciu[364].

Podczas procesu zeznał: *Zaznaczam, że władze organizacyjne poleciły mi w czerwcu 1947 r. ujawnić się osobiście. Oświadczyli mi, że dadzą mi pewną sumę pieniędzy, to jest około miliona złotych i żebym się usunął z terenu i ujawnił na innym terenie. Ta propozycja nie odpowiadała mi, ponieważ byłem związany ze swoimi ludźmi trudem i walką, byłem przecież ich dowódcą, wiec nie chciałem umyć rąk i zostawić tych ludzi jak grupy bandyckiej w terenie, bez dowództwa*[365].

W związku z tym należało jak najszybciej uzgodnić dalszy plan działania, co też szybko uczynił „Zapora" razem z „Uskokiem": *Omówiliśmy wszystkie możliwe sposoby przyszłej pracy, a przede wszystkim utrzymanie się z pozostałymi ludźmi. Postanowiliśmy utrzymać szkielet organizacyjny oddziałów partyzanckich w Lubelszczyźnie, by w potrzebie stanąć jak najszybciej na silnych nogach do pracy. Trudno było przewidzieć, kiedy nastąpi moment „potrzeby", ale tak on, jak i ja postanowiliśmy pozostać w terenie i dopilnować, by nie zaprzepaścił się w przyszłości wkład niejednokrotnie bardzo krwawy, jaki dała partyzantka w dzieło wyzwolenia w pierwszych latach okupacji sowieckiej*[366].

Dekutowski podjął jeszcze jedną próbę wydostania się z kraju. Jak tłumaczył później przed wojskowym sądem, „myśl przejścia granicy powstała u niego w końcu sierpnia 1947 roku”[367]. Ani myślał uwierzyć w „szczere” zamiary komunistów. Inaczej dobrowolnie zgłosiłby się do najbliższego UB i oddał „do dyspozycji”[368]. Nic takiego – major wraz z grupą podwładnych zamierzał bowiem ujść na Zachód. Przed wyjazdem z Warszawy, w rozkazie z 12 września, powierzył dowództwo nad swym oddziałem „Uskokowi”[369].

Dekutowski pożegnał się ze swoim zastępcą w liście, z którego przebija wyjątkowa troska o podwładnych i powodzenie „sprawy”: *Zdzichu – posyłam Ci rozkaz, jaki otrzymałem od Komendy Okręgu. Por. „Kędziorek” będzie u Ciebie, wszystko Ci opowie – opiekuj się moimi ludźmi. Ja dziś wyjeżdżam na angielską stronę – jestem umówiony z chłopakami co do kontaktów, jak będę na tamtej stronie. Stary – najważniejsze nie daj się nikomu wykiwać i bujać, jak tam wyjadę, załatwię nasze sprawy pierwszorzędnie – kontakt będziemy mieć i tak. Trzymaj się z „Kędziorkiem”* [por. Mieczysławem Pruszkiewiczem z WiN – W.K.]. *Czołem, Hieronim*[370].

Tymczasem Broński utrzymywał, że prywatną wiadomość od Dekutowskiego otrzymał 13 września: *„Zapora” w liście do mnie przekazuje mi dowództwo nad pozostałymi swymi ludźmi, a inspektorat („Stefan”) mianuje mnie dowódcą grup part[yzanckich] na Lubelszczyźnie. Poza tym „Z[apora]” podał mi kontakty, na które miał mnie zawiadamiać o swoich losach. Dążeniem wyjeżdżających było przedostanie się na anglosaską stronę i uczynienie wszystkiego, co byłoby możliwe dla poprawienia losu pozostałym w prześladowaniach ludziom w Polsce. „Daj Boże powodzenie” – była to gorąca myśl, która mnie wówczas nawiedziła*[371].

Choć pomysł ponownego opuszczenia opanowanej przez komunistów ojczyzny mógł w istocie narodzić się jeszcze w sierpniu, sama decyzja zapadła 10 września, na spotkaniu w miejscowości Kolonia (Wólka) Łubkowska, w powiecie puławskim. Ustalono wtedy szczegóły akcji granicznej. Partyzanci mieli przedostać się do Nysy Kłodzkiej i oczekiwać na czeskiego przewodnika. Jego zadaniem było przeprowadzenie uciekinierów do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Po

przekroczeniu granicy wszyscy mieli spotkać się 16 września w Kłodzku[372].

Rzeczywistość okazała się brutalna. Ośmiu „Zaporczyków" zostało ujętych 16 września[373] podczas próby przekroczenia granicy z Czechosłowacją. Mieli podrobione dokumenty, podróżowali osobno, a mimo to niemal wszyscy (por. Roman Groński „Żbik", kpt. Stanisław Łukasik „Ryś", ppor. Władysław Siła-Nowicki „Stefan", por. Jerzy Miatkowski „Zawada", por. Tadeusz Pelak „Junak", por. Edmund Tudruj „Mundek", por. Arkadiusz Wasilewski „Biały") wpadli w zasadzkę[374].

Zatrzymań dokonano w lokalu mieszkaniowym[375], który wyznaczono na miejsce tajnego spotkania. W relacjach przybliżających okoliczności zdarzenia najczęściej podkreśla się, że „Zapora" niczego się nie spodziewał, gdy nagle rzucili się na niego funkcjonariusze bezpieki. Nawet jeśli kiedykolwiek rozważał opcję samobójstwa – miał przecież przy sobie truciznę – zanim się obejrzał, był już skuty. Tylko Abraszewski uniknął aresztowania. Wiadomo więc, że bezpieka bardzo dobrze znała zamiary uciekinierów. Wszystko wskazuje na to, że zostali zdradzeni[376].

Kto wydał „Zaporę"? Nie sposób odpowiedzieć na to pytanie jednoznacznie, z całą jednak pewnością Dekutowski i jego ludzie byli intensywnie inwigilowani[377]. Według ustaleń Leszka Pietrzaka grupę „Zapory" rozpracowywało aż 63 agentów i informatorów[378]!

Część historyków wskazuje, że jednym ze współpracowników UB był człowiek z kierownictwa lubelskiego WiN, zastępca Dekutowskiego – kpt. Wnuk, szerzej znany jako „Opal", figurujący w dokumentacji UB jako tajny współpracownik o pseudonimach „Dziadek", „Iskra", ewentualnie „Żmudzki"[379]. Na poparcie tej tezy przytacza się notatkę sporządzoną przez oficera UB kpt. Wincentego Wojciusza 3 stycznia 1946 roku. Znajduje się w niej osobliwe wyznanie: *Obiecuję […] wydać „Zaporę", t.j. Dekutowskiego Henryka urodz. w mieście Tarnobrzegu woj. Rzeszowskiego ul. Kolewa nr 67. Według słów „Opala" „Zapora" winien znajdować się na wolności u swojej siostry w miesiącu styczniu r. b.*[380].

Fakt, że Dekutowski kontaktował się z Wnukiem i obaj rozmawiali o ewentualności ujawnienia się, jest bezsporny. Przesłuchanie „Opala" z 16 listopada 1950 roku wiele mówi o charakterze tych spotkań. *Tak przed amnestią 47 r., jak i po amnestii 1947 roku spotkałem się z „Zaporą" i innymi, ale nie w sprawach osobistych, a z polecenia władz*

UB. O wszystkich spotkaniach meldował w UB w Lublinie. Po upływie terminu amnestyjnego 1947 roku miałem polecenie od władz UB w Lublinie, aby o ile możności spotkać się z „Zaporą" i jego członkami, a w rozmowie z nimi wpływać na nich, aby się ujawnili oraz dowiadywać się o nich co nadal myślą robić i kto stoi na czele konspiracji na terenie województwa lubelskiego, a dosłownie chodziło szczególnie o to, aby dowiedzieć się, kogo „Zapora" uważa za inspektora WiN na terenie Lubelskim[381] – zeznał Wnuk przed oficerem bezpieki.

Był jednym z lepszych agentów, bardzo dyspozycyjnym. Jego donosy można spotkać w wielu sprawach obiektowych oraz w sprawach prowadzonych przez UB i później SB. Pogrążył m.in. bliską współpracownicę „Zapory" – Izabelę Kochanowską, którą skazano na 6 lat więzienia. Wyszła na wolność w 1956 r.[382] – pisał Jarosław Kopiński.

Co ciekawe, wspominana już Kochanowska, łączniczka „Zapory" i autorka jego biografii, pisała, że latem 1946 roku jej dowódca chciał ratować Wnuka, który trafił do więzienia mokotowskiego po tym, jak zdecydował się ujawnić. W tym celu Dekutowski miał skontaktować się przez swych współpracowników z szefem lubelskiego UB, Franciszkiem Piątkowskim[383].

W czasie pobytu we dworze w Ratoszynie „Zapora" podyktował Tokarskiemu (Janowi Tokarskiemu – podkomendnemu) raport dotyczący wszystkich swych wystąpień przeciwko władzy ludowej, biorąc odpowiedzialność za całość działań podległych mu oddziałów. Oświadczył, że wszystko to działo się z jego rozkazu. Chciał ratować swego przyjaciela Wnuka od odpowiedzialności karnej. […] Jak się później dowiedziałam, „Opala" zwolnili z aresztu i wrócił do domu[384] – relacjonowała współpracowniczka „Zapory".

Zapamiętała też działania Informacji Wojskowej zmierzające do doprowadzenia do jej konfrontacji z „Opalem". Według przedstawionej wersji zdarzeń Wnuk miał namawiać Kochanowską do złożenia obciążających ją zeznań. *To wszystko, co mówił, negowałam. W pewnym momencie nie wytrzymałam i dałam „Opalowi" w twarz. Nie przeczyłam, że do naszego majątku przychodzili partyzanci, ale mówiłam, że co najwyżej robiłam im jedzenie czy dawałam konie. Nikt inny z aresztowanych partyzantów mnie nie oskarżył*[385] – czytamy we wspomnieniach łączniczki, skazanej przez komunistyczny sąd na 6 lat więzienia[386].

Tymczasem Ewa Kurek, autorka książki *Zaporczycy*, zarzuca tej relacji niewiarygodność. Przeczy ponadto tezie, jej zdaniem wyjątkowo krzywdzącej i noszącej znamiona insynuacji, jakoby „Opal" wydał „Zaporę". W jej opinii Wnuk z polecenia Dekutowskiego prowadził świadomą podwójną grę z bezpieką, w rzeczywistości jednak nosił się z zamiarem ucieczki na Zachód.

Jak pisze autorka, *Stanisław Wnuk ps. „Opal" już podczas amnestii w 1945 roku został wyznaczony przez „Zaporę" na tego, który żyjąc na powierzchni, oficjalnie prowadząc z UB rozmowy i składając ubowcom kontrolowane donosy, będzie pełnił rolę swego rodzaju działającego na dwie strony szpiega, co stanowiło zarówno dla dowódcy, jak i żołnierzy ważny parasol ochronny*[387]. Zdaniem Kurek nie sposób ustalić, kto tak naprawdę stał za aresztowaniem „Zaporczyków".

Według Siły-Nowickiego zdrajcą okazał się jedyny niearesztowany feralnej nocy przy granicy z Czechosłowacją – były szef Inspektoratu Lubelskiego WiN, czyli Abraszewski (TW „Maciejewski"/„Kwiatkowski"). Jak pisał późniejszy mecenas, wskazana przez „Borutę" droga nielegalnego wyjazdu okazała się prowokacją MBP[388]. Wśród agentów UB z najbliższego otoczenia Dekutowskiego wymienia się też łączniczkę Komendy Okręgu Lublin WiN – Helenę Moor (TW „Lena")[389].

O swoistej matni, w jakiej za sprawą agenturalnej działalności bliskich współpracowników znalazł się „Zapora", wspominał też jego były żołnierz, Tadeusz Nieleszczuk. Chodzi o działania kilku konspiratorów z otoczenia Dekutowskiego (czterech lub pięciu), którzy wpadli w zasadzkę UB i podejrzanie szybko wyszli na wolność. Miał być to efekt nawiązania współpracy i złożenia obietnicy wydania majora. Odtąd przekonywali go, aby jak najszybciej wyjechał na Zachód. Oferowali pomoc, argumentując, że mają rzekomo „chody w Warszawie". Zostali wtajemniczeni w plan ucieczki „Zaporczyków" na Zachód. Uciekinierom wyrobiono fałszywe dokumenty, oficjalnie mieli być członkami delegacji handlowej.

Zapora zaczął im wierzyć. Pamiętam, przyjechali z fotografem, zrobili zdjęcia do paszportów, zrobili paszporty, przywieźli, pokazali im te paszporty, dali im je. Dłuższy czas trwały konferencje. […] I przywieźli im garnitury czarne, kapelusze. Jeszcze uprzedzili: „Tylko pamiętajcie, bądźcie bez broni, bo mogą być rewizje na granicy, to możecie wpaść"[390] – relacjonował Nieleszczuk.

Może Bóg mi da, że jeszcze wrócę[391] – powiedział „Zapora” w czasie ostatniego widzenia z siostrą Zuzanną, przebywając jeszcze na wolności.

Ostatni raz spotkała się z nim [Zuzanna z Hieronimem – W.K.] *w lasach niedaleko Tarnobrzega, gdzie przed złapaniem stacjonował jego oddział. Mama wybrała się do niego w przebraniu chłopki i spędziła noc w ich kwaterze. Było to dla niej wielkie przeżycie. Opowiadała mi później, że gdy rozstawała się z bratem, to bardzo płakała, a ten ją pocieszał. Mama zapamiętała, że jak już wsiadała na furę, wujek ustawił swój oddział w szyku i powiedział: „Na pożegnanie mojej siostry salwa”. Wcześniej, w dzień targowy, wujek przyszedł do domu rodzinnego w przebraniu żebraka, by pożegnać się ze swoją matką* – wspominała Krystyna Frąszczak, siostrzenica Dekutowskiego[392].

Partyzant zupełnie nie spodziewał się, że wkrótce padnie ofiarą zdrady. Prawdopodobnie jego wyjazd był z góry ukartowany, a „Zapora” połknął haczyk. – *Moi zwierzchnicy by mnie zdradzili?* – pytał z niedowierzaniem partyzant. A jednak…

Jaki był dalszy los zatrzymanych? Trafili do aresztu PUBP w Będzinie, gdzie oczekiwał już słynący z okrucieństwa oficer śledczy – por. Jerzy Kędziora. Po ponad miesiącu „Zaporczyków” przewieziono do aresztu MBP przy Koszykowej w Warszawie. Stamtąd przetransportowano ich do niesławnego więzienia mokotowskiego, gdzie nadzór nad aresztowanymi objęli inni sadystycznie usposobieni oficerowie bezpieki – porucznicy Eugeniusz Chimczak i Ludwik Borowski. W czasie śledztwa trwającego od 19 września 1947 roku do 1 czerwca 1948 roku Dekutowski był wielokrotnie bity[393].

W pokoju, w którym odbywało się śledztwo, stał stół i krzesło oraz stołek dla więźnia. Od początku stwarzano fizyczny i moralny nacisk. Śledczy polecił najpierw napisać życiorys, następnie zadawał pytania. Kiedy więzień zamilkł, uderzył go w szczękę, co spowodowało oparcie więźnia o ścianę. Dalej okładał na oślep całe jego ciało, które więzień bronił biernie pięściami. Ból w głowie, wszystko wirowało dookoła. Po torturowaniu, krwawienie z nosa. Na tym jednak nie koniec. Gdy to nie pomogło, nastąpiło kopnięcie więźnia w kość goleniową. […] Znowu bicie palką gumową z metalowym zakończeniem w pięty – to podrażniało mózg. A kiedy już nic nie pomogło, wtedy na żądanie śledczego wtargnęli ubowcy uzbrojeni w kije. Powalili więźnia na podłogę, bicie, deptanie aż do

nieprzytomności[394] – charakteryzuje metody przesłuchiwania więźniów współpracownica „Zapory”.

Schwytani rychło usłyszeli zarzuty, a wiceprokurator mjr Zenon Rychlik zatwierdził akt oskarżenia. Wszyscy byli sądzeni przed stołecznym Wojskowym Sądem Rejonowym w dniach 3–15 września 1948 roku[395]. Ubrano ich w mundury Wehrmachtu, aby dodatkowo ośmieszyć i poniżyć przed „wymiarem sprawiedliwości”[396].

Do mojej celki wrzucono mundur żołnierza Wehrmachtu bez oznak i oświadczono, że w tym stroju feldgrau, pamiętnym z września 1939 roku i z okresu okupacji, będę odpowiadał przed sądem. Wzruszyłem ramionami, ale nie kwestionowałem tego, uważając, że niemiecki mundur – to zniewaga nie dla mnie, ale dla sądu. Dwoma chyba samochodami, na otwartych platformach, przewieziono nas po czterech, siedzących jeden za drugim i otoczonych bardzo liczną zbrojną eskortą w mundurach wojskowych, do gmachu sądu, stojącego do dziś przy ul. Koszykowej[397] – wspominał jeden z sądzonych, Siła-Nowicki.

Oprócz oskarżonych na sali rozpraw zasiedli: prokurator kpt. Tadeusz Malik, sędzia mjr Józef Badecki, ławnicy plut. Kazimierz Obiada i kpr. Wacław Matusiewicz oraz protokolant chor. Wiktor Matusiak. Obrońcą z urzędu był mec. Stanisław Sobczyński[398].

Z jak najwyższym uznaniem należy ocenić postawę aresztowanych. Był to bodajże jedyny z poważniejszych procesów, w którym nie udało się komunistom opluwać sądzonych przez samooskarżenie. Z tego powodu nie robili nawet rozgłosu z rozprawy. W artykułach o wyrokach śmierci przytoczono tylko dwa zdania podsądnych: jedno „Stefana” i jedno „Zapory”. „Stefan” na zapytanie: „Dlaczego dokonano pogromu wsi Moniaki?”[399]*, odpowiedział: „Przecież to była wieś pepe[e]rowska!” I zupełnie słusznie. Ponieważ pepe[e]rowcy to zdrajcy, więc dalsze komentarze zbyteczne. „Zapora” zaś, mówiąc o akcji walki zbrojnej z komunizmem, powiedział: „To było naszą koniecznością «życiową»”. Brzmi to trochę inaczej, niż wstrętne kajanie się wielu bohaterów z okrzyczanych procesów politycznych. Niewątpliwie naszym bohaterom przez rok czasu nie oszczędzano prób zmierzających do zrobienia szmaty z człowieka, a jednak pozostali ludźmi!* – zapisał w dzienniku „Uskok”[400].

Byłem związany ze swoimi ludźmi trudem i walką, byłem ich dowódcą. Nie mogłem umyć rąk i zostawić ich jak grupy bandyckiej w terenie, bez dowództwa[401] – mówił z całą odpowiedzialnością za swoją działalność mjr Dekutowski. A tę komunistyczny sąd uznał za „wyjątkowo niebezpieczną dla porządku prawnego w skali państwowej".

Jak stwierdzono, *zbrodnie oskarżonych, których dopuszczali się przez długi okres czasu i zrosiły krwią kilkuset osób Ziemię Lubelską, nie licząc już szkód i strat innej natury, ich bestialstwo i okrucieństwo, charakteryzuje ich wszystkich jako indywidua wyjątkowo niebezpieczne dla porządku prawnego w skali państwowej. Zdaniem Sądu, zachodzi w tym przypadku konieczność bezwzględnej izolacji oskarżonych i zabezpieczenia społeczeństwa na zawsze przed ich wadami, gdyż każdy z nich byłby potencjalnym elementem zbrodni, godzącym w każdym momencie do zamachu na podstawowe wartości społeczeństwa*[402].

W uzasadnieniu wyroku wspomniano o domniemanej działalności oskarżonych, tworzących jakoby „ośrodek działalności band terrorystyczno-rabunkowych i dywersyjnych". „Zapora", według przedstawionych przed sądem „dowodów", miał być hersztem owej zbrodniczej bandy, działającej rzekomo z całą bezwzględnością i okrucieństwem. To była klasyczna dla tego typu procesów argumentacja[403].

Komunistyczny wymiar „sprawiedliwości" orzekł wobec Dekutowskiego najwyższą karę – śmierć po siedmiokroć. Jego sześciu podkomendnych niebawem także miało nie żyć. Prezydent Bierut skorzystał z prawa łaski jedynie w stosunku do Siły-Nowickiego[404], ostatniego lubelskiego inspektora WiN. Proces „bandyckiej grupy" odbił się głośnym echem, a jeden z tytułów prasowych – jak zapamiętał współpracownik „Zapory" – opatrzono krzykliwym tytułem: *Mordercy kobiet, starców i dzieci skazani na karę śmierci*[405].

Towarzysz „Tomasz" mógłby darować życie też Dekutowskiemu – miał w czym wybierać, wpłynęło do niego kilka próśb w tej sprawie. O ułaskawienie wnioskował sam skazaniec. List do Bieruta napisała też jego matka, Maria Dekutowska, oraz najstarsza siostra skazańca, Zofia Śliwa, na stałe mieszkająca we Francji. O zmianę wyroku wnioskował również broniący skazańca adwokat – mec. Sobczyński, który pod koniec 1947 roku złożył także skargę rewizyjną. Wszystko na nic, wyroki były już

dawno uzgodnione, a proces, jak wiele podobnych w tym czasie, był wyłącznie sądowym przedstawieniem[406].

Dekutowski próbował jeszcze ucieczki z celi śmierci. Był przełom stycznia i lutego 1948 roku, kiedy skazańcy planowali przedostać się na strych gmachu więzienia przez otwór, wiercony od jakiegoś czasu w suficie klozetu za pomocą… zaostrzonej łyżki. Zamierzano wyjść na dach i zjechać na dół po więziennych prześcieradłach[407].

Po kilku tygodniach dziura była na tyle szeroka, że Górski (Józef Górski – jeden z więźniów kryminalnych) wszedł przez nią na strych i odbył trasę aż do okienka nad niskimi budynkami gospodarczymi. W zasadzie można już było podjąć próbę ucieczki, postanowiono jednak zaczekać na czas, kiedy nadejdą noce bezksiężycowe, co dawałoby większą gwarancję uniknięcia pościgu przez często krążące po Rakowieckiej patrole KBW – zapamiętał współwięzień „Zapory", Władysław Minkiewicz[408].

Marzenia o wolności brutalnie przekreśliła denuncjacja jednego ze współwięźniów, osadzonego za przestępstwa kryminalne, niejakiego Leśniaka. Skatowany Dekutowski trafił za karę do karceru[409]. Ze sprawozdania TW „Dziadka" wynika, że w październiku 1948 roku w Warszawie „w sprawie Zapory" przebywał „Uskok" – miał dokładnie oglądać drogę z więzienia do sądu. Celem było odbicie przełożonego[410].

Wyrok, zatwierdzony przez sędziego płk. Józefa Dziowego, uprawomocnił się oficjalnie 4 lutego 1949 roku. „Zapora" był już wtedy wrakiem człowieka. Ledwo 30-latek, a z wyglądu starzec. Zgarbiona sylwetka, posiwiałe włosy, poważne braki w uzębieniu. Ślady po złamaniach rąk, żeber i nosa. Powyrywane paznokcie. Skuty łańcuchami od góry do dołu, niczym największy złoczyńca. Tak komuniści obeszli się z elitarnym spadochroniarzem, zdecydowanym walczyć z sowietyzacją Polski. Tak kończył partyzant, który chciał się ujawnić…[411]

Tortury stosowane przez ubeków Dekutowski znał niemalże na pamięć. Widok sadystycznie usposobionego por. Kędziory[412], który przesłuchiwał go już w gmachu PUBP w Będzinie, czy też kolegi „po fachu" z Mokotowa, por. Chimczaka, wyjątkowego łajdaka, musiał często, mimowolnie, wracać[413].

Karę śmierci na siedmiu „Zaporczykach" wykonano 7 marca 1949 roku. Idąc na egzekucję, major miał krzyknąć do współwięźniów: *My nigdy nie poddamy się!* Do końca wierzył w powodzenie walki za sprawę[414].

Zginął jako pierwszy, punktualnie o godz. 19. *Przyjdzie zwycięstwo! Jeszcze Polska nie zginęła!* – wykrzyknął. Po chwili padł martwy. W ciągu pół godziny życie stracili także: „Ryś", „Żbik", „Mundek", „Junak", „Biały" i „Zawada"[415].

Na zabicie każdego ze skazańców poświęcono… 5 minut. Idący na śmierć musieli widzieć ślady po egzekucji poprzedników, mając przed sobą krew towarzyszy z celi, a za plecami – więziennego kata. Całe dotychczasowe życie przewijało im się przed oczami. I tym razem egzekutor Śmietański wykonał brudną robotę, inkasując wcale niemałą sumę[416].

Ostatnie chwile życia legendy polskiej partyzantki obserwowali też: naczelnik więzienia kpt. Grabicki, wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej mjr Cypryszewski, duchowny – ks. płk Michał Zawadzki. Zgon stwierdził lek. ppłk Marek Charbicz. Rodzina otrzymała odpis skrócony aktu zejścia[417].

Nic więcej. Kilkadziesiąt lat komunistycznej zmowy milczenia nie sprawiły bynajmniej, że najbliżsi „Zapory" wyzbyli się nadziei. Niemal 40 lat po śmierci, 24 września 1988 roku, za duszę legendarnego partyzanta modlono się w szczelnie wypełnionym kościele Matki Boskiej Częstochowskiej w Gdańsku. Podobnych nabożeństw było kilka. System, który uczynił bohatera złoczyńcą, nieuchronnie chylił się już ku upadkowi[418].

Trzeba było jednak jeszcze sześciu lat, aby orzec w świetle prawa, że „Zapora" był bojownikiem o wolną Polskę. 23 maja 1994 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie przywrócił mu honor.

W końcu przyszedł też czas na należny szacunek. W 2007 roku major został pośmiertnie uhonorowany Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Nie było to jedyne odznaczenie w jego krótkim, ale bohaterskim życiu. W 1945 roku za służbę wojskową otrzymał Krzyż Walecznych, 19 lat później – pośmiertnie Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari (antydatowany na 1948 rok).

Postać „Zapory" wydobywano sukcesywnie z mroków niepamięci, aż w 2013 roku, dokładnie 22 sierpnia, IPN oficjalnie obwieścił, że wreszcie udało się zidentyfikować jego szczątki. *Bez pasji i serca osób prowadzących poszukiwania identyfikacja nie byłaby możliwa […], żadne instytucje i żadne pieniądze bez tej pasji by nie pomogły*[419] – dziękowała

na zorganizowanym przez Instytut spotkaniu siostrzenica majora. Niekryjąca dumy z życiowej postawy i dokonań bohaterskiego wuja.

A jak „Zaporę” widzieli towarzysze broni? Jako świetnego dowódcę zatroskanego losem podkomendnych. Jeden z nich, Mieczysław Roś „Sum”, zapamiętał: *Komendant Hieronim Dekutowski „Zapora” był szczupłej postury, miał na sobie mundur oficera polskiego w stopniu porucznika, na głowie nosił maciejówkę, był średniego wzrostu i nosił czarny wąs. Na pierwszy rzut oka wyglądał na człowieka spokojnego, dobrego, zdecydowanego, lubiącego rygor i dyscyplinę, i takim okazał się w postępowaniu. Podwładni bardzo go szanowali, był dla nich jak ojciec*[420].

Łączniczka Dekutowskiego wspominała po latach, że jej przełożony szczególnie, a przy tym zwyczajnie – po ludzku, przeżywał śmierć swojego adiutanta Zbigniewa Sochackiego. *Miał nosić jego koszulę i czapkę*[421].

„Zapora” miał niezwykłą osobowość i charyzmę. Ludzie szli za nim w ciemno. *Ci, którzy go znali, byli pod jego osobistym urokiem. Żołnierze go kochali, bo bardzo dbał o swoich ludzi. Dzielił z nimi wszystkie trudy partyzanckiego życia, a przede wszystkim zawsze był z nimi w ogniu walki. Ukształtowało go harcerstwo. Miał bardzo bogatą i piękną, wrażliwą naturę, której wojna w żaden sposób nie zniszczyła. Kochał przyrodę i ludzi. Bardzo przeżywał każdy wydany i wykonany wyrok śmierci. Był też bardzo religijny, pościł w każdy piątek, pomimo że w partyzantce nieraz był głód i mięso stanowiło rzadkość. Kiedyś gospodyni na kwaterze ugotowała mu jedyne jajko, jakie posiadała. Nie zjadł go, ale zawołał najmłodszego z partyzantów i mu je oddał. Był bardzo wrażliwy na ludzkie nieszczęścia i cierpienie. Nienawidził złodziei i walczył z bandytyzmem (tym prawdziwym). Po prostu kochał ludzi… Ja, gdybym wiedziała, że mogę go uratować, to rzuciłabym się pod czołg, ale nie tylko ja, bo inni podkomendni zrobiliby to samo*[422].

Marian Pawełczak „Morwa”[423] wspominał „Zaporę” jako „wybitnego dowódcę”, zawsze rozważnego, oszczędzającego swoich ludzi. *To był urodzony dowódca. Wręcz prosiliśmy go: „Komendancie, niech się komendant położy albo chociaż przyklęknie”, bo kule syczały wkoło. A on nie. Z mapnikiem, z trzcinką, którą sobie na mapie zaznaczał punkty, odsłonięty, żeby mieć lepszy przegląd sytuacji, jedynie z bronią krótką, dowodził akcjami bezpośrednio, wydając komendy. Pamiętam jego bardzo*

donośny, tubalny głos, zupełnie niepasujący do niepozornej postaci: „Tęcza, ognia”, albo: „Tęcza, przerwij ogień”, bo zawsze musieliśmy oszczędzać amunicję[424].

Podobnie o Dekutowskim wypowiadał się Siła-Nowicki: *Cechowała go odwaga, szybkość decyzji, a jednocześnie ostrożność i ogromne poczucie odpowiedzialności za ludzi. Znakomicie wyszkolony w posługiwaniu się bronią ręczną i maszynową, niepozorny, ale obdarzony wielkim czarem osobistym, umiał być wymagający i utrzymywał żelazną dyscyplinę w podległych mu oddziałach, co w połączeniu z umiarem i troską o każdego żołnierza zapewniało mu u podkomendnych ogromny mir. Nazywali go „Starym”, choć nie miał jeszcze trzydziestu lat*[425].

Także „Uskok” wskazywał na spore doświadczenie Dekutowskiego, mimo jego młodego wieku. *Jest to człowiek inteligentny, energiczny, młody (około 32 lata)*[426]. *Po [19]39 r. dostał się do Anglii, gdzie przeszedł przeszkolenie, a w [19]43 r. przybył jako zrzutek na Lubelszczyznę. Odtąd pracuje tutaj w partyzantce*[427] – zanotował w pamiętniku Broński.

Pomylił się Stalin, pomylił się kat,
A z nim ta zdziczała hołota;
Za Zamek, za Katyń, za Sybir, za krew
Zapłaci „Zapory” piechota[428].

Wymowny fragment wiersza napisanego na cześć legendarnego partyzanta przypomina o wielkiej ofierze dla Polski, którą dekady temu uznawano za zwykły bandytyzm. Major Dekutowski ginął przecież jako „zbrodniarz” – bo tak chcieli jego oprawcy.

Z premedytacją oczernili i zabili człowieka, zbezcześcili ciało, niedbale wrzucając je do dołu, a później próbowali zatrzeć ślady zbrodni i całkowicie wymazać z pamięci. I choć triumfowali, celu nie osiągnęli. Dziś tacy jak „Zapora” kształtują patriotyczną świadomość.

ZYGMUNT SZENDZIELARZ – LEGENDARNY PARTYZANT

Nie jesteśmy żadną „bandą”, jak nas nazywają zdrajcy i wyrodni synowie naszej ojczyzny. My jesteśmy z miast i wiosek polskich. Niejeden z Waszych ojców i braci jest z nami.
z ulotki kolportowanej przez żołnierzy V Wileńskiej Brygady AK, 1946 r.

Major Szendzielarz, wyklęty już za życia, musiał przekonywać, że nie jest tym, za którego go uważają. Tak jak w marcu 1946 roku na Wybrzeżu, gdy rozlepiał wraz z towarzyszami broni ulotki z wiele mówiącymi słowami o „wyrodnych synach ojczyzny”. I choć komuniści malowali go w niezwykle ciemnych barwach, nic dziwnego – bali się go bowiem jak ognia.

Życie „Łupaszki” to nieustanny bój o Polskę. Legendarny organizator i dowódca 5 Wileńskiej Brygady Piechoty AK zapisał się w pamięci potomnych nieugiętą postawą wobec obu okupantów, doskonałym zmysłem bojowym, który zjednał mu wielu zwolenników, przede wszystkim zaś bezwarunkowym poświęceniem w imię najwyższych celów. Kilkadziesiąt lat temu służba u boku tego charyzmatycznego dowódcy była dla setek żołnierzy największym wyróżnieniem. Ten człowiek to symbol antykomunistycznego oporu – nie tylko na Wileńszczyźnie, gdzie powstał jego znienawidzony przez władzę ludową oddział, lecz także na Podlasiu, Warmii i Mazurach oraz Pomorzu – słowem wszędzie tam, gdzie przebiegał szlak bojowy słynnej brygady[429].

Legendarny żołnierz walczył prawie dekadę – od czasu kampanii polskiej 1939 roku, gdy po raz pierwszy bronił kraju napadniętego przez Niemców, po połowę 1948 roku, gdy wpadł w komunistyczną zasadzkę. Długo dostrzegał konieczność oporu, nawet wówczas, kiedy II wojna światowa była już tylko wyjątkowo smutnym wspomnieniem. Sowietów miał jednak za śmiertelnych wrogów, a wspieranymi przez nich polskimi komunistami zwyczajnie gardził. Ludzi, których uznał za zdrajców, srogo karał. Dla wiarołomnych Polaków nie miał litości. Stworzono więc czarną legendę

„Łupaszki”, którą żywiła się komunistyczna propaganda. A on dalej walczył…

Zygmunt Szendzielarz urodził się 12 marca 1910 roku jako poddany cesarza austriackiego – w galicyjskim Stryju, niedaleko Stanisławowa (województwo stanisławowskie). Rodzice – Karol i Eufrozyna z domu Osiecka – przeprowadzili się później do Lwowa, gdzie mieszkali, z krótkimi przerwami, na stałe. Ojciec zarabiał na życie jako kolejarz.

Jako 9-latek Zygmunt usłyszał o śmierci jednego z braci – Rudolfa, broniącego Lwowa przed Ukraińcami. Poruszony tą tragiczną wiadomością, szybko – mimo młodego wieku – zrozumiał, że niepodległość to nie tylko hasło czy piękna idea, lecz także ogromna ofiara. Szczęśliwie losu Rudolfa nie podzielił drugi brat Marian, który także walczył o miasto. Później otrzymał nawet Virtuti Militari, a w czasie II wojny światowej – dołączył do 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Udział starszego rodzeństwa w walce o granice Rzeczypospolitej musiał odcisnąć piętno na dorastającym chłopcu. Nie miał on jednak łatwego dzieciństwa, o czym przekonał się w latach 20., dramatycznie doświadczony tym razem przez śmierć ojca[430].

Był 1929 rok, gdy wkraczający w dorosłość Zygmunt kończył ważny etap swego życia. Właśnie został absolwentem gimnazjum matematyczno-przyrodniczego w Stryju, do którego uczęszczał po ukończeniu lwowskiej podstawówki. Uzyskawszy dyplom, przeszkolił się z zakresu przysposobienia wojskowego. Przygodę z wojaczką rozpoczął na dobrą sprawę dwa lata później, gdy na ochotnika zgłosił się do polskiej armii. Nie chciał ustępować braciom, którzy walczyli za najwyższe wartości[431].

Przyszły legendarny partyzant był znakomitym kawalerzystą. Co prawda w 1932 roku został absolwentem kursu w Szkole Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, ale to właśnie jazda pociągała go w największym stopniu. Długa i piękna tradycja tej formacji, niezapomniane szarże Polaków, którzy od dawna uchodzili za świetnych żołnierzy, tylko utwierdzały Szendzielarza w drodze, jaką wybrał.

Nie tkwił nosem w regulaminach i książkach. Był natomiast świetny w takich dziedzinach jak służba polowa, wyszkolenie bojowe. Był typem żołnierza w każdym calu, był urodzonym kandydatem na dowódcę[432] – oceniał młodego rekruta rtm. Władysław Piotrowski. Zwrócił jednak uwagę na jego wyjątkowo trudny charakter – Szendzielarz był w swoim

zachowaniu „nierówny, wybuchowy, przesądny”. Uważano go wręcz za „raptusa”.

Równocześnie cieszył się opinią człowieka, który usilnie dążył do realizacji wyznaczonych zadań. Chciał założyć mundur ułana i w końcu ten cel osiągnął. Do 1934 roku pobierał naukę w Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. Przełożeni doceniali kawaleryjskie zacięcie Zygmunta, a ten nie pozostawał im dłużny. Szybko piął się po szczeblach żołnierskiej kariery, zdobywając oficerskie szlify. Z powodzeniem uczestniczył w zawodach hippicznych. Służył w 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich, stacjonującym w garnizonie w Wilnie[433].

Rok 1939 był dla Szendzielarza, ówczesnego porucznika, znamienny nie tylko z powodu niemieckiej agresji, która dała początek wieloletniej niedoli Polaków. W styczniu tego roku, gdy międzynarodowy dramat wydawał się jeszcze odległy albo wręcz niemożliwy, 28-letni Szendzielarz poślubił Annę Swolkień, zaledwie 18-letnią dziewczynę z Wilna. Niebawem, już pod okupacją, narodziła się ich córka – Barbara. Nie było to jednak udane małżeństwo. Na dodatek zakończone dramatem. Żona, aresztowana w 1943 roku przez Niemców za działalność kurierską, została wywieziona w głąb III Rzeszy, gdzie zmarła w 1945 roku[434].

W czasie kampanii polskiej 1939 roku Szendzielarz walczył jako dowódca 2 szwadronu 4 pułku ułanów (pod dowództwem ppłk. Ludomira Wysockiego) Wileńskiej Brygady Kawalerii, pod względem organizacyjnym przydzielonej do Armii „Prusy” gen. Juliusza Rómmla[435].

Zadaniem tego odcinka obrony ziem polskich było opóźnianie niemieckiego marszu na Warszawę. W początkach września pułk zaniemeński toczył zacięte boje z nieprzyjacielem pod Piotrkowem Trybunalskim. Operował m.in. w rejonie Sulejowa, gdzie bronił przepraw na Pilicy. Wraz z biegiem wypadków na froncie i posuwaniem się wroga w głąb polskiego terytorium, ułani Szendzielarza cofali się na północny wschód. Po tragicznej w skutkach przeprawie przez Wisłę pod Magnuszewem z 9–10 września, gdy pod ostrzałem wroga życie w nurtach rzeki straciło wielu towarzyszy broni młodego porucznika, sytuacja stała się beznadziejna. Dowodzący 2 szwadronem uszedł cało, ale brygada – jako samodzielny związek taktyczny – utraciła zdolność skutecznego działania[436].

17 września, gdy polskie ziemie wschodnie opanowała Armia Czerwona, losy kampanii zostały rozstrzygnięte. W tym czasie Szendzielarz połączył swój częściowo rozbity oddział z niedobitkami z innych pułków, a następnie oddał się pod rozkazy płk. Adama Zakrzewskiego, dowódcy kombinowanej Brygady Kawalerii. Dzięki temu kontynuował walkę.

Później 4 pułk przydzielono do Kresowej Brygady Kawalerii dowodzonej przez płk. Jerzego Grobickiego (w składzie Grupy Operacyjnej Kawalerii gen. Władysława Andersa). Szendzielarz walczył m.in. w rejonie Tomaszowa Lubelskiego[437]. Wycofywał się na Podkarpacie, z zamiarem przekroczenia granicy węgierskiej, ale po osiągnięciu linii Lwów–Przemyśl podjęto dramatyczną decyzję o złożeniu broni. Niemcy i Sowieci mieli zbyt dużą przewagę. Zdziesiątkowany oddział skapitulował 27 września w okolicach Medyki, ale na honorowych warunkach[438].

W czasie prawie czterotygodniowej walki w obronie Polski Szendzielarz wielokrotnie dowiódł swojej wysokiej wartości bojowej. Doskonale sprawdzał się w polu jako dowódca liniowy. Rzucony w wir dramatycznych wydarzeń – działając pod presją czasu w obliczu walki na dwa fronty – zachował przytomność umysłu. Dowodem wydarzenia w okolicach Magnuszewa, gdzie szwadron porucznika uniknął tragicznego losu reszty brygady. Za co utalentowany dowódca otrzymał zresztą Krzyż Virtuti Militari V klasy[439].

Doświadczenia z pamiętnego września musiały zaowocować w przyszłości. Szendzielarz nie zamierzał rezygnować z walki, niemalże z chwilą wymazania z mapy państwa polskiego powstały przecież tajne struktury ruchu oporu. Dowódca ułanów z Wilna stanie się niebawem – już jako „Łupaszko”[440] – ważnym ogniwem konspiracji.

W momencie gdy przegrana kampania była faktem, choć tlił się jeszcze opór części rozbitych polskich oddziałów, Szendzielarz złożył broń i pomaszerował do niewoli[441], najprawdopodobniej niemieckiej[442]. Fakt krótkotrwałej utraty wolności potwierdzi później przed jednym z oficerów bezpieki. *[…] dostaję się w dniu 27 września 1939 r. do niewoli, skąd po czterech, lub pięciu dniach uciekłem*…[443] – mówił 1 lipca 1948 roku, a więc dzień po ujęciu przez komunistów.

Pewne jest, że po kilkudniowym okresie niewoli Szendzielarz przedostał się do Lwowa. W mieście opanowanym przez Armię Czerwoną pozostać raczej nie mógł, przeto podjął jeszcze jedną próbę ewakuacji na Węgry,

skąd zamierzał przejść do polskich oddziałów, organizowanych we Francji[444]. I tym razem była to jednak próba nieudana. Wobec zaistniałych okoliczności porucznik wrócił w rodzinne strony, do miasta nad Wilejką. Tam dowiedział się, że właśnie został ojcem.

Rzeczywistość była wyjątkowo trudna – w Wilnie, oddanym na krótko pod zarząd Litwinom (w 1940 roku Litwa została ogłoszona kolejną republiką sowiecką), trzeba było zachować wyjątkową ostrożność. Szendzielarz, pozostając w kontakcie z warszawskimi strukturami konspiracji, wyrobił sobie fałszywe dokumenty. Ukrywał się jako Władysław Hawling (Chawling). Powiększyła mu się rodzina, musiał znaleźć pracę. Ciężko zarabiał na chleb, harując m.in. przy wycince drzew[445].

Kiedy formalnie wstąpił w szeregi ZWZ? Dokładnie nie wiadomo, ale zorganizowaną tajną działalność podjął najpewniej w pierwszej połowie 1940 roku[446]. Wcześniej był zajęty utrzymaniem – powiększonej o narodzoną niedawno córkę – rodziny, a także próbami nawiązania kontaktów z przedstawicielami polskiej emigracji wojskowej we Francji. Tymczasem zaprzysiężonego już Szendzielarza zastała w Wilnie nowa, trzecia już okupacja – tym razem ponownie niemiecka. Była trzecia dekada czerwca 1941 roku, hitlerowskie Niemcy właśnie zaatakowały Związek Sowiecki[447].

„Łupaszko”, ukrywający się przed Niemcami oraz litewskimi kolaborantami, działał w tym czasie w tzw. kołach pułkowych – formacjach, które odtwarzały przedwojenne oddziały WP. Niewykluczone, że miał w tym czasie pod swoimi rozkazami odtworzony szwadron 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich, przynależący formalnie do tzw. Wileńskiego Pułku Ułanów Śmierci. Pod koniec 1940 roku rozpoczął działalność wywiadowczą[448].

Jego przełożonym był ppłk Aleksander Krzyżanowski „Wilk”, przyszła legenda Polskiego Państwa Podziemnego. Człowiek, który od maja 1941 roku aż do lipca 1944 roku pełnił odpowiedzialną funkcję szefa Komendy Wileńskiego Okręgu ZWZ-AK[449], wtajemniczył młodego adepta konspiracji w realia walki podziemnej. Możliwe, że to on odebrał od niego przysięgę[450]; on też oddelegował później „Łupaszkę” do walki partyzanckiej, polecając mu odtworzyć zdziesiątkowany w wyniku

sowieckiego podstępu oddział ppor. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica”, operujący na Pojezierzu Wileńskim[451].

Kończył się sierpień 1943 roku, gdy Sowieci pod płaszczykiem apelu do Polaków o podjęcie militarnej współpracy wymierzonej w Niemców zaplanowali podstęp. „Kmicic”, który zdecydował się wziąć udział w „rozmowach”, zapłacił za swą dobrą wolę najwyższą cenę. Jego oddział, okrążony przez czerwonoarmistów, rozbrojono nad jeziorem Narocz w dorzeczu Wilii. Ci, którzy uniknęli rozstrzelania na miejscu, zostali siłą wcieleni w szeregi sowieckiego wojska. Oddział „Kmicica” z dnia na dzień stał się historią, dowódca zginął z rąk Sowietów. Tylko niedobitki tułały się jeszcze po lasach[452].

Właśnie na tę niewielką grupę polskich partyzantów natrafił Szendzielarz, który dołączył do patrolu pchor. Antoniego Dubaniewicza „Żbika”. Doskonale znał już „pokojowe” zamiary Sowietów, pamiętał 17 września i rzekomo sąsiedzką interwencję Armii Czerwonej we wschodnich województwach Rzeczypospolitej. Teraz, po czterech latach, wróg ze Wschodu po raz kolejny ujawnił swe prawdziwe zamiary. Niewiele brakowało, a polska partyzantka na Wileńszczyźnie zostałaby zduszona w zarodku.

Czas naglił, a sytuacja wymuszała podjęcie zdecydowanego działania w celu odtworzenia zdziesiątkowanego oddziału. Szendzielarz, mając pełne poparcie komendanta wileńskiej AK, otrzymał kredyt zaufania. Zaczęła powstawać V Wileńska Brygada Piechoty AK, zwana po prostu Brygadą „Łupaszki”. Jesienią 1943 roku liczyła już ok. 100 ludzi pod bronią[453].

W relacjach żołnierzy tego słynnego oddziału panuje zadziwiająca zgodność, że brygada pod rozkazami charyzmatycznego dowódcy budziła postrach wśród nieprzyjaciół. I słusznie, gdyż „Łupaszko” nie krył nienawiści do obu okupantów, a do Sowietów w szczególności. Z czasem jego oddział zaczęto określać mianem „Brygady Śmierci”[454]. Nazwy tej po raz pierwszy użył „Wilk” w zupełnie innym kontekście, niż ten, który, przynajmniej w pierwszej chwili, wydaje się oczywisty. Dowódca Okręgu Wilno komentował właśnie doniesienia o stratach, jakie Niemcy zadali V Brygadzie 31 stycznia 1944 roku pod wsią Worziany koło Kiemieliszek, gdzie doszło do obławy. Straty rzeczywiście były spore (życie straciło 20 partyzantów[455], a Szendzielarz został ranny w rękę), ale sytuacja, jaką

przedstawił Krzyżanowskiemu jeden z gońców, była zupełnie nieprawdziwa.

To niemożliwe, żeby zginęła cała Brygada. Niemożliwe, żeby „Łupaszka" dał się wymanewrować Niemcom. Mówicie, że doszło do zagłady? Boże, czyżby to miała być Brygada Śmierci? A „Łupaszka"? A „Węgielny"? Czy zginęli?[456] – pytał z niedowierzaniem „Wilk".

Tymczasem bilans walk przedstawiał się zupełnie inaczej. Brygada „Łupaszki" nie tylko nie została rozbita, lecz także wyszła z tego nierównego starcia zwycięsko. Partyzanci okrążyli nieprzyjaciela i zadali mu spore straty[457]. Po niemieckiej stronie naliczono co najmniej 43 zabitych[458].

W tym samym dniu we wsi odbywało się także wesele (miejscowy gospodarz Jan Giedrojć wydawał za mąż córkę), co osłabiło czujność żołnierzy Brygady i spowodowało, że Niemcom udało się początkowo zaskoczyć żołnierzy polskich, ale ostatecznie bitwa zakończyła się naszym zwycięstwem. Dosłownie wystrzelaliśmy większość Niemców. Zdobyliśmy dużo broni. Zawdzięczaliśmy to naszej odwadze oraz sprawnemu dowodzeniu. Owoc przyniosła taktyka „Łupaszki", który nigdy nie koncentrował całej brygady w jednym miejscu, tylko rozsiewał pojedyncze szwadrony w niedalekiej od siebie odległości. Niemcy myśleli, że nas otoczyli, tymczasem okazało się, że to oni są otoczeni[459] – wspominała po latach uczestniczka opisywanych wydarzeń, sanitariuszka brygady Lidia Lwow, w oddziale znana jako „Lala", późniejsza sympatia Szendzielarza[460].

Co więcej, uznała starcie pod Worzianami za największe zwycięstwo w „wileńskim" okresie działalności oddziału[461]. Podobne spostrzeżenia miał uczestnik bitwy, Edward Pisarczyk „Wołodyjowski", który zwrócił uwagę na inny niewątpliwy sukces – zdobycie na nieprzyjacielu sporych zapasów broni i amunicji. Pisał o niezwykłej zaciętości walk mimo ogromnej dysproporcji sił oraz środków.

Niemcy zasypali nas gęstym ogniem z broni zwykłej i maszynowej. Udało mi się dołączyć do swojej drużyny. Ostry nasz atak wyparł Niemców z obejścia gospodarskiego na gładkie pole przed wsią. Do walki wkroczyli nasi kawalerzyści. Gdyby nie ich pomoc, byłoby nam bardzo ciężko dać radę Niemcom, przeważającym nas liczebnie i nieporównywalną techniką

uzbrojenia. Mając osłonę z płotów, strzelaliśmy do nich jak do kaczek, bo byli odsłonięci. Na linię przybył „Łupaszka" i objął dowództwo nad całością. Przez grzmot strzałów słychać było jego komendę[462] – wspominał żołnierz V Brygady.

Jeżeli wcześniej Szendzielarz przekonywał kogokolwiek co do swojej przydatności bojowej i ponadprzeciętnego zmysłu dowódcy, teraz, po przemyślanej i skutecznej walce z przeważającym liczebnie wrogiem, nie musiał już niczego udowadniać. Nie tylko doskonale odnalazł się w bezpośredniej walce, lecz także dowiódł świetnej orientacji w terenie, na jakim operował. Do partyzantki nadawał się więc idealnie.

Powróćmy jednak do momentu, gdy „Łupaszko" dopiero tworzył swój oddział na Wileńszczyźnie. Jak wspomniano, komendant Krzyżanowski pomagał Szendzielarzowi, jak mógł. Obaj w styczniu 1944 roku próbowali wypracować grunt pod działanie brygady. Na ziemie polskie właśnie wkraczały wojska sowieckie[463] – kwestią czasu był ogólny odwrót Niemców, którzy ponieśli sromotną klęskę na froncie wschodnim.

Dowództwo wileńskiej AK przystąpiło z Niemcami nawet do rozmów, ale nie wyraziło zgody na apele nieprzyjaciela, aby skupić się tylko na działalności antysowieckiej. Komunistyczna propaganda nawet ten fakt potrafiła umiejętnie zmanipulować. „Łupaszkę" i „Wilka" przedstawiano później jako zdrajców, którzy układali się z największym wrogiem…[464]

Tymczasem dowódca V Brygady nie wybierał – walczył z każdym, kto starał się rugować polskość. Tego wymagała sytuacja, realia terroru i zniewolenia. Świetny oficer liniowy prowadził działania zbrojne, opierając się na szwadronach[465], które nadzwyczaj łatwo przemieszczały się z miejsca na miejsce. Pomagało również dobre wyszkolenie podkomendnych.

Oddziały albo współdziałały ze sobą, albo znajdowały się w odrębnych rejonach, a przybywały w określone przez sztab miejsce w określonym czasie koncentracji, by otrzymać nowe rozkazy, albo uzupełnić stan osobowy i uzbrojenie. Tak więc oddziały skazane były nieraz na długie i uciążliwe marsze, o różnych porach dnia i nocy. Kwaterowaliśmy i dostawaliśmy prowiant przeważnie we wioskach, często zmieniając miejsce postoju[466] – wspominał „Wołodyjowski".

Zapamiętał swego dowódcę jako twardego i konsekwentnego w działaniu, przede wszystkim zaś skutecznego. Był on dla swych żołnierzy

wyrozumiały, ale surowo karał każdą niesubordynację, rabunek czy gwałt na cywilach. Zdrada kończyła się rozstrzelaniem. Dyscyplina wojskowa była konieczna, inaczej nie dałoby się zapanować nad poszczególnymi pododdziałami jednego z największych polskich zgrupowań partyzanckich[467].

„Łupaszko" budził obawy wśród wrogów i autentyczny szacunek wśród własnych żołnierzy. Polska ludność zamieszkująca Wileńszczyznę odnosiła się do partyzantów na ogół przyjaźnie. Widok żołnierzy w większości odzianych w przedwojenne mundury Wojska Polskiego (ale także zdobyczne – niemieckie), z biało-czerwonymi opaskami na ramionach i ryngrafami z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej na piersiach musiał być wzruszający[468].

Walczono, jak wspomniano, na kilka frontów[469]. Polacy skutecznie rywalizowali zbrojnie z Niemcami i wspierającymi ich Litwinami – jak w październiku 1944 roku w miejscowości Sidoryszki. Z uporem zwalczali też sowiecką partyzantkę. Przeprowadzali akcje dywersyjne – za taką należy niewątpliwie uznać zatrzymanie w listopadzie 1943 roku niemieckiego pociągu i rozbrojenie części załogi[470].

Szendzielarz miał zapewne w pamięci to, co stało się z jego partyzanckim poprzednikiem – „Kmicicem", który uwierzył w dobre intencje czerwonoarmistów. Sowieckie dowództwo podejmowało próby ułożenia wojskowych stosunków zarówno z komendantem „Wilkiem", jak i „Łupaszką". W praktyce takie gesty niewiele znaczyły[471]. Przykład? Sowiecki atak na Polaków 2 lutego 1944 roku pod wsią Radziusze, a więc już dwa dni po zaciętym starciu z Niemcami pod Worzianami. I tym razem partyzancki dowódca wyszedł z tego nierównego boju obronną ręką, zadając wrogowi spore straty. Nie dla niego były układy podszyte kłamstwem[472].

Późną zimą 1944 roku oddział „Łupaszki", który tymczasem rozrósł się do ok. 300 ludzi, wciąż poważnie nękał obu nieprzyjaciół[473]. Nic nie zapowiadało, że wkrótce dowódca brygady wpadnie w ręce Niemców. Nie są znane dokładne okoliczności, w jakich został aresztowany. Wiadomo, że stało się to w kwietniu tego roku, podczas krótkiego pobytu „Łupaszki" w Wilnie u teściowej, opiekującej się jego nieletnią córką. Traf chciał, że napotkał on patrol litewskich policjantów, którzy poinformowali o ujęciu

partyzanta miejscowe Gestapo. Po krótkim pobycie w wileńskim areszcie przewieziono go do Kowna[474].

Tam Niemcy ponowili propozycję współpracy, obliczoną na zaniechanie wymierzonych w nich działań sabotażowo-dywersyjnych. Nie widząc szans na kompromis, „Łupaszko" odparł, że nie dysponuje żadnymi upoważnieniami, aby prowadzić rozmowy na ten temat. Odmówił, ale niedługo został wypuszczony na wolność. Być może Niemcy, widząc upór polskiego dowódcy, cieszącego się wielkim szacunkiem na ziemi wileńskiej, zrezygnowali z represji, aby pokazać swą dobrą wolę. Wydaje się zrozumiałe, że zabiegali o kontakt z budzącym postrach partyzantem, gdyż ten efektywnie zwalczał Sowietów. Możliwe, że liczyli, iż sam uwolniony wkrótce „przemyśli sprawę". Faktem jest, że wraz z początkiem maja Szendzielarz był już ponownie w swoim oddziale. Dowiódł swojej niezłomności, choć epizod z zatrzymaniem przez Niemców dał komunistom jeszcze jeden powód, aby oskarżać go o kolaborację[475].

„Łupaszko" był dowódcą bezkompromisowym. Dowodził tego na co dzień, nie tylko w niemieckiej niewoli, lecz także w bezpośrednim boju. Gdy dowiedział się o działaniach litewskich policjantów współpracujących z Niemcami, którzy 20 czerwca 1944 roku puścili z dymem polską wieś Glinciszki, zabijając 39 mieszkańców[476] – bez względu na wiek czy płeć – żądał ukarania sprawców. Do odwetu, oczywiście na określonych zasadach, wzywał sam komendant „Wilk"[477].

Wobec tej niesłychanej i ohydnej zbrodni i wobec tego, że ostrzeżenie moje nie poskutkowało, poleciłem podległym mi oddziałom Armii Krajowej wykonanie odwetu na oddziałach litewskich. Ponadto komunikuję, że moralni sprawcy mordu będą ukarani na mocy wyroków Sądu Specjalnego[478] – nakazywał 24 czerwca Krzyżanowski. Już wcześniej, rozkazem z 12 kwietnia, zabiegał o objęcie cywilów, niezależnie od ich religii czy narodowości, szczególną opieką. Z upoważnienia komendanta działał m.in. dowódca II Zgrupowania AK mjr Mieczysław Potocki „Węgielny"[479], który także zapowiadał zemstę[480].

Tymczasem partyzanci V Brygady uderzyli na Dubinki, gdzie – jak donosił lokalny wywiad AK – wraz ze swymi rodzinami mieszkali m.in. policjanci, którzy dopuścili się zbrodni na polskich cywilach. Dysponując tymi informacjami, dwa szwadrony dowodzone przez por. Jana Więcka „Rakoczego" i wachm. Antoniego Rymszę „Maksa"[481] dokonały

pacyfikacji wsi. Tragicznej w skutkach – śmierć poniosło 27 mieszkańców. Nie tylko sprawcy mordu w Glinciszkach i konfidenci, lecz także niewinni członkowie ich rodzin, w tym kobiety i dzieci[482].

Charakter i okoliczności akcji odwetowej dokonanej przez podkomendnych „Łupaszki" są od lat przedmiotem sporów[483]. Majora w Dubinkach na pewno nie było; nie zachował się też żaden jego rozkaz dotyczący tych tragicznych zdarzeń. Wiadomo natomiast, że dowództwo brygady dysponowało listami z nazwiskami litewskich policjantów, kolaborujących z Niemcami. Doraźnym celem była ochrona okolicznych Polaków, nękanych od dawna przez nieprzyjaciela[484]. Nie sposób rozstrzygnąć – z braku dokumentacji – w jakim stopniu „Rakoczy" i „Maks" realizowali polecenia dowódcy, a w jakim działali samowolnie. Trzeba dodać, że w warunkach podwyższonego ryzyka rozkazy mogły dochodzić z opóźnieniem albo zostać opacznie zrozumiane. Krwawy odwet był jednak faktem…

Dramatyczne wydarzenia na zamieszkałych przez Polaków i Litwinów terenach rzuciły cień na wzajemne stosunki obu narodów[485]. Szczęśliwie jednak nie doszło do eskalacji konfliktu. Wtedy, pod koniec czerwca 1944 roku, partyzanci z Wileńszczyzny szykowali się już do odegrania głównej roli w operacji „Ostra Brama" w ramach akcji „Burza". Szendzielarz miał pod bronią ok. 550 ludzi[486].

Siły wileńskiego i nowogródzkiego AK rozpoczęły działania zgodnie z założeniami dowództwa 7 lipca. Po niecałym tygodniu Wilno było już w polskich rękach[487], choć to, co działo się później z sowieckiej inicjatywy, rozbrajanie i aresztowanie akowców, trudno uznać za przejaw współpracy, o którą wcześniej zabiegali oficerowie Armii Czerwonej. Polacy jeszcze raz przekonali się, ile są warte zapewnienia wroga spod znaku czerwonej gwiazdy.

Łącznie w czasie „Burzy" wschodni „sojusznicy" aresztowali, a następnie internowali na Wileńszczyźnie ok. 5 tys. polskich żołnierzy i oficerów[488]. Pułkownik Krzyżanowski, który odpowiadał za przebieg akcji opanowania Wilna i mimo wszystko wierzył w dalszą możliwość współpracy z czerwonoarmistami, szybko (17 lipca) znalazł się w niewoli. Podzielił los oficerów, którzy przybyli na „odprawę" w miejscowości Bogusze[489].

Aresztowania uniknął natomiast „Łupaszko”, który – choć w pierwotnych planach był przewidziany do walki w jednym ze zgrupowań[490] – w ogóle nie wziął udziału w operacji. Prawdopodobnie, ze względu na skrajnie antysowieckie poglądy dowódcy brygady, „Wilk” polecił mu wycofanie się na zachód[491]. Choć w ostatniej chwili miał zabiegać jeszcze o zmianę rozkazu, było już za późno – walki o Wilno już trwały[492].

Brygada Śmierci zatem ocalała, bo jej dowódca, świadomy zagrożenia[493], od początku nie wierzył w czyste intencje Sowietów względem żołnierzy AK, witających ich na Wileńszczyźnie. Świadczą o tym słowa, jakie wypowiedział na naradzie z podwładnymi, tuż po tym, jak dotarł do niego spóźniony goniec z dyrektywami od Krzyżanowskiego. *Niech mnie historia osądzi, ale nie chcę, żeby kiedykolwiek nasi żołnierze byli wieszani na murach i bramach Wilna*[494] – tłumaczył „Łupaszko”. Oświadczył też, że nie zamierza defilować „przed Ruskimi” w oswobodzonym właśnie z rąk Niemców mieście.

Biorąc pod uwagę, czym zapewne zakończyłby się dla niego udział w operacji wileńskiej, Szendzielarz podjął optymalną w ówczesnych realiach decyzję, uzasadnioną wcześniejszymi rozmowami z przełożonym (choć niektórzy zarzucali „Łupaszce” niesubordynację)[495]. Wiedząc, że NKWD już od jakiegoś czasu próbował wpaść na jego trop, zmienił rejon operowania. Aby pozostać nieuchwytnym, zwiększył środki bezpieczeństwa. Dla zmylenia wroga przemianował nawet dowodzony przez siebie kilkusetosobowy oddział na „Brygadę Warszawską”. Odtąd określał się jako „Żelazny”. Ale nawet te działania nie uchroniły go przed zasadzką. Był 23 lipca 1944 roku, gdy partyzantów z ryngrafami na piersiach otoczyli w Puszczy Grodzieńskiej czerwonoarmiści[496]. „Łupaszko” myślał, że to koniec.

Zamiar dowództwa sowieckiego, przewidujący włączenie polskich partyzantów do 1 Armii Wojska Polskiego gen. Zygmunta Berlinga, był jednak dla Szendzielarza nie do przyjęcia. Zdobył się na fortel – wykorzystując nieuwagę nieprzyjaciela, rozproszył oddział. Wrogim żołnierzom, którzy odeszli wraz z częścią jego ludzi, obiecał, że lada moment dołączy do polskiej armii, podlegającej sowieckim rozkazom. To była oczywiście zasłona dymna. „Łupaszko” umiejętnie wykorzystał w ten sposób naiwność wroga[497].

Wezwanie swych podkomendnych do rozejścia się było jednak równoznaczne z rozwiązaniem Brygady. Kończył się ważny etap działalności, pełen dylematów, trudnych decyzji, zwycięstw, ale i dramatów. Czy wydarzenia w Puszczy Grodzieńskiej stanowiły koniec partyzanckiego życia „Łupaszki”? Nie byłby sobą, gdyby nie spróbował dalej walczyć…

Szendzielarz jeszcze raz uszedł śmierci – gdyby od razu podporządkował się dyrektywom wroga, jak część jego ludzi, niechybnie zostałby uwięziony. Partyzant pozostał z grupką zaufanych, ale nie złożył broni. Tym, którzy rozproszyli się, nakazał marsz w kierunku Puszczy Augustowskiej. Później polecił skierowanie się na ziemię białostocką, ale rozkaz nie dotarł do wszystkich. Na miejscu, mimo zaistniałych problemów, „Łupaszko” oddał się pod zwierzchnictwo szefa Okręgu AK Białystok ppłk. Władysława Liniarskiego „Mścisława”[498].

Sytuacja była jednak dramatyczna. Tysiące enkawudzistów, wspieranych przez polskich komunistów, przeczesywało lasy, urządzając obławy. Mnożyły się pacyfikacje wsi, których mieszkańców posądzano o sprzyjanie partyzantom. W Warszawie walki powstańcze co prawda wciąż trwały, ale opór sukcesywnie malał. Zbliżała się zima, a przecież jakoś trzeba było przetrwać. Perspektywa doczekania kolejnej wiosny wydawała się wówczas priorytetem.

Udało się. Dzięki uporowi dowódcy, awansowanemu jeszcze w listopadzie 1944 roku na majora, wkrótce odtworzono V Brygadę[499]. Braki w stanie osobowym szybko uzupełniono napływającymi ochotnikami, a to doświadczonymi żołnierzami AK, a to okolicznymi mieszkańcami. Do oddziału dołączył już przed kilkoma miesiącami por. Leon Beynar, znany dziś wszystkim miłośnikom historii jako Paweł Jasienica. Z czasem stał się adiutantem samego „Łupaszki”. Ranny w trakcie jednej z akcji zbrojnych pod Zalesiem w sierpniu 1945 roku, gdy partyzanci stoczyli zwycięski bój z 1 Warszawską Brygadą Pancerną[500], opuścił oddział i ukrył się we wsi Jasienica (stąd pseudonim). Tam otrzymał schronienie od miejscowego proboszcza[501]. W międzyczasie, w czerwcu tego roku, do „Łupaszki” dołączyła niespełna 17-letnia dziewczyna, sanitariuszka Danuta Siedzikówna „Inka”[502].

Możliwość niespodziewanego natknięcia się na oddziały Wojska Polskiego, współpracujące szczególnie na ziemiach wschodnich z Wojskami Wewnętrznymi NKWD, a także oddziałami KWB i MO, była

wielkim zagrożeniem. Taki kontakt zazwyczaj przeradzał się w nierówną walkę i tylko spryt oraz wyszkolenie doświadczonych w boju partyzantów pozwalały wydostać się z okrążenia. Ale ludzie „Łupaszki” nie ograniczyli się tylko do walki o przetrwanie i obrony przed górującym liczebnie nieprzyjacielem[503].

Wiosną i latem 1945 roku przeprowadzili wiele akcji dywersyjnych, głównie napadów na posterunki milicji czy gmachy UB. Likwidowano osoby uznane za zdrajców, ale i ujętych w walce Sowietów. Meldunki bezpieki donosiły o kolejnych wypadach partyzantów „Łupaszki”, który zwykł podpisywać się na zostawianych komunistom „na pamiątkę” kwitach. Major osobiście rozkazywał niektóre egzekucje, ku przestrodze, trzymając się twardych zasad antykomunizmu, którym zawsze był wierny[504].

Żołnierz słynnej brygady tak zapamiętał swego dowódcę: *Epatował wiarą w lepszą przyszłość. Wyrażał nadzieję, iż los wynagrodzi nam lata samozaparcia, koczowniczego życia, trudów walki. Nie nadużywał terminów patetycznych. Mówił językiem trafiającym do nas nawet wówczas, gdy wyrażał mocnym słowem dezaprobatę. Nie szafował obietnicami bez pokrycia, nie mamił przyszłymi promocjami, bronił tezy apolityczności wojska. Ten człowiek z rogatą duszą czynił na nas wielkie wrażenie*[505].

Szendzielarz, niczym niegdyś „szalony major” Henryk Dobrzański „Hubal”, który stał do 1940 roku na czele Oddziału Wydzielonego WP, wciąż pozostawał nieuchwytny. Przełożony mianował go komendantem partyzantki na obszarze białostockiego Okręgu AK-AKO[506] (skrót od „Armia Krajowa Obywateli”; V Brygada funkcjonowała jako jednostka dyspozycyjna Okręgu)[507]. Nieprzejednana postawa w stosunku do przedstawicieli władzy ludowej sprawiła, że jeszcze za życia majora stworzono jego wyjątkowo czarną legendę. Tymczasem „Łupaszko” chciał Polski całkowicie wolnej i czystej „jak łza”. To zaś było solą w oku komunistów.

Zastanawiając się nad cechą charakteru najpełniej oddającą postawę Zygmunta Szendzielarza w czasie jego służby publicznej, tak w okresie okupacji niemieckiej, jak i po 1945 roku, na myśl przychodzi przede wszystkim określenie „konsekwentny patriota”. Był nim bez względu na zmieniające się teatry działań bojowych, na piętrzące się przeciwności losu, był nim wbrew kalkulacjom politycznym, wbrew znikomym, a później już

żadnym szansom na zwycięstwo. Z potrzeby dawania świadectwa, wierności złożonej kiedyś przysiędze[508] – charakteryzują „Łupaszkę” Tomasz Łabuszewski i Kazimierz Krajewski.

Trudno się z tą oceną nie zgodzić. Przykładem żelaznej konsekwencji Szendzielarza była postawa w obliczu trudnej i niejednoznacznej sytuacji, jaka nastała wraz z zakończeniem II wojny światowej. W maju 1945 roku „Mścisław” ograniczył na polecenie DSZ walkę zbrojną. Podjął też działania w celu ujawnienia się. Dla „Łupaszki” była to decyzja co najmniej niezrozumiała. Gdy w lipcu jego bezpośredni przełożony wpadł w ręce UB, Szendzielarz nie wyszedł z ukrycia. Co więcej, dalej odnosił sukcesy w boju! Miesiąc później, 18 sierpnia, 1 szwadron V Brygady por. Zygmunta Błażejewicza „Zygmunta” wraz z oddziałem ppor. Władysława Łukasiuka „Młota” stoczył jedną z największych bitew podziemia po 1945 roku, rozbijając grupę operacyjną NKWD, UB i WP we wsi Miodusy Pokrzywne[509].

Tymczasem „Łupaszko” przedostał się do Gdańska, gdzie nawiązał kontakt ze strukturami DSZ. Gdy we wrześniu Delegatura przestała funkcjonować, naturalną koleją rzeczy, przynajmniej z punktu widzenia przełożonych partyzanta, było rozwiązanie V Brygady. Szendzielarz dostosował się i z bólem serca wykonał rozkaz. Ale już planował wznowienie podziemnej walki[510].

Po uznaniu zwierzchnictwa komendanta eksterytorialnego Wileńskiego Okręgu AK-DSZ ppłk. Antoniego Olechnowicza „Pohoreckiego” „Łupaszko” zajął się działalnością propagandową i wywiadowczą na Pomorzu[511]. To wtedy właśnie, na początku 1946 roku, rozlepiał ulotki ze swoistym manifestem niepodległościowego podziemia, skierowanym m.in. do żołnierzy Wojska Polskiego, pozostającego pod przemożnym wpływem Moskwy.

Nie jesteśmy żadną bandą, tak jak nas nazywają zdrajcy i wyrodni synowie naszej Ojczyzny. My jesteśmy z miast i wiosek polskich. Niejeden z waszych ojców, braci i kolegów jest z nami. My walczymy za świętą sprawę, za wolną, niezależną, sprawiedliwą i prawdziwe demokratyczną Polskę! Oficerowie i sługusy sowieccy używają Was [żołnierzy WP – W.K.] *do obław przeciwko nam, każą Wam strzelać do nas. Gdy użyją Was do takiej niecnej roboty, zbiorowo odmawiajcie wykonania rozkazu. A gdyby to zagrażało Waszemu życiu – strzelajcie na wiwat do góry lub przechodźcie*

do nas. Pamiętaj Żołnierzu, że strzelając do nas, możesz być mordercą swego brata, względnie najbliższego przyjaciela. Niech żyje wolność i braterstwo!!! Precz ze zdrajcami![512]

W kwietniu 1946 roku „Łupaszko” po raz kolejny przywrócił do życia oddział[513], w którym spędził już prawie trzy lata. Żołnierze majora Wielkanoc świętowali już razem, pozostając w walce. Brygadę odtworzono w Borach Tucholskich. Przez kilka kolejnych miesięcy nękała miejscowych funkcjonariuszy aparatu władzy[514].

Banda „Łupaszki” bezpośrednio podlega Głównej Komendzie AK, a operacyjnie sztabowi białostockiego AK. Ma ona wpływ terroryzujący na miejscową ludność. Dziełem tej bandy są napady na funkcjonariuszy Bezpieczeństwa i MO, żołnierzy WP i Armii Czerwonej, na działaczy demokratycznych (sic!), pociągi i przejeżdżające kolumny samochodowe[515] – informowało opracowanie Oddziału Rozpoznawczo-Śledczego Sztabu KBW, sporządzone w czerwcu 1946 roku. Dowództwo Korpusu wielokrotnie raportowało o *aktywnej działalności bandy polityczno-terrorystycznej*, oczywiście dowodzonej przez „herszta Łupaszkę”[516].

Co na to człowiek, który stał się dla komunistów prawdziwą zmorą? Jesienią zdecydował się na przenosiny na Białostocczyznę, gdzie z części jego ludzi już w lutym powołano VI Brygadę Wileńską[517] pod rozkazami por. Lucjana Minkiewicza „Wiktora”[518].

Po długich miesiącach zimowych Waszej tułaczki i osamotnienia w terenie przyszedł znowu czas, że przychodzę do Was i dane mi jest dowodzić Wami w dalszym ciągu. […] Jesteście teraz 6-tą Brygadą Wileńską pod dowództwem Waszego dotychczasowego dowódcy „Wiktora”. Żałuję, że nie mogę osobiście na razie z Wami porozmawiać, ale moi drodzy niech będzie dla Was bodźcem do ciężkiej pracy i wytrwania to, że duchem i każdą myślą jestem zawsze przy Was, że znowu nie jesteście sami, że będziecie tak jak dawniej mieli swego oddanego dowódcę i towarzysza broni. […] Czekają nas jeszcze ciężkie chwile, ale przetrwamy – wszak przetrwaliśmy już tyle – zwyciężymy, bo jesteśmy żołnierzami 5-ej, a obecnie 6-ej Brygady Wileńskiej[519] – pisał w rozkazie z 26 lutego 1946 roku „Łupaszko”.

W listopadzie rozwiązaniu uległ ostatni patrol V Brygady, operujący na Pomorzu. Prawdopodobnie jeszcze przed końcem roku władza

skontaktowała się z „Łupaszką” w sprawie ewentualnego ujawnienia się. Stanowisko majora było jednak niezmienne i klarowne – prędzej zginie, niż dobrowolnie odda się w ręce oprawców za cenę tak zwanej wolności.

Doskonale wiedział, że bezpieka intensywnie go poszukuje. Pod koniec 1946 roku, po zaprzestaniu działalności jego szwadronów, w UB intensywnie szykowano się do ostatecznej rozprawy z partyzantami majora. W połowie 1947 roku inwigilacja objęła całe tzw. środowisko wileńskie. Informacji dostarczała rozbudowana sieć agentury. Jednocześnie wzmożono akcje prowokacyjne i zaczepne[520].

Czy „Łupaszko” czuł na szyi zaciskającą się pętlę? Z pewnością był świadomy czyhającego niebezpieczeństwa. Przecież miewał już propozycje od ministra Radkiewicza, wzywającego do „ugody”, obiecującego puszczenie w niepamięć jego domniemanych grzechów i wydanie pozwolenia na opuszczenie kraju[521].

Mniej więcej od wiosny 1947 roku Szendzielarz był już jedną nogą w „cywilu”. Jego obowiązki dowódcze w praktyce przejął Władysław Łukasiuk „Młot”[522], choć major wciąż odbierał jeszcze raporty dotyczące działań VI Brygady. *Ukrywaliśmy się. „Łupaszko” Brygady nie rozwiązał, stale ktoś przyjeżdżał i raportował o sytuacji na Podlasiu. Tylko nasi tam zostali. W końcu w czerwcu zginął „Młot” i wszystko się rozeszło. Organizacja na Podlasiu przestała istnieć. Wyjechaliśmy do Zakopanego*[523] – wspominała towarzyszka „Łupaszki”.

Aby zmylić komunistów, partyzant kwaterował w różnych miejscach na Podhalu. Razem z narzeczoną udawali turystów, próbowali prowadzić przynajmniej pozornie normalne życie[524]. Gwałtownie zniszczono je 30 czerwca 1948 roku – „Łupaszko” i „Lala” przebywali akurat w Osielcu koło Jordanowa[525]. Tymczasem w ręce komunistów wpadło wielu innych dowódców partyzanckich, w tym ppłk. Olechnowicz. Aresztowania trwały jeszcze w 1949 roku. Spektakularna operacja aparatu bezpieczeństwa pod kryptonimem „Akcja X”[526], której celem była likwidacja struktur okręgu wileńskiego AK, zakończyła się pełnym sukcesem władz – ujęto ok. 6 tys. osób, z czego 2 tys. postawiono przed komunistycznymi sądami[527].

Ostatnie chwile na wolności „Łupaszko” spędzał z „Lalą”, której, wbrew niektórym relacjom[528], nigdy nie dane było mu poślubić. Wiadomo natomiast, że sanitariuszka była jego narzeczoną[529]: *Byłam bardzo zakochana. Pewnego dnia „Łupaszka” zaprosił mnie do siebie i przy swoim*

adiutancie powiedział, że od dziś mogę się czuć jego narzeczoną. Wyjaśnił, że z żoną jest w oficjalnej separacji, że nie ma już żadnych zobowiązań. Ale nie stałam się wtedy panią komendantową. Nie wywyższałam się. Wszystko było jak dawniej. Pozostałam sanitariuszką i nadal mówiłam do „Łupaszki" per komendancie[530].

Co stało się dalej z aresztowanymi? *Miał* [Szendzielarz – W.K.] *dokumenty chorego na gruźlicę. Miał się leczyć, odpoczywać. Był przygotowany, swoją izbę miał u gaździny. W skrzyni góralskiej miał schowane rzeczy, pepeszę i granaty. […] Po rozwiązaniu oddziału miał być przerzucony na Zachód na lewych dokumentach, jako urzędnik Centrali Rybnej z Gdyni*[531] – przybliżał okoliczności ubeckiej zasadzki późniejszy towarzysz „Łupaszki" z więzienia przy Rakowieckiej, Stanisław Krupa.

Powołując się na wyznanie majora, wspominał też, że oboje – Szendzielarz i Lwow – słysząc strzały, wzięli je za obławę przygotowaną na nielicznych, ale wciąż ukrywających się partyzantów z oddziału Józefa Kurasia „Ognia"[532]. Tymczasem owa „ucieczka" okazała się świetnie zaplanowaną, upozorowaną na pościg za rzekomym „bandytą" (w tej roli wystąpił podstawiony ubek), akcją UB[533].

„Łupaszkę", jak i jego żonę /kochanka/ zastano w bieliźnie rannej, którzy na skutek wszczętego alarmu byli zdezorientowani i przeświadczeni o faktycznym pościgu za bandytą i do zakończenia rewizji domowej nie byli zorientowani, że o nich się rozchodzi. Z chwilą kiedy „Łupaszko" został zakuty, wyraził zdziwienie i pozorował, że przez pomyłkę jego się zabiera, opierając się na fałszywych dokumentach na nazwisko Mańkowski Zygmunt[534] – zanotował w raporcie funkcjonariusz MBP, niejaki mjr Wróblewski[535].

Co działo się potem? Sam zatrzymany wspominał później, że po nałożeniu kajdanek wyprowadzono go do opancerzonego wozu i przewieziono prosto do Krakowa. *Nie wiem, w jakim więzieniu mnie ulokowano. Sądzę, że w piwnicach Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Zachowano jednak maksimum ostrożności. W celi siedziałem skuty, ze mną znajdował się strażnik bez broni, ale chłop jak tur. Za drzwiami – strażnik z pistoletem maszynowym. Rano znowu w opancerzony wóz i na lotnisko. Samolot już czekał. W Warszawie zaś czekała cała sfora stróżów. Znowu w samochód i na Koszykową. Cały czas w kajdankach*[536] – mówił „Łupaszko", przebywając już w więziennej celi.

Co jeszcze utkwiło mu w pamięci? Z pewnością „wizyta” w gabinecie płk. Józefa Różańskiego, gdzie miał „grzeczną pogawędkę” zamiast typowego przesłuchania. *Co chwilę ktoś wchodził. Oglądano mnie jak dzikie zwierzę w klatce* – zauważył legendarny partyzant[537]. Odbył też „bliskie spotkanie” z szefem MBP Radkiewiczem. Partyzant, jak już wspomniano, otrzymał od niego kilka miesięcy wcześniej swoistą propozycję…

– No i co, panie majorze, ja nie wiszę na sośnie, a mimo to spotkaliśmy się… Wtedy zorientowałem się, że to sam minister Radkiewicz. Otóż, pod koniec 1946 roku, nie przypominam sobie już, jaką drogą i za czyim pośrednictwem, otrzymałem osobisty list ministra Radkiewicza. Nakłaniał mnie do rozwiązania oraz ujawnienia oddziału, oferując w zamian paszport i swobodny wyjazd do Anglii. Celem omówienia szczegółów proponował osobiste spotkanie. W zapewnienie pana ministra nie uwierzyłem. Na list jednak odpisałem, tyle że bardzo zwięźle i niezbyt kurtuazyjnie. Napisałem mianowicie: „Panie ministrze, możemy się spotkać pod jednym warunkiem – kiedy pan będzie wisiał na sośnie, ja pod nią przyjdę”. Przypomniawszy sobie tę korespondencję, uśmiechnąłem się i odparłem: *– No cóż, panie ministrze, normalna kolej rzeczy, raz jest się na wozie, raz pod wozem. W tym wypadku pan wygrał. Z satysfakcją jednak stwierdzam, że ciągle się mnie boicie…*[538]

W istocie, choć komuniści mieli o Szendzielarzu jak najgorsze zdanie, obawiali się go, i to bardzo. Nie dziwi więc, że gdy ten wpadł w końcu w ich sidła, długo się z nim nie rozstawali. Kolejne 30 miesięcy „Łupaszko” spędził w więzieniu. Trafił na ul. Rakowiecką, pod adres, który mroził wówczas krew w żyłach. Przesłuchiwany, wielokrotnie pytany o intencje działania w partyzantce antykomunistycznej, zawsze odpowiadał, że walczył o Polskę wolną od jakiejkolwiek obcej podległości.

Takie tłumaczenie groziło oczywiście śmiercią. Tym bardziej że w czasie procesu, toczącego się przed Wojskowym Sądem Rejonowym od 23 października 1950 roku w Warszawie, podsądnemu zarzucano wieloaspektowe działanie na szkodę państwa, widząc go m.in. w roli dywersanta i szpiega w służbie „reakcyjnych kół londyńskich”. Był to klasyczny zarzut z szerokiego repertuaru komunistycznej nowomowy.

Historia wileńskiego okręgu „AK”, historia zdrady i zaprzaństwa polskiej reakcji nie kończy się z chwilą wyzwolenia terenów Wileńszczyzny

przez bohaterską Armię Radziecką, a wręcz przeciwnie działalność ta wzmaga się na odcinku walki z Władzą Ludową w Polsce[539] – napisano w obszernym akcie oskarżenia, sporządzonym we wrześniu 1950 roku. Na jego podstawie stwierdzono, że major był nikim innym jak tylko „wykonawcą zbrodniczych dyrektyw zagranicznych ośrodków wywiadu anglosaskiego imperializmu".

Cholera, Staszek, mam zarzutów tyle, że starczyłoby dla wszystkich w celi. Zarzucają mi między innymi, że na mój rozkaz zginęło czterystu funkcjonariuszy bezpieczeństwa lub MSW i dwa tysiące ruskich. Tych ubeków to mi dorzucili. Tyle to ich nie rozstrzelałem. Ale ruskich to mi sporo odjęli[540] – przywołuje po latach słowa „Łupaszki" jeden ze współwięźniów.

Komuniści doskonale wiedzieli, co robią i co mówią. Postępowanie w sprawie „Łupaszki" było szczególne, nawet na tle ówczesnych procesów pokazowych. Przedstawienie opinii publicznej partyzanta jako „groźnego bandyty", „krwawego zbira", „łajdaka" i „watażki" miało zaciążyć na wizerunku całej Armii Krajowej, godzić w jej bohaterski etos. Dlatego dowódcę V Brygady oskarżono o całą gamę haniebnych czynów, z kolaboracją z Niemcami włącznie. Miała to być przestroga dla pozostałych „wrogów ojczyzny", a jednocześnie kolejna próba legitymacji rzekomo postępowego obozu władzy. Propaganda komunistyczna robiła, co mogła, aby uwiarygodnić represyjny system w oczach zwykłych obywateli. Niestety, wychodziło jej to całkiem dobrze.

Oprócz „Łupaszki" w imię tzw. sprawiedliwości sądzono ppłk. Olechnowicza, ppor. Minkiewicza, schwytaną razem z Szendzielarzem Lwow, a także Wandę Minkiewicz „Dankę" oraz por. Henryka Borowskiego „Trzmiela". Wszystkim – relacjonowało na bieżąco Polskie Radio głosem sprawozdawcy red. Andrzeja Rokity – zarzucano, że w czasie okupacji, będąc członkami AK, współpracowali z wywiadem hitlerowskim *w zwalczaniu polskiego demokratycznego ruchu wyzwoleńczego* [sic!] *i partyzantki radzieckiej, działającej na terenie Wileńszczyzny*[541].

Składowi sędziowskiemu przewodniczył mjr Mieczysław Widaj. Obrony podsądnego podjął się adwokat przydzielony z urzędu, Edward Rettinger. I choć stwarzano pozory praworządności, wyrok był oczywiście znany długo przed rozpoczęciem rozprawy…

Oficjalnie zapadł jednak dopiero 2 listopada 1950 roku. W sentencji skazującej obwieszczono Szendzielarzowi, że w latach 1944–1948 *usiłował przemocą zmienić ustrój Państwa Polskiego i obalić organa zwierzchniej władzy państwowej, uczestnicząc jako dowódca band zbrojnych*, a ponadto m.in. dopuścił się wielu „gwałtownych zamachów", przywłaszczał cudze mienie, kradł pieniądze z państwowych kas, nawoływał do mordowania funkcjonariuszy UB i MO, zabijał sowieckich partyzantów, gromadził broń i posługiwał się podrobionymi dokumentami[542].

Major nie przyznał się do współpracy z niemieckim okupantem, potwierdził jednak zdecydowanie antykomunistyczny charakter dowodzonego przez siebie oddziału. Wynikiem takiego nastawienia wobec władzy ludowej była natomiast szczególna bezkompromisowość i bezwzględność w walce z funkcjonariuszami aparatu państwowego. Szendzielarza czekała niechybna śmierć – skazano go za osiemnastokrotną karę pozbawienia życia![543] Spodziewał się najgorszego, o łaskę nawet nie prosił.

Droga życiowa od zdrady i zaprzaństwa, poprzez mordy, grabieże i szpiegostwo przeciw własnej ojczyźnie, w interesie odradzającego się na Zachodzie faszyzmu, zawiodła ich na ławę oskarżonych. Oto nieunikniony los wszystkich wrogów ludu, którzy, wysługując się angloamerykańskim podżegaczom wojennym, usiłują zniweczyć twórczą i pokojową pracę naszego narodu[544] – obwieściło „ku przestrodze" komunistyczne radio.

Człowiek, który zdążył choć trochę poznać legendę wileńskiej partyzantki w zimnej celi, zapamiętał niezachwianą postawę skazańca. *Kiedyś mówię: „Zygmunt, na wolności, jak się spotkamy…". – Staszek, czy ty jesteś naiwny. Nie ma siły, która by mnie z tych murów wyrwała żywego. Przecież zdaję sobie sprawę, że mnie tu rozstrzelają. Zresztą i słusznie. Bo jakbym któregoś z nich złapał, jak byłem jeszcze w partyzantce, to też bym rozstrzelał. Dlaczego mają mnie oszczędzać. […] Spytałem go: „Zygmunt, nie miałeś wyrzutów sumienia, że to jednak ginęli żołnierze Polacy?" – „Owszem, ale nie szukałem zaczepki, tylko się broniłem. Nie inicjowałem walki nigdy. Tylko się broniłem"*[545].

Ten sam więzień zapamiętał, że w trudnych chwilach zawsze mógł liczyć na wsparcie Szendzielarza. *Nie wiedziałem wtedy, że to przesławny „Łupaszka", dla jednych brawurowy partyzant, dla innych krwawy bandyta. Dla mnie był on przede wszystkim towarzyszem niedoli, który*

samorzutnie, bez obawy, że narazi się strażnikom, pomagał temu, co znajdował się w trudnej sytuacji. […] Był to niewątpliwie nietuzinkowy człowiek[546].

Po ogłoszeniu wyroku legendarny partyzant na krótko ujrzał jeszcze „Lalę". Jedyną „oszczędzoną" przez sąd – czekała ją bowiem „zaledwie" perspektywa dożywotniego więzienia. Ostatnie widzenie z ukochanym głęboko jednak przeżyła: *„Łupaszko" mówił, że nie pamięta już, jak wygląda jego córka; wspominał też o matce (zawsze mówił, że ze wszystkich kobiet na świecie swoją matkę kocha najbardziej), a mnie powiedział tylko, żebym się uczyła i wyszła za mąż*[547]. Trwające nie więcej niż pół godziny spotkanie zakończyło się ostatnim pocałunkiem[548].

Jak zapamiętała Lwow, po procesie „Łupaszko" wyraźnie podupadł na zdrowiu. Szczególnie dawał mu się we znaki problem z kręgosłupem, którego nabawił się przed laty po upadku z konia[549]. Teraz do tej uciążliwej kontuzji doszła jeszcze świadomość zbliżającego się końca[550]. Zresztą pobyt przy Rakowieckiej niejednego przyprawił o poważną chorobę. Ostatnie dni przed egzekucją major nie zdradzał jednak oznak nerwowości, był pogodzony z losem[551].

Niebawem po raz ostatni wyszedł z celi…

„Dawaj, bierzcie swoje rzeczy i chodźcie z nami". To było wiadomo, że na wykonanie wyroku. To po apelu było. Szendzielarz – rzeczy. Żadnych rzeczy nie było, szczoteczka do zębów, woreczek z proszkiem – bo nie wolno było mieć pasty w tubkach, tylko proszek do zębów i woreczki mieliśmy na proszki – ręcznik, kapcie. To całe rzeczy. Powoli to zgarnia: „Prędzej, pospieszcie się". – „Czekałem na wykonanie wyroku ponad pół roku – w lutym wykonali wyrok, tuż po mojej sprawie – to możecie poczekać parę minut". Sprężystym krokiem, równym, podszedł do celi. We drzwiach się odwrócił: „Słuchajcie, bądźcie przekonani i ja też wierzę, że ginę za słuszną sprawę". Poszedł[552] – wspominał świadek ostatniej drogi „Łupaszki".

Był 8 lutego 1951 roku. Feralnego dnia strażnik więzienny co jakiś czas wchodził do pomieszczenia z więźniami i wyczytywał kolejno ich nazwiska. Pierwszy poszedł Olechnowicz. Za nim – już po godzinie 18 – „Łupaszko", którego zawołano w momencie, gdy wychodził z więziennej kaplicy. *[…] podszedł spokojnie do drzwi, następnie zatrzymał się przez chwilę, odwracając bokiem do pozostających w celi i pożegnał słowami „Z Bogiem Panowie"…*[553]

Początkowo, po wyprowadzeniu „Pochoreckiego”, w celi nerwowo oczekiwano na jego powrót. Gdy z oczu więźniów zniknął kolejny skazaniec, nikt nie miał już jednak wątpliwości, co do rzeczywistych intencji katów. *Wtedy zdaliśmy sobie sprawę z tego, że wieczór dzisiejszy stanie się czasem rozprawy zbrodniarzy bolszewickich z oficerami polskimi Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej. […] Nieraz przyszło nam w żołnierskim życiu otrzeć się o śmierć, tylko wówczas każdy miał broń w ręku i szansę zniszczenia wroga. Tu było inaczej, beznadziejnie jak w rzeźni*[554] – zapamiętał świadek opisywanych wydarzeń kpr. Mieczysław Chojnacki „Młodzik”.

W ostatnich chwilach majorowi towarzyszyli jedynie oprawcy: naczelnik więzienia Grabicki, prokurator Jakub Lubawski, który odczytał przed skazańcem sentencję wyroku z woli towarzysza Bieruta, lekarz Kazimierz Jezierski (porucznik UB). Egzekucję, strzałem do odwróconego skazańca, w kość potyliczną, wykonał sierż. Aleksander Drej. Był kwadrans po godz. 20[555].

Tego dnia, w krótkich odstępach czasowych, stracono także trzech innych współpracowników „Łupaszki”: Minkiewicza, Borowskiego oraz Olechnowicza[556]. Nieco ponad pół roku później, 29 września 1951 roku, w więziennym szpitalu przy Rakowieckiej umrze na gruźlicę były zwierzchnik całej czwórki straconych – „Wilk”.

Tak zwany stalinowski okres w dziejach Polski naturalnie sprzyjał wyklęciu wszystkich, którzy nie akceptowali nowej rzeczywistości. Stwarzał szczególnie dogodne warunki do pomówień, oszczerstw i powielania nieprawdziwych informacji o ofiarach zbrodniczego totalitaryzmu. Według takiej wykładni historii najnowszej „Łupaszko” był „krwawym hersztem wileńskich bandytów”, „sługusem imperialistycznego Zachodu”, „krwawym zbirem na żołdzie Gestapo i anglojęzycznego wywiadu”. Tak pisały ówczesne gazety, w ten sposób uczono w szkołach. Na przekór prawdzie historycznej, wbrew podstawowym faktom.

Bezpieczeństwo zdobyło zeznanie, że cała grupa wileńska podlegająca Łupaszce dalej istnieje w konspiracji. I tylko na tej podstawie departament trzeci aresztował około sześciuset ludzi w Olsztyńskim, Gdańskim, Szczecińskim i gdzie indziej. To była „akcja K” i ludzie ci siedzą do dziś. Za co? Za to tylko, że pochodzą z Wileńszczyzny, że kiedyś podlegali Łupaszce

w Armii Krajowej, że kiedyś należeli do konspiracji. Tylko za to wsadziliście ich do więzienia towarzyszu Tomaszu [pseudonim Bieruta – W.K.][557].

Tak samego Bieruta ganił płk Światło, który znalazł azyl w Niemczech Zachodnich, gdzie demaskował zbrodniczy system na falach Radia Wolna Europa. Słuchając jego audycji, trzeba mieć oczywiście na uwadze wcześniejszy życiorys człowieka, który długo był częścią tej opresyjnej machiny państwa. Niemniej jednak słowa te potwierdzają, jak wielkim wrogiem Polski Ludowej był „Łupaszko". Nawet po śmierci.

Z tamtej rzeczywistości, w której walczący o pełną niepodległość uchodzili za zwykłych bandytów, kpił satyryk i poeta Janusz Szpotański, za co zresztą zapłacił później trzyletnim pobytem w więzieniu[558]. Jego *Ballada o Łupaszce*, napisana pod wrażeniem wydarzeń z marca 1968 roku, gdy władze wszędzie wietrzyły rewizjonistyczno-syjonistyczny spisek, wiele mówi o komunistycznej mentalności. Rządzący wówczas Gomułka, ten sam, który zabiegał o karę dla Szpotańskiego, rozpoczął istną nagonkę na Jasienicę (to jemu satyryk dedykował swój utwór), byłego żołnierza „Łupaszki", który ośmielił się wyrazić sprzeciw wobec zdjęcia *Dziadów* Adama Mickiewicza z desek teatru warszawskiego[559].

Towarzysz „Wiesław" oskarżył Jasienicę, używającego konspiracyjnego pseudonimu „Nowina", o udział w akcji na podlaską miejscowość Narewka (dzieciństwo spędziła tam „Inka") w kwietniu 1945 roku[560]. Partyzanci (grupa egzekucyjna ppor. Zdzisława „Badochy" Żelaznego) zastrzelili wtedy cztery osoby skazane przez podziemne sądy za komunistyczną działalność, w tym miejscowego wójta. Po opanowaniu lokalnego posterunku MO wszyscy funkcjonariusze, uprzednio rozbrojeni, zostali wypuszczeni na wolność[561].

Wydarzeniom tym poświęcony jest fragment ballady:

Już szwadron podjechał
pod senną wioszczynę
i wzywa do siebie
Łupaszka Nowinę:
„Cztodiełat'?" Nowina
mu na to: „Serdeńko,
ach, spalić nam trzeba
tę wioskę maleńką,

bo wioski tej wójtem
niejaki jest Hryć,
co z ciebie bezczelnie
ośmiela się kpić!”

Już płonie Narewka,
już świszcze nahajka
i śmiechem okrutnym
zanosi się Czajka,
bo nic tak nie cieszy
krwiożerczej gudłajki,
jak w huku płomieni
świszczące nahajki.
I śmieje się Czajka,
i skacze, i łka:
„Łupaszka, Łupaszka,
Łupaszka maja!”[562]

Idąc rzekomo za zgodnym głosem mieszkańców Narewki, a nawet całej ziemi białostockiej, władze domagały się wykluczenia Jasienicy, określanego jako „prawa ręka bandy”, ze Związku Literatów Polskich, co zresztą w końcu stało się faktem. Za pośrednictwem mediów komuniści apelowali też o wymierzenie właściwej kary uczestnikom owych „haniebnych” zajść[563].

Złowieszczą legendę wileńskich partyzantów budowano jeszcze długo po Marcu’68 i skazaniu Szpotańskiego, którego pierwszy sekretarz nazwał wprost „człowiekiem o mentalności alfonsa”. Przełom nastąpił po narodzinach III RP, choć nie od razu. Wyrok komunistycznego sądu zrewidowano dopiero w 1993 roku. Trzynaście lat później, w 2006 roku, legendarnego dowódcę V Wileńskiej Brygady AK uczczono specjalną uchwałą sejmową, w której stwierdzono, że Szendzielarz, symbol niezłomnej walki o ojczyznę, był „do końca wierny Niepodległej Polsce”[564].

Na należne honory nigdy za późno. W 2007 roku prezydent Lech Kaczyński odznaczył partyzanta pośmiertnie Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Zasłużony oficer Rzeczypospolitej, doskonały

organizator i świetny dowódca, już w czasie wojny otrzymał Krzyż Walecznych i Krzyż Virtuti Militari V klasy. W 1988 roku władze RP na emigracji nadały mu kolejne Virtuti, tym razem najcenniejsze – Krzyż Złoty.

W 2008 roku „Łupaszce” wyprawiono symboliczny, ale uroczysty pogrzeb na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach. Jego szczątki, czego wówczas można się było jedynie domyślać, leżały w bezładzie gdzieś na terenie pobliskiej kwatery Ł. Potrzeba było kolejnych kilku lat żmudnej pracy naukowców różnych dziedzin, a także niesłabnącej cierpliwości rodziny, aby ustalić dokładne miejsce spoczynku majora[565].

W jednym dole spoczywali wszyscy czterej straceni po sobie skazańcy, oficerowie Wileńskiego Okręgu AK. Wyniki badań genetycznych ogłoszono 22 sierpnia 2013 roku, na specjalnej konferencji IPN[566]. Notę identyfikacyjną szczątków „Łupaszki” odebrała jego była sympatia – „Lala”. Po wojnie, zgodnie z obietnicą daną ukochanemu, wyszła za mąż, doczekała się dzieci oraz wnuków. Odnalezienie kości Szendzielarza, którego ostatni raz widziała ponad 60 lat wcześniej, musiało być wielkim przeżyciem.

Dziś, w przeciwieństwie do większości ofiar represji stalinowskich pogrzebanych na Łączce, których szczątki udało się odnaleźć i zidentyfikować, Szendzielarz nie spoczywa w Panteonie Żołnierzy Niezłomnych-Wyklętych, odsłoniętym we wrześniu 2015 roku. Taka była wola najbliższej rodziny majora[567].

24 kwietnia 2016 roku odbył się uroczysty, państwowy pogrzeb dowódcy V Brygady, którego szczątki przeniesiono do grobowca jego zmarłej w 2012 roku córki Barbary, zlokalizowanego na Powązkach Wojskowych. Tysiące ludzi odprowadziło wiezione na lawecie kości bohatera, co ze wzruszeniem obserwowali krewni „Łupaszki” – siostrzenica Halina Morawska i siostrzeniec Bogdan Kasprowicz, a także ukochana legendarnego partyzanta – Lidia Lwow.

W uroczystościach wziął udział prezydent Andrzej Duda – zwierzchnik polskiej armii, której żołnierzem był przecież niegdyś legendarny major. Obecny był też minister obrony narodowej Antoni Macierewicz, który w dniu pogrzebu pośmiertnie awansował „Łupaszkę” na pułkownika (wcześniej, w lutym 2016 roku, nadał mu stopień podpułkownika). Potrzeba

było 65 lat, aby godnie pożegnać człowieka, dla którego służba w mundurze z orzełkiem była zawsze najwyższym honorem.

Niech żyje Polska! Niech żyje „Łupaszko" – krzyknęła przed śmiercią 17-letnia sanitariuszka V Brygady, znana w oddziale jako „Inka". Po chwili młodziutka dziewczyna osunęła się na zimną podłogę gdańskiego aresztu UB[568]. Podobny los spotkał jej dowódcę. Pozostała legenda walecznego i nieuchwytnego majora oraz najbardziej znienawidzonego przez władzę partyzanckiego oddziału.

WITOLD PILECKI – OCHOTNIK DO AUSCHWITZ

Bo choćby mi przyszło postradać me życie
Tak wolę – niż żyć, a mieć w sercu ranę
z wierszowanego listu Witolda Pileckiego
do płk. Józefa Różańskiego, 14 maja 1947 r.

Pani mąż to wrzód na ciele Polski Ludowej
prokurator Czesław Łapiński do Marii Pileckiej
po ogłoszeniu wyroku śmierci na rotmistrza

Starałem się tak żyć, abym w godzinie śmierci mógł się raczej cieszyć niż lękać[569] – powiedział u schyłku życia bohaterski rotmistrz. Znał już wyrok komunistycznego sądu, skazujący go na najwyższy wymiar kary. Kiedy działający w pojedynkę kat wymierzył broń w jego głowę, mijał trzynasty dzień po jego 47. urodzinach. Witold Pilecki umierał, ale nawet w ostatniej chwili mógłby ze spokojnym sumieniem spojrzeć w lustro.

Jego życiorys zawiera w sobie wiele sprzeczności – nie chodzi o postawę rotmistrza – ta zawsze była bowiem nieugięta i nastawiona na służbę Polsce, lecz piękno i tragizm, które go cechują. Jest tak niezwykły i inspirujący, że filmowcy i inni artyści powinni czerpać z niego pełnymi garściami[570]. Aż dziw, że do tej pory szeroko rozumiana sztuka w tak niewielkim stopniu wypromowała tę niesamowitą postać.

Walczył z bolszewikami w 1920 roku, Niemcami i Sowietami w 1939 roku, a potem robił wszystko, aby skutecznie sprzeciwiać się polskim komunistom. Swoją konspiracyjną działalnością położył nieocenione zasługi dla Polskiego Państwa Podziemnego. To on dobrowolnie trafił do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz, skąd wydostał się, również na własną rękę, po trzech latach (!). Jako „wróg ludu” przekonał się, co to tortury w komunistycznym więzieniu. Oprawcy mogli go co prawda wyniszczyć fizycznie, co też uczynili, ale złamać się nie dał. Nie bez powodu zalicza się go do grona najodważniejszych członków ruchu oporu w czasie II wojny światowej[571].

Nie zostałby nim, gdyby nie wychowanie, jakie odebrał w rodzinnym domu. Wpajane mu ponadczasowe ideały – miłość do ojczyzny, braterstwo, poszanowanie tradycji i religii – młody Witold głęboko wziął sobie do serca. Wręcz zapominał o świecie, gdy tylko najbliżsi opowiadali mu o bogatych dziejach rodu Pileckich herbu Leliwa, a w szczególności o przodkach uczestniczących w niepodległościowych zrywach[572].

Pradziadkowie – Maria i Adam Pileccy – w swym majątku szlacheckim w Sukurczach pod Lidą, ryzykując życiem, udzielali schronienia powstańcom styczniowym. Ich syn Józef – dziad Witolda – w 1864 roku zapłacił za tę pomoc zesłaniem do dalekiego Tomska. Siedem lat spędził na Syberii…[573]

Majątek był stary. Mająteczek właściwie, nie była to wielka posiadłość. Liczył sobie ponad czterysta lat i – według rodzinnej tradycji – pamiętał jagiellońskie sejmiki szlacheckie. Przed wiekami Sukurcze, położone jakieś sto kilometrów na południe od Wilna, były siedzibą Narbuttów, następnie Domeyków, od XIX wieku Pileckich[574] – zapamiętał lata dzieciństwa syn rotmistrza, Andrzej. Gdy w latach 90. XX wieku odwiedził rodzinne strony, zdał sobie sprawę, że majątek, z którego nic już nie zostało, pozostał tylko pięknym wspomnieniem[575].

Po upadku największego polskiego powstania niepodległościowego – powstania styczniowego – dwór Pileckich obrócił się w ruinę. Józefa, jak wspomniano, przez długi czas nie było, gdyż walczył o przetrwanie w syberyjskiej tajdze. Syn – Julian (ojciec Witolda) – wyjechał z rodzinnych stron. Kształcił się w Petersburgu, gdzie zdobył dyplom leśnika. Później osiadł z rodziną w Karelii, mroźnej krainie w granicach rosyjskiego imperium[576].

Właśnie tam, w Ołońcu, jako poddany potężnego cara, 13 maja 1901 roku na świat przyszedł późniejszy bohater narodowy. Ojciec pracował w Zarządzie Lasów Państwowych jako rewizor. Matka – Ludwika z domu Osiecimska – robiła wszystko, aby Witolda i jego rodzeństwo[577] wychować na patriotów. Stąd nie tylko opowieści o walkach o niepodległość kolejnych pokoleń Polaków, lecz także czytanie na głos literatury pisanej „ku pokrzepieniu serc”. *Trylogia* Henryka Sienkiewicza była Witoldowi szczególnie bliska. Recytował całe fragmenty z pamięci. Świetnie znał też grafiki Artura Grottgera przedstawiające heroiczne czyny powstańców styczniowych[578].

Młody Pilecki był ciekaw świata, ale dopiero uczył się go poznawać. Marzył o wielkich przygodach, misjach do spełnienia. Często wracał pamięcią do losów odważnych, a często i walecznych przodków. Jego późniejsza aktywność, z wileńskiego okresu życia, dowodzi, jakie wielkie piętno odcisnęła na nim rodzinna przeszłość. *Kawaleryjska fantazja, odwaga rycerzy, samozaparcie i poświęcenie porywały zachwycały małego Witka. Opowiadania matki o powstaniu styczniowym, o Murawiewie „Wieszatielu" w Wilnie*[579]*, o poniewieraniu i katowaniu przez niego Polaków, o konfiskatach majątków rodziny i zmuszeniu jej do tułaczki, przeorały głęboko duszę małego chłopca, zasiewając w niej ziarna późniejszych czynów*[580] – wspominał kolega Pileckiego z młodzieńczych lat, Wacław Szukiewicz.

Przenosiny Pileckich do Wilna w 1910 roku (ojciec został w Ołońcu, gdzie zarabiał na życie) wyznaczyły kolejny ważny etap w życiu przyszłego bojownika o Polskę[581]. Miasto znane z książek czy opowiadań, historyczna stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego, wywarła na ośmiolatku olbrzymie wrażenie. To było spełnienie dziecięcych marzeń[582].

Młody Witold obserwował na własne oczy, jak rodzi się niepodległość. Coś, czego jeszcze nigdy osobiście nie doświadczył, od urodzenia był bowiem poddanym władcy obcego państwa. A jednak, pomny losów swych przodków, tęsknił za wolnym krajem. Jako uczeń wileńskiej szkoły handlowej zetknął się z rówieśnikami i kadrą wychowawczą, dla których Polska była największą wartością.

Podjął działalność w tajnym kółku samokształceniowym, został harcerzem. To go ukształtowało, ale też nauczyło pielęgnacji tajemnic, życia w ukryciu. Skauting był przecież wówczas, w rzeczywistości zaborowej, nielegalny. Ale patriotycznie usposobiony młodzieniec widział w roli druha przygotowanie do innych ważniejszych, a mających nastąpić w przyszłości, życiowych ról. Dzięki harcerstwu obył się z trudem życia z dala od domu, w różnych warunkach. Ono nauczyło go współdziałania w grupie, scementowało ideały, o których Witold wielokrotnie słyszał od rodziców. Właśnie hartowała się osobowość wielkiego człowieka[583].

Wybuch Wielkiej Wojny, konfliktu, jakiego nie znał ówczesny świat, wlał w serca Polaków nadzieje na wybicie się na pełną suwerenność. Ludwika Pilecka, do której wiadomość o wojnie dotarła w Druskiennikach, gdzie

spędzała wakacje z dziećmi, zdecydowała nie wracać do miasta. W sierpniu 1914 roku zatrzymała się wraz z dziećmi w Hawryłkowie na ziemi mohylewskiej, gdzie mieszkała jej matka. Następnie posłała Witolda do szkoły w pobliskim Orle[584]. W tym czasie, we wrześniu 1915 roku, Wilno zajęły wojska niemieckie[585].

W nowym towarzystwie chłopiec zawarł ciekawe znajomości. Skutkiem tego było wstąpienie do przekształconego ze szkolnego koła Komitetu Polonii Polskiej. To właśnie w Orle Pilecki poznał prof. Stanisława Swianiewicza[586], cenionego sowietologa, który w 1940 roku cudem uniknie śmierci w Katyniu.

Kiedy odradzała się polska państwowość, Pilecki wkraczał w dorosłość. Już w 1917 roku pragnął zaciągnąć się do I Korpusu Polskiego pod dowództwem gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, który powstał z inicjatywy rosyjskiej do walki z Niemcami. Dla niepełnoletniego wciąż skauta, przybocznego chorągwi I Zastępu Harcerskiego, byłoby to wielkie wyróżnienie. Nie udało się jednak zrealizować tego celu, oddział został bowiem tymczasem rozwiązany przez samych Rosjan[587].

Dopiero wiosną 1918 roku Pilecki wziął udział w swojej pierwszej akcji zbrojnej, napadając na rosyjski magazyn broni położony nad rzeką Oką, nieopodal Orła[588]. Wraz z kolegami z zastępu zdobył broń i amunicję, a następnie wycofał się pod rosyjskim obstrzałem. To był prawdziwy chrzest bojowy.

Klęska państw centralnych w wojnie, która w wielkim stopniu doświadczyła polskie ziemie, była już przesądzona. Powracającej na mapę ojczyźnie był potrzebny Pilecki-żołnierz. Jesienią 1918 roku Witold powrócił do Wilna. Jego matka mieszkała w tym czasie w zrujnowanym i rozgrabionym przez bolszewików majątku rodzinnym w Sukurczach.

Kiedy Pilecki ponownie pojawił się w mieście nad Wilią, Niemcy właśnie szykowali się do jego opuszczenia. Nastolatek odnowił dawne kontakty. Choć był uczniem elitarnego gimnazjum im. Joachima Lelewela, widział się tylko z bronią w ręku. Porzucił więc naukę i w całości poświęcił się tajnej działalności. Za przynależność do Polskiej Organizacji Wojskowej, do której potajemnie wstąpił, ścigano wtedy z mocy prawa. Ale młodzieniec, choć ryzykował, wierzył w to, co robił. Z upływem dni czuł atmosferę wolności. Widok niemieckich żołnierzy, rozbrajanych na ulicach miasta, tylko ją wzmacniał[589].

Pilecki, jako członek sformowanej z harcerzy Samoobrony Krajowej Litwy i Białorusi, odbierał także Niemcom broń. Z pewnością były to dla niego szczególne chwile. Ich wyjątkowości dopełni później szczególna noc sylwestrowa. Młody konspirator pełnił wtedy wartę w Ostrej Bramie – miejscu na wskroś symbolicznym. Z pewnością zapamiętał to wydarzenia do końca życia[590].

Niebawem wolność stała się faktem! Wilno było polskie! Samoobrona wileńska stała się regularnym oddziałem Wojska Polskiego!

Pilecki skończył 18 lat już jako obywatel suwerennego państwa. Nie złożył jednak broni, niepodległość jeszcze nie okrzepła, a już trzeba było walczyć o granice państwowe. Wstąpił do oddziału legendarnego zagończyka ppłk. Dąmbrowskiego „Łupaszki". Pod jego komendą stał się dojrzałym żołnierzem[591].

Wypadki toczyły się w ekspresowym tempie. Ledwo oswobodzono miasto z rąk Niemców, a już (4 stycznia 1919 roku) do ofensywy przystąpiła Armia Czerwona. Niektórzy badacze uznają natarcie na Wilno za początek wojny polsko-bolszewickiej. Pilecki, jako ochotnik, ponownie stanął do walki. Pułk „Łupaszki" stoczył krwawe boje o Antokol, ale w obliczu przygniatającej przewagi wroga został zmuszony do opuszczenia miasta. Niebawem przemianowano go na samodzielny Dywizjon Jazdy Wileńskiej, potem – 13 pułk ułanów[592].

Od lipca 1920 roku w szeregach I Wileńskiej Kompanii Harcerskiej Pilecki brał udział w bojach z bolszewikami w rejonie Grodna. Bohatersko bronił przeprawy przez Niemen. Młodego żołnierza docenił dowódca kompanii – kpt. Tadeusz Kawalec. Żołnierz śmiały, energiczny, orientujący się w sytuacji – brzmiała ocena przełożonego[593].

W sierpniu, w kulminacyjnym momencie wojny, Witold dotarł do Warszawy. Tam otrzymał przydział do sformowanego właśnie 211 Pułku Ułanów Nadniemeńskich. W momencie gdy znad Wkry ruszała najważniejsza dla losów polskiej stolicy kontrofensywa, Pilecki – awansowany właśnie na starszego ułana – walczył pod Płockiem. Następnie przeszedł szlak bojowy przez Mławę, Chorzele, Druskieniki, Stołpce i Kojdanów[594].

Nigdy nie pogodził się z utratą bliskiego mu Wilna. Po przepędzeniu bolszewików spod Warszawy pułk ułanów, w którym służył przyszły rotmistrz, został organizacyjnie przydzielony do Dywizji Litewsko-

Białoruskiej gen. Lucjana Żeligowskiego. Młody żołnierz nie krył radości, gdy dowiedział się o planach swojego dowódcy, zakładających zajęcie miasta. Decydujący moment nastąpił w październiku 1920 roku – dywizja „zbuntowała" się za cichym przyzwoleniem Naczelnika Józefa Piłsudskiego, a następnie „samowolnie" zajęła Wilno. Proklamowano istnienie tzw. Litwy Środkowej[595], nad miastem znowu powiewały biało-czerwone flagi[596].

Nadszedł rok 1921 i czasowe, jak się okaże, rozstanie z armią. Pilecki przeszedł do rezerwy, rozpoczynając nowe życie w odzyskanym z rąk Litwinów Wilnie. Ukończył gimnazjum, złożył egzamin maturalny, działał w Związku Bezpieczeństwa Kraju, którego głównym celem była ochrona ludności polskiej na terenach świeżo przyłączonych do Polski. Ważne było też krzewienie wśród cywilów odpowiednich postaw oraz zaznajomienie ich z wojskową codziennością[597].

Były to jeszcze czasy niepewne i chodziło o to, by wśród społeczeństwa wskrzesić tradycje żołnierskie. Ćwiczono się więc z bronią, musztrowano, by na wszelki wypadek być gotowym – los bowiem już od wieków narzucił ludziom kresów tę twardą konieczność[598] – wspominał Pilecki.

Dwudziestolatek głęboko przeżył wówczas rozstanie z harcerstwem. Odchodził z zastępu nie ze swej woli, przełożeni postawili go bowiem przed trudną decyzją – albo służba w ZBK, albo skauting. W dorosłym życiu przyjdzie mu jednak dokonywać o wiele tragiczniejszych wyborów.

W 1921 roku rozpoczął studia na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego. Pisał wiersze, dużo malował[599]. *Jego obrazy zdobiły ściany naszego dworku. Szczególnie dobrze zapamiętałam duży obraz Matki Bożej Karmiącej (sam go tak nazwał) wiszący u wezgłowia łoża małżeńskiego moich rodziców, namalowany w kolorach biało-niebieskich, oraz obrazy św. Antoniego i Matki Bożej Nieustającej Pomocy, które do tej pory znajdują się w kościele w Krupie na Białorusi, obok naszego byłego majątku w Sukurczach* – wspominała córka późniejszego rotmistrza, Zofia[600].

Zawodowym artystą jednak nigdy nie został, bliżej mu było do munduru z orzełkiem. Ale studia porzucił z innego powodu – próbował ratować rodzinny majątek, którego był dziedzicem[601]. A raczej to, co z niego zostało…

Dwór w Sukurczach był już niemal ruiną. Jego właściciel – ojciec Witolda – od jakiegoś czasu chorował. Bolszewicy dali mu się szczególnie we znaki, aresztując go i osadzając w więzieniu. Był nie tylko wyniszczony fizycznie, lecz także mentalnie – miał objawy depresji. Tymczasem podupadające gospodarstwo wymagało wprawnej ręki człowieka znającego się na rzeczy[602].

Zanim jednak Witold zajął się ciężką pracą na roli, gdy tylko czas pozwalał, spisywał życiorys[603]. Bieda coraz częściej zaglądała Pileckim w oczy, głowa rodziny musiała zatem podjąć stałą pracę zarobkową. Witold zatrudnił się w wileńskim Sądzie Okręgowym. Brał udział w przesłuchaniach podejrzanych, odwiedzał więzienia – zimne, ciemne cele nie były jednak widokiem przyjemnym. Los okaże się przewrotny – to właśnie w takich warunkach, po schwytaniu przez komunistów, polski bohater spędzi ostatnie miesiące swego życia[604].

Latem 1926 roku Pilecki porzucił dotychczasowe wileńskie życie i wyjechał na wyniszczoną wypadkami wojennymi prowincję. Zamieszkał w Sukurczach, wraz z obojgiem rodziców oraz rodzeństwem. Dojrzałość i odpowiedzialność nakazywała zająć się rodziną oraz podupadłym gospodarstwem. Nie było łatwo, bo też dziedzic majątku nie mógł narzekać na brak obowiązków. Od 1927 roku łączył pracę gospodarza z prezesowaniem nowo powstałej spółdzielni mleczarskiej[605].

Witold ewidentnie miał w sobie wiele z rolnika. Zresztą taki zawód wpisano do jego wojskowej karty ewidencyjnej. Wcześniej z powodzeniem działał jako sekretarz w Związku Kółek Rolniczych, był też wolnym słuchaczem na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Poznańskiego[606]. Cieszył się opinią świetnego administratora dóbr, ale i zaangażowanego w sprawy wspólnoty społecznika. Działał na rzecz organizacji ochotniczej straży pożarnej, kształtował wśród okolicznej ludności postawy obywatelskie[607]. Poza tym uwielbiał spędzać czas na łonie natury – poświęcał jej nawet poematy![608]

Pierworodnego syna Pileckiego – Andrzeja – nie było jeszcze na świecie, ale po latach przekazał to, co zapamiętał z rodzinnych opowieści. Z jego relacji wyłania się obraz ojca jako doskonałego organizatora: *Ciężką pracą doprowadził to zniszczone gospodarstwo do stanu, w którym można by je nazwać perełką. Wypieścił te nasze Sukurcze. Nie dlatego, że był synem właściciela i miał taką wiedzę. On ją powoli zdobywał, ciężko pracował na*

roli na równi z chłopami. Wiele wymagał od siebie i od innych, dawał przykład. Uczył się rolnictwa nie tylko dla siebie, ale także dla społeczności z okolic Lidy[609].

Wyjątkowy okazał się rok 1931. Pilecki założył rodzinę, poślubiając nauczycielkę z niedalekiej wsi Krupa – Marię Ostrowską. Niebawem, na początku 1932 roku, przyszło na świat pierwsze dziecko Pileckich – syn Andrzej. W marcu następnego roku Maria urodziła córkę Zofię. Chwile rodzinnej radości przerwała jednak śmierć schorowanego ojca Witolda (1932). Siedem lat później, w czerwcu 1939 roku, trzy miesiące przed wybuchem wojny, zmarła matka Witolda – Ludwika[610].

W międzyczasie, jako podporucznik rezerwy, Pilecki wyjeżdżał na ćwiczenia wojskowe. W 1928 roku odbył takowe w Baranowiczach, przydzielony do 26 Pułku Ułanów Wielkopolskich. Trzy lata później trafił do Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu[611]. Co roku, w listopadzie, dosiadał swojej klaczy imieniem Bajka i wyjeżdżał do Lidy, gdzie brał udział w defiladach wojskowych z okazji odzyskania niepodległości[612].

Ideowość – duża. Pilność i ambicja pracy – b. duża. Wyszkolenie i zdolności taktyczne – bardzo duże. Wytrwałość na trudy – dobra. Nadaje się na dowódcę plutonu liniowego[613] – ocenili Pileckiego przełożeni podczas szkolenia w 1934 roku. 33-letni oficer nie pierwszy raz otrzymał wyróżnienie.

Już wcześniej, działając z własnej inicjatywy, doprowadził do utworzenia ochotniczego oddziału tzw. Krakusów[614], nawiązującego nazwą do tradycji armii Księstwa Warszawskiego. Lekkokonni Pileckiego, w sile szwadronu, zostali przydzieleni do 19 Dywizji Piechoty w składzie Armii „Prusy”[615].

Sielankowe, wydawałoby się, lato 1939 roku zakłóciły dochodzące na prowincję informacje o zbliżającej się wojnie. Pod koniec sierpnia, na wiadomość od gońca, który przywiózł wezwanie do mobilizacji, Pilecki opuścił rodzinne strony. Zostawił żonę i dwójkę małych dzieci. W nadziei, że szybko znów ich zobaczy.

Siedmioletni syn właściciela w Sukurczach nie mógł być w pełni świadomy grożącego niebezpieczeństwa, ale także jemu musiała udzielać się napięta atmosfera ostatnich sierpniowych dni pamiętnego roku. Gdy przyszło do pożegnań, zapisał mu się w pamięci następujący widok:

Ojciec jechał na czele jednego z plutonów, a za nim pozostali ułani. Przejechali obok nas, jakby nikogo nie widzieli, trzymali fason, głowy mieli wysoko podniesione. W pewnym momencie, kiedy już wszyscy paradnie przejechali, usłyszeliśmy tętent. To ojciec zawrócił i stanął przed nami tak, że koń zarył kopytami. Elegancko zeskoczył, ucałował mamę. Uniósł Zosię, pocałował, potem to samo zrobił ze mną. Podobno coś do mnie powiedział, ale nie pamiętam tego. Wskoczył na konia i podjechał jeszcze do kobiet, które zbierały grykę. Rzucił do nich zawadiacko: „Do widzenia, kobietki, za dwa tygodnie się zobaczymy!", i pocwałował za swoim oddziałem[616].

Do Sukurcz nie wrócił już nigdy…

Po ataku Niemiec na Polskę 19 DP przesunięto rozkazem dowództwa w rejon Piotrkowa, z zamiarem obrony szosy łączącej to miasto z Tomaszowem Mazowieckim. Główne walki rozegrały się 4–6 września. Nacierający w kierunku Warszawy niemiecki XVI Korpus Pancerny, przy wsparciu lotnictwa, przedarł się przez polską linię obronną. W zaciętych bojach uczestniczyli także ppor. Pilecki i jego kawaleria. Pod Wolborzem stracił konia – Bajkę. Poległo wielu jego kompanów[617].

Witold znalazł się w gronie niedobitków, którzy przedzierali się na północny-wschód. Dotarł na Lubelszczyznę, gdzie – niedaleko Włodawy – wstąpił do improwizowanej Grupy Operacyjnej pod rozkazami gen. Wacława Piekarskiego. Pełniąc funkcję zastępcy dowódcy kawalerii w 41 DP (obok 33 DP wchodziła w skład nowo utworzonej GO)[618], walczył w okolicach Chełma i Tomaszowa Lubelskiego. 22 września grupa bojowa utraciła inicjatywę taktyczną, w związku z czym nakazano odwrót w kierunku Wieprza. Co prawda po przejściu rzeki toczono jeszcze walki o Krasnobród, ale sytuacja była beznadziejna. Bój na dwa fronty – z Niemcami i Sowietami – a do tego niedobre wieści z oblężonej od dłuższego czasu Warszawy, zapowiadały nieuchronną klęskę kampanii. 26 września Armia „Prusy" skapitulowała.

Pilecki nie zamierzał uchodzić na Zachód. Nie podzielił losu dziesiątek tysięcy żołnierzy Wojska Polskiego, którzy – zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza z 17 września – przedzierali się na tzw. Przedmoście Rumuńskie z zamiarem przejścia do Rumunii lub na Węgry. Pozostał w ukryciu, rozstając się ze swoim przełożonym, mjr. Janem Włodarkiewiczem (dowódcą kawalerii w 41 DP), ale obaj już planowali spotkanie w Warszawie i działalność konspiracyjną. Nawet po kapitulacji 6

października, złożonej pod Kockiem, Pilecki pozostawał pod bronią. Faktycznie do 17 października działał jako partyzant[619].

Niestety nie udało mu się powrócić ani na chwilę do rodzinnego gospodarstwa – po 17 września jego majątek znalazł się w sowieckiej strefie[620]. Pilecki musiał drżeć o los najbliższych, miał przecież w pamięci sceny z roku 1919, gdy na Wileńszczyznę wkroczyli bolszewicy. Nie wiadomo, co stałoby się z jego najbliższymi, gdyby żona nie podjęła decyzji o ucieczce z Sukurcz. Zesłanie za Ural było jednym z najbardziej prawdopodobnych scenariuszy…

Wiosną 1940 roku ukrywająca się Maria, przy ogromnym szczęściu, przedostała się do Ostrowi Mazowieckiej, gdzie spędziła lata dzieciństwa. Na miejscu usłyszała, że mąż żyje i znajduje się w Warszawie. *Moja mama prawie dorównywała w dzielności swojemu mężowi. Gdy zostaliśmy sami, ona – tak jak mówiła – wzięła nas „w zęby" i mimo wielu niebezpieczeństw przedostała się przez zieloną granicę na tereny okupowane przez Niemców, gdzie żyła nasza babcia*[621] – wspominała córka Marii i Witolda.

Tymczasem w okupowanej stolicy konspiratorzy – oprócz Pileckiego i Włodarkiewicza także Jan i Stanisław Danglowie, Jerzy Maring i Jerzy Skoczyński – już w listopadzie 1939 roku powołali do życia Tajną Armię Polską (TAP). Komendantem nowej organizacji został Włodarkiewicz, Pileckiemu przypadła rola jego zastępcy, a właściwie szefa sztabu i inspektora do spraw organizacyjnych[622].

Bazę dla powstającej właśnie tajnej siatki stanowiło mieszkanie szwagierki Pileckiego – Eleonory Ostrowskiej. Z organizacyjnego punktu widzenia TAP miała mieć charakter ściśle zakonspirowany i elitarny. Dlatego też spore znaczenie przypisywano werbunkowi właściwych osób; uznawano go zarazem za najniebezpieczniejszy aspekt działalności. *Należy przeprowadzić wywiad co do kandydata, a mianowicie: kto on jest, z czego żyje, w jakim towarzystwie się obraca i przebywa, i jakie ma poglądy na obecną sytuację. Szczególnie pierwszą rozmowę należy przeprowadzić z kandydatem przez podstawioną osobę, chwaląc Niemców, naturalnie w nieprowokujący sposób*[623] – zalecano w instrukcji dla członków TAP.

Pierwsze spiskowe rozmowy prowadziłem z tymi, których duch nie został złamany klęską. Ponieważ takich zgłaszało się wielu, było na kim oprzeć pierwsze ramy tajnego sprzysiężenia […]. Konieczny był właściwy dobór

ludzi, gdyż wielu oficerów doskonałych w koszarach, zawiodło całkowicie na polach bitew. Dlatego nie oceniałem ludzi według ich stopni. W Tajnej Armii Polskiej każdy musiał robić to, do czego się nadawał[624] – te słowa Pileckiego *vel* Serafińskiego zapamiętał jego późniejszy obozowy kompan, Wincenty Gawron.

Według relacji „kuriera z Warszawy", Jana Nowaka-Jeziorańskiego, TAP zrzeszała łącznie ok. 12 tys. członków. W warszawskich lokalach konspiracyjnych gromadzono broń i amunicję. Wiele sztuk dostarczył przyjaciel Włodarkiewicza, mjr Henryk Dobrzański – legendarny „Hubal", który szczególnie mocno dawał się we znaki Niemcom na ziemi świętokrzyskiej[625].

Początkowo istniał spór kompetencyjny – choć naczelny organ rodzącego się właśnie Polskiego Państwa Podziemnego, czyli Służba Zwycięstwu Polski, zaczął działać już w końcu września 1939 roku, TAP nie podporządkowała się mu od razu. Zwierzchnictwo Związku Walki Zbrojnej (powstał z przemianowania SZP w listopadzie 1939 roku) uznano dopiero jesienią 1941 roku. Pilecki był przeciwny takiej zwłoce, ale nie miał na wszystko wpływu. W tym czasie Gestapo aresztowało kilku jego współpracowników. Trafili do Auschwitz[626].

Nazwa ta niewiele jeszcze wówczas mówiła. Niemiecki obóz koncentracyjny zlokalizowany na obszarze byłych polskich koszar wojskowych w Oświęcimiu powstał w maju 1940 roku. Pierwszy transport więźniów, który trafił do Auschwitz 14 czerwca tego roku, liczył 728 mężczyzn z tarnowskiego aresztu, w większości Polaków[627]. Auschwitz I, czyli obóz macierzysty, miesiąc po miesiącu stawał się obozem niewolniczej pracy. I choć do Warszawy docierały zdawkowe informacje o tym ponurym miejscu, rotmistrz nie chciał polegać na pogłoskach z drugiej ręki. Niebawem sprawdzi wszystko osobiście…

Był koniec sierpnia 1940 roku, gdy używający pseudonimu „Witold" działacz otrzymał wręcz niewykonalne i szalone zadanie. Miał zdobyć informacje o losach ujętych towarzyszy, a także zorganizować siatkę konspiracyjną z ich udziałem. I to wszystko w jaskini lwa, czyli w Auschwitz! Plan ten zatwierdził komendant ZWZ gen. Stefan Grot-Rowecki. Pilecki miał świadomość trudu całej akcji, a także presji, jaką na niego wywierało dowództwo. Podjął się zadania[628].

Odtąd jako por. rez. Tomasz Serafiński, zameldowany w Krakowie, przygotowywał się do misji życia. Mocodawcy Pileckiego byli przekonani, że prawdziwy Serafiński, którego dokument tożsamości odnalazł „Witold" w miejscu swojego zamieszkania, poległ w kampanii polskiej 1939 roku. Po wymianie zdjęcia[629] dokument ten mógł zostać z powodzeniem wykorzystany przez Pileckiego[630].

– *Zamelduj, gdzie trzeba, że wykonałem rozkaz*[631] – powiedział ochotnik do swojej szwagierki, świadomie dając się złapać Niemcom pamiętnego 19 września 1940 roku, w czasie wielkiej łapanki przeprowadzonej m.in. na warszawskim Żoliborzu. Tego dnia dom na ulicy Wojska Polskiego, w którym mieszkała Ostrowska i gdzie przebywał Pilecki, szczelnie obstawili Niemcy. Wchodzili kolejno do mieszkań i wyprowadzali mężczyzn w sile wieku, od 18. do 45. roku życia. Konspirator miał szansę ucieczki, ale zdecydował się na wielkie poświęcenie. Wyprowadzony z mieszkania, został razem z innymi ujętymi zapakowany do jednej z zaparkowanych na ulicy ciężarówek[632].

W pierwszym, samozachowawczym odruchu skoczyłem na strych najbliższej kamienicy, gdzie się ukryłem. Po chwili zastanowienia postanowiłem zejść na dół prosto w łapy żandarmów[633] – wyjawi później Pilecki jednemu ze współwięźniów w Auschwitz.

Konspirator – pomny losów swoich współpracowników, którzy stali się ofiarami niemieckich łapanek – spodziewał się, gdzie trafi, ale nie mógł mieć całkowitej pewności! Równie dobrze okupanci mogli go zatłuc w katowni Gestapo w Alei Szucha bądź też zastrzelić w Palmirach[634]. Brzmi to absurdalnie, ale po dwóch trudnych nocach spędzonych w koszarach przy ul. Szwoleżerów – wszystko szło zgodnie z planem.

W nocy z 21 na 22 września Pilecki przeszedł bramę z napisem „Arbeit macht frei". Taki widok ukazał się również nieco ponad 1700 innym więźniom[635]. Odtąd był tylko numerem 4859. Rzeczywistość, jaką zastał Pilecki, mroziła krew w żyłach. Z tego, co zobaczył na własne oczy, zdał później relację w obszernym raporcie[636].

Już pierwsze wrażenie było przytłaczające: *Za drutami, na wielkim placu, uderzył nas inny widok. W nieco fantastycznym, pełzającym po nas ze wszystkich stron świetle reflektorów, widoczni byli jacyś niby-ludzie. Z zachowania podobni raczej do dzikich zwierząt (bezwzględnie obrażam tu zwierzęta – nie ma jeszcze w naszym języku określenia na takie*

stwory). W dziwnych ubraniach w pasy, jakie się widziało na filmach o Sing-Sing, z orderami na kolorowych wstążkach (tak mi się wtedy w migającym świetle wydawało), z drągami w ręku, rzucili się z dzikim śmiechem na pojedynczych naszych kolegów. Bijąc ich po głowach, kopiąc leżących już na ziemi w nerki i w inne czułe miejsca, wskakując butami na piersi, brzuch – zadawali śmierć z niesamowitym jakimś entuzjazmem[637].

W tym złowieszczym miejscu Pilecki dopiął swego. Sukcesem było niewątpliwie wtajemniczenie w konspirację obozową towarzyszy niedoli, a następnie stworzenie siatki tajnych informatorów. Powstał Związek Organizacji Wojskowych (ZOW), nastawiony na pomoc więźniom oraz, w dłuższej perspektywie, przewidujący opanowanie całego obozu. Pomóc w tym miały broń i zaopatrzenie, które zamierzono uzyskać drogą zrzutów. Liczono nawet na wsparcie sił desantowych![638].

Strukturę ZOW oparto na systemie piątkowym. Wtajemniczeni z jednej „piątki" nie wiedzieli o konspiratorach z innej grupy. W ten sposób w przypadku wpadki minimalizowano ryzyko wykrycia wszystkich spiskowców[639]. Każdy członek siatki przybierał pseudonim (na Pileckiego mówiono najprawdopodobniej „Witold") i składał stosowną przysięgę, zobowiązując się działać według ściśle określonych zasad konspiracji[640].

Pilecki znał się nieźle na ludziach, posiadał instynkt, który go rzadko zawodził, ale długo ważył pierwszy krok, zanim go postawił. Na początek przyjął zasadę, że kontakty swe rozbudowywać będzie przez ludzi, o których potrafi się dowiedzieć, że już przed aresztowaniem byli w wojskowym podziemiu, przede wszystkim w TAP-ie. Rozumiał, że najlepiej jest wciągnąć do roboty ludzi szarych, nierzucających się w oczy, nieobciążonych bujną przeszłością, która musiała być znana Oddziałowi Politycznemu. Ten pogląd kazał mu odrzucać, przynajmniej na początku, wyższych oficerów, siedzących pod prawdziwymi nazwiskami. W wypadku wywęszenia czegoś przez SS-manów, na nich musiało paść pierwsze podejrzenie[641] – wspominał osadzony w Auschwitz Józef Garliński.

Działalność „Serafińskiego" docenił „Grot", awansując go w listopadzie 1941 roku na porucznika (gdy ten znajdował się w obozie!). Problemów było jednak bez liku. Nie każdemu można było wyjawić obozowe tajemnice. Jednym z najtrudniejszych zadań była ocena stopnia zaufania potencjalnych członków siatki, a następnie przeprowadzenie

werbunku[642]. *Obóz był probierzem, gdzie się sprawdzały charaktery. Jedni staczali się w moralne bagno. Inni szlifowali swe charaktery jak kryształ. Rżnięto nas ostrymi narzędziami. Ciosy boleśnie wrzynały się w ciała, lecz w duszy znajdywały pole do przeorania…*[643]

Wszystko w warunkach codziennej walki o przeżycie. Katorżnicza praca pod niemieckim batem, przy jednoczesnych głodowych racjach żywnościowych, wszędobylskie wszy i szerzące się choroby – te i wiele innych czynników odbierały więźniom resztki sił, zabijały w człowieku nadzieję. Skrajnie wyczerpanych nazywano „muzułmanami”[644]. Nie było już dla nich ratunku…

Były momenty, których także Pilecki mógł nie przetrzymać. Tak naprawdę dwukrotnie dosłownie otarł się o śmierć – za pierwszym razem, gdy zaraził się tyfusem, za drugim, kiedy zachorował na zapalenie płuc. Szczęśliwie wyzdrowiał, pomógł mu bowiem zakonspirowany personel obozowego szpitala z dr. Władysławem Deringiem na czele[645]. Miał 40 lat, dość mocny organizm, dobre przygotowanie fizyczne. Ale i tacy nie wytrzymywali koszmaru Auschwitz.

Kiedyś gimnastykę lubiłem, lecz od czasów Oświęcimia z sympatią do niej jest jakoś gorzej. Od godziny 6.00 rano, nieraz przez kilka godzin staliśmy i marzliśmy okropnie. Bez czapek i skarpetek, w cienkich drelichach, w tym podgórskim klimacie jesienią 1940 roku, rano prawie zawsze we mgle, trzęśliśmy się z zimna. Granatowiały nogi i ręce wystające często z przykrótkich nogawek i rękawów. Nie ruszano nas. Musieliśmy stać i marznąć. Wykańczanie uskuteczniał chłód. A przechodzący kapowie i blokowi stawali, śmiali się i ze znaczącym ruchem rąk imitującym ulatnianie się, mówili: „…und das Leben fliiieeegt… Ha! Ha!” – relacjonował ochotnik do niemieckiego obozu[646].

Człowiek, którego – wydawałoby się – złamać nic nie może, także miał chwile słabości. Momenty zwątpienia w ludzkość, sens istnienia, istotę człowieczeństwa. Zobaczył piekło Auschwitz na własne oczy, widział też życie obozowe z innej strony – dom komendanta Rudolfa Hössa. Człowieka roześmianego, rodzinnego. Nic tu nie pasowało do siebie… *Tu domki, ogródki, kwiaty i dzieci. Radosne głosy. Zabawy. Tam piekło – mordowanie, przekreślanie wszystkiego, co ludzkie, co dobre… Tam esesman jest katem, oprawcą, tutaj – udaje człowieka. Gdzież więc jest prawda? Tam? Czy tu?* [647] – pytał retorycznie Pilecki.

Rok 1942 zapisał się w historii świata jako początek eksterminacji Żydów na masową skalę. Był to efekt wdrażania w życie postanowień z konferencji w Wannsee z 20 stycznia 1942 roku. Wówczas, w willi nad jeziorem, naziści przypieczętowali los milionów ludzi. Zanim jednak zaczęła funkcjonować fabryka śmierci w Birkenau – obóz był budowany od października tego roku rękoma więźniów i jeńców sowieckich – od sierpnia 1940 roku działało krematorium w obozie macierzystym. W istniejącej obok komorze gazowej zabijano już w 1941 roku[648].

Początkowo „Witold" przekazywał wieści o tym zbrodniczym, bezprecedensowym działaniu za pośrednictwem zwalnianych więźniów, a także tych, którzy podjęli ucieczkę. Wszelkie informacje wpadały jednak w próżnię. W jednej z pisemnych relacji[649] ochotnik do Auschwitz informował o niemieckich zbrodniach na przedstawicielach różnych narodów i grup etnicznych – Polakach, Żydach, Cyganach, sowieckich jeńcach. O rodzącym się wówczas przemyśle zagłady. Sprawozdanie, przetłumaczone na angielski, niemiecki i francuski, miało otworzyć oczy politykom na Zachodzie. Dziś wiemy, że efekty tego niebywałego poświęcenia były wyjątkowo marne…[650]

Kiedy schorowany więzień Serafiński wreszcie stanął na nogi, osiągnął prawdziwy sukces. Najpewniej w końcu 1941 roku udało mu się doprowadzić do zawiązania nieformalnego porozumienia politycznego współwięźniów. Nie wchodził w spory dotyczące kształtu przyszłej, niepodległej Polski. Był ponad podziałami. Skupiał wokół siebie ludzi z prawa i lewa – zwolenników ruchu narodowego, ale i socjalistów. Przykładem była współpraca rotmistrza z Janem Mosdorfem (ONR) i Stanisławem Dubois (PPS). W grudniu 1941 roku wszyscy razem zorganizowali nadzwyczaj skromną Wigilię Bożego Narodzenia[651].

Nareszcie doczekałem się momentu, o którym kiedyś można było marzyć beznadziejnie; zorganizowaliśmy komórkę polityczną naszej organizacji, gdzie bardzo zgodnie współpracowali koledzy, którzy na ziemi zjadali się wzajemnie w sejmie […]. Więc trzeba było Polakom codziennie pokazywać górę trupów polskich, żeby się pogodzili i zdecydowali, że w stosunku do siebie jest większa racja – zgoda i wspólny front przeciwko wspólnemu wrogowi, którego przecież zawsze mieliśmy w nadmiarze[652] – pisał autor raportu.

Ciągle wierzył, że uda się oswobodzić obóz. Miano tego dokonać rękoma samych osadzonych, ale z wydatną pomocą Polski Podziemnej. Nalegał przeto na zbombardowanie Auschwitz i stworzenie dogodnych warunków do skutecznego oporu zbrojnego[653]. Pilecki był przekonany, że wspólna, dobrze skoordynowana akcja przyniesie powodzenie. Jego apele do Komendy Głównej AK, kierowane m.in. za pośrednictwem zwalnianych z obozu więźniów, nie przynosiły jednak rezultatów. To, że plan został zduszony w zarodku, Pilecki zrzucał później na karb niewiedzy i słabego rozeznania przełożonych co do sytuacji panującej w obozie.

Tragedią więc naszą było nie to, żeśmy, jak myślała Warszawa, byli kościotrupami, lecz przeciwnie, że jakkolwiek byliśmy silni i lokalnie bieg wypadków mieliśmy w swoim ręku, ze względu jednak na ogólną sytuację (społeczeństwo – represje) – ręce mieliśmy związane i z oddali musieliśmy uchodzić za bezradnych[654].

Jeden z wtajemniczonych w obozową konspirację, więzień Gawron, bez większego entuzjazmu zareagował na wieść o przygotowywanym zrywie. Zakładał on bowiem – wedle słów Pileckiego – że: *Po wyjściu z garbarni dziesięć wybranych piątek rzuci się na esesmanów i obezwładni ich odbierając broń, hełmy i płaszcze. Potem dziesięciu naszych przebierze się za esesmanów i poprowadzi komando do wartowni. Mówiąc po niemiecku, przebierańcy wpadną na wartownię, i krzycząc: „Handehoch”, rozbroją wartowników, po czym zlikwidują esesmanów na wieżyczkach*[655].

Był to jednak, co miał później przyznać sam Pilecki, plan zbyt odważny, a na pewno przedwczesny – biorąc pod uwagę sukcesy niemieckie na Wschodzie, osiągnięte jesienią 1941 roku[656].

Pomysł wywołania w obozie akcji zbrojnej, koordynowanej przez konspirację warszawską, ostatecznie spalił na panewce, ale przecież tajne struktury ZOW ciągle istniały. Gestapo zaczęło jednak podejrzewać spisek więźniów, z czasem rozpoczęły się pierwsze aresztowania. Pileckiemu i jego najbliższym współpracownikom też groziły dekonspiracja i wywózka w głąb Rzeszy. Próbując zapobiec katastrofie, rotmistrz przedsięwziął plan wydostania się za druty[657].

Konspiratorzy mieli w pamięci wydarzenia, które rozegrały się w Auschwitz 20 czerwca 1942 roku. Brawurowa ucieczka[658] czterech więźniów – por. Stanisława Jastera (wywiózł jeden z raportów Pileckiego i przekazał go Komendzie Głównej AK), Kazimierza Piechowskiego,

Eugeniusza Bendery i ks. Józefa Lemparta, którzy przebrani w mundury SS opuścili obóz zarekwirowanym wcześniej samochodem – musiała robić wrażenie[659]. I choć Niemcy zaostrzyli środki bezpieczeństwa, niebawem znów zostali zaskoczeni.

Plan ucieczki, obmyślany w drobiazgach, polegał na doczekaniu się bardzo wczesnych godzin rannych (2–3 nad ranem), gdy ludzie są najbardziej zmęczeni, a czujność stępiona, na przecięciu kabli urządzenia alarmowego, na otwarciu okutych drzwi dorobionym kluczem, na odkręceniu śruby, która przytrzymywała żelazną sztabę wzmacniającą drzwi, i na rzuceniu się, biegiem w ciemność na wschód, w kierunku Wisły[660] – relacjonował Garliński.

Decydujące wydarzenia rozegrały się w święta wielkanocne, w nocy z 26 na 27 kwietnia 1943 roku. Pod osłoną mroku Pilecki i jego dwaj towarzysze – Jan Redzej i Edward Ciesielski[661] – wszyscy pracujący na nocną zmianę w piekarni, wydostali się z Auschwitz[662]. Przez Alwernię koło Regulic (otrzymali tam pomoc od miejscowego proboszcza) i Bochnię (zatrzymali się tam na krótko u rodziny Oborów) dotarli do Nowego Wiśnicza. Nieprzypadkowo to właśnie tam mieściła się lokalna placówka AK. Pilecki zamierzał porozmawiać z jej dowódcą[663].

Traf chciał, że spotkał tam… prawdziwego Tomasza Serafińskiego „Lisolę”, pełniącego funkcję zastępcy komendanta. To było wielkie przeżycie. Akowiec udzielił zbiegom schronienia, ale informacja o ucieczce przesłana do komendy krakowskiej rozeszła się bez większego echa. Dowództwo tamtejszego Okręgu AK obawiało się prowokacji, toteż do każdej wiadomości o szczęśliwym opuszczeniu Auschwitz podchodzono z rezerwą, a nawet podejrzliwością[664].

W sierpniu 1943 roku zrezygnowany Pilecki wyjechał do Warszawy. Znał już przygnębiającą wieść o aresztowaniu przez Gestapo komendanta Grota-Roweckiego. Z Serafińskim, który udzielił mu bezinteresownej pomocy, zaprzyjaźni się do końca życia.

947 dni (!) – tyle czasu spędził ochotnik do Auschwitz za drutami „fabryki śmierci”. Był świadkiem wielu okropieństw, sam padł ofiarą represji, ale do końca życia był wdzięczny losowi, że wyszedł z obozu o własnych siłach. Co też ironicznie podsumował: *Wychodząc miałem o kilka zębów mniej niż w momencie mojego tu przyjazdu i złamany mostek, zapłaciłem więc b. tanio za taki okres czasu pobytu w tym sanatorium*[665].

Pobyt w piekle na ziemi, jak określali Auschwitz sami więźniowie, wykorzystał Pilecki także do przemyśleń. Wnioski, jakie wyciągnął, nie dały mu jednak zbyt wielu powodów do optymizmu. *Nieraz, siedząc w Oświęcimiu, będąc w swojej paczce wieczorami, mówiliśmy, że jeśli ktoś z nas ujdzie stąd z życiem, to chyba cudem tylko i trudno mu będzie porozumieć się z ludźmi, którzy normalnie na ziemi przez ten czas żyli. Będą dla niego niektóre ich sprawy wydawały się zbyt małymi. […] Lecz jeśli naprawdę ktoś wyjdzie, obowiązkiem jego będzie ogłosić światu, jak tu ginęli prawdziwi Polacy. Niech też powie, jak tu ginęli w ogóle ludzie mordowani przez ludzi… Jakże dziwnie to brzmi w chrześcijańskiej mowie: mordowani przez bliźnich swoich, tak jak przed wiekami. Dlatego też napisałem, że zabrnęliśmy tak bardzo… Lecz właściwie gdzie? Dokąd brniemy w swym postępie „cywilizacji”?*[666]

Po wyruszeniu na wojnę, a potem w toku działalności konspiracyjnej i w Auschwitz, Pilecki starał się, jak mógł, utrzymywać kontakt z rodziną. Córka Zofia zapamiętała przesyłane co jakiś czas przez ojca rysunki i wiersze. *[…] dawał nam w nich zawsze jakieś pouczenie. Rysował malunki, w których ukryte były symbole*[667].

Szczególnie pierwsza korespondencja wysłana z niemieckiego obozu zrobiła na nieletniej Zofii ogromne wrażenie. *Ojciec narysował dwa krasnale – jeden miał czerwoną, a drugi niebieską czapeczkę. Ten z czerwoną (symbolizował Sowietów) był na górze, a z niebieską na dole (ten z kolei oznaczał Niemców). Nazwałam go potem listem proroczym*[668].

Syn rotmistrza zapamiętał, że „o Auschwitz się w rodzinie nie mówiło”. *Pamiętam tylko, że po obozie tata trzymał w kieszeniach kulki utoczone z chleba. Czasem nerwowo po nie sięgał*[669]. Nic dziwnego, przecież z miejsca kaźni ponad miliona osób nigdy nie wychodzi się do końca. Choć widmo obozu roztaczało się i nad Pileckim, działał równie energicznie, jak przed pobytem w tym złowieszczym miejscu.

Kolejny raz, przebywając w okupowanej stolicy, próbował przeforsować plan ataku na obóz. Zdecydowana akcja zbrojna była brana jednak pod uwagę tylko w przypadku podjęcia przez Niemców decyzji o dokonaniu eksterminacji wszystkich więźniów. Na żadne inne wiążące deklaracje szefostwo AK się nie zdobyło. Uciekinier musiał zaakceptować ten fakt, nie

zrezygnował jednak z kontaktu z członkami konspiracji w Auschwitz. Wciąż prowadził aktywną tajną działalność, występując pod fałszywymi nazwiskami: Leon Bryjak, Jan Uznański, Roman Jezierski i Witold Smoliński. W lutym 1944 roku awansował na rotmistrza[670].

Wraz z początkiem roku 1944 wydarzenia na ziemiach polskich nabrały szybszego tempa. Gdy Armia Czerwona przekroczyła przedwojenną granicę Rzeczypospolitej, rodzimy ruch oporu podjął bardziej energiczne niż dotychczas przygotowania do wystąpienia zbrojnego. Sytuacja była sprzyjająca – Niemcy znajdowali się w odwrocie, a komunistyczna propaganda apelowała o wspólną walkę z okupantem. Wciąż żywa była jednak pamięć niedawnej sowieckiej agresji oraz wszystkich wynikających z tego tragicznych dla kraju reperkusji. Nieszczere intencje przybyszów ze Wschodu przeczuwał także świeżo upieczony rotmistrz.

Poświęcając się pracy w organizacji niepodległościowej „NIE”, śledził wypadki na froncie, jednocześnie działał w strukturach Oddziału III Kierownictwa Dywersji KG AK[671]. Tam zastał go wybuch powstania warszawskiego. Pilecki miał pozostawać w ukryciu, wtajemniczony w nową, antysowiecką siatkę konspiracji. Tymczasem on… postanowił wesprzeć zbrojnie niepodległościowy zryw. Po raz pierwszy odmówił wykonania rozkazu.

Walczył w Zgrupowaniu „Chrobry II”, najpierw jako zwykły szeregowy strzelec (1 kompania), a następnie – po ujawnieniu się – na stanowisku dowódczym (2 kompania i batalion). Brał udział m.in. w bojach o gmach Wojskowego Instytutu Geograficznego, a także w rejonie ulic Towarowej i Srebrnej. Od jego imienia (i konspiracyjnego pseudonimu) wzięła nazwę Reduta Witolda, umocnienie bronione przez powstańców z Pileckim na czele przy budynku dawnej redakcji dziennika „Rzeczpospolita”[672].

2 października 1944 roku powstanie skapitulowało. Rotmistrz podzielił los tysięcy żołnierzy AK. Co prawda udało mu się ukryć sporo sztuk broni i amunicji w tajnej skrytce, ale i tak dostał się do niemieckiej niewoli. Ze świadomością przegranej bitwy, ale nie wojny. Z ogromnym bagażem doświadczeń, wyniesionym z ponadpięcioletniej już działalności konspiracyjnej.

Doświadczenie Auschwitz nie złamało go, wręcz przeciwnie, pozwoliło utwierdzić się w przekonaniu, że bój o zniewoloną ojczyznę nie jest żadną górnolotną mrzonką, ale zorganizowanym działaniem, które przy tych

wszystkich niewiarygodnych trudnościach daje szanse na ostateczny sukces. Z tym przeświadczeniem Pilecki przystąpi później do rywalizacji z nowym wrogiem. Nie miał złudzeń, że Sowieci przyniosą Polsce wolność.

Ale wtedy, świeżo po klęsce powstania, frapowała go głównie myśl o wydostaniu się z niewoli niemieckiej. Jak wspomniano, nie zdał Niemcom broni, a fakt jej ukrycia zostanie mu później wypomniany przez komunistów na sali sądowej… Po obozie przejściowym w Ożarowie, trafił do Łambinowic. Tam, w obozie Lamsdorf, spędził ponad miesiąc. Wyzwolenia doczekał w oflagu Murnau[673]. Był 29 kwietnia 1945 roku, gdy wolność przynieśli mu Amerykanie[674]. I choć opuścił kolejne złowrogie miejsce, daleko mu było do optymizmu. Koniec wojny nie przyniósł prawdziwej, wymarzonej, pełnej niepodległości.

Nie od razu wrócił do Polski zajętej przez czerwonoarmistów. Wyjechał do Włoch, mając nadzieję na spotkanie z gen. Władysławem Andersem, który oficjalnie jeszcze prawie dwa miesiące po wojnie piastował funkcję Naczelnego Wodza. Pilecki miał głowę pełną pomysłów, już planował kolejne tajne działania. Zanim jednak zdążył porozmawiać z zasłużonym dowódcą, spotkał się w Porto San Giorgio, popularnym nadmorskim kurorcie, z szefem kontrwywiadu II Korpusu Polskiego, gen. Stanisławem Kijakiem. Obaj omawiali szczegóły przyszłej współpracy[675].

Na włoskiej ziemi, już jako żołnierz PSZ na Zachodzie, Witold spisał wspomnienia, kończąc swój wywód na roku 1940. Ściśle współpracował wówczas z Marią Szelągowską[676]. Uczestniczka powstania warszawskiego, służąca w Pomocniczej Służbie Kobiet 2KP, podjęła po wojnie intensywną działalność antykomunistyczną. Była ważnym ogniwem w siatce wywiadowczej, tworzonej przez „Witolda”. Oboje dostarczali dowództwu korpusu rzetelne informacje o sytuacji w zdominowanym przez komunistów kraju.

Trzy lata po wojnie Pilecki i Szelągowska zasiądą obok siebie na ławie oskarżonych w tym samym pokazowym procesie.

Wcześniej jednak rotmistrz wraz ze współpracownicą, oficjalnie Krystyną Kwiecińską, zabrał się do realizacji kolejnej misji. Podając się za repatriantów, wyruszyli z Włoch do Polski – trasą przez Niemcy, a następnie Czechy. Na jakiś czas zatrzymali się w Zakopanem. Dalej, przez Kraków i Częstochowę, dotarli do Warszawy. Był 8 grudnia 1945 roku,

kiedy rotmistrz ponownie ujrzał zrujnowaną stolicę. Zbliżały się pierwsze od lat wolne od okupacyjnego terroru święta Bożego Narodzenia[677].

Na potrzeby konspiracji Pilecki był wtedy nikomu nieznanym Romanem Jezierskim. Nie istniały już ani AK (rozwiązana w styczniu 1945 roku), ani organizacja „NIE” (przestała działać w kwietniu 1945 roku). Moskiewski proces szesnastu, czyli skazanie pozostałych przy życiu dowódców Polskiego Państwa Podziemnego jako rzekomych „agentów” i „wrogów”, kończył ważny etap historii walki o niepodległość. I choć rotmistrz nie atakował milicyjnych posterunków czy gmachów urzędów UB z bronią w ręku, nie likwidował ludzi związanych z systemem, był przekonany, że dalszy opór jest koniecznością.

Nie był jednak w tym trudnym czasie wolny od dylematów. Życie w kraju zdominowanym przez Sowietów wymagało poświęcenia nie tylko własnej osoby, lecz także najbliższych. Pilecki był altruistą, dlatego wiele razy stawał przed koniecznością dokonania tragicznych wyborów. A wybierał między służbą ojczyźnie a rodziną. I choć kochał obie, poświęcił się sprawie. Przyzna to później także jego żona, pisząc do prezydenta Bieruta prośbę o ułaskawienie.

Pileccy widywali się niezwykle rzadko, zazwyczaj dwa razy w miesiącu. Witold niemal cały czas poświęcał na pracę konspiracyjną, w szczególności na zdobywanie informacji, przekazywanych następnie za pośrednictwem kurierów na Zachód. Z czegoś jednak musiał żyć. Zarabiał, pracując w magazynie materiałów budowlanych oraz prowadząc do spółki z Szelągowską wytwórnię wód perfumowanych[678].

Mimo utrzymywania przynajmniej pozorów normalnego życia, rotmistrz musiał mieć świadomość czyhających wokół zagrożeń. Pierwsze powojenne lata to czas intensywnej sowietyzacji kraju. Komuniści, fałszując referendum, a następnie wybory do Sejmu Ustawodawczego w lutym 1947 roku, zalegalizowali, przynajmniej we własnym mniemaniu, obowiązujący system. Walka z niepodległościową partyzantką przybierała nieznany dotąd charakter. Propaganda wzywająca do ujawnienia się i spróbowania sił w „normalnym” życiu, procesy polityczne, będące jedną wielką sądową farsą, a także częste obławy urządzane przy pomocy sił NKWD miały zdusić wszelki opór.

Pilecki zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa dekonspiracji. Utwierdzał go w tym także gen. Anders, który już w połowie 1946 roku

wyraził zaniepokojenie pogarszającą się sytuacją w kraju i wezwał „Jezierskiego” do jego opuszczenia. Pilecki zabiegał o pozostanie, widział głęboki sens swojej pracy, a nade wszystko nie wyobrażał sobie rozstania z rodziną. Jak mógłby zostawić na pastwę losu żonę z dwójką nieletnich dzieci? W końcu wyjednał u generała zgodę na kontynuowanie dotychczasowej działalności[679].

Bezpieka wiedziała jednak, gdzie uderzyć. Największa istniejąca ówcześnie organizacja niepodległościowa – WiN – została objęta wzmożoną inwigilacją służb. Jak wiadomo, Pilecki utrzymywał kontakty także z tą strukturą. Nie wiedział, że komuniści wprowadzili do niej tzw. wtyczkę (agenta) – w literaturze przedmiotu najczęściej pada w tym momencie nazwisko Leszka (właściwie Stanisława) Kuchcińskiego[680], byłego żołnierza TAP. Do struktur siatki „Witolda” miał przeniknąć jako TW „Leszek” we wrześniu 1946 roku[681].

Na podstawie dokumentacji resortu spraw bezpieczeństwa agent sporządził raport (tzw. Raport Brzeszczota – od jednego z pseudonimów operacyjnych Kuchcińskiego), zawierający m.in. szczegółowe informacje na temat najważniejszych osobistości ministerstwa, określanych jako „mózgi MBP”[682]. W raporcie sugerowano przeprowadzenie likwidacji takich znanych postaci, jak choćby niesławnego „specjalisty” od przesłuchań, Józefa Różańskiego, dyrektora Departamentu Śledczego MBP, a także nie mniej sadystycznie usposobionej dyrektorki V Departamentu tegoż resortu, Julii Brystygier – „krwawej Luny”. Zabójstwo tych i innych komunistów miało ostatecznie pogrążyć Pileckiego i jego ludzi przedstawianych jako żądnych zemsty bandytów.

Informatorem agenta miał być wieloletni pracownik MBP, Wacław Alchimowicz, który wykradał za jego namową resortowe akta. W rzeczywistości były one sfabrykowane, ale członkowie „grupy Pileckiego” mieli je brać za wiarygodne źródło informacji. Alchimowicz na stałe związał się z WiN, a następnie został aresztowany. Uwięziono go na Mokotowie, osądzono, a następnie stracono w egzekucji. Okoliczności działania i intencje Alchimowicza nie są jednak do końca jasne – pojawił się np. pogląd, że to on odegrał główną rolę w rozpracowaniu siatki „Witolda”[683]. Podkreśla się też, iż udział w dekonspiracji Pileckiego i spółki miał inny współpracownik bezpieki – Kazimierz Czarnocki (TW „Zieliński”)[684].

Pewne jest natomiast, że rotmistrz zachował przytomność umysłu i przesłał raport do Włoch, gdzie zapoznał się z nim gen. Anders. Komunistyczna prowokacja okazała się nieskuteczna. „Leszka” zdemaskował później Tadeusz Płużański, bliski współpracownik Pileckiego, oskarżony w tym samym procesie. Obaj – Płużański i Kuchciński – byli przez jakiś czas współlokatorami, mieszkali w podwarszawskim Piastowie[685].

W napisanej po latach autobiograficznej powieści, ustami literackiego bohatera Jerzego Radwana[686], Płużański pyta: *Skąd ta niebywała dokładność inwigilacji? Kto mógł wiedzieć o szczegółach znanych tylko mnie i najbliższym. Skąd oni mają dane o urządzeniu mieszkania pod Warszawą… Kto mógł wiedzieć, co ja robię wieczorami, co czytam? Czyżby to był Leszek? […] Tak, to nikt inny, tylko Leszek!*[687].

Możliwości działania władzy były ogromne. Gdy zawiódł podstawiony agent (agenci?) i nie powiodła próba ukazania Pileckiego jako pospolitego przestępcy, przystąpiono do jawnego działania. W maju 1947 roku zatrzymano aż 23 osoby[688]. Dokładne okoliczności aresztowania nie są znane, choć sam dzień dobrze zapamiętała córka „Witolda”, Zofia, która wyczekiwała go w Ostrowi Mazowieckiej.

Było to święto św. Stanisława i imieniny naszego wujka [Stanisława Rogowskiego – W.K.]. *[…] Ojciec zawsze przyjeżdżał z tej okazji, niekoniecznie w dzień samych imienin, ale wtedy, kiedy mógł, najczęściej między sobotą a niedzielą. 12 maja ojciec był oczekiwany przez nas, ponieważ był to dzień urodzin i imienin mojej mamy. On, starszy o pięć lat od mojej mamy, obchodził urodziny dzień później. W związku z tym wszyscy czekaliśmy na niego i byliśmy pewni, że przyjedzie*[689].

Niestety, tym razem Pilecki nie pojawił się w rodzinnych stronach żony. Rotmistrza ujęto 8 maja[690], prawdopodobnie w mieszkaniu współpracowników Makarego i Heleny Sieradzkich[691], przy ul. Pańskiej w Warszawie[692]. Tam właśnie mieścił się jeden z lokali konspiracyjnych siatki „Witolda”. Wiadomo przy tym, że sam Pilecki od jakiegoś czasu mieszkał przy ul. Skrzetuskiego (wynajmował tam mieszkanie). Rewizja dokonana przez UB pod tymi adresami przyniosła oczekiwany skutek – w obu przypadkach znaleziono materiały dotyczące działalności niepodległościowej, w mniemaniu władz pogrążające rotmistrza[693].

Ujętego Pileckiego przewieziono pod znany, budzący grozę adres na Mokotowie i poddano śledztwu, które osobiście nadzorował Różański – ówczesny pan życia i śmierci. Początkowo, w najtrudniejszym okresie przesłuchań, rotmistrza przetrzymywano w pojedynczej celi, później – ośmioosobowej. Przez pół roku próbowano wymusić od niego zeznania za pomocą całej palety wyrafinowanych tortur. Taki proces „zmiękczenia" więźnia często prowadził do wymiernych efektów. Tak zdobyte zeznania służyły komunistom do formułowania fantastycznych w swej treści aktów oskarżenia.

Przesłuchiwany rotmistrz mówił tylko prawdę, zapewne zdawał sobie sprawę z beznadziejnej sytuacji swojej siatki wywiadowczej, inwigilowanej od dłuższego czasu. Nikomu nie zaszkodził. Urząd Bezpieczeństwa już wcześniej dysponował wieloma istotnymi informacjami, które oskarżony mógł ewentualnie tylko potwierdzić[694].

To też zrobił. Ale czy to dziwi? Absolutnie nie, tym bardziej że przesłuchiwali go znani ze stosowania brutalnych metod śledczych oficerowie, z ppor. Chimczakiem[695] na czele. Później Pilecki odpowiadał też na pytania innych oprawców: por. Stefana Alaborskiego, por. Stanisława Łyszkowskiego, por. Mariana Krawczyńskiego, por. Tadeusza Słowiaczka i ppor. Jerzego Kroszela[696].

Jak podkreślił w jednym z wywiadów historyk Jacek Pawłowicz, *wszystko wskazuje na to, że było jakieś porozumienie między rotmistrzem a jego najbliższymi współpracownikami, czyli Marią Szelągowską i Tadeuszem Płużańskim. Chodziło o to, by przetrwać pierwsze dwa dni*[697] *po aresztowaniu, kiedy odbywały się najgorsze tortury. Wszystko po to, by dać ludziom czas na zmianę adresów i zatarcie śladów*[698].

Fakt znęcania się nad rotmistrzem potwierdzili współwięźniowie – Szelągowska, Płużański, a także ks. Antoni Czajkowski. Wszelkie możliwe tortury przeżywali tylko najmocniejsi. Nie bez powodu Pilecki powie później do odwiedzającej go w więzieniu Eleonory Ostrowskiej, że „Oświęcim to była igraszka", przyznając jednocześnie, że komuniści wykończyli go do tego stopnia, że „już żyć nie może". Prawie trzy lata niewoli obozowej nie mogło się w jego przekonaniu równać z rokiem spędzonym w zimnej i ciemnej mokotowskiej celi. Zresztą spodziewał się represji. Już niecały tydzień po pojmaniu, 14 maja, pisał do płk. Różańskiego wierszem: *Sumą kar wszystkich mnie proszę karać…*[699]

Relacja Zofii Pileckiej-Optułowicz nie pozostawia wątpliwości. *Ojciec był wtedy wrakiem człowieka. Miał połamane obojczyki, nie mógł utrzymać głowy w pionie*[700] – zapamiętała więzienne widzenie córka rotmistrza. Była wówczas świadkiem, jak wyczerpany ojciec daje jej matce mały metalowy grzebień – ostatnią rzecz osobistą, jakiej się pozbył przed śmiercią. Nalegał też, aby żona kupiła niezwłocznie książkę Tomasza à Kempis *O naśladowaniu Chrystusa*. Miała ją czytać dzieciom, każdego dnia. Wierzył, że wiara będzie dla rodziny oparciem w trudnych chwilach. Jemu, jak nieraz podkreślał, zawsze pomagała.

W listopadzie 1947 roku, pół roku po pierwszym przesłuchaniu, które z pewnością utkwiło mu w pamięci, Pilecki podpisał się pod złożonymi zeznaniami[701]. Zapis mówiący o tym, że wszystko odbyło się w granicach prawa, dobrowolnie, wiele mówi o komunistycznej perfidii.

W aktach z rozprawy sądowej zapisano następujące słowa Pileckiego: *Protokoły podpisywałem, przeważnie nie czytając ich, bo byłem wówczas bardzo zmęczony*[702]. W tym miejscu wypadałoby przynajmniej spróbować nakreślić widok bohatera kompletnie wyniszczonego fizycznie i mentalnie. Niezłomnego ochotnika do Auschwitz, który po półrocznym śledztwie przedstawiał strzęp człowieka. Z wyrwanymi paznokciami u rąk i nóg, zmiażdżonymi jądrami, ranami powstałymi po nabiciu na tzw. pal Andersa…[703]

Pileckiego postawiono w końcu przed fasadowym wymiarem sprawiedliwości. Obok niego na ławie oskarżonych w Rejonowym Sądzie Wojewódzkim przy ul. Nowowiejskiej w Warszawie zasiedli znani już Szelągowska i Płużański, a także: Maksymilian Kaucki, Jerzy Nowakowski, Makary Sieradzki, Szymon Jamontt-Krzywicki oraz Witold Różycki[704].

3 marca 1948 roku rozpoczął się jeden z najgłośniejszych procesów politycznych Polski Ludowej. Szeroko nagłośniony, miał stanowić przestrogę dla wszystkich, którzy działali rzekomo na szkodę ludowej ojczyzny. Prasa donosiła o „szpiegowskiej grupie Andersa", która zdradzała kraj za dolary i funty[705], a teraz wreszcie doczeka się sprawiedliwości. Przy okazji uderzono też w legendę dowódcy II Korpusu, wielce zasłużonego w walce z Niemcami m.in. na terenie okupowanych Włoch[706].

Na znanych powszechnie fotografiach z sali sądowej widać rotmistrza siedzącego pośród najbliższych współpracowników, przy asyście

uzbrojonych w pepesze żołnierzy. Wstęp na głośny, szeroko komentowany proces „szpiegów” mieli tylko wybrańcy zaopatrzeni w specjalne bilety. Przyszli na salę, jakby spodziewali się wielkiego widowiska. W istocie, proces – jak każdy inny w tym ponurym czasie – był wyreżyserowanym przez władzę spektaklem.

Na jednym ze zbliżeń stojący niemalże na baczność Pilecki jakby spoglądał w stronę osoby wykonującej dokumentację zdjęciową. W rzeczywistości patrzy na ławę sędziowską z przewodniczącym ppłk. Janem Hryckowianem (byłym kapitanem AK, odznaczonym Krzyżem Walecznych!)[707] na czele. Obok niego zasiedli: sędzia kpt. Józef Badecki, ławnik kpt. Stefan Nowacki i protokolant por. Ryszard Czarkowski. Prokuratorskie zarzuty w stosunku do oskarżonych padły z ust mjr. Czesława Łapińskiego[708].

Rotmistrz usłyszał całą gamę absurdalnych oskarżeń, w tym m.in. zarzucono mu, jakoby przygotowywał „gwałtowny zamach zbrojny” na elitę władzy[709]. Przyznał się co prawda do ukrywania broni i przekazywania informacji na Zachód, ale zaznaczył, że nie uważa tego za działanie bezprawne. Mówił tylko prawdę[710].

Całą grupę aresztowanych oskarżono też o kolaborację z Niemcami, działalność szpiegowską „w interesie obcego imperializmu”[711], a także sprzyjanie domniemanym bandom terrorystycznym[712]. Prokuratur Łapiński żądał kary śmierci dla wszystkich, bez wyjątku[713].

Dzieci rotmistrza dobrze zapamiętały ówczesne relacje z procesu, przedstawiające ich ojca w jak najgorszym świetle. Córka Zofia, wówczas jeszcze uczennica, miała wątpliwą przyjemność wysłuchiwania komunikatów ze szkolnych szczekaczek. – *Czy ty jesteś córką tego szpiega?*[714] – zapytała ją pewnego razu nauczycielka. Niezrażona tym 14-latka przytaknęła. Była dumna z niezłomnej postawy ojca, mimo drwin i szykan, jakie latami musiała znosić razem z bratem[715].

Wyroki skazujące odczytano 15 marca 1948 roku[716]. W samo południe Pilecki, Szelągowska i Płużański dowiedzieli się, że niebawem stracą życie, mało tego – właśnie pozbawiono ich wszelkich przywilejów, przysługujących im z tytułu posiadanego obywatelstwa![717]. Karą dla rotmistrza miała być śmierć (zasądzona po trzykroć) w egzekucji, utrata wszelkich praw i majątku.

Zadaniem oskarżonego Pileckiego, jako płatnego rezydenta, było zorganizowanie na terenie Kraju rozległej sieci dywersyjno-wywiadowczej, zbieranie wszechstronnych i chronionych również tajemnicą państwową wiadomości i dokumentów, przekazywanie zebranych materiałów wywiadowczych do zagranicznego ośrodka dyspozycyjnego, z którym miał utrzymać stałą i ścisłą łączność poprzez kurierów i zmontowane na ich użytek drogi przerzutowe. Dalszym nie mniej ważnym odcinkiem jego wrogiej dla Państwa Polskiego działalności było nawiązanie kontaktu i współpracy z inspirowanym oraz finansowanym przez ten sam obcy imperializm reakcyjnym podziemiem polskim oraz prowadzenie rozkładowej akcji propagandowej wśród społeczeństwa polskiego[718] – napisano w obszernym uzasadnieniu wyroku, odczytanym przez prokuratora Łapińskiego.

Nie byłem rezydentem, a tylko polskim oficerem. Wykonywałem tylko rozkazy, aż do chwili aresztowania mnie. Nie miałem przeświadczenia, że dopuszczam się szpiegostwa i przy ferowaniu wyroku proszę o wzięcie tego pod uwagę[719] – odpowiadał, a jednocześnie apelował przed sądem Pilecki.

Nawet działalność w Auschwitz nie została wzięta przez komunistów za okoliczność łagodzącą. Według szwagierki rotmistrza o bezpardonowe potraktowanie „Serafińskiego" zabiegał sam ówczesny premier Józef Cyrankiewicz, były współwięzień z niemieckiego obozu[720]. Wiadomo, że sam Pilecki zabiegał o kontakt z szefem komunistycznego rządu, licząc na wsparcie[721]. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo żył złudzeniami. Co więcej, jak wspominał ks. Stępień, w więzieniu mokotowskim krążyły pogłoski, że rotmistrza stracono właśnie za to, że „za wiele wiedział i za wiele widział w Oświęcimiu"[722].

Jego odwaga i determinacja dawała mi oraz innym natchnienie – mimo naszych skromnych środków – do pokonywania ogromnych trudności, takich jak stała groźba tortur, egzekucji i śmierci głodowej[723] – pisał o Pileckim por. Konstanty Piekarski, przedwojenny oficer Wojska Polskiego, który trafił do Auschwitz i tam, wspólnie z „Serafińskim", organizował ruch oporu.

Autor wspomnień poruszył po latach bardzo istotny wątek, zwracając uwagę na fakt zawłaszczania po wojnie legendy obozowej konspiracji przez byłych więźniów, którzy związali się z aparatem władzy[724]. Czyżby

obawiano się, że rotmistrz zaszkodzi budowanej wówczas legendzie Cyrankiewicza, „jedynego” bohatera z Auschwitz? Niezależnie od tego, pewne jest, że – w założeniu komunistów – skala powojennych „zbrodni” Pileckiego miała być tak wielka, że nic nie mogło już go wybronić. Nic oprócz łaski towarzysza Bieruta.

W części podsumowującej uzasadnienie wyroku podkreślono, że oskarżeni „dopuścili się najcięższej zbrodni stanu i zdrady narodu”. *Cechowało ich wyjątkowe napięcie złej woli, przejawiali nienawiść do Polski Ludowej i reform społecznych, zaprzedali się obcemu wywiadowi i wykazali szczególną gorliwość w akcji szpiegowskiej*[725]. Rzekoma sprzedajność wobec Zachodu tylko dopełniała obrazu sądzonych „bandytów” i, w przekonaniu komunistów, utwierdzała zasadność wydanego wyroku.

Po tej pamiętnej rozprawie obrońcy przydzieleni z urzędu złożyli skargi kasacyjne. W piśmie przesłanym do Sądu Najwyższego opiniujący sędziowie postulowali utrzymanie w mocy najcięższych kar w stosunku do Pileckiego i Płużańskiego, w przypadku Szelągowskiej okolicznością łagodzącą miała być tylko i wyłącznie płeć oskarżonej. W akcie „łaski” Bierut zamienił później zasądzone wyroki Płużańskiego i Szelągowskiej na dożywocie. Rotmistrz miał zostać stracony, bez względu na wszystko[726].

Niczego nie zmieniła nawet obszerna prośba o ułaskawienie, wystosowana do prezydenta przez skazańca. W piśmie opatrzonym datą 7 maja 1948 roku, będącym streszczeniem bogatego życiorysu, a także swoistą deklaracją patriotyzmu, padło znamienne wyznanie: *Przez całe życie pracowałem dla Polski*. W liście do Bieruta brak było jednak jakichkolwiek przejawów podległości, a tym bardziej przyznania się do rzekomych win.

Nigdy jednak w świadomości mojej nie powstała myśl, że działanie moje jest szpiegostwem, gdyż nie działałem na rzecz obcego mocarstwa, a posyłałem wiadomości do macierzystego oddziału polskiego[727] – podsumował swoją wieloletnią działalność w konspiracji autor listu. Swoją prośbę „Witold” zakończył więc twardym stanowiskiem, obroną idei, której służył.

Ale nie było już nadziei. Także pismo sporządzone przez żonę skazanego, która, walcząc o życie męża, skłonna była nawet przyznać, że nieświadomie, kochając ojczyznę, błądził[728], nie spowodowało zmiany

wyroku. Rotmistrz za bardzo zagrażał Polsce Ludowej, aby ta mogła się o niego upomnieć. W jego przypadku nie zwlekano. Czekał na wyrok zaledwie niecałe dwa miesiące.

25 maja 1948 roku świeżo upieczony 47-latek (12 maja „obchodził" swoje urodziny) po raz ostatni wyszedł z celi. Było już po godz. 21 wieczorem. Wraz z rotmistrzem maszerował na śmierć jeszcze jeden więzień.

O zbliżającej się egzekucji rotmistrza dowiedział się ks. Stępień, uzyskawszy tę informację wraz z innymi osadzonymi od oddziałowego, utrzymującego kontakt z więźniami kryminalnymi. *Czekaliśmy w napięciu na ten moment. Gdy usłyszałem szept: „już idą", zbliżyłem się do okna razem z dwoma współwięźniami, którzy znali Witolda Pileckiego. Nie zapomnę tego widoku. Prowadzono dwóch skazanych. Pierwszy pojawił się Witold Pilecki. Miał usta zawiązane białą opaską. Prowadziło go pod ręce dwóch strażników. Ledwie dotykał stopami ziemi. I nie wiem, czy był wtedy przytomny. Sprawiał wrażenie zupełnie omdlałego… A potem salwa*[729] – zapamiętał ostatnie chwile życia bohatera duchowny.

Według relacji zastępcy naczelnika więzienia, por. Mońki[730], obecnego przy śmierci rotmistrza[731], egzekucję wykonano w małym, wolno stojącym budynku (kotłowni) za gmachem X Pawilonu. Zarząd nad nim w całości miał sprawować resort bezpieczeństwa publicznego. Nie mieli do niego ponoć wstępu nawet oficerowie służby więziennej. *Widziałem, jak prowadzili Pileckiego pod ręce, a on poprosił ich, żeby go puścili, bo chce iść sam. Weszli do środka, ja zostałem na zewnątrz. Słyszałem jeden strzał*[732] – relacjonował wicenaczelnik, świadek w śledztwie przeciwko prokuratorowi Łapińskiemu, toczącym się w latach 2001–2004[733].

Przy Pileckim ustawił się kat Śmietański. Także i tym razem „dowódca" plutonu egzekucyjnego, w praktyce uśmiercający skazańców w pojedynkę, zainkasuje za „robotę" okrągły tysiąc złotych[734]. Jeszcze tylko krótka wymiana zdań skazańca z obecnym na miejscu duchownym i… strzał w głowę.

Około 21.30 Śmietański uśmiercił rotmistrza. Przyglądali się temu: wiceprzewodniczący Naczelnej Prokuratury Wojska Polskiego mjr Stanisław Cypryszewski, por. Mońko, lekarz por. dr Kazimierz Jezierski,

a także ksiądz kpt. Wincenty Martusiewicz. Wszyscy złożyli później podpisy na protokole wykonania kary śmierci.

Niebywałe, ale bliscy rotmistrza ujrzeli ten dokument dopiero w 1988 roku. 40 lat po śmierci bohatera[735]! *Któregoś dnia mama zaniosła ojcu do więzienia kolejną paczkę żywnościową, ale już jej nie przyjęto. Usłyszała: „Pileckiego tu nie ma”. „A gdzie jest?”. „Nie wiemy. Wyjechał. Tu go nie ma”. Nie sądziliśmy, że tak szybko go zabiją*[736] – zapamiętał syn zamordowanego.

Przez cztery dekady rodzina Pileckiego żyła więc w nieświadomości. Nie było twardych dowodów, które poświadczałyby tezę o egzekucji. Jak wspominała po latach Zofia Pilecka, matka aż do momentu zmiany systemu wierzyła, że jej mąż żyje gdzieś na Syberii[737]. Mimo że zaraz po procesie, w prywatnej rozmowie z żoną skazańca, prokurator Łapiński zapowiedział „wycięcie wrzodu Polski Ludowej” – mając na myśli… rotmistrza[738].

Jak było naprawdę? Ciało Pileckiego wywieziono w nieznanym kierunku. Istnieje jednak bardzo duże prawdopodobieństwo, że rotmistrz spoczywa na powązkowskiej Łączce[739]. Tam bowiem, w absolutnej tajemnicy, oprawcy z więzienia MBP na Mokotowie grzebali od wiosny 1948 roku swoje ofiary.

Ksiądz Stępień wspominał, że według krążących po więzieniu informacji jednego wieczoru miano zabić Pileckiego i Kasznicę[740]. Dziś wiemy, że rotmistrza stracono prawie dwa tygodnie po egzekucji ostatniego komendanta NSZ. Ale relacja kapłana stanowi ważną wskazówkę. Tym bardziej że szczątki podpułkownika zdołano już odnaleźć, zidentyfikować i godnie pochować. Jeżeli więc w przypadku rotmistrza nie zaistniały jakieś nieprzewidziane okoliczności, a nic na to do tej pory nie wskazywało, prędzej czy później badacze zlokalizują miejsce pochówku jednego z największych polskich bohaterów XX stulecia.

Wreszcie poznamy pełną prawdę, która miała już nigdy nie wyjść na jaw. Władza skrzętnie ukrywała swoje zamiary, torpedując wszelkie próby najbliższych zmierzające do ustalenia miejsca pochówku rotmistrza. Owo zakłamanie trwało przez dziesięciolecia, mimo iż już w 1957 roku, dziewięć lat po śmierci męża, Maria Pilecka zabiegała o sprawiedliwość. Choć było już po kolejnej amnestii, ogłoszonej na fali tzw. odwilży październikowej

1956 roku, komuniści pozostali nieugięci. Po raz kolejny skazali Pileckiego, tym razem na zapomnienie.

Interesujący jest fakt, że nawet jeśli PRL-owska cenzura dopuszczała do druku publikacje przybliżające los Pileckiego, to tylko takie, które koncentrowały się na jego działalności antyniemieckiej. O tym, że ochotnik do Auschwitz był wielokrotnie katowany przez stalinowskich oprawców, padł ofiarą niezliczonej ilości oszczerstw, po czym został zabity strzałem „katyńskim", nigdzie nie było mowy. Dziwna zasłona milczenia i kłamstwa okrywała to, co działo się z rotmistrzem od czasu, gdy trafił na Rakowiecką. Okoliczności śmierci i ukrycia ciała miały nigdy nie wyjść na światło dzienne.

Dopiero po upadku żelaznej kurtyny można było przywrócić pełną prawdę o tym wielkim człowieku. Kasacja krzywdzącego wyroku umożliwiła jego pełną prawną rehabilitację. W 1990 roku Sąd Najwyższy w Warszawie uznał „Witolda" i jego współpracowników za bojowników o niepodległość[741].

Kolejne lata mijały, a postać bohatera wychodziła z mroków niepamięci. W 1995 roku rotmistrz został pośmiertnie uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Jedenaście lat później, w 2006 roku, nadano mu najwyższe polskie odznaczenie – Order Orła Białego. Czyny tej niezwykłej postaci doceniono też pośmiertnym awansem wojskowym – w 2013 roku Pilecki otrzymał stopień pułkownika.

I choć bohater nigdy nie nadstawiał piersi do orderów, te wszystkie działania – co prawda spóźnione, ale potrzebne – były dziejową sprawiedliwością. Wreszcie można było powiedzieć głośno to, o czym milczano przez dekady. Czas jeszcze na godny, honorowy, państwowy pogrzeb.

W 2008 roku, w 60. rocznicę śmierci rotmistrza, Senat RP przyjął honorującą go okolicznościową uchwałę. Jak napisano, *jego heroiczny czyn, jakim było dobrowolne i celowe poddanie się uwięzieniu w KL Auschwitz, a także powojenny, okupiony śmiercią powrót do Ojczyzny stawiają Witolda Pileckiego wśród najodważniejszych ludzi na świecie i powinny stać się dla Europy i świata wzorem bohaterstwa oraz symbolem oporu przeciw systemom totalitarnym. Pilecki został bowiem, jak wielu Polaków, poddany straszliwej próbie niszczącej machiny systemu hitlerowskiego, a po wojnie*

stalinowskiego. Z obydwu tych prób wyszedł zwycięsko, choć za swoją postawę zapłacił życiem[742].

On miał zadanie, które wykonał w stu procentach[743] – mówiła w jednym z wywiadów córka rotmistrza. Innym razem wspominała, że ojciec zawsze był dla niej fenomenem, który *zaliczył wszystkie stacje drogi krzyżowej*[744]. Sam nie ukrywał, że *całe życie pracował dla Polski*. Potwierdziła to jego żona, w dramatycznej prośbie o ułaskawienie męża pisząc, że *kochał Polskę i ta miłość przesłaniała wszystkie inne*[745]. Ojczyzna była dla rotmistrza zawsze na pierwszym miejscu. Trudno o lepsze podsumowanie życia tej niezwykłej postaci.

Historia zatoczyło koło. Główny oskarżyciel w procesie grupy Pileckiego – prokurator Łapiński – choć postawiony w 2003 roku przed sądem, uniknął sprawiedliwości. Nieosądzony umierał na raka w następnym roku, przykuty do łóżka w warszawskim Centrum Onkologii. Co takiego mógł myśleć, dostrzegając ze szpitalnego okna… tabliczkę z napisem „ulica rotmistrza Witolda Pileckiego”?

AUGUST EMIL FIELDORF – DOWÓDCA KEDYWU

Pamiętaj, abyś nie prosiła ich o łaskę!
gen. August Emil Fieldorf do żony Janiny
w czasie widzenia w więzieniu

To była śmierć zwycięska!
Generał w łachmanie
A jakby w purpury odziany
Szedł spokojny, milczący
Wyprostowany
I ten wzrok
Pod którego ciężarem
Kat się ugiął…
Wanda Sieradzka, *Śmierć Generała*

Jeden z najzdolniejszych, najbardziej doświadczonych dowódców Armii Krajowej, generał brygady Wojska Polskiego. Człowiek, od którego bardzo wiele zależało. Jako szef słynnego Kedywu (Kierownictwa Dywersji AK) decydował o miejscu i czasie akcji zbrojnych wymierzonych w okupanta. W równie wielkim stopniu co Niemcy, znienawidzili go Sowieci. Przez ponad pięć lat po wojnie trwał w oporze, organizując poakowską konspirację. Wielki autorytet, gorący patriota. Do tego niebywale skromny człowiek. W jego życiu jak w soczewce skupiają się tragiczne losy XX-wiecznej Polski.

Jak każdy bohater tej książki, został zamordowany. Nie strzałem w tył głowy, jak wszyscy pozostali, a sposobem przewidzianym dla pospolitych zbrodniarzy i hitlerowskich oprawców. Zawisł na szubienicy – tak komuniści pohańbili tego wspaniałego oficera. 58 lat na śmierć to zdecydowanie za wcześnie, ale jego życiorysem, obfitującym w ważne dla losów kraju i narodu wydarzenia, można byłoby obdzielić wielu.

Augusta Emila Fieldorfa, urodzonego 20 marca 1895 roku jako poddanego cesarza Austro-Węgier, odpowiednio przygotowano do służby ojczyźnie. Najmłodszy syn dbającej o ognisko domowe Agnieszki ze

Szwandów i maszynisty kolejowego Andrzeja Fieldorfa, brat Emmy, Józefa i Jana, szybko przekonał się, co to patriotyzm najwyższej próby. Rzeczywistość, w której dorastał, ukształtowała go znacząco – wolną Polskę znał tylko z opowieści rodziców o dalekich przodkach, o zrywach niepodległościowych, które „uświadomiły" niejedno wychowane w czasie zaborów pokolenie. To, którego reprezentantem był Fieldorf, miało wkrótce wywalczyć pełną suwerenność[746].

Powołanie do służby w mundurze odkrył w sobie jeszcze zanim świat usłyszał o wybuchu Wielkiej Wojny. W końcu 1912 roku, po ukończeniu szkoły powszechnej, gimnazjum, a następnie seminarium nauczycielskiego, odbył przeszkolenie wojskowe w Związku Strzeleckim. Wydaje się, że nie mógł dokonać lepszego wyboru, zważywszy na jego niezwykłą chęć do działania i temperament, niekiedy nawet nieznośny, o czym najlepiej przekonali się nauczyciele młodzieńca[747].

Zadaniem powołanej do życia w 1910 roku paramilitarnej organizacji było przygotowanie kadr dla przyszłej armii polskiej. Austriacy tolerowali istnienie tej swoistej kuźni talentów wojskowych. Oczywiście pod warunkiem, że wszystko odbywało się pod ich czujnym okiem[748].

Gdy w sierpniu 1914 roku rozpoczynał się nowy międzynarodowy konflikt, który szybko przeistoczył się z lokalnej wojny na Bałkanach w rywalizację dwóch wrogich sobie bloków mocarstw, Fieldorf miał już za sobą prawie dwuletnią służbę w Związku Strzeleckim, a także dyplom kursu podoficerskiego. Młody rekrut palił się do walki. Za sprawę polską, ale jednocześnie ku chwale cesarza Franciszka Józefa.

Paradoksalnie, wojna była dla Polaków wielką szansą. Ogromne wrażenie na przepełnionym ideą wolności i niepodległości 19-latku wywarł wymarsz strzelców Józefa Piłsudskiego z podkrakowskich Oleandrów do Kielc. Słynna I Kompania Kadrowa da wkrótce początek Legionom Polskim, a postawa Polaków na froncie spowoduje, że sprawa niepodległości powróci na arenę międzynarodową.

Świadek wspomnianych szczególnych, symbolicznych chwil, zaczął szukać możliwości poboru. Też chciał nosić na głowie maciejówkę ze srebrnym orzełkiem jak brygadier Piłsudski, którego darzył nieskrywaną sympatią. Jeszcze w dniu wymarszu „kadrówki" ochotniczo zgłosił się więc do biura werbunkowego[749]. Otrzymał przydział do 1 kompanii IV batalionu, na stanowisko dowódcy sekcji. Mógł liczyć na wsparcie

najbliższych, a ojciec przyznał nawet, że gdyby nie obowiązki głowy rodziny, sam chwyciłby za broń[750].

Wybijają się na czoło jego cechy. Nazwijmy to może patriotyzmem, chociaż to słowo w obecnej rzeczywistości nabrało innego, obrzydliwego wydźwięku. To raczej miłość. Miłość ta przewyższała wszystkie inne uczucia. Polska. W imię tej miłości, nie oglądając się, ruszył z domu 6 sierpnia szczęśliwy, że będzie służył tej, którą tak kochał, która potrzebowała takich jak on zapaleńców. Drugie miejsce w jego sercu zajął Komendant. On, Wódz, prowadził ich drogą, która na pewno była słuszna, choć nieraz jeszcze ciężka. Jakże boleśnie, dosłownie krwawiły mu stopy. To nic, wszystko można znieść, bo wizja Niepodległej Ojczyzny, którą im ukazywał Komendant, była tak oszałamiająco piękna, i tak mimo wszystko realna, że warto było walczyć, cierpieć i głodować[751] – powie po latach o mężu Janina Fieldorf[752].

Minęło zaledwie osiem dni, a Emil (powszechnie używał swojego drugiego imienia) przeszedł swój chrzest bojowy, walcząc z Rosjanami pod Brzegami. Pod koniec grudnia 1914 roku, po przekształceniu 1 pułku piechoty w I Brygadę Legionów, Fieldorf, który szybko z sekcyjnego stał się sierżantem, walczył pod Łowczówkiem. Potem przeszedł szlak bojowy od Konar, Ożarowa, przez Hulewicze po Rudkę Miryńską na Wołyniu. Wtedy, nad rzekami Styr i Stochód, pod Kostiuchnówką[753], legioniści toczyli najkrwawsze boje w swej historii[754].

To właśnie pod Hulewiczami, w sierpniu 1916 roku, ówczesny sierż. Fieldorf obsługujący karabin maszynowy wykazał się niezwykłą przytomnością umysłu, ale i męstwem. Wytrwał na swej pozycji pod zmasowanym ostrzałem nieprzyjaciela. Siedem lat później zostanie za swą postawę w boju odznaczony Krzyżem V klasy Orderu Virtuti Militari – najbardziej cenionym przez żołnierzy odznaczeniem[755]. Orderów za postawę na polu bitwy będzie miał w swej kolekcji jeszcze sporo. Szczególnie wiele znaczyła dla niego odznaka „Za wierną służbę”, wręczona przez samego Józefa Piłsudskiego w 1916 roku[756].

Emil był tak szczupły i mizerny, że nikt z kolegów nie przypuszczał, że wytrzyma długo. Że na pewno po pierwszym forsownym marszu odpadnie i wróci do Krakowa. Wytrzymał i ten marsz i wiele innych. Całe szczęście, że po tylu rewizjach, jakie przeszłam w Wilnie, ocalał stan służby z okresu

walk legionowych. Wykaz bitew tam wyszczególnionych mówi sam za siebie[757] – zwróciła uwagę żona generała.

W pierwszej połowie 1917 roku, wykorzystując przestój w walkach na froncie z udziałem swojego oddziału, Fieldorf ukończył niższą szkołę oficerską. W lipcu 1917 roku Piłsudski, dowódca I Brygady, wezwał swych podkomendnych do nieskładania przysięgi na wierność cesarzowi niemieckiemu. Emil postąpił zgodnie z rozkazem. Odmawiając służby w Polskim Korpusie Posiłkowym, wiele ryzykował. Jego 5 pułk legionowy natychmiast rozwiązano. Austriacy wysłali „buntownika" do Przemyśla, gdzie założył mundur c.k. armii. Przydzielony do karnej kompanii przy II Brygadzie Cesarskich Strzelców, został we wrześniu 1917 roku wysłany na front włoski[758].

Minął niecały rok i pożegnał się z obcą armią. Będąc na przepustce wojskowej w rodzinnym Krakowie, nie powrócił już do jednostki, udał się na leczenie. Czas ten wykorzystał też na wstąpienie do krakowskich struktur Polskiej Organizacji Wojskowej[759]. Wielka Wojna zmierzała już ku końcowi, a państwa centralne miały ją niebawem sromotnie przegrać.

Atmosfera uniesienia, ale i wyczekiwania na niepodległość, dotarła i do Krakowa. Fieldorf, jako członek oddziału lotnego POW, uczestniczył w rozbrajaniu żołnierzy austriackich. Przełomowe wydarzenia po raz kolejny rozgrywały się na jego oczach[760].

W momencie odzyskania przez Polskę państwowości Emil był młodym, bo 23-letnim, a zarazem już doświadczonym w boju żołnierzem. Nie zamierzał jednak rozstawać się z mundurem, tym bardziej że walki o kształt granic dopiero się rozpoczęły. Wstąpił do odtwarzanego 5 pułku piechoty legionowej; później służył w 1 pułku. W kwietniu 1919 roku wraz z towarzyszami broni z 1 Dywizji Piechoty, dowodzonej przez Edwarda Rydza-Śmigłego, świętował zajęcie Wilna[761].

Walki o miasto oraz szerzej – wiosenna ofensywa Polaków – były odpowiedzią na zajęcie Wileńszczyzny w styczniu 1919 roku przez Armię Czerwoną, co niekiedy uznaje się za początek wojny polsko-bolszewickiej. Niebawem młody oficer odrodzonego Wojska Polskiego po raz kolejny dowiódł swojego bohaterstwa.

Fieldorf, już wtedy podporucznik, odznaczył się szczególnie w trakcie walk o Dyneburg (na Łotwie), walcząc o to miasto dwukrotnie – w okresie od września 1919 roku do stycznia 1920 roku. Jak na swój wiek był

niezwykle opanowany. Kiedy jedno ze stanowisk jego kompanii karabinów maszynowych pozostawało nieobsadzone wskutek strat własnych, osobiście wypełnił lukę, skutecznie rażąc nacierającego nieprzyjaciela[762].

Później przyszły jeszcze zasługi w kolejnych starciach z bolszewikami, w lipcu 1920 roku pod Kijowem i Żytomierzem, w sierpniu – pod Warszawą. Grupa uderzeniowa, do której włączono także oddział Fieldorfa, brała udział w decydującej o losach bitwy warszawskiej kontrofensywie znad Wieprza. Emil dowodził jednym z pododdziałów w składzie zgrupowania, które – na fali sukcesu polskiego uderzenia – ścigało bolszewików po Białystok. Wyparcie nieprzyjaciela z miasta i zmuszenie go do dalszego odwrotu kończyły najważniejszy etap wojny. W tych upalnych sierpniowych dniach ważyły się losy młodej państwowości. Przyszły dowódca Kedywu zapracował sobie na stopień porucznika[763].

Gdy bitewny kurz opadał, Fieldorf nadal był dla wielu podwładnych wzorem. Także przełożeni doceniali jego kunszt wojskowy, ale i zwracali uwagę na estymę, jaką się cieszył w towarzystwie. *Umie żyć z żołnierzami i wychowywać ich w zamiłowaniu dyscypliny i porządku; bardzo lubiany przez swoich podkomendnych. Spokojny, taktowny, pracowity*[764] – napisał o młodym poruczniku jego bezpośredni zwierzchnik kpt. Jan Kruszewski. Ocena, jaką mu wystawił, mówi bardzo wiele – „nadzwyczajny”.

W roku 1921 Fieldorf był już kapitanem. Zamieszkał w Wilnie, wraz z żoną Janiną z domu Kobylińską, którą poślubił w październiku 1919 roku. Z tego związku narodziły się dwie córki – Krystyna i Maria[765].

To była miłość od pierwszego wejrzenia. Przyszli małżonkowie poznali się w jednym z wileńskich teatrów, a los chciał, że to spotkanie zapamiętali do końca życia. *Nagle czuję, że ktoś uporczywie mi się przygląda. Spojrzała, nie przeczuwając, że oto przeznaczenie, oto los już mną zawładnął… Bardzo szczupły, o śniadej twarzy i ogromnych ciemnych oczach podporucznik wyciąga w moją stronę parę narcyzów. A jeden był złamany. Mój Boże, jak to dobrze pamiętam*[766] – wspominała żona generała.

Kapitan Fieldorf głęboko przeżył wydarzenia, do których doszło na ulicach Warszawy w maju 1926 roku. Jako zadeklarowany zwolennik działań Marszałka, pośpieszył mu z pomocą i stanął do walki w randze dowódcy kompanii[767]. Został ranny – odłamek pocisku artyleryjskiego

trafił go w ramię[768]. Jednocześnie bił się z myślami, głęboko przeżywał tragedię, która rozegrała się w stolicy. Kosztowała ona życie ponad 300 osób – nie tylko wojskowych, lecz także cywilów. Kraj stanął wtedy na krawędzi wojny domowej. Fieldorf pozostał jednak wierny żołnierskiej przysiędze.

W kolejnych latach doskonalił swoje umiejętności wojskowe na rozlicznych kursach i szkoleniach. Piął się po szczeblach kariery. Po awansie w 1928 roku na stopień majora otrzymał funkcję dowódcy batalionu w 1 pułku piechoty Legionów. Przełożeni mieli o nim niezmiennie jak najlepsze zdanie. W opinii oficerskiej, sporządzonej przez Inspektora Armii gen. Jana Romera w lutym 1930 roku, „na podstawie gry wojennej przeprowadzonej w czasie inspekcji w Wilnie", w rubryce poświęconej Fieldorfowi napisano: „dowodził bardzo dobrze"[769].

Taktycznie bardzo dobrze wyszkolony. Posiada bardzo dużą pewność siebie, dlatego trochę lekceważąco traktuje powierzone zadania. W decyzji śmiały. Odznacza się dużą inteligencją[770] – napisał w krótkiej opinii z 1934 roku inspektor gen. Daniel Konarzewski. Ogólna ocena: „bardzo dobra". Fieldorf był już wtedy podpułkownikiem.

Nieco wcześniej, w latach 1931–1932, Emil przebywał we Francji, gdzie pełnił funkcję komendanta Zachodniego Okręgu Strzeleckiego. Wysłany tam przez Sztab Generalny Wojska Polskiego, otrzymał specjalną, tajną misję w związku z niebezpieczeństwem wybuchu nowej wojny. Fieldorf, cieszący się wówczas opinią świetnego organizatora i instruktora, prowadził zajęcia z przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego; szkolił swych podwładnych z zakresu dywersji, wywiadu i propagandy[771].

Prywatnie kochający sport i wszelką aktywność fizyczną, a przy tym doceniający wagę spokoju – zapalony wędkarz i filatelista. Był typem majsterkowicza. Przejawiał szczególne zdolności, jeśli chodzi o różnego rodzaju prace naprawcze, a jednocześnie poświęcał się kulturze wysokiej. Godzinami potrafił słuchać muzyki poważnej, co więcej, w czasie służby wojskowej sprawował nawet nadzór nad orkiestrą pułkową[772]!

Lata mijały, a wraz z nimi pojawiały się kolejne wyróżnienia. W 1935 roku Fieldorf został oddelegowany do samodzielnego batalionu „Troki", wchodzącego w skład pułku „Wilno" Korpusu Ochrony Pograniczna. Proponowano mu objęcie Brygady KOP „Czortków", ale oficer nie

zamierzał przenosić się z ukochanego miasta. Zrezygnował z awansu i rozpoczął służbę w podwileńskich Trokach. Później był także zastępcą dowódcy pułku. W 1937 roku za służbę na granicy otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski[773].

Kolejny rok wyznaczył Fieldorfowi nowe zadania. Jako świeżo upieczony dowódca 51 Pułku Strzelców Kresowych przeniósł się do Brzeżan niedaleko Tarnopola, rodzinnego miasta marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Z dumą służył w oddziale, którego patronem był słynny XIX-wieczny bojownik o wolność, bohater Włoch, a zarazem przyjaciel Polski (powstaniec styczniowy) – Giuseppe Garibaldi[774]. Właśnie w tym urokliwym miasteczku zastała go wieść o niemieckiej agresji na Polskę 1 września 1939 roku.

Robi się strasznie. Emil dopiero 3 września otrzymuje rozkaz wymarszu. Odprowadzam go na dworzec. Emil zdenerwowany, boi się o nas. Zostawia przecież nas same, tak daleko od swoich, w mieście, gdzie lada chwila mogą wpaść Ukraińcy, a policja też opuszcza miasto. Emil błaga, abym starała się niezwłocznie wyjechać do Krakowa, do jego rodziny. Uspokajam go, że dam sobie radę, żeby się nie martwił, uśmiecham się. Ale jak pociąg ruszył nie mogliśmy rozłączyć rąk. I tak biegłam razem z wagonem, aż się peron skończył[775] – zapamiętała żona Janina.

Podpułkownik wraz ze swoim oddziałem, włączonym do 12 Dywizji Piechoty w składzie Armii „Prusy”, walczył niedaleko Iłży. W nocy z 8 na 9 września polskie siły rozpoczęły odwrót. – *Przebijać się z bronią, nie ma niewoli*[776] – brzmiał ostatni rozkaz ppłk. Fieldorfa. Pozostała przy nim zaledwie garstka ludzi. Inni, w niewielkich grupach, mieli próbować przedostać się na wschodni brzeg Wisły i tam ponownie przeorganizować siły.

Poleciłem ludności cywilnej skierowanie do mnie przekraczających Wisłę oficerów i szeregowców. Zgłaszającym się (przeważnie bez broni) poleciłem zaopatrywać się w broń i amunicję, celem zorganizowania oddziału, względnie oddziałów dywersyjnych[777] – napisał Emil w relacji z lutego 1940 roku, złożonej już po przedostaniu się do Francji. Mimo beznadziejnej sytuacji, w czasie działań na froncie – jak ocenił pułkowy kapelan ks. Franciszek Żelechowski – Fieldorf w szczególny sposób wyróżniał się zimną krwią.

W końcu września dowódca rozbitego pułku, uchodząc przez Jarosław, przedostał się do Krakowa. Miał na sobie cywilne ubranie, dzięki czemu uniknął aresztowania. Komuniści będą później powielali pogląd, jakoby Fieldorf opuścił swych żołnierzy, aby ratować własne życie. Był to jednak osąd zupełnie absurdalny. Ci, którzy znali tego wspaniałego oficera, dobrze wiedzieli, że nigdy nie zostawiłby swych podkomendnych. Wielokrotnie razem z nimi dzielił troski i niedole, doskonale rozumiał prostego żołnierza. Relacja żony Janiny tylko to potwierdza: *Był kochany przez podoficerów i żołnierzy, bo nie potrafił nigdy przejmować się zbytnio guzikami, czy źle zapiętym płaszczem albo niedokładnie oczyszczonym butem. Uważał, że ważniejsza jest postawa żołnierza, jego uświadomienie*[778].

Przyszły dowódca Kedywu szybko opuścił rodzinne miasto z zamiarem przedostania się do Francji, gdzie formowano właśnie emigracyjny rząd RP. Tysiące żołnierzy, zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza gen. Rydza-Śmigłego z 17 września, kierowały się ku granicy z Węgrami i Rumunią. Z nadzieją, że przydadzą się jeszcze ojczyźnie. Na to liczył też Fieldorf, który w trzeciej dekadzie października, wraz z dwoma towarzyszami – mjr. Sylwinem Łypkiem i mjr. Marcinem Rotterem – po krótkim pobycie w Zakopanem wyruszył w drogę na Zachód[779].

Nie obyło się jednak bez trudności. Uciekinierzy zostali zatrzymani na granicy słowacko-węgierskiej, a następnie osadzeni w obozie internowania w Pelsöc, już na terenie Węgier[780]. Dzięki nawiązaniu kontaktu z emisariuszami, także zmierzającymi do Francji, udało się szybko uzyskać powołania do formującej się tam polskiej armii. Po wyjściu na wolność Fieldorf skierował się do Budapesztu, skąd pojechał do Paryża. W lutym 1940 roku podpułkownik znalazł się wreszcie u celu[781].

Tam, po pozytywnej weryfikacji w ośrodku dla polskich wojskowych, skierowano go do Coëtquidan, gdzie przeszkolił się z wiedzy sztabowej. Po ukończeniu stosownego kursu, w maju 1940 roku, został sztabowcem w Wojskowym Biurze dla Spraw Kraju przy Komendzie Głównej ZWZ, dowodzonej przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego. W tym czasie awansował na pułkownika[782].

Widział się w roli konspiratora w okupowanej Polsce. Nie każdy podejmował wtedy tak wielkie ryzyko i apelował o przerzucenie do opanowanej przez Niemców ojczyzny. Fieldorf sam wyszedł z taką propozycją. Chciał jak najszybciej zacząć aktywnie działać na rzecz

zniewolonego kraju. Efekt? Niedługo ponownie był w Krakowie. Jako pierwszy emisariusz Naczelnego Wodza i rządu londyńskiego, oficjalnie – Emil Wielowiejski, pseudonimy „Sylwester Maj" i „Sylwester Lutyk"[783] – rozpoczął w drugiej połowie lipca 1940 roku niebezpieczną i wyczerpującą podróż.

Z Liverpoolu wypłynął statkiem, po czym przesiadł się do samolotu. Trasa wiodła przez południe i północ Afryki, dalej Bliski Wschód (odwiedził m.in. Ziemię Świętą, gdzie kupił pamiątki) oraz Bałkany. Szczególne wrażenie wywarła na nim potęga Nilu, którego nurt obserwował z wysokości lotu ptaka (stąd późniejszy pseudonim – „Nil"). Drogę przez Turcję, Grecję, Jugosławię i Węgry pokonał lądem. Dalej poprowadzili go kurierzy. Wszystko zakończyło się szczęśliwie – po 51 dniach znów był na polskiej ziemi[784].

Przybywał z określoną misją, ale sprawą honoru było dla niego odszukanie najpierw zakopanego we wrześniu 1939 roku sztandaru 51 pułku piechoty Strzelców Kresowych[785]. To wiele mówiło o człowieku, na wskroś ukształtowanym przez wojskowe ideały, zawsze wiernym życiowym priorytetom. Później, pełniąc znaczące funkcje w AK, będzie cyklicznie odwiedzał rodzinny Kraków. Także po to, aby zmieniać miejsce ukrycia pułkowego sztandaru.

Po krótkim pobycie w stolicy Generalnego Gubernatorstwa przedostał się do Warszawy. Była pierwsza dekada września 1941 roku. Szybko otrzymał przydział do ZWZ, po czym rozjechał się po kraju.

Zanim objął szefostwo Kedywu, w zimie 1941 roku przyjechał do Wilna. *Mieszkałyśmy wtedy w Kolonii Kolejowej, koło Wilna. Wpadł niespodzianie, a ja i córki oszalałyśmy z radości. Jest, żyje, a z drugiej strony truchlałyśmy, że Wilno jest jak najbardziej niebezpieczne dla niego. Za wiele osób go znało. Mógł być w każdej chwili rozpoznany, wydany. Jakoś mu się udało i szczęśliwie wrócił do Warszawy. Był pogodny i dobrej myśli. Po raz drugi odwiedził Wilno w 1943 r., kiedy byłam aresztowana i wsadzona z początku na Gestapo na Ofiarnej, a potem w więzieniu na Łukiszkach. I znowu szczęśliwie uniknął niebezpieczeństwa, przedostał się z powrotem do Warszawy*[786].

Fieldorf pozostawał nieuchwytny, często zmieniając miejsca pobytu. Pełnił wówczas różne, ale zawsze ważne funkcje. Początkowo jako oficer do zadań specjalnych komendanta głównego, potem inspektor Komendy

Głównej ZWZ na obszar krakowsko-śląski, a następnie, po przekształceniu ZWZ w Armię Krajową w lutym 1942 roku, także komendant Obszaru II Białystok AK. Cały czas pozostał do dyspozycji zwierzchnika – gen. Sosnkowskiego[787].

Dowództwo podziemnych sił zbrojnych musiało całkowicie ufać Fieldorfowi, powierzając mu odpowiedzialne stanowiska w Komendzie Głównej AK. Zawsze kompetentny, powszechnie szanowany, ze wspaniałą żołnierską kartą, stał się z czasem jedną z najbardziej wpływowych postaci polskiej konspiracji wojskowej.

Jesienią 1942 roku komendant główny AK gen. Grot-Rowecki postawił przez „Nilem", jak nazywano odtąd Fieldorfa (znanego wcześniej jako „Weller" i „Jordan"), zadanie specjalne. Takim niewątpliwie było zorganizowanie Kierownictwa Dywersji KG AK, w skrócie – Kedywu. To właśnie w tej strukturze, w gronie ściśle zakonspirowanych osób, podejmowano wszystkie najważniejsze decyzje dotyczące bieżącej walki z okupantem, działań sabotażowych oraz dywersyjnych. Początek funkcjonowania tego nowego pionu organizacyjnego wyznacza data 22 stycznia 1943 roku – tego dnia „Grot" rozkazał „uporządkowanie odcinka walki czynnej"[788].

Zadania zbrojnego ramienia AK – tak bowiem niekiedy nazywa się Kedyw – obejmowały, jak to określał komendant AK w swym rozkazie, m.in. *nękanie przeciwnika i zadawanie mu coraz mocniejszych ciosów przez akcję dywersyjną i sabotażową oraz stosowanie już w chwili obecnej wobec okupanta odwetu za akty gwałtu w stosunku do ludności polskiej*[789].

Polacy żyjący pod okupacją, słyszący od tej pory o spektakularnych akcjach polskiego podziemia wymierzonych w Niemców, mogli być pewni, że stał za nimi „Nil". Był mózgiem dywersji, członkiem Kierownictwa Walki Podziemnej (KWP). Doprowadził do znacznego rozwinięcia struktur pionu walki podziemnej, włączając do Kedywu takie tajne podmioty, jak: Organizacja „Wachlarz", Związek Odwetu, Oddział Specjalnych Akcji „Osa"/„Kosa" czy Grupy Szturmowe (GS) Szarych Szeregów. Opierając się na nich, tworzono tzw. oddziały dyspozycyjne, czyli podstawowy element organizacyjny Kedywu[790].

Kedyw trzymał część swych oddziałów w stałym pogotowiu bojowym. Po każdej akcji rozpraszały się one i znikały. Do ponownego zmobilizowania ich do następnego celu potrzeba było trzech do pięciu godzin. Plan akcji

dywersyjnej i sabotażu, a także ogólnego oporu w całym kraju opracowywał w ogólnych zarysach specjalny sztab[791] – pisał będący w nim centralną postacią gen. Tadeusz Bór-Komorowski. Plany dotyczące walki bieżącej uzgadniano z szefem Biura Informacji i Propagandy, a także z przedstawicielami szefostwa sztabu oraz Delegata Rządu, odpowiadającego za walkę cywilną. Jeden z decydujących głosów należał oczywiście do Fieldorfa[792].

„Nil" miał pod rozkazami wielkie nazwiska ruchu oporu, postacie-symbole niepodległościowego czynu zbrojnego. Tadeusz Zawadzki, Jan Bytnar i Aleksy Dawidowski – legendarni harcerze-szturmowcy – zyskali nieśmiertelność dzięki literackiej opowieści Aleksandra Kamińskiego. Wszyscy byli podwładnymi Fieldorfa. Do głośnej akcji pod Arsenałem z 26 marca 1943 roku nie doszłoby, gdyby nie rozkaz „góry". Nie byłoby zamachu na gen. Franza Kutscherę, osławionego „kata Warszawy", gdyby nie plan, który musiał zaaprobować „Nil"[793]. Łącznie Kedyw pod jego rozkazami przeprowadził niemal 1200 akcji sabotażowo-dywersyjnych. Wymierzonych bezpośrednio w wysokich przedstawicieli okupacyjnej władzy, niemiecki przemysł czy komunikację, a także szmalcowników i innej maści zdrajców[794].

Kiedy 1 lutego 1944 roku w Alejach Ujazdowskich strzelano do znienawidzonego szefa SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie – jak się okazało – wyjątkowo celnie, komendant Kedywu powoli kończył służbę na tym stanowisku. Od marca jego obowiązki przejął ppłk. Jan Mazurkiewicz „Radosław", jednak na krótko. Pod koniec czerwca komendant AK rozwiązał Kedyw, którego zadania przejęły poszczególne piony terenowe (okręgi)[795].

Tymczasem Fieldorf otrzymał inną, niewiarygodnie ważną misję – tym razem chodziło o przygotowanie się do skutecznych działań w nowej rzeczywistości. Wszystko wskazywało na to, że zostanie ona zdominowana przez Sowietów. Już zresztą na przełomie 1943 i 1944 roku całkowicie słusznie zakładano, że Stalin będzie za wszelką cenę dążył do podporządkowania sobie terenów nad Wisłą.

Najprawdopodobniej wtedy właśnie, tj. pod koniec 1943 roku, Naczelny Wódz odbył z „Nilem" stosowną rozmowę w sprawie założeń przyszłej walki konspiracyjnej. Zadanie było niezwykle trudne. Przez kolejne miesiące, działając w ściśle zakonspirowanym otoczeniu, Fieldorf pracował

z polecenia Komendy Głównej AK nad stworzeniem nowej tajnej organizacji o kryptonimie „NIE” (skrót od „niepodległość”). Po odejściu z Kedywu Fieldorf zintensyfikował swoje działania – sytuacja była nagląca, wojska sowieckie znajdowały się już na przedwojennym obszarze Polski[796].

Z założenia „NIE” miała być elitarnym tworem niezwiązanym z AK, swoistą „konspiracją w konspiracji”. Organizację podzielono na dwa obszary: Lwowski z ppłk. Feliksem Jansonem „Carmenem” na czele i Północno-Wschodni (Wileńszczyzna), którego komendantem został płk Lubosław Krzeszkowski „Ludwik”.

Celem „NIE”, w obliczu zbliżającej się akcji „Burza” i dojrzewającego planu wywołania antyniemieckiego powstania, było kontynuowanie walki o pełne wyzwolenie w warunkach postępującej sowietyzacji kraju. W tym też kontekście przygotowywany antyniemiecki zryw stanowił dla ściśle utajnionej organizacji niebezpieczeństwo. Angażował znaczne siły w, jak się później okazało, nadspodziewanie długą, wyniszczającą i skazaną na niepowodzenie batalię[797].

Bogu i Polsce przysięgam walkę z wrogami na zwycięstwo lub śmierć. Będę karny i posłuszny przełożonym, będę ofiarny i koleżeński, tajemnic dochowam[798] – powtarzał każdy członek „NIE”, składający przysięgę na wierność. Duch narodu, który zobowiązywano się utrzymać, miał być motorem działań zbliżającym do realizacji upragnionego, choć długofalowego celu.

Powołanie do życia organizacji, która w swym statucie zakładała wywalczenie niepodległości Polski „wszystkimi dostępnymi środkami i metodami”, choć miała działać w wyjątkowo trudnych okolicznościach politycznych, wskazuje zarówno na dalekowzroczność władz AK, jak i dobre rozeznanie bieżącej sytuacji. Założenie, że z chwilą zakończenia działań zbrojnych w Europie Polska odzyska suwerenność, nie było wśród czołowych postaci konspiracji popularne. Brakowało podstaw, aby się łudzić. Na własnej skórze przekonano się o tym w trakcie powstania warszawskiego. Perspektywa dalszego oporu, mimo jego „długiego trwania”, wydawała się jednak nieuchronna.

Fieldorf odpowiadał przede wszystkim za rozbudowę struktur terenowych „NIE”, te zaś planował odtworzyć na podstawie działalności tzw. ognisk – pierwszego (naczelnego), drugiego (obszarowego) i trzeciego

(rejonowego) stopnia. Problemów było mnóstwo, ale głównym wydawał się niedostatek odpowiednich, zaufanych konspiratorów. „Nil” stał na stanowisku, że w organizacji powinni działać głównie cywile, co zminimalizowałoby ryzyko dekonspiracji[799].

W czasie kiedy stolica stanęła do nierównej walki z Niemcami, Kedyw znajdował się już w strukturze KG AK, włączony tam w czerwcu 1944 roku (mimo wcześniejszych sprzeciwów „Nila”) przez gen. Bora-Komorowskiego. Fieldorf, ściśle zakonspirowany, nie wziął udziału w bezpośrednim boju o Warszawę. Przedostał się jednak do objętego walkami Śródmieścia, gdzie dołączył do sztabu ewakuowanej ze Starego Miasta Komendy Głównej AK. Kilka dni przed kapitulacją otrzymał od gen. Okulickiego awans generalski. Później wydostał się ze zrujnowanego miasta wraz z ludnością cywilną[800].

Świeżo upieczony generał momentalnie podjął wysiłek na rzecz odbudowy zerwanych w czasie „Burzy”, w szczególności w wyniku nieudanego powstania, siatek terenowych. Jednym z zamierzeń było też wytyczenie nowego kurierskiego szlaku na Zachód. „Nil” musiał jednak działać od podstaw, gdyż do niemieckiej niewoli dostało się wielu jego współpracowników, zaprzysiężonych wcześniej w „NIE”.

Działał zdecydowanie, ale ostrożnie – tego wymagał podstawowy kodeks konspiracji. Zamieszkał w podwarszawskim Milanówku, aby zminimalizować ryzyko wpadki. Tam, od jesieni 1944 roku już jako bezpośredni zastępca „Niedźwiadka”, intensywnie pracował na rzecz antysowieckiej organizacji[801]. Z dumą mógł nosić przyznany mu niedawno Złoty Krzyż Virtuti Militari – w uznaniu całokształtu zasług człowieka całkowicie oddanego pracy na rzecz Polski.

Kto jak kto, ale były dowódca Kedywu doskonale zdawał sobie sprawę z narażenia „NIE” na sowiecką inwigilację, mimo jej ściśle tajnego charakteru[802]. Nie wiedział jednak, że od kilku miesięcy, co najmniej od czerwca 1944 roku, do organizacji przenikali agenci. Jednym z nich był bliski współpracownik Fieldorfa, komendant Krzeszkowski[803].

Kolejne zagrożenie stanowił stały kontakt z dowództwem AK. Jak wiadomo, „NIE” miała funkcjonować niezależnie od tej struktury wojskowej, była bowiem całkowicie ukierunkowana na zwalczanie wpływów sowieckich i dalekosiężny opór w nieuniknionych powojennych realiach. W praktyce jednak nie było łatwo oddzielić obu płaszczyzn

konspiracji. Instytucjonalizacja sprzeciwu wobec dominacji Związku Sowieckiego stała się faktem, ale działania polskich komunistów, wspierane z całych sił przez ich moskiewskich mocodawców, stopniowo burzyły podstawy istnienia Polskiego Państwa Podziemnego.

Z uwagi na bezpieczeństwo zachowujemy w ścisłej tajemnicy szczegóły organizacji i wytyczne, i niepożądana jest korespondencja na ten temat. Wydaje nam się, że nie powinniśmy się obciążać odpowiedzialnością na rynku międzynarodowym za robotę przeciw Sowietom[804] – informował jeszcze 19 grudnia w depeszy do rządu londyńskiego komendant główny AK.

Dokładnie miesiąc później, 19 stycznia 1945 roku, podziemna siła zbrojna, którą dowodził Okulicki, przynajmniej formalnie przestała istnieć. Dwa dni wcześniej żołnierze 1 AWP, ramię w ramię z Armią Czerwoną, wkroczyli do Warszawy. Dzień później oswobodzono Kraków. Z każdą godziną Sowieci powiększali swoje wpływy.

W rozkazie rozwiązującym AK „Niedźwiadek" wspominał o dalszym działaniu w imię jedynej słusznej sprawy, zawierając między wierszami sugestię o kontynuowaniu oporu. Zbliżające się wielkimi krokami zwycięstwo sowieckie w wojnie – jak przekonywał – w żadnym wypadku nie kończyło rywalizacji o Polskę. Dlatego tak wielkie nadzieje wiązano z powstaniem nowej kadrowej organizacji wojskowej, która podtrzymałaby w narodzie ducha polskości.

Odgrywający w niej główną rolę Fieldorf głęboko wierzył w sens antysowieckiego oporu. Niestety bolesna rzeczywistość szybko sprowadziła go na ziemię. Organizowanie skutecznej siatki terenowej na obszarze kontrolowanym przez przybyłego ze Wschodu wroga było zadaniem z gatunku niemożliwych. Wiarę w powodzenie i trwałość struktur tzw. drugiej konspiracji trzeba było skonfrontować z wyjątkowo trudnymi realiami, z jakimi się zetknięto. A te z wielu względów nie pozwalały na skuteczne przeniesienie konspiracji z AK na „NIE"[805].

Wydarzenia z marca 1945 roku nie pozostawiły złudzeń co do zamiarów komunistów, a tym samym całkowicie sparaliżowały działalność z trudem organizowanej tajnej siatki. Fieldorf, ukrywający się od dłuższego czasu jako Walenty Gdanicki[806], miał niebawem odbyć ważną rozmowę z Okulickim (w literaturze przedmiotu można spotkać informację o sporze kompetencyjnym między obydwoma generałami – być może właśnie

dlatego „Niedźwiadkowi” tak zależało na uczynieniu „Nila” swoim zastępcą, aby go sobie podporządkować)[807], ale nieszczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że do spotkania zaplanowanego w Milanówku nie doszło. 7 marca enkawudziści zupełnie przypadkowo aresztowali nieujawnionego „Nila”. Powodem było znalezienie w jego domu niewielkiej kwoty amerykańskich dolarów – stąd oskarżenie o handel obcą walutą – a także zapasów kawy i papierosów.

Nie dysponując informacjami dotyczącymi prawdziwych personaliów zatrzymanego[808], podejrzanego o kontakty z Zachodem „Gdanickiego”, z zawodu kolejarza, przewieziono na podwarszawskie Włochy. Krótko przebywał tam w siedzibie NKWD, po czym trafił do obozu w Rembertowie. Stamtąd – 26 marca – zesłano go w głąb Związku Sowieckiego[809].

Istniała nadzieja odbicia więźnia, przygotowania trwały jednak zbyt długo. Nie przewidziano, że „Nil” trafi na nieludzką ziemię już niespełna trzy tygodnie po ujęciu. Inna sprawa, że gdyby Sowieci wiedzieli, że mają do czynienia nie z anonimowym kolejarzem, a z jedną z najważniejszych osób polskiego podziemia niepodległościowego, z pewnością szybko postawiliby aresztowanego przed sądem. Jego los byłby przypieczętowany jeszcze przed końcem II wojny światowej.

Aresztowanie obu generałów w zasadzie przesądziło sprawę istnienia „NIE”, uruchamiając całą lawinę niepomyślnych zdarzeń, wpisujących się w nurt działań komunistów zmierzających do całkowitego zdławienia polskiego podziemia[810]. Jako jeden z najbardziej jaskrawych przykładów tych działań należy traktować podstępne zatrzymanie czołowych postaci polskiej konspiracji, zaproszonych wcześniej za „rozmowy” z sowieckim przedstawicielstwem wojskowym. Nieprzyjacielowi dał się zwieść także Okulicki, który przybył do Pruszkowa w dobrej wierze, ale jako wolny człowiek już go nie opuścił. Wszystkich ujętych przetransportowano następnie drogą lotniczą do Moskwy. Tam sądzono ich w pokazowym procesie politycznym, przeprowadzonym w dniach 17–21 czerwca 1945 roku.

Gdy przywódcy Polski Podziemnej próbowali odpowiadać na absurdalne pytania i bronić się przed wymyślonymi zarzutami sowieckich prokuratorów, „NIE” nie istniała już od półtora miesiąca. Po aresztowaniu generałów Okulickiego i Fieldorfa kierownictwo antysowieckiej organizacji

na krótko objął co prawda płk Antoni Sanojca, ale już 7 maja 1945 roku, zresztą na jego apel, Naczelny Wódz gen. Anders rozwiązał „NIE”. Ostatni komendant – płk Sanojca – będzie odtąd współtworzył wraz z płk. Janem Rzepeckim Zrzeszenie WiN (powołane do życia na początku września). Obaj wpadną w sidła UB w listopadzie 1945 roku[811].

Tymczasem „Niedźwiadek” miał zostać niebawem skazany na najcięższą z kar i resztę życia spędzić w więzieniu[812], jego prawa ręka – „Nil”, wobec którego wielokrotnie powtarzano wiele poważnych zarzutów na moskiewskiej sali sądowej[813], oficjalnie pozostawał nieuchwytny. W rzeczywistości codziennie walczył o przetrwanie w mroźnej syberyjskiej tajdze, pracując przy wyrębie lasów[814].

NKWD wywiózł „Gdanickiego” na Ural do obwodu swierdłowskiego. Więzień przebywał kolejno w trzech łagrach: Bieriozówka, Stupino i Hudiakow[815]. Katorżniczy wysiłek, którego ustawicznie doświadczał, szybko wymęczył niemłodego już, bo 50-letniego generała. Szczególnie we znaki dawał się przenikliwy chłód, stałymi towarzyszami były pchły, tu i ówdzie szalały epidemie. Jak wiadomo, wyniszczony głodem i ciężką pracą fizyczną organizm jest szczególnie podatny na choroby. Z generałem nie było inaczej. Skrajnie wycieńczony, ze zdiagnozowaną zaawansowaną dystrofią, trafił w listopadzie 1946 roku do jednego ze szpitali, choć panujące w nim nędzne warunki na szpitalne nie wyglądały. Musiał minąć prawie rok, aby „Nil” stanął na nogi[816].

Gdy w październiku 1947 roku Fieldorfowi i innym sybirakom wskazano drogę do wagonu kolejowego, przeważały czarne myśli, świadomość bliskiego końca i podzielenia tragicznego losu tysięcy polskich oficerów z Katynia. Jak się okazało, kończył się właśnie kolejny dramatyczny etap życia generała. Niebawem stanął ponownie na polskiej ziemi. Tam, po przyjeździe na stację Biała Podlaska, choć częściowo odzyskał nadzieję[817].

Zanim jednak zaczął przynajmniej z pozoru nowe życie, musiał wyleczyć się z przewlekłego zapalenia płuc. W tym celu na krótko zatrzymał się u swych warszawskich przyjaciół. Otrzymał wówczas propozycję spotkania z „Radosławem”. Po aresztowaniu Mazurkiewicza przez UB w sierpniu 1945 roku, a następnie szybkim wypuszczeniu go z aresztu, Fieldorf nie miał jednak do niego pełnego zaufania. Co prawda rozważał możliwość ujawnienia się – do czego zresztą wzywał byłych akowców również

następca „Nila” w Kedywie, jako przewodniczący Centralnej Komisji Likwidacyjnej AK[818], ale żaden kompromis z władzą nie wchodził w grę[819]. Dlatego generał grał na zwłokę. Postawa dawnego kompana budziła w nim mieszane uczucia, choć trzeba dodać, że po ponownym zatrzymaniu w lutym 1949 roku Mazurkiewicz nie załamał się w śledztwie. Mimo że był pytany o szczegóły współpracy z „Nilem”[820].

Ukrywający się generał szybko zamienił Warszawę na Kraków, gdzie zatrzymał się u brata Józefa, miejscowego kolejarza. To, czego nie zrobili nieświadomi fałszywych personaliów „Nila” enkawudziści, stało się jednak niebawem udziałem polskich komunistów. Podejrzewali, że poszukiwany od dłuższego czasu były szef Kedywu, a później organizator antysowieckich struktur konspiracji na wschodnich ziemiach polskich, przebywa u rodziny. Dysponowali nawet jej dokładnym krakowskim adresem.

Wzrostu około 175 cm, szczupły, trzyma się prosto lat około 50, twarz pociągła, silny brunet, włosy gęste, zaczesane do góry, cera oliwkowa, oczy ciemne, nos prosty szczupły, usta wąskie, czołowo normalne, zarostu nie nosił, zawsze wygolony, kończyny dolne wysokie, ogólnie przystojny, mówi szybko, ton głosu nie niski, cechuje go żywość i sprężystość ruchów[821] – napisano w liście gończym, wzywając do działań na rzecz ujęcia rzekomo groźnego „przestępcy politycznego” lub, jak również nazywano generała, „komendanta grupy wywiadowczo-terrorystycznej – Kedyw”[822].

Zatrzymanie w Krakowie nie doszło do skutku. W grudniu 1947 roku „Nil”, ustaliwszy miejsce pobytu żony i córek, wyjechał do Łodzi. Tam, w otoczeniu najbliższych, po raz kolejny podreperował zdrowie. Fieldorfowie znowu, po wieloletniej rozłące, byli razem. Nie uniknęli trudnych rozmów. Gdy żona generała namawiała go do wyjazdu na Zachód, ten jednak zdecydowanie mówił o pozostaniu w kraju[823].

Janinę Fieldorf prześladowała jednak nieuchronna, jak się wówczas wydawało, wizja aresztowania męża. *Zdawałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu grozi w kraju, gdzie szaleje bezpieka, a byli AK-owcy są tropieni, aresztowani, przeważnie likwidowani. Błagałam, żeby się starał przedostać za granicę. Nie chciał, choć jak sam twierdził, przejście granicy było dla niego drobnostką. „Moje miejsce w kraju – twierdził – tutaj są moi harcerze, moi ludzie, nikt nie powie, że uciekałem przed niebezpieczeństwem*”. *Wyjeżdżał ciągle do Warszawy, Krakowa, a ja*

truchlałam na każdy odgłos kroków na schodach w nocy, na każdy dzwonek późnym wieczorem[824].

Wiele wskazuje na to, że na przełomie 1947/1948 roku „Nil” zdecydował o swojej przyszłości. Za wszelką cenę chciał pozostać w kraju, a więc prędzej czy później musiał się ujawnić. Bezpieka wiedziała, że przebywa w Polsce, ścigała go przecież listem gończym, w którym znalazły się precyzyjne wiadomości dotyczące przybysza z dalekiego Uralu, a nawet fałszywe nazwisko, które przybrał na potrzeby konspiracji. W jego otoczeniu, jak wspomniano, działali agenci[825].

Generał pamiętał też dawane przez władze obietnice „darowania win”. Postanowił dłużej nie czekać. W lutym 1948 roku stanął w gmachu Rejonowej Komendy Uzupełnień w Łodzi jako Emil August Fieldorf, legenda Polskiego Państwa Podziemnego. Już miesiąc wcześniej odręcznie sporządził obszerny życiorys, w którym uwzględnił ponad 30-letnią służbę wojskową – począwszy od 1912 roku, kiedy wstąpił w szeregi Związku Strzeleckiego. Informacje o dotychczasowej działalności potwierdził w wypełnionym arkuszu ewidencji personalnej.

Wiadomości o aresztowaniach i wywożeniu oficerów AK dyktują mi dalszą konspirację w org. NIE (Niepodległość), gdzie jestem oficerem org. (organizacyjnym – PAP). 8 marca 1945. zostałem aresztowany przez władze sowieckie. Stare, jeszcze z czasów okupacji niem. dokumenty na nazwisko Gdanickiego Walentego, służyły mi przez cały czas pobytu w Rosji, dokąd wywieziony zostałem na roboty leśne i ziemne, a następnie przywieziony z powrotem do kraju 27 X 1947 r. Z Rosji wróciłem w stanie całkowitego wyczerpania fizycznego z dystrofią III stopnia i obecnie jeszcze jestem niezdolny do żadnej pracy. Chociaż stan zdrowia znacznie się już mi poprawił, kuracja może potrwać 2–3 miesięcy[826].

Niebawem „Nil” wystąpił z prośbą o przeniesienie w stan spoczynku. Zamiast tego, wraz z rodziną, został objęty natychmiastową inwigilacją komunistycznych służb[827]. Świadomość trudu własnego położenia i zmian zachodzących w kraju nie wróżyły niczego dobrego. Do tego dochodziło uciążliwe „życie na podsłuchu”. Córka generała nawet po latach doskonale pamiętała stałą obecność funkcjonariuszy UB na klatce schodowej kamienicy, w której mieszkali Fieldorfowie! Co z tego, że „Nil” nie prowadził już żadnej tajnej działalności…[828]

9 listopada 1950 roku byłby kolejnym zwyczajnym dniem w życiu generała. Byłby, gdyby nie zgłosił się on do siedziby łódzkiej RKU ponownie, wezwany w związku ze staraniami o przyznanie emerytury wojskowej. Do domu już nie wrócił. Feralnego dnia funkcjonariusze UB czekali na „Nila" tuż przy wyjściu z urzędu, zlokalizowanego przy ul. Piotrkowskiej[829].

Nagle – wspominała Janina Fieldorf – *podeszło do niego dwóch drabów, podjechało auto, kazali mu wsiadać, Emil zaczął krzyczeć do ludzi, żeby mnie zawiadomili, podawał mój adres…*[830] Komuniści nie patyczkowali się z zasłużonym generałem, którego dotychczasowe życie było wręcz kwintesencją XX-wiecznej walki o wolność i niepodległość. Wepchnięty do samochodu, miał szybko przekonać się, że nie ma co liczyć na normalną egzystencję.

Tego dnia generałowa na próżno czekała na męża. Jak relacjonowała po latach, UB nie zwlekał i jeszcze w nocy „odwiedził" ją w mieszkaniu. *[…] przeprowadzili rewizję, siedzieli przez cały tydzień. Nic podejrzanego nie znaleźli, a skoro tylko opuścili nasz dom, niezwłocznie pojechałam do Warszawy*[831].

Zatrzymanego przewieziono do aresztu MBP na ul. Koszykową. Była to standardowa procedura – dokonywano rewizji osobistych i wstępnych przesłuchań. Więźniów politycznych starano się tam złamać (czyli wymusić zadowalające zeznania, najlepiej przyznanie się do winy oraz obciążenie nią współpracowników) bądź też wysondować możliwość podjęcia ewentualnej współpracy[832]. Wielogodzinne spotkania z oficerami śledczymi kończyły się przeważnie ciężkim pobiciem. Nie wszyscy wytrzymywali takie tortury, na co liczyli zresztą oprawcy. W przypadku „Nila" srogo się jednak zawiedli.

Aresztowany generał musiał jednak spodziewać się najgorszego. Słowo „Rakowiecka" mówiło wszystko. Tam został przetransportowany z ul. Koszykowej po miesiącu. Po spotkaniu z płk. Różańskim, które z pewnością utkwiło mu w pamięci, trafił do więziennej celi. Tam oczekiwał końca – jako groźny dla państwa przestępca. W nakazie tymczasowego aresztowania, wydanym natychmiastowo przez prokurator ppłk. Helenę Wolińską, napisano, że generał dążył do „obalenia ustroju państwa". Takie oskarżenie było równoznaczne z wyrokiem śmierci…

Tymczasem żona Fieldorfa mogła co najwyżej snuć domysły na temat losu męża. Próbowała uzyskać jakiekolwiek informacje nawet w więzieniu, ale usłyszała, że nikt o nazwisku Fieldorf tam nie trafił. O wyjątkowej perfidii komunistów niech świadczy to, że jeszcze kilka tygodni po aresztowaniu generała Państwowy Zarząd Emerytalny rozsyłał pod jego łódzki adres zamieszkania wezwania do dostarczenia do RKU papierów, poświadczających jego służbę wojskową. UB zręcznie wykorzystał fakt, że Fieldorf starał się udokumentować swoją przeszłość w celu uzyskania od państwa świadczeń finansowych.

Dopiero w drugiej połowie grudnia jego małżonka dowiedziała się całej prawdy. Władze więzienia wyraziły też zgodę na widzenie. Janina Fieldorf zapamiętała te chwile na długo: *Z bijącym sercem stałam przy kratce, jak to w więzieniu. Ukazał się Emil ze strażnikiem. Bał się widocznie, że się załamię, że zacznę płakać i od razu sztucznie ożywionym tonem zaczął pytać o dzieci, o rodzinę, o ojca. Dziwił się, że go znalazłam. Trzymałam się, nie płakałam. Dopiero jak wyszłam za bramę, zalałam się łzami*[833].

Generałowa jeszcze wielokrotnie przychodziła do aresztu, często jednak na próżno, gdyż władze więzienia odmawiały jej przepustki. Regularnie wpłacała też pieniądze – aż do momentu, gdy mąż poinformował ją, że nawet dysponując całą przesłaną gotówką, nie jest w stanie nic kupić[834]. Legendarny dowódca Kedywu jeszcze nie raz stawał przed oprawcami z UB, którzy próbowali wymusić określone zeznania. Zaproponowali „Nilowi” nawet współpracę, ale ten kategorycznie odmówił. – *Będziecie wisieć*[835] – miał usłyszeć w odpowiedzi.

Śledztwo trwało od 20 grudnia 1950 roku do 31 lipca 1951 roku. *Do winy się nie przyznaję i wyjaśniam, że jako dowódca, a właściwie jako komendant Kedywu KG AK nie wydawałem rozkazu podwładnym sobie oddziałom likwidowania względnie rozpracowywania oddziałów partyzanckich GL, AL albo też partyzantki radzieckiej. Zajęty byłem wyłącznie walką z Niemcami i ludźmi współpracującymi z okupantem*[836] – oznajmił kategorycznie generał w trakcie ostatniego przesłuchania. Nawet siedem miesięcy nie wystarczyło komunistom, aby złamać aresztowanego.

Los Fieldorfa był już jednak przesądzony w chwili aresztowania, a wszystko, co działo się później, tylko potwierdzało utrwalony już schemat postępowania komunistycznego „wymiaru sprawiedliwości”. Zgodnie z nim ppor. Kazimierz Górski[837], oficer śledczy MBP, sporządził akt

oskarżenia, w którym powtórzono już wcześniej formułowany pod adresem „Nila” zarzut działalności bandycko-terrorystycznej, a ściślej likwidowania lokalnych działaczy komunistycznych oraz partyzantów sowieckich. Posądzano go też o „dokonywanie zabójstw spośród ludności cywilnej i jeńców wojennych”. Przy okazji wypomniano polskiemu bohaterowi rzekome ideologiczne zepsucie, czego jaskrawym przejawem była m.in. walka z… bolszewizmem[838].

Wrogość swą do ruchu lewicowego i Związku Radzieckiego Fieldorf August wykazał już w latach 1920, podczas których, będąc w stopniu porucznika jako dowódca kompanii 1. Pułku Legionów Polskich, brał czynny udział w marszu Piłsudskiego na ZSRR i za szczególne wyróżnienie się w walkach został czterokrotnie wyróżniony Krzyżem Walecznych oraz awansował do stopnia kapitana[839] – uzasadniano w akcie oskarżenia.

Z osobami o takim życiorysie komuniści rozprawiali się bez skrupułów: wyniszczające śledztwo, szybki, wyreżyserowany proces na podstawie wyssanych z palca oskarżeń, wyrok skazujący i egzekucja.

Generał „Nil” stanął przed Sądem Wojewódzkim dla m.st. Warszawy 16 kwietnia 1952 roku. Decydująca rozprawa była niejawna, a skład sędziowski – przewodnicząca Maria Gurowska oraz ławnicy Bolesław Malinowski i Michał Szymański – doskonale poinstruowany w kwestii finału „widowiska”. Zarzuty pod adresem oskarżonego formułował prokurator Beniamin Wajsblech, który miał już styczność z generałem w czasie przesłuchań. Adwokatem przydzielonym z urzędu był Jerzy Mering[840].

Co prawda Mering wnioskował w imieniu oskarżonego o rewizję wyroku[841], ale nie było wątpliwości, co do motywów jego działania. Gdy przyszło mu poinformować żonę generała o wyroku śmierci, podkreślił, że skazaniec to *człowiek ze stali, który nie okazuje ani skruchy, ani żalu*. – *Szkoda, że nie jest po naszej stronie. My potrzebujemy takich ludzi*[842] – wyraził ubolewanie obrońca.

Można się zastanawiać, w jakim stopniu zawarta w tych słowach sugestia miała wywołać naciski żony generała, aby ten w końcu skruszał, a w jakim były to jedynie luźne przemyślenia mecenasa, całkowicie podporządkowanego komunistycznej władzy. Fakt faktem, w czasie mowy obronnej Mering apelował o zmianę kwalifikacji czynu. Czyżby naiwnie wierzył, że ława sędziowska okaże dobrą wolę?

Niezależnie od tego generał nie przyznał się do przestępstw, jakie mu zarzucano. Powtórzył tylko to, co wielokrotnie mówił już w czasie wyczerpujących przesłuchań. W odpowiedzi usłyszał, że ma na rękach *krew wielu ofiar, a nawet, że swoją działalnością „utrudniał wyzwolenie*. Potrzeba było ośmiu godzin rozprawy, aby dojść do takich krzywdzących wniosków. Wszelkie wyjaśnienia podsądnego, który podtrzymywał przekonanie o swojej niewinności, trafiały w pustkę. Przewidziano dla niego najcięższą z kar – śmierć, utratę praw publicznych, obywatelskich i honorowych, a także całkowity przepadek mienia. Wyrok skazujący, ogłoszony przez Gurowską, oparto na treści dekretu Bieruta z 31 sierpnia 1944 roku „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy”[843].

Nic dziwnego, to miał być jeszcze jeden sposób na uczynienie z bohaterów pospolitych zbrodniarzy. Nieprzypadkowo Fieldorfa umieszczono w jednej celi z niemieckim katem Jakobem Sporrenbergiem[844] – zastępcą dowódcy SS i policji w dystrykcie lubelskim, odpowiedzialnym m.in. za masowe zbrodnie na Żydach[845].

Karę śmierci podtrzymał Sąd Najwyższy, który zebrał się 20 października 1952 roku w składzie: Emil Merz, Igor Andrejew i Gustaw Auscaler – wszyscy wykazujący odpowiednią „polityczną świadomość”. Jak stwierdzili, „oskarżony, długoletni oficer sanacyjny, wychowany był w duchu nienawiści do ZSRR”, a jego działania jako szefa Kedywu *spowodowały śmierć bestialsko zamordowanych przeszło 1000 antyfaszystów, walczących z okupantem*[846].

10 stycznia 1953 roku o uchylenie wyroku wnioskował do Rady Państwa kolejny obrońca „Nila”, mec. Mieczysław Maślanko, ale ta, decyzją z 3 lutego, nie skorzystała z przywileju, jaki jej przysługiwał[847]. Interweniować próbowali także najbliżsi skazanego – jego ojciec, żona, córki. Wszyscy usłyszeli odpowiedź, że generał na darowanie kary najzwyczajniej nie zasługuje, bo… dalej *wykazuje wielkie natężenie woli przestępczej*[848]. Rodzina nie mogła pogodzić się z niesprawiedliwym wyrokiem, choć skazaniec w czasie widzenia z żoną wyraźnie zabronił proszenia komunistów o łaskę.

„Nil” padł ofiarą zbrodni sądowej szczególnego rodzaju, którą tak charakteryzuje prof. Adam Strzembosz: *W tych sprawach nie ograniczono się do przesłuchania jednego, dwóch świadków, może zatem się wydawać,*

że jakiś materiał obciążający został sądowi zaprodukowany. A jednak narzuca się z całą oczywistością tendencyjne działanie sądu, wyrażające się w pomijaniu tych wszystkich okoliczności, które uwolniłyby oskarżonego od odpowiedzialności karnej, w szczególności zaś „niezauważenie" tych znamion danego typu przestępstwa, bez których nie można oskarżonemu przypisać jego dokonania, a właśnie brakuje jakichkolwiek materiałów, które pozwalałyby na stwierdzenie, że oskarżony swymi czynami wypełnił owe znamiona[849].

Proces generała nie miał więc nic wspólnego z praworządnością – sentencję wyroku sformułowano tylko na podstawie insynuacji i domniemań, dowody rzekomej winy były bowiem najzwyczajniej zbędne. Nie przesłuchano przy tym m.in. byłych oficerów KG AK, którzy swoimi zeznaniami mogli zaświadczyć o niewinności „Nila". Bezkrytycznie, wybiórczo i nadzwyczaj stronniczo ustosunkowano się natomiast do relacji tych świadków, których dopuszczono przed oblicze sądu. Doprowadzonych na salę prosto z więzień. Jak tłumaczył w 1957 roku były żołnierz AK Władysław Liniarski, zeznania obciążające sądzonego generała składał pod przymusem[850].

W taki oto sposób doprowadzono do skazania wybitnego dowódcy. Uznany za wyjątkowego złoczyńcę, miał być *całkowicie wyeliminowany ze społeczeństwa*[851].

Towarzysze niedoli doceniali hart ducha i niezłomną postawę „Nila". Był załamany, ale nie tym, że niedługo przyjdzie mu zejść z tego świata. Bił się z myślami i pytał w głębi duszy, dlaczego taki los spotkał człowieka całkowicie oddanego „sprawie"? *[…] przemierzał nerwowymi krokami celę od drzwi do okna i od okna do drzwi, kilkaset razy aż do wyczerpania. Spostrzegłem, że potrzeba ujścia nagromadzonej energii była związana z wewnętrznym ukrywanym niepokojem, zostawił przecież na wolności kochającą żonę, wierną towarzyszkę życia, i kochające go dzieci. Nie był to stan wywołany obawą o siebie samego, o wyrok, czy nawet utratę życia. Gnębiły go potwarze, zarzuty druzgocząc*e *jego honor żołnierski i nade wszystko bezsilność*[852] – zapamiętał współwięzień generała Włodzimierz Rzeczycki „Puszkiewicz".

Choć sytuacja była beznadziejna, Fieldorf nie stracił całkowicie pogody ducha. Był zmęczony dwuletnim pobytem w więzieniu, ale nawet w zimnej, ciemnej celi zdarzało mu się żartować. Niekiedy przechadzając się za

kratkami, mówił, że „idzie do kina”. *Myśmy jak jeden pytali: „Co tam grają?”. „Nil” odpowiadał z uśmiechem: „Quo vadis”. Na to my: „Co to znaczy?”. A „Nil”: „Dokąd idziesz”*[853].

Doceniano też generała za życzliwość i opiekuńczość w stosunku do pozostałych. *Szczególnie dla młodych więźniów. I to z przeciwnego obozu, bowiem siedzieli tam też młodzi żołnierze z Ludowego Wojska za najrozmaitsze przewinienia, m.in. dezercję z bronią w ręku, i skazywani byli zwykle na karę śmierci, którą im następnie zamieniano na dożywocie, bądź 15 lat. Generał Fieldorf miał pod swoją opieką kilku takich więźniów, których dożywiał z własnej „wypiski”, bowiem nie mieli oni z nikim kontaktu i żadnej pomocy. Był dla nich dobrotliwy, ojcowski*[854] – wspominał inny z osadzonych, Apoloniusz Zawilski.

„Nil” czekał na śmierć 10 miesięcy. Na piśmie do naczelnika więzienia na Rakowieckiej, Grabickiego, z nakazem wykonania na „Nilu” wyroku śmierci widnieje podpis stalinowskiej prokurator Alicji Graff. Przeżyła skazańca, niczym niepokojona, o 47 lat. Zresztą żaden z oprawców generała nie został pociągnięty do odpowiedzialności[855].

Po raz ostatni Fieldorf widział żonę 2 lutego 1953 roku. *Był smutny, serce mi pękało z bólu i rozpaczy. Wiedział o wyroku. Przyprowadził go jakiś starszy, bardziej ludzki, strażnik. Wprowadził Emila przed kraty, spojrzał na mnie wymownie i odszedł. Po raz pierwszy zostaliśmy sami…*[856]

Od kiedy Janina poznała Emila, jak podkreślała w powojennych relacjach, „los nią zawładnął”. To była miłość od pierwszego wejrzenia, szybko zwieńczona ślubem, zakończona długim małżeńskim pożyciem. 34 lata na dobre i na złe. Dzielenia chwil pięknych, ale i tragicznych, szczęścia oraz trosk. Teraz, przy Rakowieckiej, nie spuszczali z siebie wzroku. Więcej było w tym milczenia niż rozmowy. Trudno się dziwić, generał był wycieńczony. Ale i tak doskonale rozumieli się bez słów.

W czasie tego wyjątkowo krótkiego, ale pamiętnego spotkania, skazaniec w pewnym momencie zapytał: *– Czy wiesz, dlaczego mnie skazali? – Bo odmówiłem współpracy z nimi. Pamiętaj, żebyś nie prosiła ich o łaskę. Zabraniam ci!*[857]. Niedługo później, na wyraźny znak od strażnika, pożegnał się i odszedł. Nawet wtedy, gdy ostatni raz widział ukochaną osobę, nie załamał się.

Minęły trzy tygodnie po ostatnim widzeniu z żoną, był 24 lutego 1953 roku, gdy Fieldorf po raz ostatni wyszedł z celi. Kat nie strzelił w tył głowy

idącego na śmierć, jak było w przypadku pozostałych bohaterów tej książki. Dla „Nila” przygotowano szubienicę…[858]

Do końca zachował godność. Opisuje na to m.in. relacja obecnego przy egzekucji prokuratora Witolda Gatnera, który odczytał skazańcowi wolę komunistycznego sądu. Widok legendy polskiego ruchu oporu, którą od śmierci dzieliły już tylko sekundy, wywarł na nim duże wrażenie. Krótka przemowa prokuratora, stryczek założony na szyję, pytanie o ostatnie słowo… Komuniści triumfowali, a jednak obserwującemu śmierć generała daleko było do zadowolenia. Po prawie 40 latach relacjonował:

Więzień wysłuchał tego [sentencji wyroku – W.K.] *spokojnie, bez komentarzy, a nawet można powiedzieć, że godnie. Zapytałem go jeszcze, czy ma jakieś życzenie. Odpowiedział mi słowami: „Proszę o tym powiadomić rodzinę”. Odpowiedziałem, że rodzina zostanie powiadomiona. Na moje pytanie, czy ma inne życzenia – odpowiedział, że nie. […] W czasie odczytywania dokumentów skazany stał spokojnie, nie był związany, nie miał założonych kajdanków. Zarządziłem wykonanie wyroku. Kat i jego pomocnik przystąpili do wykonania tego wyroku przez powieszenie. Trwało to bardzo krótko. Byłem zaszokowany, ale wydawało mi się, że to trwało moment. Skazany zachowywał się godnie, bez okrzyków, szamotania się i podobnych reakcji*[859].

Ostatnim chwilom generała przyglądali się jeszcze naczelnik Grabicki i lekarz płk dr Maksymilian Kasztelański[860]. Protokół wykonania wyroku śmierci nie wymienia z nazwiska nikogo więcej[861]. Do tego grona wypada dołączyć kata (i pomocnika?). Na dokumencie zabrakło natomiast podpisu księdza – według relacji Gatnera obecności duchownego nie życzył sobie sam skazaniec[862].

Zgon „Nila” stwierdzono o 15.25. Zaraz po egzekucji trwającej kilka minut – jak wynika z zeznań – ciało opuszczono na dół. Następnie przeleżało ono na podłodze jakiś czas, ok. 20 minut. Dopiero wówczas dokonano lekarskich oględzin zwłok[863].

Trudno zupełnie bezkrytycznie podejść do słów stalinowskiego prokuratura, który przyczynił się do śmierci polskiego bohatera. Osoba oprawcy, a także charakter jego zeznań (świadek egzekucji nie pamiętał wielu szczegółów), skłaniają przynajmniej do wzięcia pod uwagę przekazywanej wśród więźniów Mokotowa innej wersji zdarzeń feralnego lutowego dnia. Według niej generała zmuszono do wysłuchania wyroku na

klęczkach. Gdy odmówił, został śmiertelnie pobity[864]. Na szubienicy miały zawisnąć już tylko zwłoki „Nila”. Zgodnie z jeszcze innym przebiegiem zdarzeń, Fieldorf miał zostać znienacka zastrzelony przez strażnika więziennego, niejakiego Poniatowskiego (prawdopodobnie przezwisko) – w momencie gdy szedł na egzekucję[865].

Na próżno „Radosław”, niegdyś zastępca „Nila” w Kedywie, wzywał dawnego przełożonego na świadka w swoim procesie, licząc, że były kompan potwierdzi jego niewinność. Pismo w tej sprawie wysłał z celi przy ul. Rakowieckiej do Wojskowego Sądu Rejonowego dokładnie 5 listopada 1953 roku[866], jedenaście dni przed skazaniem[867]. Było już prawie pół roku po śmierci generała…

Generał „Nil”, siedząc na sali sądowej, gdy był już tylko nadwątlonym odbiciem dawnego, tryskającego energią i pogodą ducha oficera, sam zwrócił się o przesłuchanie w jego sprawie dodatkowych świadków. Jednym z nich miał być właśnie Mazurkiewicz[868]. Ale komuniści nie zgodzili się na przedłużanie procesu. Po co, skoro jego finał był tylko formalnością?

Niewiarygodne zrządzenie losu, a przy tym niebywałe zakłamanie. Córka skazańca, Maria, pytała o ojca w dniu jego egzekucji. W gmachu Prokuratury Generalnej zwyczajnie ją zbyto, mówiąc, że w kwestii Fieldorfa „po staremu”. Tymczasem legendarny dowódca za kilka godzin miał nie żyć[869].

Już po jego śmierci Janina Fieldorf otrzymała ostatni list od męża, napisany 27 stycznia 1953 roku[870]. Skazaniec apelował do żony o pomoc materialną dla ojca – Andrzeja (który zmarł w 1954 roku), prosząc jednocześnie o zaprzestanie wpłacania pieniędzy na swoje „więzienne” konto. Pytał też o wnuczkę Zofię[871].

Z treści korespondencji wynikało, że „Nil” był już pogodzony z losem. *Zmian u mnie nie ma. Gdyby nie to, że się o Was martwię, wszystko byłoby do zniesienia. Przesyłam Wam wszystkim bardzo serdeczne ucałowania i pozdrowienia. Z niecierpliwością oczekuję od Was wiadomości. O mnie się nie martwcie zupełnie ani to ulgi nie przyniesie, ani też pomoże*[872] – pisał osadzony na Rakowieckiej.

Generałową prześladowała myśl, że jej mąż miał szansę żyć. Przecież dwa tygodnie po jego egzekucji, 5 marca 1953 roku, zmarł Stalin! Gdyby jeszcze raz udało się odroczyć rozprawę… Jeszcze długo, chyba wbrew

nadziei, Janina Fieldorf łudziła się, że mąż jakimś cudem uniknął śmierci. A co jeśli ponownie wywieźli go w głąb Związku Sowieckiego? – pytała często samą siebie[873].

To, co działo się kolejnych latach po egzekucji, dowodziło jednak najgorszego scenariusza. *Kiedy byłam w prokuratorze to mnie o tym powiadomiono, że został pozbawiony praw publicznych. W związku z tym nie wydano zwłok rodzinie i nie ujawniono miejsca pochowania. I to tak trwało, myśmy domagali się, chodzili, ale to nie odnosiło żadnego skutku. W 1957 roku umorzono postępowanie z powodu braku dowodów winy, niemniej jednak powiedziano nam, że nie wiadomo, gdzie mój ojciec został pochowany*[874] – relacjonowała córka generała.

I choć rodzinę straconego zwyczajnie zbywano, żona „Nila" wystąpi później do Ministerstwa Obrony Narodowej (kierowanego przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego) o ustalenie miejsca ukrycia zwłok generała.

Niestety, proszę pani, nie da się odnaleźć tak dokładnie miejsca pochowania pani męża. Na pewno został pochowany właśnie na cmentarzu Powązkowskim, ale tam jest kilka mogił zbiorowych i choć minister był skłonny zarządzić ekshumacje, to przeszukanie tych mogił z wątpliwym rezultatem byłoby dla pani ciężkim przeżyciem[875] – usłyszała z ust przedstawiciela MON, niejakiego płk. Olejniczaka, który odwiedził generałową w maju 1972 roku. Jedynym rezultatem wystosowanych przez nią próśb była zgoda władz na ufundowanie symbolicznego nagrobka ku czci męża[876]. Postawiony jeszcze w 1972 roku, znajduje się blisko starego pola grzebalnego na Powązkach Wojskowych[877].

Na pełną rehabilitację legendy Polskiego Państwa Podziemnego trzeba było jeszcze poczekać. Co prawda w 1957 roku przed Sądem Najwyższym w Warszawie toczyło się postępowanie w tej sprawie[878], zakończone umorzeniem procesu karnego „Nila" (4 lipca 1958 roku) w związku z brakiem dowodów jego winy[879], musiały minąć kolejne trzy dekady, aby bohater odzyskał należny mu honor. Jego niewinność potwierdził dopiero prokurator generalny PRL Józef Żyta 7 marca 1989 roku, a materiały, na których oparto wystosowane wobec Fieldorfa oskarżenia, uznano za sfabrykowane[880]. Nie żyła już wtedy ani żona generała – Janina, ani jedna z jego córek – Krystyna. Obie zmarły w 1979 roku.

W 1992 roku Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu wszczęła śledztwo w sprawie mordu sądowego na Fieldorfie.

Zamierzano osądzić stalinowskich prokuratorów, sędziów i ławników, którzy doprowadzili do skazania tego wielkiego patrioty. Jak się okazało, część z nich w chwili śledztwa już nie żyła, inni zmarli w trakcie postępowania. Zarzuty postawiono tylko sędzi Gurowskiej i prokurator Wolińskiej.

Sprawiedliwości jednak nigdy nie stało się zadość. Pierwsza oskarżona zmarła na początku 1998 roku, dwa tygodnie po wyznaczeniu przez sąd terminu pierwszej rozprawy (Gurowska, ze względu na stan zdrowia, nie wzięła w niej udziału). Druga oprawczyni zmarła dziesięć lat później w Wielkiej Brytanii, rok po wydaniu przez warszawski Wojskowy Sąd Rejonowy europejskiego nakazu jej aresztowania[881].

Młodszej z córek generała, niestrudzonej bojowniczce o przywrócenie jego pamięci, nie dane było dożyć procesu oprawców ojca[882]. Zmarła w listopadzie 2010 roku[883], pochowano ją w symbolicznym grobie „Nila" na warszawskich Powązkach Wojskowych[884]. *Nikłe są moje nadzieje na osądzenie winnych morderstwa sądowego na moim Ojcu oraz na ustalenie miejsca zagrzebania Jego ciała. Zagrzebania, bo to przecież nie był pochówek*[885] – mówiła w jednym z wywiadów.

Choć w 2009 roku polskie media obiegła wiadomość, że IPN dysponuje informacjami pozwalającymi na lokalizację grobu generała[886], do tej pory nie udało się zidentyfikować jego szczątków. Wiele okoliczności[887] wskazuje jednak na to, że – tak jak w przypadku innych ofiar więzienia mokotowskiego – zwłoki zostały wywiezione na Łączkę i wrzucone do jednego z uprzednio przygotowanych dołów.

Trochę Skrzetuski, a trochę Kmicic, a znów w innym wymiarze Zawisza. Dziwna to była mieszanina. Brutalny czyn, twarda szkoła, duże wymagania od otoczenia, maksymalna wydajność i produkcyjność, wykorzystanie serca i stała gotowość do świadczeń dla kolegów, przyjaciół i podkomendnych. Cech Kmicica miał w sobie wiele. Wciąż młodzieńczy temperament prowadził go przez życie krokiem niekiedy lekkomyślnym. Z długich, zawsze barwnych wieczornych opowiadań wynikało, że było to życie pełne przygód i wrażeń. Uroki życia doczesnego nie były mu obce. Zdobywał je z Kmicicową fantazją, ale tam gdzie się zaczynała służba, kiedy Pan Walenty dosłownie czy symbolicznie siadał na koń, Kmicic przeobrażał się w Zawiszę[888] – charakteryzował „Nila" współwięzień Jan Hoppe. Ten

barwny opis dużo mówi o jednym z największych polskich bohaterów narodowych.

August Emil Fieldorf jest przykładem człowieka, który całe życie poświęcił walce o niepodległość i suwerenny byt Rzeczypospolitej Polskiej[889] – napisano w okolicznościowej uchwale sejmowej z 2008 roku.

Dziś generał, uhonorowany w 2006 roku pośmiertnie Orderem Orła Białego, jest patronem ulic w całej Polsce. Jakże symboliczne było przemianowanie w czerwcu 1989 roku, w momencie symbolicznych narodzin III Rzeczypospolitej, warszawskiej alei Bieruta na ulicę Fieldorfa[890]. Imię zasłużonego generała nosi też krakowskie Muzeum Armii Krajowej. Trudno o lepszego patrona dla tej potrzebnej, sławiącej polski czyn zbrojny w okupowanym kraju, instytucji.

1. Stanisław Kasznica w więzieniu, fotografia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, 1947 rok

2. Proces pokazowy członków Organizacji Polskiej i Narodowych Sił Zbrojnych, na ławach oskarżonych: (w pierwszym rzędzie, od lewej) ostatni komendant NSZ i główny oskarżony – Stanisław Kasznica, Mieczysław Paszkiewicz, Lech Neyman; (w drugim rzędzie, od lewej) Stefania Żelazowska-Sokołowska, Wanda Salska, Tadeusz Jastrzębski; luty 1948 roku

3. Hieronim Dekutowski ps. „Zapora”, 1945 rok

4. Partyzancki oddział „Zapory”, na zdjęciu (od lewej): Wacław Socha ps. „Turek”, Hieronim Dekutowski ps. „Zapora” i Aleksander Sochalski ps. „Duch”, 1945 rok

5. Pogrzeb partyzantów z oddziału „Zapory” poległych 24 maja 1944 roku pod Krążnicą Okrągłą: Mariana Figlusa ps. „Mewka”, Stanisława Pietrasa ps. „Gwizd”, Jana Smutka ps. „Swen” i Edwarda Szebesty ps. „Czarny”; na zdjęciu (od lewej): Ryszard Kaczkowski ps. „Ryszard”, Bogusław Marzyś ps. „Rosa”, Hieronim Dekutowski ps. „Zapora” i Stanisław Wnuk ps. „Opal”

6. Partyzancki oddział „Zapory”, na zdjęciu (od lewej): N.N. ps. „Zawada”, Hieronim Dekutowski ps. „Zapora”, Roman Wroński ps. „Żbik”, N.N., Aleksander Pieczewski ps. „Maks”, 1945 rok

7. Hieronim Dekutowski ps. „Zapora” (od lewej) i Zdzisław Broński ps. „Uskok”, 1947 rok

8. Zygmunt Szendzielarz ps. „Łupaszko”, przed 1948 rokiem

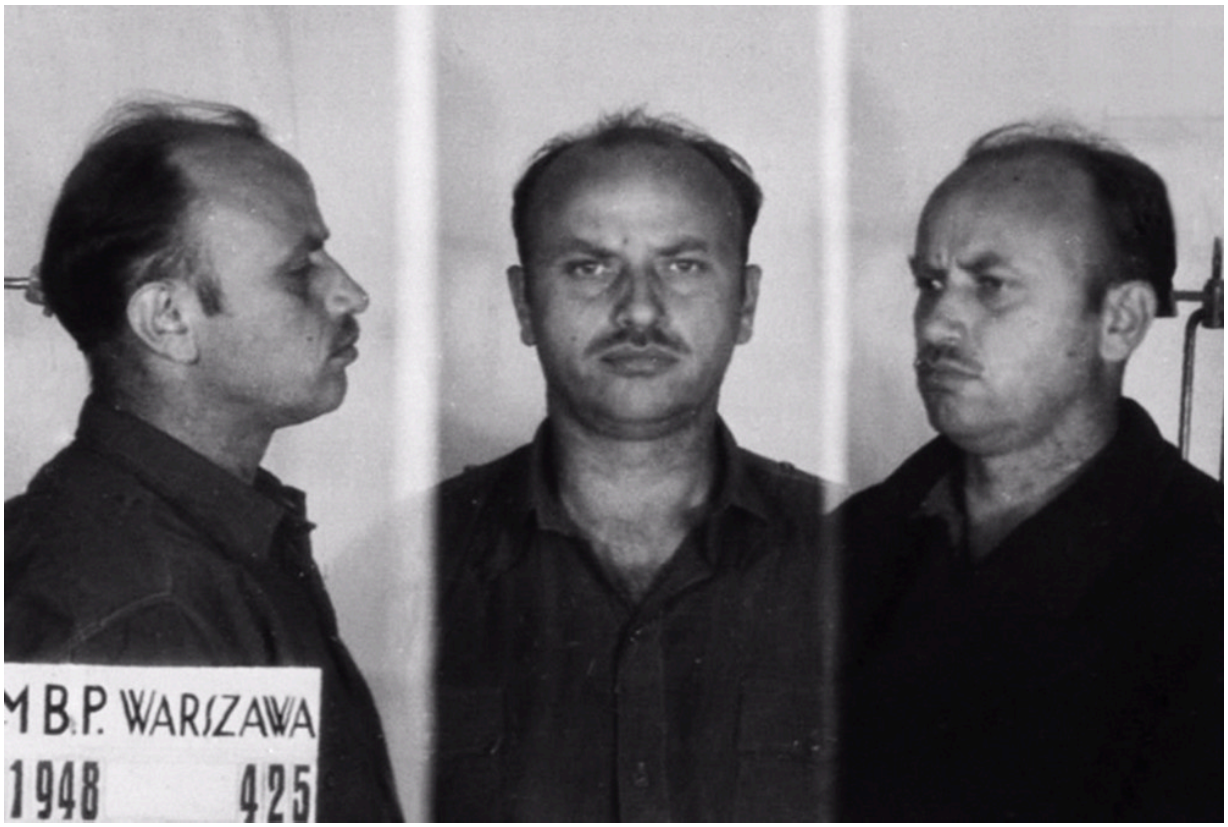

9. Zygmunt Szendzielarz w więzieniu, fotografia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, 1948 rok

10. Witold Pilecki w mundurze podporucznika, przed 1939 rokiem

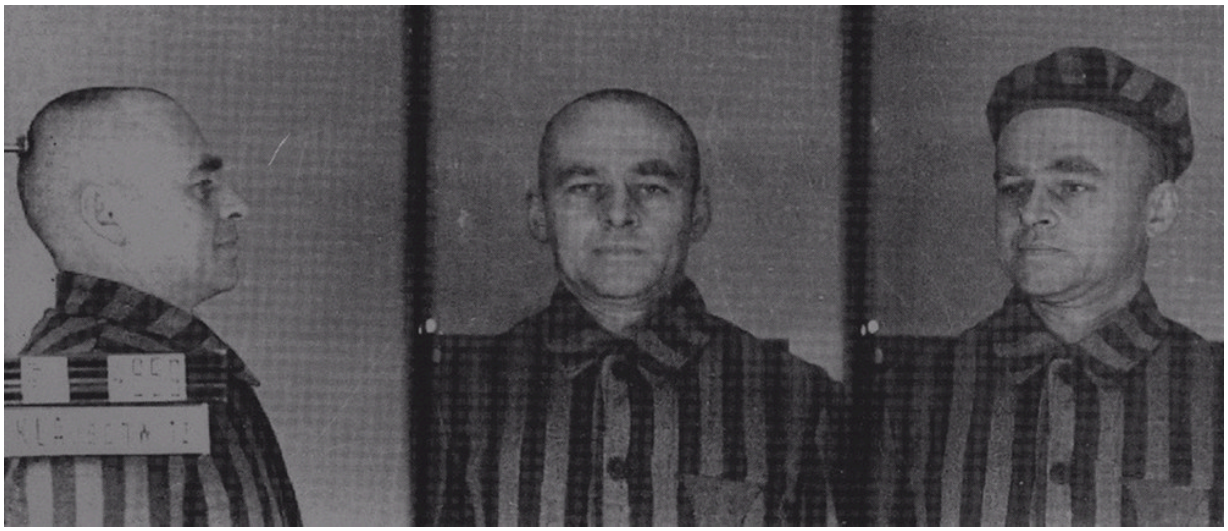

11. Witold Pilecki jako Tomasz Serafiński, więzień KL Auschwitz nr 4859, 1940 rok

12. Witold Pilecki podczas procesu, marzec 1948 roku

13. Maria Szelagowska podczas procesu Pileckiego, marzec 1948 roku

14. August Emil Fieldorf ps. „Nil”

15. August Emil Fieldorf w więzieniu, fotografia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, 1950 rok

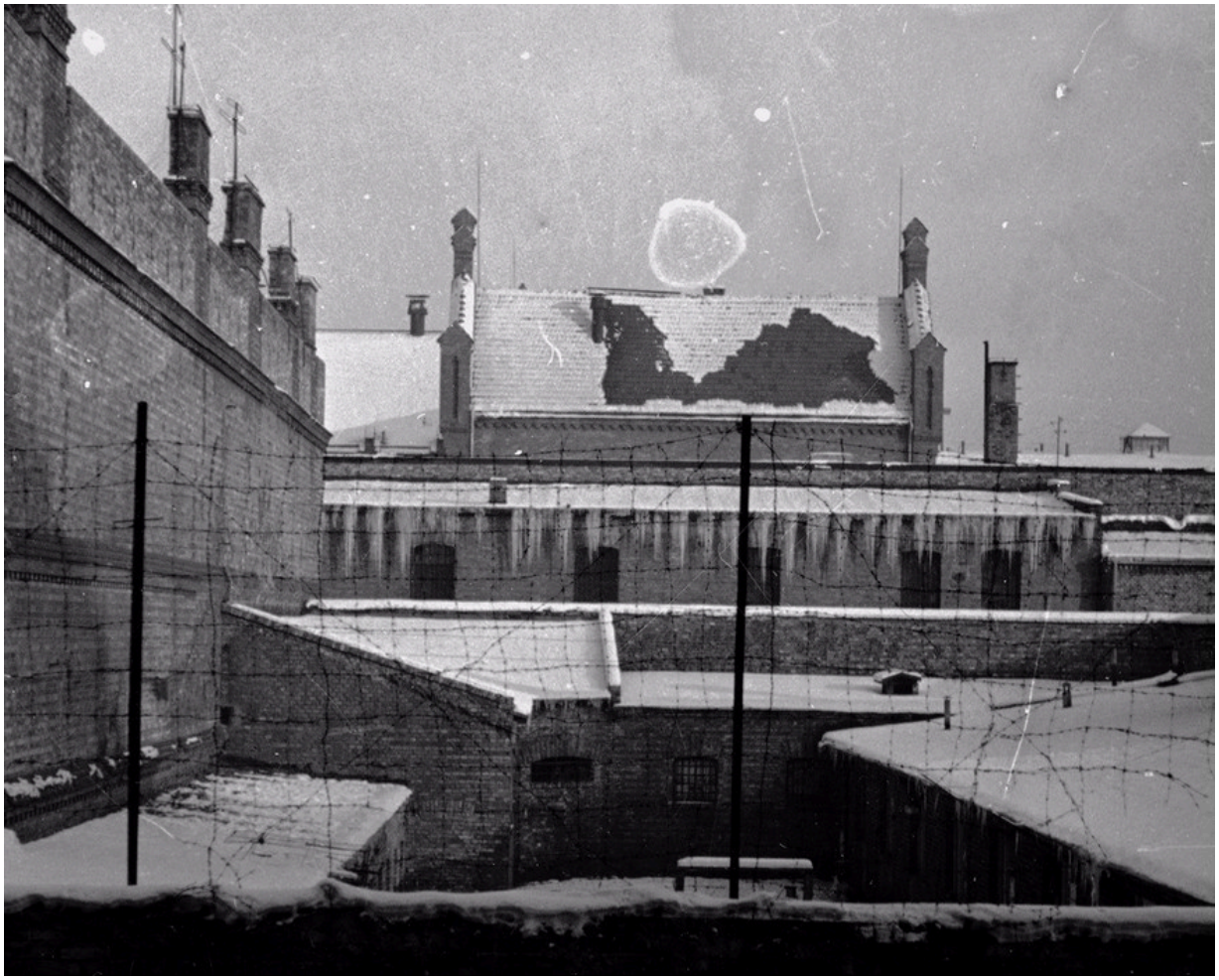

16. Więzienie na Rakowieckiej w Warszawie, 1965 rok

CZĘŚĆ III
PRAWDA

PRZYWRÓCIĆ TOŻSAMOŚĆ

Oni mieli zniknąć bez śladu.
Łatwiej zatrzeć pamięć, kiedy nie ma grobu.
[…] O to właśnie chodziło.
Żeby nie było żadnego miejsca na kwiaty.
mecenas Aniela Steinsbergowa w rozmowie
z Małgorzatą Szejnert

Po takich zbrodniarzach ziemia musi być zrównana…
To nie byli ludzie.
naczelnik więzienia mokotowskiego Alojzy Grabicki
do Marii Romer, żony ppor. Zbigniewa Romera

Dwa etapy badań wykonanych do tej pory na Łączce, łącznie sześć tygodni intensywnych prac na miejscu i miesiące w archiwach oraz laboratoriach. Efekt? Około 200 odkopanych szkieletów, publiczne powiadomienie o identyfikacji 40 ofiar. Czeka nas kolejny etap, trzeci – najtrudniejszy. Praca jest niezwykle żmudna, wyczerpująca. Jednak świadomość uczestnictwa w czymś wielkim, a za taki niewątpliwie trzeba uznać proces przywracania pamięci o bohaterach, jest dla naukowców bezcenna.

Osoby zaangażowane w te prace reprezentują różne instytucje – Instytut Pamięci Narodowej, Zakład Medycyny Sądowej we Wrocławiu, Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie czy Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie. Są specjalistami z różnych dziedzin nauki, ale łączy ich dążenie do realizacji tego samego celu. Identyfikacja ofiar komunistycznego terroru jest możliwa tylko wówczas, gdy wszyscy współpracują.

Jeśli historyk, medyk sądowy, antropolog, archeolog i genetyk nie połączą swoich sił, ich wysiłek będzie z góry skazany na niepowodzenie. Nie da się skutecznie działać w pojedynkę. Dlatego od początku mówiliśmy o zespole[891] – tłumaczy prof. Szwagrzyk, kierujący pracami na Łączce.

Zanim zaczną szukać, muszą znać podstawowe fakty. Kiedy dana ofiara zginęła, jakie były okoliczności jej śmierci, czy została skazana przez sąd wojskowy czy powszechny, w egzekucji pojedynczej czy zbiorowej,

strzałem w głowę czy przez powieszenie. Trzeba sprawdzić każdy trop, także, a może przede wszystkim, przekazy świadków i rodzin pomordowanych. Najważniejsze są dane antropologiczne: wzrost, cechy szczególne, przebyte choroby, obrażenia zewnętrzne, stan uzębienia.

Wszystkie te informacje pomagają przy tzw. typowaniu, czynności dokonywanej już po otwarciu jamy grobowej i oględzinach szczątków. Zawężenie pola poszukiwań to informacja przydatna dla genetyków, choć przeważnie i tak wszystko rozstrzyga się w laboratoriach. Analiza porównawcza materiału genetycznego pozwala ostatecznie potwierdzić bądź wykluczyć wcześniejsze przypuszczenia.

PROF. KRZYSZTOF SZWAGRZYK – ŁĄCZKA TO DLA NAS SPRAWA ŚWIĘTA

Jakie okoliczności przesądzają o podjęciu prac poszukiwawczych?

Krzysztof Szwagrzyk: Aby rozpocząć badania, potrzebne są wspólne ustalenia archiwistów i historyków na podstawie odnalezionych archiwaliów. Nigdy nie podejmujemy prac w oparciu o jeden dokument. Zanim wykonamy prace ziemne, wbijemy pierwszą łopatę, trzeba znaleźć potwierdzenie nawet najbardziej ciekawej informacji w innym źródle. Nie zawsze się to udaje. Ale jedno źródło, jak mówią specjaliści, to żadne źródło. Nawet jeśli nam się wydaje, że człowiek, który zdaje relację, ma wspaniałą, wręcz fotograficzną pamięć.

Po ustaleniu bezspornych faktów przestępujemy do badań metodami nieinwazyjnymi – georadarem i magnetometrem[892]. Celem jest wykazanie ewentualnych zakłóceń w strukturze ziemi na badanym obszarze. Po co to robimy? Chcemy zawęzić pole poszukiwań. Wykorzystywany sprzęt jest na tyle precyzyjny, że daje nam swoistą podpowiedź.

Oczywiście, uzyskany wynik nie przesądza o tym, czy w danym miejscu znajdują się pochówki. Zakłócenia struktury ziemi nie muszą oznaczać, że mamy do czynienia z ludzkimi kośćmi. Mogą wskazywać przecież na zwykłe przeszkody, chociażby korzeń drzewa, bliżej nieokreślone śmieci, składowisko kamieni.

Metody nieinwazyjne zupełnie nie skutkują na przestrzeni, która jest tak silnie zurbanizowana jak Łączka. Badania georadarem przeprowadzone wiosną 2012 roku nie były więc zadowalające. Otrzymaliśmy jedną wielką plątaninę zakłóceń w ziemi, sprzeczne wyniki. Bez przeprowadzenia prac ziemnych nie dało się ustalić, czy mamy do czynienia z rzeczywistym dołem śmierci.

Co zatem zdecydowało, że rozpoczęto kopanie?

Trzeba było podjąć trudną, ważną decyzję, za którą ponoszę wyłączną odpowiedzialność. Chodziło o przekonanie różnych oficjalnych czynników decyzyjnych, że poszukiwania na Łączce mają sens. Nie można było na tym etapie stwierdzić, że mamy do czynienia z grobami wojennymi. A od tego uzależniono wsparcie dla mojego zespołu. Jak jednak uzyskać taką wiedzę, bez kredytu zaufania dla przeprowadzenia niezbędnych badań?

Chodziło o Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa?

Nie mogę tego wyjawić.

Z czego wynikały inne trudności?

Nie wszystkie instytucje chciały współpracować, choć dziś wszyscy przyznają się do wspólnego sukcesu. Nie każdy, nawet współpracujący z nami, wierzył w możliwość odnalezienia szczątków ofiar komunizmu. W jednym z raportów stwierdzono nawet, że na Łączce mogą znajdować się pochówki z I wojny światowej, bo znaleziono tam… trumny. Problemów była cała masa. Kiedy zwróciliśmy się o zgodę na wycięcie trzech modrzewi, dostaliśmy informację: owszem, ale po zapłaceniu 1,1 miliona złotych!

A jednak problemy udało się przezwyciężyć. Dwa etapy prac na Łączce już za nami…

2012 rok był dla nas szczególny, zwłaszcza lipiec i sierpień. Zapewne będziemy okres ten pamiętać do końca życia. Wiele razy mówiłem członkom mojego zespołu, że pracując na Łączce, doświadczyliśmy

wielkiego honoru. Mamy do czynienia z miejscem, gdzie pogrzebano prawie 300 ludzi. Wśród nich wielkie postacie Polskiego Państwa Podziemnego.

Efektem pierwszego etapu, zakończonego w sierpniu 2012 roku, było odnalezienie szczątków stu kilkunastu osób. Nie wiedzieliśmy, do kogo należały. Mieliśmy jednak poczucie spełnionego obowiązku, dokonania czegoś bardzo ważnego. To dla nas nie tylko wyzwanie badawcze. To coś znacznie więcej – Łączka to sprawa osobista, sprawa święta.

Wynik pierwszego etapu przesądził o kontynuowaniu prac?

Byliśmy pewni, że ono musi nastąpić. Od pewnego momentu robiliśmy wszystko, aby ci, którzy dotychczas wątpili – wielu urzędników – otrzymali materiał, nad którym nie będą mogli dyskutować. Czyli szczątki odnajdywane przez nas w tzw. profilach (w ścianach bocznych pod drogą asfaltową). To był dowód, przy którym żadna dyskusja nie miała sensu. Że należało dalej kopać.

Wyniki pierwszego etapu dały bardzo silne podstawy, aby występować do urzędów o pozwolenie na kolejne prace. Drugi etap odbył się w maju i czerwcu 2013 roku. Łącznie, w obu etapach, odnaleźliśmy szczątki 197 osób. W międzyczasie natrafiliśmy jeszcze na kilka innych. Poszukujemy jeszcze ok. 100 osób, straconych w więzieniu mokotowskim.

Odnajdywanie szczątków nie tylko pod pomnikami, ale i pomiędzy chodnikami, świadczy o tym, że grabarze w latach 80. natrafiali na fragmenty kości więźniów, ale traktowali je jako przeszkody. Nie możemy mówić o żadnym szacunku, delikatności. To były mechaniczne czynności, które można było wykonać w najkrótszym możliwym czasie.

Przebadaliśmy już wszystkie wolne, niezabudowane pola obszarze łączki. Także te pomiędzy pomnikami z lat 80. Tam, gdzie nie moglibyśmy rozpocząć prac ziemnych, zrobiliśmy odwierty. Łącznie kilkadziesiąt. Znajdujemy niekiedy szczątki bardzo płytko – na głębokości 20 cm. Na pewno pod ziemią są kolejne kości ofiar komunizmu. Nie mamy co do tego wątpliwości.

Wiadomo, że trzeci etap wiąże się z wieloma kolejnymi trudnościami. Z czego wynikają?

Groby z lat 80. leżą bezpośrednio na szczątkach więźniów. Kiedy badałem możliwości zastosowania tam innych metod – takich, które nie powodowałyby konieczności przesunięcia istniejących pomników – np. ewentualność wykonania podkopu bocznego, rzeczywistość okazała się brutalna.

Specjaliści znający się na rzeczy, wykonujący typowo górnicze korytarze, zadali wtedy zasadnicze pytanie: – Ile mamy przestrzeni pomiędzy nowszymi pomnikami a dawnym polem więziennym? Wtedy odpowiadałem: – Żadnej. W tym tkwi podstawowa trudność. Nie można zrobić żadnego sklepienia, które podtrzymałoby istniejące, bardzo ciężkie pomniki. A te w każdej chwili mogłyby się zawalić…

Dodatkową trudność stanowi fakt, że groby z lat 80. niekiedy przecinają na pół mogiły naszych bohaterów. Zdajemy sobie sprawę, że ich szczątki mogą być niekompletne. Będziemy odnajdywali kości zniszczone, znajdujące się na różnej przestrzeni, niekoniecznie w jednej jamie grobowej. Ich połączenie, przypisanie do poszczególnych osób, będzie czasem niemożliwe.

Czy to wpłynie jakoś na końcowy wynik badań genetycznych?

Problem genetyki w przypadku Łączki nie występuje. Stan odnajdowanych szczątków nie przekreśla szansy identyfikacji genetycznej. Dekady przeleżały w ziemi, w różnych warunkach, ale materiał zapisany np. w zębach jest trwały. Czasem zachodzi oczywiście potrzeba powtórzenia badań. Ale to zupełnie normalne – wszystko zależy od stopnia pokrewieństwa ofiary i osób, od których pobrano DNA do analizy.

Nie mam jednak najmniejszych wątpliwości, że czeka nas najtrudniejszy etap prac poszukiwawczych na Łączce.

Wiele razy podnoszono też kwestię problemów prawnych.

W 2015 roku podpisano nowelizację ustawy, według której decyzję w tej sprawie może podjąć wojewoda – w tym przypadku wojewoda mazowiecki.

Jedni są entuzjastycznie nastawieni do możliwości przeniesienia istniejących grobów. Jest ich bardzo wiele, nawet dwieście.

Druga grupa wskazuje na przewidziany w tej sprawie tryb administracyjny, czyli fakt, że rodziny pochowanych mogą zaskarżyć decyzję wojewody. To zaś może skutkować długotrwałymi procesami sądowymi. Klauzula natychmiastowej wykonalności wcale nie musi oznaczać, że te pomniki zostaną od razu przeniesione w inne miejsce. Musimy zakładać także taki scenariusz.

Istniejące groby powinny być przeniesione w inne miejsce, nie mam wątpliwości. Albo do innej kwatery na Powązkach Wojskowych, albo do grobowców rodzinnych na innych cmentarzach.

Jak na poszukiwania swych bliskich reagowały rodziny?

Emocjonalnie, ale oczywiście pozytywnie. Najbliżsi ofiar zaczęli przychodzić na Łączkę zaraz po rozpoczęciu prac i poinformowaniu o nich mediów. Apelowaliśmy wówczas za ich pośrednictwem o zgłaszanie się i oddawanie próbek z materiałem genetycznym do analizy. Byli bliscy rtm. Pileckiego czy mjr. Dekutowskiego.

Cieszyliśmy się, ale wiedzieliśmy, że to będzie dla nas szczególne obciążenie. Zwłaszcza dla młodych osób w naszej ekipie, pracujących przy szczątkach ludzkich w dole śmierci, praca niezwykle wyczerpująca emocjonalnie. Proszę sobie wyobrazić, jaki to ma ciężar, kiedy nad grobem stoją najbliżsi pomordowanych. Czekają i myślą: „a może to jest akurat mój tata?”. Nie mogę sobie przypomnieć ani jednego dnia, gdy na Łączce nie było kogoś z rodzin ofiar komunizmu. Przychodziły, dzwoniły. Byliśmy i jesteśmy w kontakcie na bieżąco.

To właśnie moim zadaniem jest skontaktowanie się telefonicznie z wybraną osobą z rodziny ofiary, aby ją poinformować o identyfikacji szczątków ojca. Reakcje są różne, nie wszystkie spontaniczne. Niektórzy są naprawdę zaskoczeni – czasem, odkładając słuchawkę, mam wątpliwości, czy dotarła do nich ta wiadomość, czy zrozumieli, co powiedziałem. Zdarzało się, że po jakimś czasie dzwonią do mnie i przyznają, że nie byli w stanie takiej informacji od razu przyswoić. Znajdowali się w różnych codziennych okolicznościach, na ulicy, w sklepie. Gdy zdają sobie sprawę

z doniosłości informacji, reagują wzruszeniem. Płaczu jest naprawdę dużo, to naturalne.

Z rodzinami ofiar spotykamy się na konferencjach organizowanych przez IPN; do tej pory było ich sześć, część w Pałacu Prezydenckim. Bliskim zidentyfikowanych więźniów wręczamy noty identyfikacyjne. Widać wtedy autentyczne szczęście. W ich życiu skończył się pewien etap – ktoś przez 60 lat poszukiwał jakiejkolwiek informacji o swym ojcu i nagle dostaje wiadomość, że wiemy, co się z nim stało. Niedługo będzie mógł zapalić na jego grobie świeczkę.

Dla nas to szczególna chwila, zwieńczenie mozolnej pracy. Nie mamy jednak czasu na świętowanie. Nosimy jeszcze większy ciężar na naszych barkach. Efekty prac po prostu widać. Otrzymujemy więcej telefonów od innych bliskich ofiar, którzy także oczekują, wierzą, że możemy im pomóc. Tym więcej jednak przekonania w sens naszej pracy.

Były chwile zwątpienia, momenty, gdy zastanawiał się Pan nad sensem prac na Łączce?

Wycofania nie było nigdy. Było za to mnóstwo momentów wzruszenia, głębokich przeżyć.

Co najbardziej zapadło Panu w pamięci?

Na pewno będę pamiętał 1 sierpnia 2012 roku – pracowaliśmy w rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, uznając, że jest to najlepszy sposób na to, aby uczcić ten dzień. Pracowaliśmy po godzinie „W”. Po zakończeniu uroczystości pod pomnikiem Gloria Victis na Łączkę przyszło kilkaset osób. Masa ludzi szczelnie wypełniała teren naszych prac, otoczony siatką. Byliśmy w dołach śmierci, czuliśmy na sobie setki spojrzeń. Nie zapomnę tej atmosfery. Ludzie mieli przy sobie biało-czerwone flagi, intonowali pieśni, modlili się, brali ze sobą na pamiątkę piasek. Traktowali to niemal jak relikwię. Warunki absolutnie wyjątkowe.

Inna sytuacja, której nigdy nie zapomnę. Po pierwszym etapie prac przenosiliśmy trumienki ze szczątkami naszych bohaterów na cmentarz na Wólce Węglowej. Umówiliśmy się, że pierwszą weźmie szef Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa prof. Andrzej Kunert, drugą prezes

IPN dr Łukasz Kamiński, trzecią – ja. Za mną mieli iść pracownicy, harcerze, funkcjonariusze służb mundurowych. Nie wiedzieliśmy, czyje kości spoczywają w każdej z trumienek. Ale chcieliśmy sprawdzić, czyje szczątki jako pierwsze zostały wyniesione z Łączki.

Okazało się, co bardzo symboliczne, że należały one do majora „Zapory" – to właśnie ja miałem to szczęście, że je niosłem. Początkowo była to trzecia w kolejności trumienka, ale w pewnym momencie powiedziano mi, abym szedł pierwszy i prowadził. Ten przypadek sprawił, że wyprowadziłem z Łączki szczątki naszego bohatera. Bez względu na to, co dalej w życiu będę robił, jestem przekonany, że większego honoru nie dostąpię.

JUSTYNA SAWICKA – TO ZIEMIA WERYFIKUJE NASZĄ WIEDZĘ

W przypadku poszukiwań ofiar komunizmu, bez archeologii ani rusz…

Justyna Sawicka: Tak naprawdę 50% prac to wysiłek archeologów. Pracując metodami inwazyjnymi, dajemy genetykom pole, materiał do dalszej pracy.

Zanim archeolog przystępuje do kopania i poszukiwania, musi zostać wytypowane miejsce. Dzieje się to na podstawie dostępnych materiałów źródłowych, relacji świadków i rodzin itp. Dopóki się jednak nie wejdzie do dołu, wszystko jest teorią. To ziemia weryfikuje informacje, jakie posiadamy.

Było trudno?

Na Łączce panowały specyficzne warunki – przecież w latach 50. naniesiono na pole więzienne dodatkową warstwę ziemi i gruzu. Mieliśmy też do czynienia z twardą, zbitą gliną. Użyliśmy ciężkiego sprzętu. Pomocne okazały się koparki. Kiedy już wiedzieliśmy, że możemy natrafić na ludzkie szczątki, kopaliśmy łopatami. Chodziło o zminimalizowanie ryzyka uszkodzenia materiału kostnego.

Później, już w toku prac, wiele trudności sprawiały naturalne przeszkody, głównie drzewa. Musieliśmy je wyciąć. No i praca na sporej głębokości – w niektórych dołach sięgała ona nawet do 3 metrów, wliczając w to oczywiście warstwę ziemi i gruzu, nawiezioną w latach 50.

Jak rozpoznać miejsca, w których grzebano ofiary?

Jest coś takiego jak naturalna warstwa ziemi, czyli taka, w której nie działo się nic. Jeśli ktoś w tej warstwie wykopał kiedyś dół, to on pozostawił po sobie ślad, który zachował się w dokładnie takim samym kształcie. Ponadto ziemia różni się kolorami. Na Powązkach, w toku prac, rysowały się prostokątne ciemne plamy i tam właśnie kopaliśmy. W obrębie tych plam.

Po odstawieniu łopat używamy mniejszych, podręcznych narzędzi. Każdy archeolog ma swoją technikę pracy. Jeśli chodzi o mnie, zaczynam od miejsca, w którym leży czaszka. Tak jest mi po prostu łatwiej. Przydatne są: kielnia archeologiczna, pędzel, ewentualnie drobne narzędzia dentystyczne.

W jakim stopniu ułożenie szczątków wskazywało na intencje sprawców?

Grabarz, który dokonywał pochówków – co może dziwnie zabrzmi – miał jakąś wizję „zagospodarowania terenu”. Z wyjątkiem dołów zbiorowych. Pojedyncze jamy miały szkielety zorientowane według tej samej osi – głowy leżały z tej samej strony. To nie było, w tym przypadku, całkowicie niedbałe wrzucanie zwłok. Grabarz układał ciała w konkretnych rzędach i miejscach, zapamiętywał, gdzie kopał. Jest to widoczne po strukturze ziemi.

Żadnych trumien nie było?

Odkopywane szkielety w przeważającej mierze spoczywały bez trumien. Był zaledwie jeden przypadek, gdy szkielet spoczywał w czymś na kształt skrzyni zbitej z desek. Szczątki były okrywane jutowymi workami, kawałkami tektury.

Przy ofiarach znajdowaliśmy też rzeczy osobiste. Kilka medalików, prawdopodobnie zaszytych w ubraniach, kawałki grzebieni. Wiemy np. że

płk Łukasz Ciepliński[893] umierał z medalikiem w ustach. Wszystkie przedmioty oddajemy do konserwacji. Każda rzecz wydobyta z ziemi ma status zabytku. Powinna trafić do muzeum, ale przecież rodziny mogą mieć wyjątkowy sentyment do rzeczy swych bliskich.

Jak wyglądał proces zabezpieczenia odkopanych szczątków?

Rozkładaliśmy na miejscu polowe laboratorium. Wydobyte szczątki od razu wkładaliśmy do drewnianych trumienek i przekazywaliśmy lekarzowi medycyny sądowej i asystującej mu antropolog. Ponownie je wyjmowano i układano w układzie anatomicznym na stołach. Po oględzinach pobierany był materiał DNA do badań genetycznych.

Na miejscu sporządzaliśmy archeologiczny protokół – opisywano w nim szczegółowo ułożenie szczątków w jamie grobowej.

Archeolog nie wie, bo nie może wiedzieć, czyje szczątki odkopuje. Może co najwyżej przypuszczać…

Rzeczywiście, początkowo nie mieliśmy pojęcia, przy czyim szkielecie pracowaliśmy. Do odkopanych szczątków były przypisane jedynie numery. Niektórzy archeolodzy – a jest ich w naszym zespole kilkunastu – zapamiętywali je. Później, po przyjściu wyników badań genetycznych ze Szczecina, wiedzieli, przy czyich szczątkach pracowali.

Dwukrotnie przekonywałam się o wynikach badań DNA na miejscu, w czasie pracy na Łączce. To były oczywiście pozytywne wiadomości, ale trzeba było dalej pracować w dołach śmierci.

Koleżanka była przekonana, że natrafiła na szczątki mjr. Szendzielarza. Kiedy odsłaniała szkielet, rzuciła jej się w oczy diastema, czyli charakterystyczna przerwa między zębami, która miała cechować dowódcę V Wileńskiej Brygady AK. Dlatego zapamiętała numer szkieletu. Późniejsze badania nie potwierdziły jednak jej przypuszczeń.

Jak przedstawiał się stan znajdowanych szkieletów?

Różnie. Wszystko zależało od warunków glebowych, procesów erozyjnych. Dużo gorzej wyglądały groby zbiorowe, a one na Powązkach przeważały. Jamy były w większości za krótkie, wkładano do nich po siedem czy osiem

osób, ciała układano warstwowo, jedno na drugim. Cała trudność po odkopaniu polegała na tym, żeby dopasować czaszki do pozostałości szkieletu.

Co skazańcy mieli na sobie w chwili śmierci?

Zdarzało się, że mieli na sobie różne rodzaje więziennych uniformów, ale i byli przebierani w cywilne ubrania; odnajdowaliśmy np. drobne guziki po kalesonach czy koszulach. Były przypadki zakładania skazańcom mundurów Wehrmachtu.

Rodziny ofiar przychodziły na Łączkę, aby obserwować prace. Dało się wyczuć szczególną presję? A może był to powód do wzruszeń?
Pracujemy w ten sposób od lat, staramy się więc stosować w praktyce tzw. naukowy chłód. Ale to nie zawsze działa, momenty wzruszenia są naturalne.

Trzeci etap będzie najtrudniejszy, bo nakładają się na siebie stare i nowe pochówki. Co może tu archeologia?

Może sporo. Szczątki, których szukamy, znajdują się głęboko. Wiemy, że w Warszawie większość grobów stoi na tzw. murowanych piwniczkach. Budowano je – jak wynika z rozmów przeprowadzonych z grabarzami – nawet na głębokość ponad 2,5 metra pod ziemią. Jest więc szansa, że późniejsze pochówki zbytnio nie uszkodziły znajdujących się pod nimi szkieletów ofiar komunizmu. Trzeba jednak zakładać, że uległy one przemieszczeniu. Z drugiej strony, gdy przeprowadzaliśmy wiercenia świdrem geologicznym, wyjmowaliśmy pojedyncze przedmioty oraz kości. Natrafiliśmy np. na kość ramieniową. Może być więc tak, że w niektórych przypadkach miejsca pochówków więźniów zostały zniszczone i szczątki zostały gdzieś w luźnej ziemi.

Grabarze powiedzieli nam, że w przypadku natknięcia się w czasie pracy na pojedyncze kości sprzed lat, składuje się je w jednym miejscu. Możemy zatem przypuszczać, że część poszukiwanych szczątków została przekopana, a skoro tak – będą one niekompletne. Z tego wynika dodatkowa trudność.

DR ŁUKASZ SZLESZKOWSKI – NAJWAŻNIEJSZE JEST ODNALEZIENIE GROBU

Na czym polega rola medycyny sądowej w kontekście badań na Łączce?

Łukasz Szleszkowski: Medycyna sądowa jest bardzo szeroką specjalnością medyczną w Polsce. Przede wszystkim tłumaczy pewne zagadnienia biologiczne, medyczne – na język prawa. Zajmuje się też prawem medycznym, toksykologią. Medycy sądowi pracują jako biegli, eksperci od wydawania opinii sądowo-medycznych.

Badania, które prowadzimy razem z IPN, pod względem procedur nie różnią się niczym szczególnym od codziennych prac w naszym fachu. Jedyną różnicę stanowi kontekst historyczny i fakt, że stosujemy powszechnie obowiązujące procedury medycyny sądowej do przypadków identyfikacji osób, które zginęły kilkadziesiąt lat temu. Do tej pory takie badania w Polsce nie były robione na taką skalę; była to raczej archeologia połączona z antropologią.

Celem jest odnalezienie miejsc pochówku i identyfikacja szczątków, która pozwala na ich wydanie rodzinie i pochowanie w grobie z imieniem i nazwiskiem. Dlatego stosujemy te procedury. Proces poszukiwania i identyfikacji składa się z wielu etapów – każdy jest bardzo ważny. Najważniejsze jest jednak odnalezienie grobu, bo bez tego nie byłoby dalszych analiz.

Mamy poczucie, że robimy coś unikalnego. Nasza praca to nie tylko identyfikacja, zwracanie szczątków bliskim, ale także wytyczanie szlaków w nauce. Nikt wcześniej czegoś takiego nie robił.

Bez stosownej wiedzy historycznej ani rusz.

Tak, oczywiście. Badania archiwalne, historyczne są bardzo ważne; od tego się zaczyna. Musimy przecież znać miejsce, w które mamy jechać i w którym mamy kopać. Musimy mieć mocne przesłanki co do potencjalnego miejsca pochówków ofiar.

Kwerenda archiwalna to z jednej strony poszukiwanie wszelkich danych o miejscu zbrodni czy pochówku, okoliczności zdarzenia, ale i danych

identyfikacyjnych konkretnych osób. Trzeba uważnie czytać np. księgi więzienne, gdzie uwzględniono różne dane identyfikacyjne skazańców, np. kształt nosa, kolor oczu, blizny itp. Z punktu widzenia naszej pracy, najbardziej przydatnymi danymi są jednak wszelkie informacje o obrażeniach i uzębieniu ofiar. To właśnie medyk sądowy i antropolog oceniają ich wartość.

Co dalej? Jak wygląda praca medyka po zetknięciu ze szczątkami?

Pracujemy w zespole dwuosobowym, złożonym z antropologa i medyka sądowego. Nasze kompetencje się trochę przeplatają.

Pierwszy etap to odsłanianie jamy grobowej – pomagamy archeologom w sporządzaniu dokumentacji dotyczącej opisu szczątków. Opisujemy sposób ich ułożenia. Wiedza z zakresu medycyny sądowej sprawdza się, zwłaszcza w przypadku grobów masowych, bo czasem nie jest łatwo ustalić, zwłaszcza w stosunku do szkieletów sprzed kilkudziesięciu lat, czy mamy do czynienia np. z kością kończyny prawej czy lewej, co jest istotne w trakcie przyporządkowywania kości do konkretnego szkieletu. Tak było m.in. w przypadku wspólnego grobu „Zapory” i jego żołnierzy.

Może zdarzyć się również sytuacja, że interesujący nas grób więźnia znajduje się częściowo pod współczesnym grobem. Trzeba zrobić quasi-oględziny na miejscu. I wtedy nie tylko opisujemy ułożenie, ale także cechy identyfikacyjne, mając nadzieję dotarcia do szkieletów później i przeprowadzenia ich pełnych oględzin.

Zasadniczy etap naszej pracy to oględziny sądowo-lekarskie w specjalnym polowym laboratorium.

Czyli szczątki były badane na miejscu, a nie transportowane do zakładów medycyny sądowej?

Tak, wszystkie czynności robimy na miejscu, to skraca czas badań. To praktyka charakterystyczna dla dużych prac poszukiwawczych – korzystamy z przenośnego laboratorium, które wozimy ze sobą w różne miejsca. Oczywiście, tego wszystkiego musieliśmy się nauczyć w toku prac, bo nieco inaczej robi się oględziny na miejscu wykopalisk, a inaczej w pracowni zakładowej.

Kiedy szczątki trafiają już na stół w polowym laboratorium, układamy je w układzie anatomicznym. Opisujemy, tworzymy protokoły.

Jaka była kompletność szkieletów na Powązkach?

To zależy od konkretnego przypadku. Były szczątki zachowane idealnie – wraz z drobnymi elementami kostnymi, ale były też przypadki, gdzie udało się odnaleźć tylko trzony kości długich. Przy takim materiale niemożliwe jest stwierdzenie płci czy wieku ofiary. Wszystko co można wtedy zrobić, to zabezpieczyć materiał kostny do badań genetycznych.

Co konkretnie wpływa na stan zachowania kości?

Gleba, wilgotność, roślinność, zwłaszcza korzenie drzew itd. W grobie masowym procesy rozkładu zachodzą inaczej; szczególnie szczątki osób, które znajdują się na samym dole, nie są w dobrym stanie.

Ważnym etapem w mojej pracy jest rekonstrukcja czaszek z obrażeniami postrzałowymi. W ziemi czaszka jest w całości utrzymywana przez glebę. W momencie podjęcia jednak często rozpada na pojedyncze odłamy kostne. Dlatego w celu sporządzenia dokumentacji sądowo-medycznej i interpretacji obrażeń postrzałowych, trzeba czaszkę posklejać, co zajmuje zwykle 2–3 godziny. Taką sytuację mieliśmy np. w przypadku „Łupaszki”.

Czy wspomagacie się Państwo rekonstrukcją komputerową?

Nie, nie widzę takiej potrzeby. Sądzę, że najważniejsza jest stara dobra szkoła – porządny opis. Potrzebujemy tylko podstawowego sprzętu – linijki, suwmiarki, pęsety, czegoś do klejenia, pędzla. Naszym narzędziem pracy jest przede wszystkim głowa.

Co się dzieje, krok po kroku, kiedy kości trafiają w Pańskie ręce?

Zadaniem medyka sądowego jest analiza zmian urazowych, ustalenie przyczyny śmierci – tej najbardziej prawdopodobnej.

Obrażenia mogą powstać albo za życia – na pewien dłuższy czas przed zgonem (*antemortem*), już po śmierci (*postmortem*), albo bezpośrednio przed nią (*perimortem*). Te ostatnie mogą ulec zatarciu np. wskutek

procesów erozyjnych. Co istotne, zdarza się, że zmiany pośmiertne imitują zmiany przyżyciowe.

Zwracamy uwagę też na obrażenia przedśmiertne (*antemortem*) – stare złamania, już wygojone; zmiany chorobowe i stan uzębienia. Ta wiedza jest oczywiście przydatna, ale może wprowadzać w błąd. Przykład? Dysponowaliśmy kiedyś opisem wskazującym, że więzień miał „wszystkie zęby na górze". Okazało się, że owszem, stan uzębienia był kompletny, ale tylko dlatego, że… mieliśmy do czynienia ze sztuczną szczęką.

Kluczowa jest interpretacja. Trzeba wszystko dobrze przeanalizować, aby nie wyciągnąć błędnych wniosków. Niewielka dziura w czaszce nie zawsze oznacza ślad po postrzale. Równie dobrze może być to zmiana erozyjna.

Jak nie popełnić błędu?

Uważnie „czytać" kości. Na przykład sklepienia czaszki: są takie miejsca, gdzie kość jest cienka – są to wyciski pajęczynówki, jamki od wewnątrz. Analizując materiał kostny na sekcji, patrzymy pod światło, jednocześnie wiedząc, że przy długim okresie spoczywania szkieletu w ziemi w części kości, które są cienkie, samoistnie powstają otwory. Jeśli ktoś nie zna mechanizmu obrażeń, może taką zmianę nadinterpretować i powiedzieć, że to postrzał.

Trzeba też wiedzieć, kiedy powiedzieć: „stop, nie wiadomo", a przy tym zachować odpowiedni standard wnioskowania sądowo-medycznego. Jako medycy sądowi jesteśmy zobowiązani przestrzegać ustalonych reguł opiniowania. W przypadkach oględzin szczątków są to rygory postępowania karnego, czyli jeśli mamy wątpliwości, to musimy te wątpliwości zostawić, nie możemy nadinterpretować faktów. Nasze wnioski muszą być oparte na dowodach. Kiedy nie jestem pewien, rozkładam ręce i mówię „nie wiem".

Jakiś przykład takiej „bezradności"?

Niekiedy jesteśmy w stanie stwierdzić tylko, że doszło do ciężkiego urazu głowy, ale nie jesteśmy w stanie stwierdzić, jaki to był mechanizm.

Gdy czaszka nosi ślady po typowym zastosowaniu tzw. metody katyńskiej, czyli strzału w potylicę, nie ma problemu z określeniem

charakteru obrażeń. Ten sposób eliminacji jednostki pozwala nam, nawet po wielu latach, na odtworzenie mechanizmu zbrodni. Czaszka bowiem zachowuje się dość długo, kości się nie rozpadają. Co innego np. gdyby chodziło o postrzał kręgosłupa szyjnego. Na Łączce też były takie przypadki…

Najczęściej stosowano jednak tzw. metodę katyńską?

Ten postrzał w kręgi też jest metodą katyńską, tylko nietypową. Tymczasem kręgi łatwiej ulegają rozpadowi niż kości czaszki i trudno byłoby je skutecznie badać po kilkudziesięciu latach. Czasem postrzał prześlizgnie się także po tkankach miękkich. Wówczas charakter obrażeń można ustalić jedynie na świeżych zwłokach.

Ślady na czaszce ofiary, jak rozumiem, są jednoznaczne w ocenie?

To zależy od wielu czynników. Poza tym jedno to uraz głowy, a drugie – to jego mechanizm, czyli przyczyna powstania. Może to być cios zadany narzędziem ostrokrawędzistym, kończystym, tępym lub postrzał.

Dlaczego mówimy o najbardziej prawdopodobnej przyczynie zgonu, nie mając stuprocentowej pewności? Ponieważ badamy tylko wycinek ludzkiego ciała, którym są kości. Pamiętajmy, że mogło być tak, że część pocisków godziła w tkanki miękkie albo uszkadzała elementy kostne, które uległy rozpadowi po pewnym czasie. Dziś, po tylu latach od egzekucji, nie możemy więc mieć całkowitej pewności co do obrażeń ofiary.

Czasem trzeba powiedzieć: „dosyć, nie wiem”. Wnioski powinno się zawsze formułować w oparciu o dostępne fakty i materiały, niwelując naturalną skłonność do nadinterpretacji. Zadaniem medyka sądowego jest wątpić we wszystko.

Wyciągnięte wnioski „idą” do dokumentacji sporządzanej na bieżąco?

Podczas ekshumacji koncentrujemy się na zbieraniu danych, nie mamy czasu na formułowanie wniosków. Najpierw przeprowadzamy oględziny, potem wypełniamy wstępny protokół; potem wszystko uzupełniamy. W międzyczasie oczywiście pobieramy i zabezpieczamy materiał genetyczny w postaci wycinka kości lub zębów.

Protokół musi być później przepisany w formie opisowej, a do tego dołączone zdjęcia. Te materiały, cała dokumentacja medyczno-sądowa, są przekazywane prokuratorowi. Oględzin szczątków wydobytych na Łączce nie dokonywaliśmy na jego zlecenie, ale to standardowa procedura.

Ile czasu trwały standardowe oględziny na Łączce?

To zależało od wielu czynników. Jeśli mieliśmy do dyspozycji po kilka kości długich danego szkieletu, to wystarczyła dłuższa chwila. Jednak w przypadku komplikacji, niekompletności czy złego stanu szczątków, czasem nawet kilka godzin. Zazwyczaj w ciągu dnia udawało się nam dokładnie obejrzeć i sporządzić opis 4–6 szkieletów.

Czy na podstawie oględzin da się ustalić wiek ofiary w chwili śmierci?

Oczywiście. Im młodsza ofiara, tym większe szanse.

Oględziny zakończone. I co dalej?

Po oględzinach szczątki wydobyte na Łączce były wywożone do chłodni cmentarnej w Wólce Węglowej. To jednak nie koniec naszej pracy. Później analizujemy sporządzone protokoły, materiał zdjęciowy i przeprowadzamy wspomniane już typowanie identyfikacyjne.

Jak ten proces wygląda?

Ponownie przyglądamy się materiałom, które sporządziliśmy, pod kątem cech identyfikacyjnych. Następnie zestawiamy je z zebranymi danymi dotyczącymi więźniów. Na Łączce mieliśmy sporo problemów. Pochowani tam więźniowie nie figurowali bowiem w żadnym cmentarnym rejestrze. Mimo wszystko typowanie okazywało się skuteczne. Tak było m.in. w przypadku mjr. Dekutowskiego, mjr. Szendzielarza i ppłk. Kasznicy.

Zdarzało się, że jakiś przedmiot znaleziony przy szczątkach ułatwiał identyfikację?

Na Powązkach – nie. Liczyliśmy na medalik w ustach płk. Cieplińskiego, który, według przekazów, miał go połknąć przed śmiercią. Najwyraźniej jeszcze nie dotarliśmy do jego szczątków.

To, co w grobach wojennych ma duże znaczenie, to dystynkcje wojskowe, nieśmiertelniki, dokumenty. Jednak w przypadku Łączki więźniowie byli chowani bez przedmiotów osobistych. To był problem.

Praca medyka sądowego kończy się na typowaniu identyfikacyjnym?

W zasadzie tak. Bo później pałeczkę przejmują genetycy.

DR ANDRZEJ OSSOWSKI – MÓWIMY O KONKRETNYCH OSOBACH, Z IMIENIEM I NAZWISKIEM

Analiza materiału porównawczego to część szerszego projektu, znanego jako Polska Baza Genetyczna Ofiar Totalitaryzmów. Mamy do czynienia z czymś unikalnym?

Andrzej Ossowski: Baza to ewenement w skali polskiej, jak i europejskiej. Rozpoznawalna na świecie. Wielu naszych kolegów z innych państw nie wierzyło w możliwość masowej identyfikacji ofiar zbrodni totalitaryzmów. Taka baza nie istnieje nigdzie na świecie. Istnieje co prawda projekt identyfikacji ofiar wojny domowej w byłej Jugosławii, ale dotyczy on konkretnego wydarzenia. Mamy tam do czynienia z ok. 30 tys. ofiar, większość z nich jest już zidentyfikowanych. Był to materiał świeży, nieporównywalnie lepiej zachowany. Badacze mieli pełen dostęp do materiału genetycznego od rodzin.

W przypadku ofiar obu totalitaryzmów – komunizmu i nazizmu – skala jest liczona w milionach. Śmierć z rąk komunistów poniosło kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Ich rodziny są rozproszone po całym świecie, bardzo często losy ich bliskich po wojnie były tematem tabu, bano się o tym mówić. Co więcej, najbliżsi zamordowanych często nie widzą sensu

w oddawaniu materiału, bo nie wierzą w identyfikację swych bliskich. Często nie były to osoby znane, nie pełniły ważnych funkcji. Mimo to można było przywrócić im tożsamość. Nawet po 70 latach od śmierci.

Projekt narodził się 28 września 2012 roku, pierwsze prace były wykonane w czasie prac na Łączce. Obejmowały zbieranie materiału genetycznego z odkopanych szkieletów, a także pobieranie DNA do analizy porównawczej od krewnych ofiar. Sam zamysł utworzenia takiego rejestru jest starszy, narodził się już w 2008 roku. Otrzymaliśmy wsparcie od ówczesnego dyrektora szczecińskiego IPN Marcina Stefaniaka. Cztery lata później wszystko zadziałało.

Co takiego do badań na Łączce wnosiła genetyka?

Genetyka narzuca pewien tryb postępowania. Nie dlatego, że to jakaś wyższa nauka, a dlatego, że to jedyna nauka, dzięki której możemy ofiary komunizmu zidentyfikować z blisko stuprocentową pewnością. Oczywiście, niekiedy możemy ustalić tożsamość danej osoby za pomocą metod klasycznych – posiadając konkretne dane na temat szukanej osoby. W przeważającej ilości przypadków nie dysponujemy jednak zbyt wieloma informacjami źródłowymi.

Na Łączce odkopywano szczątki, które trudno byłoby zidentyfikować bez pomocy genetyki. Liczba ofiar tam pochowanych powoduje, że traktujemy to miejsce jako katastrofę masową. Konieczne było wykonanie badań niestandardowych – nie takich, wykonywanych zwyczajowo przy identyfikacji osób N.N. (nieznanego pochodzenia). Na Łączce stopień prawdopodobieństwa identyfikacji był znacznie zaniżany poprzez liczbę ofiar. Od początku mówiono o ok. 300 osobach.

Szczątki należące do ok. 200 osób zostały już wydobyte. Trafiły do analizy. Dla normalnego laboratorium zajmującego się identyfikacją byłaby to praca na 20 lat! Średnio zajmuje się ono kilkoma przypadkami rocznie. My mamy ich kilkaset.

Czyli badania genetyczne to konieczność…

Dzięki identyfikacji genetycznej ofiar mówimy o konkretnych osobach, z imieniem i nazwiskiem. To przemawia znacznie bardziej do

społeczeństwa niż statystyka.

Wyobraźmy sobie taką sytuację: wydobyliśmy z ziemi szkielety, ale nie poddajemy ich badaniom genetycznym. Takich ekshumacji po II wojnie światowej były tysiące. I co wtedy? Możemy się jedynie zastanawiać, czy mamy do czynienia z bohaterami pokroju rtm. Pileckiego, gen. Fieldorfa czy mjr. Dekutowskiego, czy też może ze zbrodniarzami hitlerowskimi. Bo przecież przy szczątkach odnajdowano guziki od niemieckich mundurów. Trzeba pamiętać, że na Łączce nie są pochowani wyłącznie bohaterowie. Były dyskusje, niepotrzebne spory.

Dzięki genetyce jesteśmy w stanie je rozstrzygnąć. Ponadto skupiamy wokół tej sprawy w zasadzie wszystkich – reprezentantów różnych opcji politycznych. Podziały swoją drogą, ale Polacy są na ogół zdania, że trzeba tych ludzi zidentyfikować. Bo widzą efekty prac. To ma gigantyczny wymiar społeczny, patriotyczny. Udało się przywrócić tożsamość konkretnych bohaterów – nagle sporo osób zaczęło się interesować ich życiorysami. Wcześniej bywało różnie – na ogół znali je tylko weterani, pasjonaci tematu oraz historycy. Dziś o naszych bohaterach wiele się mówi. Coś się zmieniło.

Z jakimi trudnościami w pracy przy identyfikacji ofiar komunizmu styka się genetyk?

Identyfikacja genetyczna to proces żmudny i skomplikowany. Dysponując nawet jednak wyjątkowo źle zachowanymi szczątkami, możemy liczyć na powodzenie badań. Trzeba oczywiście uzbroić się w cierpliwość. Był przypadek, że ze szkieletu zachowały się jedynie fragment trzonu kości udowej i fragmenty czaszki, a udało się odtworzyć profil genetyczny, dzięki czemu przywrócono tożsamość kolejnej ofiary.

Dodatkowo, na Powązkach spoczywają nie tylko pomordowani w więzieniach, ale także zbrodniarze hitlerowscy czy komunistyczni, także zwykli, pospolici przestępcy. To strasznie utrudnia nam pracę.

Domyślam się, że niekompletność szczątków to nie jedyny problem?

Zgadza się. Kolejny wynika z niedostatku materiału porównawczego – co najmniej połowa zabezpieczonego DNA pochodzi od dalekich krewnych

ofiar. To bardzo utrudnia pracę. Co więcej, do tej pory nie udało nam się uzyskać próbek do analizy porównawczej od członków rodzin 40 poszukiwanych ofiar.

Alternatywą dla tych problemów może być ekshumacja nieżyjących bliskich ofiary komunizmu – rodziców, rodzeństwa czy dzieci. Pobrany materiał, o ile jest dobrze zachowany, byłby dobrą podstawą do przeprowadzenia badań genetycznych. Ale to są procesy niezwykle czasochłonne, nie mówiąc już o kosztach. Doprowadzenie do ekshumacji i pobrania materiału genetycznego to miesiące ciężkiej pracy dla kilkudziesięciu ludzi, z prokuratorem włącznie. Trzeba uzyskać wszystkie niezbędne zgody.

Trudności wynikają też ze stopnia zachowania szkieletów w dołach śmierci. Część kości jest w fatalnym stanie, nawet do tego stopnia, że niemożliwe było określenie płci ofiary. Jeżeli szkielet jest źle zachowany, to DNA także, co znacznie wydłuża nasze prace. Z tego powodu badaliśmy kiedyś szczątki jednego człowieka przez 5 lat!

Z jakich części kości pobierany jest materiał DNA?

Decyzję podejmuję genetyk. Powinien być obecny przy każdym pobraniu materiału, bo to on będzie w przyszłości na nim pracował. Powinien też obejrzeć szczątki – dobrze, aby znał się na antropologii bądź konsultował się ze specjalistą z tej dziedziny nauki. Potem przychodzi czas decyzji.

Najczęściej wycinki do badań pobieramy z kości udowej, z zębów, czasem kości piszczelowej lub części skalistej kości skroniowej. Czyli z miejsc, gdzie fragmenty tkanki kostnej zbitej są dosyć grube i jest większa szansa, że DNA zachowało się dobrze. Tak naprawdę decyzja zapada na miejscu, w momencie, gdy przekroimy kość udową, zobaczymy, w jakim jest stanie. Czasem wygląda bardzo obiecująco, a po pewnym czasie okazuje się, że była w zaawansowanym stopniu rozkładu.

Dlatego zawsze pobieramy kilka próbek. Musimy uzyskać tzw. powtarzalność wyników genetycznych. Nie można ryzykować.

Co stanowi materiał DNA od żyjących krewnych ofiar?

Ślina, czyli wymaz z jamy ustnej na specjalną szpatułkę. Na Powązkach mieliśmy polowe laboratorium, gdzie zgłaszali się krewni pomordowanych, wśród nich m.in. Zofia i Andrzej Pileccy. Inni bliscy ofiar przesyłali próbki drogą pocztową.

Sytuacja z Łączką była klarowna. Rodziny zamordowanych na Mokotowie żyły w przeświadczeniu, że ich bliscy byli bohaterami. Miały świadomość tego, co się działo. Dlatego nikt ich do przychodzenia na Powązki nie namawiał. Wiedzieli, że przychodzą na niezlokalizowane groby bohaterów. Potrafili przyjechać nawet z USA, aby oddać próbkę do analizy. Czasami przynosili nawet rzeczy osobiste bliskich zamordowanych, jak np. nieśmiertelniki.

Ale były też wątpliwości, że to nic nie da po tylu latach. Musimy przekonywać, rozmawiać. Na miejscu przeprowadzane są rozmowy z bliskimi ofiar, wypełniają oni specjalne ankiety osobowe. Pamięć ludzka po 70 latach jest jednak często zawodna. To są standardowe pytania, które pojawiają się w tzw. ankietach śmiertelnych Interpolu, robimy je za każdym razem, gdy badamy ofiary katastrofy masowej. Najważniejsze są oczywiście personalia ofiary i stopień pokrewieństwa osoby, która się do nas zgłasza. Niezbędne są też informacje o cechach szczególnych, przebytych chorobach, urazach ofiary. Oczywiście, jak mamy wątpliwości, kontaktujemy się drogą telefoniczną. Ale to wydłuża cały proces.

Jeśli badamy przypadek ofiary, która miała pięcioro rodzeństwa, to powinno się pobrać materiał od każdego z nich. Niestety, często jest tak, że skoro brat czy siostra wypełniły i odesłały formularze, dołączając własne próbki DNA do analizy, to innym członkom rodziny wydaje się, że ten obowiązek już ich nie dotyczy. To błędne myślenie. Każda próbka jest ważna.

Pracujemy na specjalnym programie do archiwizacji danych, nazwanym „Łowca Dusz”. Nasza baza danych obejmuje aktualnie ok. 1400 rekordów. Do tej pory pobraliśmy przeszło 280 próbek od krewnych ofiar komunizmu z Łączki. Należy jednak pamiętać, że często do jednej ofiary materiał przekazuje wiele osób.

Co się dzieje, kiedy dysponujecie już Państwo odnalezionymi szczątkami?

Bardzo ważne są pierwsze prace ekshumacyjne. Od tego, w jaki sposób podejmiemy szczątki, jak pobierzemy materiał genetyczny, zależy powodzenie dalszych prac. Jeżeli wcześniej zostaną popełnione błędy, w laboratorium możemy być bezsilni.

Jest kilka kluczowych rzeczy. Po pierwsze, szkielety nie mogą za długo przebywać na stanowisku po ich odsłonięciu – to ma wielki wpływ na stan zachowania DNA. Tak naprawdę dopiero na Powązkach nauczyliśmy się, że im szybciej podjęty z ziemi materiał zostanie zamrożony, im szybciej trafi do laboratorium, tym później łatwiej jest na nim pracować i wyizolować profile genetyczne. Żeby się jednak tego nauczyć, trzeba być tam, na miejscu, pracować i wyciągać wnioski.

Druga rzecz: im mniej osób ma kontakt z materiałem szkieletowym, tym lepiej dla identyfikacji. Jest mniejsza szansa zanieczyszczenia go obcym materiałem genetycznym, naniesienia naszego współczesnego DNA. On jest w nieporównywalnie lepszym stanie niż ten, który znajduje się w podjętych z ziemi kościach. To jest katastrofalne dla analiz, coś, czego się uczymy od kolegów, ale i na własnych błędach. Staramy się niwelować zagrożenia, korzystać ze specjalnych kombinezonów, rękawiczek itd.

Powązki były bardzo dobrze przygotowanym stanowiskiem. Ale oczywiście ciągle się uczymy, dostajemy nowe narzędzia, poznajemy metody działania. Dziś np. już wiemy, że przy grobach zbiorowych należy zraszać szkielety wodą, aby zapobiec ich przesuszeniu. Na Łączce jeszcze tego nie stosowaliśmy.

Jak pobierany i zabezpieczany jest materiał do badań genetycznych?

Pobieramy materiał do analizy po badaniach antropologicznych, przeprowadzanych natychmiast po podjęciu szkieletu z ziemi. Zwykle wycinamy ok. 10-centymetrowy fragment kości udowej, zabezpieczamy kilka zębów. Właściwy wybór próbek ma niebagatelne znaczenie. Już na miejscu wszystko zostaje zamrożone. Maksymalny czas, jaki mija od odkopania szkieletu do umieszczenia wycinka kości w podręcznych

zamrażarkach, to 24 godziny. Sprzęt uruchamialiśmy na bieżąco dzięki generatorowi prądu.

W trakcie prac poszukiwawczych liczy się przede wszystkim czas. Trzeba więc wypracować swoisty kompromis z innymi naukowcami – razem z nami pracują przecież archeolodzy, medycy sądowi, antropolodzy. Oni wszyscy mają swoje metody pracy. Sądzę, że wszyscy udowodniliśmy, że jesteśmy w stanie wykonać powierzone nam zadania bardzo profesjonalnie. Wszyscy.

Co dalej? Materiał trafia do laboratorium?

Tak. Rozpoczynają się badania genetyczne – pierwszy krok to wprowadzenie uzyskanych próbek do systemu, ich rejestracja. Formalnie musimy mieć tzw. zlecenie wykonania badań. Po zarejestrowaniu rozpoczyna się oczyszczanie materiału, patrzymy, jakie próbki posiadamy z danego szkieletu, jak są one zachowane. Podejmujemy decyzje, które próbki będą badane.

Jak przebiega analiza krok po kroku?

Pierwszy etap to praca w pracowni antropologicznej. Tam przywożone są skrzynie z materiałem niezamrażanym, szkielety z całej Polski. Tu trafiają też wycinki kości z Łączki. To jest tzw. etap brudny – mamy do czynienia z materiałem, który nie został zdekontaminowany, czyli oczyszczony z DNA ludzkiego i bakteryjnego. To jest pierwszy krok – oczyszczenie w specjalnych komorach, następnie szlifowanie i przemywanie środkami chemicznymi, a następnie wystawianie pod działania lamp UV.

Zawsze zaczynamy od zębów – oglądamy, wybieramy tylko niepopękane, nieuszkodzone, nieleczone. Samo oczyszczanie jednej próbki trwa ok. 4 godzin – proces ten dokonuje się w specjalnych komorach. Ząb jest szlifowany, chemicznie oczyszczany, a następnie dekontaminowany pod lampą UV – w celu pozbycia się DNA bakteryjnego i ludzkiego (obcego). Jeśli mamy kilka próbek, przypuśćmy pięć, to na ich oczyszczenie poświęcamy ok. 20 godzin.

Później zajmujemy się fragmentami kości udowej. Piłujemy wierzchnie warstwy, oczyszczamy, a następnie tniemy na mniejsze części. Następnie

materiał jest miażdżony w ciekłym azocie. Zamrażamy go w temperaturze –196 stopni Celsjusza, a następnie trafia on na tzw. młyny kriogeniczne. Po zmiażdżeniu powstaje pył kostny. Z nim pracujemy w pracowniach izolacji.

Stworzyliśmy tam linię badawczą, która zajmuje się tylko i wyłącznie izolacją DNA z materiału kopalnego (kostnego). Wszystko odbywa się w sterylnych pomieszczeniach, w specjalnych komorach.

Właśnie w tym miejscu ręcznie, przez laboranta, izolowany jest DNA z kości. Profile genetyczne każdego pracownika są wprowadzane do systemu, aby wykluczyć ewentualność zanieczyszczenia badanych próbek obcym materiałem DNA.

Materiał izolujemy także dwoma innymi metodami: metodą magnetyczną i fenolowo-chloroformową. Wszystko dzieje się jednocześnie – w tym samym czasie badamy materiał kostny od ofiary komunizmu, jak i członków rodziny zamordowanego. Za każdym cyklem izolacji DNA mamy co najmniej kilkanaście profili genetycznych. Finalnie uzyskujemy nawet kilkaset wyników.

Po wyizolowaniu DNA trzeba sprawdzić, czy jest ono ludzkie. Do tego stosowana jest technologia reakcji PCR w czasie rzeczywistym (reakcja łańcuchowa polimerazy). DNA jest namnażane. Tu już się zaczynają schody. Jest to proces niezwykle skomplikowany, przeprowadzany za pomocą specjalnego robota. Na płytki nakładane są izolaty; łączymy je z płytkami lustrzanymi zawierającymi środki chemiczne. Stosujemy do tego specjalną sondę, która przykleja się do materiału genetycznego w izolacie i dobudowuje komplementarną nić DNA do wyizolowanego już fragmentu materiału pochodzącego od ofiary.

Ten etap kończy się ślepo, ale daje nam informację, czy w badanym materiale znajduje się ludzkie DNA, w jakim znajduje się stanie, czy jest zdegradowane, czy nie, czy występują tzw. inhibitory (blokery) – czyli coś, co uniemożliwi nam dalsze badanie. W przypadku stwierdzenia inhibicji należy oczyścić produkt.

Po uzyskaniu konkretnych wyników eksportujemy je w postaci zapisu matematycznego, a robot przeprowadza reakcję PCR, wielokrotnie oziębiając i ogrzewając próbki. Izolat DNA jest analizowany kilkoma zestawami markerów. Zachodzi równocześnie wiele reakcji – profili genetycznych z markerami zlokalizowanymi na chromosomach autosomalnych, profili genetycznych chromosomów X i Y;

sekwencjonujemy też DNA mitochondrialne. Jedną próbkę analizujemy co najmniej trzema metodami (zestawami markerów).

Finalnie na profil genetyczny danej osoby składa się kilka–kilkadziesiąt izolacji DNA i do kilkuset reakcji PCR.

DR JAROSŁAW PIĄTEK – EFEKTY PRAC PRZEKŁADAMY NA JĘZYK CYFR

Jak bada się prawdopodobieństwo pokrewieństwa?

Jarosław Piątek: Skomplikowany proces izolacji DNA już za nami. Kolejny etap to zwizualizowanie materiału za pomocą sekwenatorów. Porównujemy wytworzone profile genetyczne. Z maszyny drukowane są kolorowe elektroforegramy z cechami, dokonuje się analizy i obliczeń biostatystycznych. Wyniki nanoszone są na specjalną kartę, na której porównywane są konkretne cechy – ofiary i członka jego rodziny. Efekty naszych prac przekładamy na język cyfr, korzystając ze specjalnego oprogramowania.

Podczas badania prawdopodobieństwa pokrewieństwa zwykle bada się tyle cech, aby uzyskać wynik minimum sześć dziewiątek po przecinku. Takie są ustalenia Polskiej Komisji Genetycznej w przypadku ustalania ojcostwa. Nie zawsze to się jednak udaje w przypadku identyfikacji ofiar – przyjmuje się zatem, że dokładny wynik to co najmniej dwie dziewiątki po przecinku.

Dlaczego nie sto procent?

Takiego wyniku nigdy nie uzyskamy, bo to jest czysta matematyka. Trzeba brać pod uwagę m.in. prawdopodobieństwo mutacji.

Czas wykonania badania porównawczego zależy od stopnia pokrewieństwa osób, których cechy analizujemy. Proces ten może trwać miesiącami, a nawet latami. Badanie DNA jądrowego jest o wiele łatwiejsze niż DNA mitochondrialnego, dziedziczonego tylko w linii żeńskiej. Wszystko zależy od stanu zachowania DNA i dostępności materiału porównawczego od krewnych.

Po obliczeniach dokonywana jest kompleksowa ekspertyza w formie tabeli, zakończona wydaniem konkretnej opinii – pozytywnej lub negatywnej. Wyniki przekazywane są prokuratorowi IPN. Tymczasem rodziny, w przypadku pomyślnego zakończenia badań, otrzymują specjalne certyfikaty identyfikacyjne.

ŻYCIE PO ŻYCIU

O Boże! Chciałbym zapytać Ciebie,
Jakich Polaków najwięcej w niebie? […]
Płaszczem mej chwały, blaskiem okryci
Są tutaj wszyscy polscy bandyci
fragment wiersza *Bandyci*,
opublikowanego w piśmie satyrycznym „Szydło”
(wyd. Obwód Łomża WiN), 20 września 1946 r.

Mówi się, że nadzieja umiera ostatnia. Podobnie pamięć, przechowywana po dekadach zakłamania, budująca tożsamość jednostek i zbiorowości. Jeżeli można powiedzieć o kimś, że trwa w czyjejś świadomości, to znaczy, że „żyje”. Nawet kilkadziesiąt lat po śmierci fizycznej.

Wiele się zmieniło, ale idee, o które niegdyś walczono, nie są dziś tylko pustymi hasłami. Ich nie dało się zabić, wyprzeć z pamięci, zostawić na śmietniku historii. Jak bohaterów, wrzuconych do dołów śmierci, przykrytych grubą warstwą ziemi. Dekady później kości niektórych ujrzały światło dzienne. Dzięki wysiłkowi ludzi, którzy, zanim rozpoczęli poszukiwania, musieli przekonywać, że to wszystko ma sens. Opłacało się.

Naukowcy uczestniczący w procesie poszukiwania ich szczątków nie mają wątpliwości: to wielkie wyzwanie, misja, poczucie spełnionego obowiązku. Tygodnie spędzone w jamach grobowych i polowych laboratoriach, miesiące – w pracowniach genetycznych. Na wyniki prac trzeba niekiedy czekać nawet latami! Zadowalający rezultat może być jednak tylko jeden: identyfikacja szczątków, obwieszczenie, że kolejny bohater nie jest już tylko numerem w dole śmierci. Nagroda? Autentyczne wzruszenie członków rodzin ofiar, którzy mimo wielu przeciwności losu wierzyli, że w końcu się uda.

Efekty prac mówią same za siebie. Trzech spośród pięciu postaci opisywanych w tej publikacji – ppłk Kasznica, mjr Dekutowski i mjr Szendzielarz – zyskało symboliczne „życie po życiu”. Wszyscy, po dziesięcioleciach, mają swoje fizyczne groby. Pożegnano ich z należnymi honorami. Powiedziano: to bohaterowie, nie zdrajcy czy bandyci.

Miejmy nadzieję, że stanie się tak również z gen. Fieldorfem i rtm. Pileckim, bez których XX-wieczne losy Polski, jakkolwiek tragiczne, byłyby ubogie. To będzie dziejowa sprawiedliwość. Oni też, tak jak pozostałe ofiary komunizmu spoczywające dotąd w bezimiennych dołach, muszą być przywróceni Polsce.

STANISŁAW KASZNICA
Data egzekucji: 12 V 1948
Data ekshumacji: 27 VII 2012
Data powiadomienia o identyfikacji: 20 II 2013
Data uroczystego pogrzebu: 27 IX 2015

Jak wyglądała jama grobowa, w której odnaleziono szczątki ppłk. Kasznicy. Czy odbiegała czymś od pozostałych?

Krzysztof Szwagrzyk: Pamiętam bardzo ładny, żółty, czysty piasek. Ta jama, sąsiednia zresztą też, miały wyjątkową ziemię. Na jej tle szczątki trzech mężczyzn wrzuconych na siebie, z rozłożonymi rękoma, robiły szczególne wrażenie. Dwie ofiary leżały na plecach, jedna spoczywała, leżąc twarzą do ziemi.

W chwili egzekucji ppłk Kasznica miał na sobie ubranie, w jego dole zachowały się fragmenty tkaniny. Na ich podstawie trudno jednoznacznie stwierdzić, jaki dokładnie był to ubiór. Na pewno jednak miał na sobie buty, zapewne sporych rozmiarów. Znaleźliśmy w jego dole suchą, bardzo zabrudzoną skórę. To najprawdopodobniej materiał, z którego wykonane były trzewiki wojskowe.

To była w ogóle jedna z pierwszych jam grobowych, którą odkryliśmy na Łączce. Był lipiec 2012 roku. Jeśli chodzi o kolejność pochówków, podpułkownik spoczywał w czwartej mogile od skraju obszaru, na którym poszukiwaliśmy, a więc na początku więziennego pola grzebalnego.

W tym samym grobie spoczywały m.in. szczątki innego mężczyzny, rówieśnika ppłk. Kasznicy. Jest prawie pewne, że należą do Lecha Neymana, bliskiego współpracownika ostatniego dowódcy NSZ. Zostali straceni chwilę po sobie.

W tym dole były jeszcze szczątki jednej osoby. Do tej pory nie została zidentyfikowana, choć oczywiście swoje typowania już mieliśmy. Dosyć

często zdarzało się tak, że ten, który grzebał zwłoki, dla ułatwienia pracy – aby nie jeździć dwa razy w tygodniu na cmentarz, mając świadomość, że egzekucje są co kilka dni – czekał na wystarczającą liczbę ciał zamordowanych więźniów, aby zawieźć je na cmentarz jednorazowo.

Czy znaleźliście Państwo jakieś przedmioty osobiste?

KS: Udało się jedynie odnaleźć bliżej nieokreślone fragmenty metalu, być może pochodzące z przedmiotów osobistych. Trudno stwierdzić, były one bowiem w sporym stopniu pokryte korozją.

Komu z najbliższych ostatniego komendanta NSZ przekazał Pan informację o identyfikacji?

KS: 25 stycznia 2013 roku zadzwoniłem do jedynej córki ppłk. Kasznicy, Zofii Bartczak. Była bardzo schorowana, nie mogła przyjechać na uroczysty pogrzeb swego ojca do Warszawy. Mieszkała w Oleśnicy na Dolnym Śląsku. Zmarła w listopadzie 2015 roku.

Skontaktowaliśmy się także z siostrą podpułkownika – Eleonorą Kasznicą, która mieszka w jednym z warszawskich domów opieki.

Jak zachował się szkielet ppłk. Kasznicy?

Łukasz Szleszkowski: Dość dobrze, ale był niekompletny. Ważne, że odnaleźliśmy dobrze zachowaną czaszkę.

Jakie obrażenia Pan stwierdził?

ŁS: Problemem były nakładające się na siebie obrażenia przedśmiertne i pośmiertne, a także zmiany erozyjne. Dlatego jednoznacznie nie mogłem stwierdzić, że przyczyną zgonu był postrzał w głowę. Wszystko jednak na to wskazywało.

Gdy pocisk trafia do środka czaszki, widać zarówno otwór wlotowy, jak i wylotowy. Wszystkie części można złożyć i efekt jest jednoznaczny. Mamy wtedy największe możliwości, aby odtworzyć charakter obrażeń ofiary. Zazwyczaj stwierdzamy, że mamy do czynienia z typową czaszką „katyńską”, w której otwór wylotowy znajduje się nad oczodołem.

W przypadku ppłk. Kasznicy pocisk nie trafił bezpośrednio w kości czaszki, z jakichś powodów ją ominął. Zapewne postrzał został wykonany niżej, trafił ofiarę pomiędzy kark i kość potyliczną. Wówczas pocisk omija jamę czaszki i prześlizguje się przez jej podstawę. Powoduje obrażenia, ale nie tak ewidentne jak przy strzale w potylicę.

Co zatem było bezpośrednią przyczyną śmierci ppłk. Kasznicy?

Najpewniej uraz głowy, niestety, o nieznanym charakterze, prawdopodobnie wynikający z mechanizmu postrzałowego.

Czyli śladów po pocisku nie było?

ŁS: Nie. Co nie oznacza, że pułkownik nie został zabity strzałem. W toku oględzin stwierdziłem obrażenia głowy, na co wskazywały istniejące szczeliny złamań czaszki o charakterze obrażeń przedśmiertnych. Nie było jednak śladu po wlocie ani wylocie kuli. Niewykluczone więc, jak już wspomniałem, że pocisk prześlizgnął się po podstawie czaszki.

Czy obrażenia te mogły powstać wskutek np. pobicia?

ŁS: Ten charakter szczelin i złamań przemawia raczej za postrzałem, ale jednoznacznego dowodu nie miałem – to wynika ze stanu zachowania czaszki. Sądzę, że nie ma podstaw do spekulacji, że w tym wypadku był jakiś inny sposób pozbawienia życia.

Do tej pory mieliśmy na Łączce tylko jeden przypadek, gdy stwierdziliśmy pojedyncze złamania wskazujące na uraz powstały po zadaniu ciosu tępym przedmiotem. Nie było więc wiadomo, czy owa ofiara została stracona w więzieniu, czy też np. pobita w czasie przesłuchania. Nie znamy jej personaliów.

Czy, pomijając czaszkę, stwierdził Pan jakieś inne obrażenia?

ŁS: Nie, nie było śladów tortur, choć wszyscy o nie pytają. Do tej pory, badając szkielety, prawie w ogóle takich obrażeń nie stwierdzałem. Poza wygojonymi ranami, wybitymi zębami itd.

Ale zawsze powtarzam – brak śladów złamań nie oznacza, że więźniowie nie byli torturowani. Wystarczy poczytać wspomnienia osób przesłuchiwanych i przetrzymywanych w więzieniach. Wynika z nich, że jeśli ktoś stosował przemoc fizyczną w czasie śledztw, robił to tak, żeby nie zostawiać śladów. Badając szczątki brutalnie przesłuchiwanych więźniów okresu stalinowskiego, nie spodziewałem się więc, że będą mieli połamane kości. Brak takich obrażeń wcale mnie nie dziwi.

Typowanie identyfikacyjne szczątków ppłk. Kasznicy przyniosło efekty?

ŁS: Sekwencja pochówków i wiedza na temat daty egzekucji ppłk. Kasznicy, pogrzebanego razem ze swoim bliskim współpracownikiem, straconym tego samego dnia, wskazywały na duże prawdopodobieństwo. Udało się to potwierdzić genetycznie. Jednak w tym przypadku – z uwagi na stan zachowania kości – nie mamy pewności, czy to był mechanizm postrzałowy. Abstrahując od kontekstu badanego przypadku, sam charakter obrażeń nie pozwala na kategoryczne wnioski. Wynika z niego jednak, że przyczyną zgonu były obrażenia głowy. Prawdopodobnie o charakterze postrzałowym. Sądzimy więc, że podpułkownik został rozstrzelany.

W przypadku ppłk. Kasznicy trudność polegała na tym, że musiałem wypowiedzieć się w mniejszym stopniu kategoryczności. Ale technicznie to był najprostszy przypadek, bo nie było zbyt wiele do opisu.

Jak przebiegał proces identyfikacji szczątków ppłk. Kasznicy?

Andrzej Ossowski: W tym przypadku nie było większych problemów. Mieliśmy dobry materiał porównawczy pobrany od córki komendanta – Zofii Bartczak, a także od siostry – Eleonory Kasznicy. Byli rodzeństwem przyrodnim, mieli tego samego ojca i różne matki. Ale ich matki… były siostrami. Z genetycznego punktu widzenia była to dla nas dobra wiadomość. Szkielet był stosunkowo dobrze zachowany, na pewno dużo lepiej niż np. mjr. Szendzielarza. Sprawnie i szybko udało się sprofilować DNA.

Jakie informacje znalazły się w ekspertyzie identyfikacyjnej?

AO: Sporządziliśmy protokół uwzględniający daty: ekshumacji, przeprowadzenia badań i wydania opinii. Umieszczono w nim informacje na temat materiału genetycznego od rodziny i metody badawczej. W tym przypadku analizowaliśmy DNA jądrowe zestawem markerów NGM. Uzyskane prawdopodobieństwo wyniosło sześć dziewiątek po przecinku.

HIERONIM DEKUTOWSKI
Data egzekucji: 7 III 1949
Data ekshumacji: 9 VIII 2012
Data powiadomienia o identyfikacji: 22 VIII 2013
Data uroczystego pogrzebu: 27 IX 2015

Co wiemy na temat miejsca pogrzebania mjr. Dekutowskiego?

Krzysztof Szwagrzyk: Majora pochowano w dole zlokalizowanym w drugim rzędzie pola grzebalnego, w odległości ok. 5 metrów od jamy, w której znaleźliśmy szczątki ppłk. Kasznicy.

Do niedawna na Łączce znajdował się pomnik poświęcony ofiarom komunizmu, wzniesiony 1991 roku. Centralne uroczystości ku czci zamordowanych urządzano bardzo często właśnie w miejscu, gdzie kilkadziesiąt lat w ziemi leżały szczątki mjr. Dekutowskiego, a także ppłk. Kasznicy. Delegacje składające wieńce szły więc po szczątkach polskich bohaterów, aby móc zbliżyć się do pomnika.

Czy odkopane kości ofiary na cokolwiek wskazywały?

KS: Wyjmowaliśmy z ziemi kolejne czaszki i elementy szkieletów. Jak się okazało, w jednym dole spoczywały szczątki aż ośmiu mężczyzn. Naszą uwagę zwrócił jednak fakt ich ułożenia. Do tej pory prawie we wszystkich przypadkach było tak, że nawet jeżeli w dole umieszczano szczątki kilku mężczyzn, to byli oni wrzucani z pewnej wysokości. W tym przypadku było inaczej – wszystkie ofiary zostały ułożone, jedna na drugiej.

O czym to świadczy?

KS: Osoby, które odpowiadały za grzebanie, musiały włożyć sporo wysiłku, aby wcisnąć osiem ciał do wąskiej jamy grobowej, o szerokości nieco ponad metra. To wskazuje na przemyślane działanie co najmniej dwóch osób. Przecież ktoś musiał ciała podawać, a inna osoba – znajdować się w dole i układać zwłoki. Świadczy o tym ułożenie rąk i nóg – prawie zawsze były wyprostowane, brak było zgięć charakterystycznych dla wrzucania do grobu.

Ciała układano na tzw. zakładkę, co sprawdzało się przy wyjątkowo wąskiej przestrzeni. Głowę jednej ofiary układano w nogach drugiej – i tak naprzemiennie. Major Dekutowski został pochowany najwyżej, leżał twarzą do ziemi. Miał na sobie prawdopodobnie mundur niemiecki, na co wskazują pozostałości materiału, charakterystycznego dla wojskowego kroju. Udało nam się znaleźć guzik. Sądzimy, że pochodził od typowej kurtki mundurowej. Podobnie ubrani byli zapewne jego żołnierze, których szczątki odnaleźliśmy razem z „Zaporą". Wskazują na to też źródła historyczne.

Czy odnaleziono jakieś przedmioty osobiste?

KS: Wiadomo, że w chwili śmierci major miał przy sobie pomarańczową szczoteczkę do zębów. Znaleźliśmy ją niekompletną, pozbawioną włosia.

Do kogo Pan zadzwonił po nadejściu pomyślnej informacji o identyfikacji szczątków „Zapory"?

KS: Do Grażyny Chojeckiej z Warszawy, córki jednej z siostrzenic mjr. Dekutowskiego. Pani Chojecka bardzo często przychodziła na Łączkę, aby doglądać prac poszukiwawczo-ekshumacyjnych. Nasze kontakty były wręcz rodzinne. Rodzina majora szczególnie wycierpiała od komunistów, więc te oczekiwania względem naszej pracy były szczególne.

O identyfikacji szczątków majora poinformowałem też jego siostrzenicę, Krystynę Frąszczak, mieszkającą w rodzinnym Tarnobrzegu.

Ośmioosobowy dół śmierci na Łączce nie był chyba codziennym widokiem w czasie prac na Łączce? Skojarzenia nasuwały się same?

Łukasz Szleszkowski: Można tak powiedzieć. „Zaporczyków”, co wiedzieliśmy ze źródeł, stracono jednego dnia, zaraz po sobie. Ale było ich siedmiu. Ofiara, która spoczywała razem z nimi w jednym dole, została zamordowana kiedy indziej, co wiedzieliśmy z danych archiwalnych. Ale to był prawdopodobnie tylko dzień różnicy. Wiedzieliśmy przecież, że często w więzieniach „zbierano” straconych skazańców z kilku dni i chowano ich później w wieloosobowych jamach grobowych.

Analiza odnalezionych szkieletów i wiedza historyczna pozwoliły wytypować szkielet „Zapory”. Gdy popatrzyliśmy na jego zdjęcia, rzucały nam się w oczy pewne podobieństwa – szerokie czoło, wąska żuchwa, charakterystyczna czaszka. Wszystko do siebie pasowało…

Jak zachował się szkielet „Zapory”?

ŁS: Średnio. Nie był to idealny stan, ale i tak nieźle jak na warunki, w których przebywał tyle lat.

Jakie obrażenia Pan stwierdził?

ŁS: Jednoznacznie postrzałowe. Mieliśmy otwór wylotowy w obrębie kości czaszki, niestety – wlotowy się nie zachował, co wynika z faktu, że czaszka była niekompletna.

Były trudności w interpretacji?

ŁS: Na materiale kostnym, oprócz otworu wylotowego, był widoczny wzór szczelin złamań, który typowo towarzyszy otworom postrzałowym. Nie powstałyby, gdyby to była zmiana erozyjna. Więc musiał to być otwór postrzałowy, nie miałem wątpliwości.

W przypadku zmian erozyjnych kość będzie uszkodzona w najsłabszych miejscach. Z pewnością za takie nie można uznać łuski kości czołowej – to jedna z najgrubszych kości, a w przypadku mjr. Dekutowskiego mieliśmy rozległe pęknięcie i szczeliny, które wskazywały, że to było tzw. złamanie

o typie *perimortem trauma*. Tak samo w obrębie kości ciemieniowej – kolejnej „grubej” kości. To typowe uszkodzenia po urazie (postrzale).

Proszę pamiętać, że medycy sądowi z natury wątpią we wszystko. Każdą zmianę, np. otwór w kości potylicznej, którą postronni interpretują jako ewidentny postrzał katyński, analizuję na chłodno. Mówię: „nie, to jest zmiana erozyjna; jeśli chcesz udowodnić co innego, znajdź dowody”.

Czy stwierdził Pan jakieś inne charakterystyczne zmiany kostne?

ŁS: Nie. Uwagę zwracała złamana żuchwa, ale to raczej jeden ze skutków postrzału.

Czyli major zginął od pojedynczego strzału w głowę, a nie – jak mówi jedna z więziennych legend – skrępowany, rozstrzelany gradem kul?

ŁS: Potwierdziliśmy, że śmierć nastąpiła wskutek strzału w głowę; żadne inne kości nie były uszkodzone. Więc opowieść, że „Zapora” miał zostać powieszony w worku pod sufitem i że strzelano do niego z karabinów maszynowych, jest mało prawdopodobna. Bo na dość dobrze zachowanym szkielecie pozostałyby jakieś ślady.

Mieliśmy już takie przypadki, np. wśród pochowanych na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. Ofiary, rozstrzelane ogniem pepesz przez pluton egzekucyjny, posiadały liczne obrażenia postrzałowe – od pięty do głowy.

W przypadku mjr. Dekutowskiego mieliśmy dość jednoznaczną ośmioosobową jamę grobową. Rozumiem, że obyło się bez problemów przy analizie porównawczej DNA?

Andrzej Ossowski: Niestety, problemy były, i to poważne. Najbliżsi członkowie rodziny majora już nie żyli, więc dysponowaliśmy jedynie materiałem genetycznym pochodzącym od dalekich krewnych po linii żeńskiej – dwóch siostrzenic: Jadwigi Leśniak i Krystyny Frąszczak, a także córki jednej z nich – Grażyny Chojeckiej.

Biorąc pod uwagę np. stosunki interpersonalne, wydaje nam się, że to bliska rodzina. Z punktu widzenia genetyki, było jednak zupełnie inaczej.

Ale fakty historyczne, analiza antropologiczna, raczej nie pozostawiały wątpliwości?

AO: Udało nam się zidentyfikować większość jego podkomendnych, którzy zostali pochowani w jednej jamie grobowej razem z „Zaporą". Znaliśmy fakty historyczne. Typowaliśmy, na podstawie DNA mitochondrialnego, który szkielet może należeć do mjr. Dekutowskiego, ale nie podjęliśmy decyzji o jego ostatecznej identyfikacji. Nie chcieliśmy obniżać standardów naszych badań – przy tak dużej liczbie osób prowadzi to w prostej linii do błędów. A tych zawsze chcemy uniknąć.

Dzięki zgodzie wyrażonej przez rodzinę majora, udało się ekshumować jego rodziców, pochowanych w Tarnobrzegu. Sytuacja była sprzyjająca, bo zamierzano akurat wyremontować rodzinny grobowiec. Korzystając z „okazji", pobraliśmy DNA od rodziców „Zapory" – Marii i Jana Dekutowskich. Uzyskaliśmy dobry materiał do analiz, ale same badania nie były proste; wymagały znacznego wysiłku. Proces identyfikacji trwał około roku.

Jaki zapis znalazł się w ekspertyzie?

AO: Wykonaliśmy analizę DNA jądrowego markerami zlokalizowanymi na chromosomach autosomalnych zestawem NGM oraz badaliśmy chromosom Y zestawem markerów zlokalizowanych na tym chromosomie. Chromosom Y jest przekazywany z ojca na syna i tu porównywaliśmy „Zaporę" z jego ojcem. Ponadto przeprowadzono analizę DNA mitochondrialnego, pochodzącego od matki, dwóch siostrzenic i córki siostrzenicy.

Prawdopodobieństwo było bardzo wysokie – wyniosło aż osiemnaście dziewiątek po przecinku. W opinii sądowo-lekarskiej napisano, że „wyniki obliczeń biostatystycznych i analiza porównawcza pozwala stwierdzić z wysokim prawdopodobieństwem, że N.N. mężczyzna to Hieronim Dekutowski, syn Marii i Jana Dekutowskich".

ZYGMUNT SZENDZIELARZ
Data egzekucji: 8 II 1951
Data ekshumacji: 22 V 2013

Data powiadomienia o identyfikacji: 22 VIII 2013
Data uroczystego pogrzebu: 24 IV 2016

Czy oględziny szczątków mjr. Szendzielarza wpłynęły na wiedzę o okolicznościach jego śmierci?

Krzysztof Szwagrzyk: Na pewno wiemy więcej. Major zginął od jednego strzału, oddanego w potylicę. Nie był to jednak klasyczny strzał katyński. Wlot po kuli znajdował się na samym czubku czaszki. Nasza teoria zakłada, że człowiek, który strzelał do „Łupaszki", znajdował się wyżej od niego, szedł za nim. Skazaniec nie był niski, miał 179 cm wzrostu. Jego oprawca musiał strzelać z pewnej wysokości. To prawdopodobne, zważywszy na niski wzrost strażników więziennych, którzy odpowiadali za egzekucje.

To również potwierdzenie tego, co wiemy z różnych źródeł, że w 1951 roku na Mokotowie więźniów sprowadzano do pomieszczenia, które znajdowało się poniżej piwnicy. Kiedy skazaniec schodził po schodach na dół, kat znienacka mierzył i strzelał w tył jego głowy. Ślad po wlocie kuli, po odtworzeniu toru lotu pocisku, wskazuje, że właśnie tak zginął mjr Szendzielarz.

Jaka była specyfika jamy grobowej, w której odnaleziono kości „Łupaszki"?

KS: Odkrycie jamy nastąpiło w maju 2013 roku. Była umiejscowiona bardzo płytko pod powierzchnią drogi asfaltowej, którą wytyczono na początku lat 60. pośrodku pola więziennego, a więc kwatery Ł. Pod tą drogą znajdowało się kilkadziesiąt dołów śmierci.

Dół, w którym odnaleźliśmy zwłoki majora, w naszej dokumentacji archeologicznej oznaczyliśmy rzymską cyfrą V. Znajdowały się tam szczątki jeszcze trzech towarzyszy „Łupaszki" z wileńskiej partyzantki – ppłk. Antoniego Olechnowicza, por. Henryka Borowskiego i por. Lucjana Minkiewicza. Dziś już wiemy, że zwłoki majora wrzucono na ciała pozostałych ofiar – twarzą do ziemi. Leżały najwyżej. Prawdopodobnie wleczono go, bowiem miał bardzo charakterystycznie ugięte stawy łokciowe. Wystawały poza jamę grobową. To jednoznacznie świadczy o tym, że zwłoki były ciągnięte właśnie za ręce.

Czy major był torturowany?

KS: Nie znaleźliśmy na kościach śladów po torturach. Pęknięć i złamań nie było. Nie oznacza to jednak, że tych tortur nie przechodził. Wszyscy znamy metody, jakie stosowali komuniści, a także nienawiść, jaką żywili do mjr. Szendzielarza. Nic nie wskazuje na to, aby stosowali wobec niego jakieś wyjątkowe metody przesłuchania.

Komuniści próbowali zacierać ślady?

KS: Był to kolejny przypadek dołu, na który nasypano w celach maskujących spore ilości ziemi. Potem poprowadzono nad nim z premedytacją drogę asfaltową. Były to działania planowe, wykonane z pełną świadomością.

Czy znaleziono jakieś przedmioty osobiste?

W co była ubrana ofiara w chwili wrzucenia do dołu?

KS: Na podstawie zachowanych szczątków i strzępków materiałów, które przy nich odnaleźliśmy, nie jesteśmy w stanie stwierdzić, jakie major miał na sobie ubranie. Z pewnością nie pochowano go nago. Oprócz fragmentów tkanin znaleźliśmy przy jego szkielecie także owalny guzik.

Ponadto przy szczątkach znajdował się metalowy przedmiot, bliżej nieokreślony, w znacznym stopniu skorodowany. Gdyby okazało się, że to np. część sprzączki, byłaby to wskazówka, że majora pochowano w mundurze wojskowym.

A jaka była praktyka grzebania na Łączce?

Co mieli na sobie zamordowani?

KS: Praktyka była bardzo różna. Na pewno więźniowie mogli mieć na sobie jakieś cywilne ubrania czy więzienne drelichy. Na części szczątków stwierdzono fragmenty tkanin wyraźnie pochodzących z wojskowego munduru. Inne znaleziska wskazywały na rodzaj koca, płótna. Nie da się

określić precyzyjnie, w czym w latach 1948–1956 kaci grzebali swe ofiary na Łączce. To zależało od różnych okoliczności.

Często w literaturze przedmiotu można spotkać się z informacją, że komuniści chowali swe ofiary nago. Wątpię, żeby do takich przypadków dochodziło na Powązkach. Fragmenty znalezionych materiałów jednoznacznie temu przeczą.

Czy poszukiwanie szczątków mjr. Szendzielarza sprawiło szczególne trudności?

KS: Miejsce oznaczone jako „V” nie różniło się specjalnie od sąsiednich jam grobowych. Kolejny dół, w którym znajdowały się szczątki wrzucone na siebie. To spowodowało, że z czasem one się ze sobą zmieszały. Szczególna trudność polegała na tym, żeby te szczątki oddzielić.

Poszukiwaliśmy każdego z osobna, więc nie mogliśmy sobie pozwolić, aby ich od siebie nie odseparować. To jednak zupełnie zwyczajna okoliczność przy zbiorowych jamach grobowych.

To Pana obowiązkiem i honorem jest powiadamianie rodziny o identyfikacji. Jak było w przypadku najbliższych mjr. Szendzielarza?

KS: Tak, to mój obowiązek, ale nie przypominam sobie szczegółów tej rozmowy.

Jaki charakter obrażeń stwierdzono u mjr. Szendzielarza?

Łukasz Szleszkowski: Zdecydowanie były to obrażenia powstałe po postrzale. W tym przypadku, przy zachowaniu śladów po wlocie i wylocie pocisku, nie mieliśmy wątpliwości co do mechanizmu obrażeń.

Czyli przy oględzinach i analizie obyło się bez problemów?

ŁS: Niekoniecznie. To znaczy w sensie orzeczniczym – tak. Obrażenia „Łupaszki” były jednoznaczne, ale jeśli chodzi o samo badanie, to był najtrudniejszy przypadek! Czaszka była wyjątkowo popękana, trzeba było ją skleić, aby cokolwiek wywnioskować.

Jak przebiegała praca w laboratorium genetycznym? Czy stan zachowania szczątków miał na nią decydujący wpływ?
Andrzej Ossowski: Szczątki były źle zachowane, bo leżały w jamie, znajdującej się bezpośrednio pod cmentarną drogą. W tym miejscu zapadł się asfalt, rosło drzewo, zbierała się woda. Wszystko to miało wpływ na zachowanie szkieletu, więc sprofilowanie materiału genetycznego nie było zadaniem łatwym. Trochę niespodziewanie wszystko przebiegło wyjątkowo sprawnie.

Ze względu na dobry materiał porównawczy?

AO: Początkowo mieliśmy z tym poważny problem. Co prawda zgłosiła się rodzina majora, ale okazało się, że są to zbyt dalecy krewni.

Dobry materiał porównawczy udało się zabezpieczyć niemal w ostatniej chwili – od zmarłej córki mjr. Szendzielarza – Barbary. Wymaz z jamy ustnej pobrano tuż przed kremacją ciała. To była wyjątkowa sytuacja, która umożliwiła dalsze badanie i pełne powodzenie prac.

Zastosowaliśmy badanie DNA jądrowego w zestawie markerów NGM, uzyskując prawdopodobieństwo – cztery dziewiątki po przecinku. Major Szendzielarz był 15. ofiarą terroru komunistycznego z Łączki, którą udało zidentyfikować.

WITOLD PILECKI
Data egzekucji: 25 V 1948
Data ekshumacji: ?
Data powiadomienia o identyfikacji: ?
Data uroczystego pogrzebu: ?

Co wiemy o okolicznościach śmierci rotmistrza? Jakie informacje okazują się przydatne podczas poszukiwań jego szczątków?

Krzysztof Szwagrzyk: Witold Pilecki został stracony 25 maja 1948 roku, dwa tygodnie po egzekucji ppłk. Kasznicy. To bardzo ważna informacja w kontekście wątpliwości, czy Pilecki został pochowany na Łączce. Moim zdaniem – tak. Nie sądzę, żeby poszczególne jamy grobowe ze szczątkami straconych od kwietnia 1948 roku nie kryły w sobie gdzieś kości rotmistrza.

Nie widzę powodu, dla którego komuniści mieliby zastosować w tym przypadku jakąś inną procedurę grzebania. Przecież mieli specjalne miejsce na końcu cmentarza, nawet za nim. Było pilnowane, nikt z zewnątrz nie miał tam dojścia. Dlaczego przed samymi sobą mieli ukrywać miejsce pogrzebania ciała Pileckiego? Nie było potrzeby.

Skoro pochowali na Łączce tak wielkich Polaków, tak groźnych dla systemu komunistycznego, jak ppłk. Kasznica czy majorowie Szendzielarz, czy Dekutowski, to dlaczego oprawcy mieliby gdzie indziej ukryć szczątki rotmistrza. Albo je skremować, bo i taka hipoteza była podawana. Jestem przekonany, że kości naszego bohatera są gdzieś w kwaterze „Ł".

Być może zostały one już odnalezione, tylko nie wiadomo, że chodzi o rotmistrza…

KS: Do tej pory nie mamy genetycznego potwierdzenia, ale to bardzo prawdopodobne. Proszę pamiętać, że Łączka zaczęła być wypełniana szczątkami więźniów od kwietnia 1948 roku. Zwłoki rotmistrza musiały być pogrzebane gdzieś w pierwszym rzędzie, w okolicy jamy grobowej, gdzie odkryliśmy kości ppłk. Kasznicy. Ten teren został już szczegółowo przebadany, a wszystkie szczątki podjęte.

Odnalezione szczątki były już typowane jako przynależące do rotmistrza. Ciągle czekamy na efekty prac genetyków.

Rotmistrz miał zginąć w egzekucji przez rozstrzelanie. Ale wiemy, że do bohatera celował nie cały pluton egzekucyjny, jak to przewidywały przepisy, a jeden człowiek…

KS: Wiemy, że Piotr Śmietański na pewno oddał jeden strzał, zapewne do odwróconego skazańca. W głowę. To, czy celował w potylicę, potwierdzi dopiero analiza medyczna.

Tego wieczoru, 25 maja, stracono jeszcze jednego więźnia – partyzanta z oddziału kpt. Władysława Łukasiuka „Młota". To był zaledwie 19-letni Kazimierz Pawluczak „Kruk".

Zakładamy, że obie ofiary leżą w jednym grobie. Pierwszy, w sile wieku (rotmistrz miał w chwili śmierci 47 lat), praktycznie bezzębny – w aktach wpisano mu brak 25 zębów, co można uznać za skutek zastosowanych

wobec niego drastycznych metod śledczych. Druga osoba to ten młodzieniec z pełnym uzębieniem. To bardzo ważne informacje, dla antropologa i medyka sądowego – wręcz bezcenne.

Bliscy rotmistrza, syn i córka, odwiedzali pracujących na Łączce bardzo często. Miejmy nadzieję, że dane im będzie w niedalekiej przyszłości odebrać od Pana telefon…

KS: Wsparcie było bardzo odczuwalne. Każdy, kto byłby w naszej sytuacji, miałby świadomość, jak wielka jest to odpowiedzialność. Szczególnie gdy patrzą nam na ręce dzieci jednego z największych bohaterów narodowych. To oczywiście miłe uczucie, gdy widzi się uśmiechniętych bliskich rotmistrza, zawsze życzliwych. Jednak to ogromna presja.

Wierzę, że ten dzień nastanie. Ani przez chwilę nie wątpiłem. To tylko kwestia czasu.

Czyli ma Pan pewność?

KS: Jestem pewien na 95 procent.

Czy spodziewa się Pan jakiegoś konkretnego charakteru obrażeń w przypadku rtm. Pileckiego?

Łukasz Szleszkowski: Wiemy, że miał wybite zęby, zresztą sam pisał w swych raportach, że podczas pobytu w Oświęcimiu został pobity. Mamy pewność, że był torturowany w czasie śledztwa.

Zanim przystąpiłem do prac na Łączce, przeczytałem biografię Pileckiego. Wspominał nie tylko o wybitych zębach, ale też o złamaniu mostka. To oczywiście przydatne dane, choć rotmistrz mógł swoje obrażenia różnie interpretować – złamany mostek, o którym pisał, mógł w rzeczywistości być innym obrażeniem. Wszystko zweryfikują badania lekarsko-antropologiczne.

Możliwe jednak, że szczątki rotmistrza były już badane i opisywane…

ŁS: Możliwe. Przecież rtm. Pileckiego typowaliśmy wielokrotnie. Wysyłaliśmy informacje do Szczecina, ale niestety nasze przewidywania się

nie potwierdziły.

Musimy pamiętać, że Łączka jest wyjątkowym miejscem – ofiary więzienia mokotowskiego chowano tam bezładnie. Widoczny jest brak porządku, pomieszanie pochówków. Nie ma sekwencji pochówków odpowiadającej kolejności zgonów. Dodatkowo doły śmierci są często wieloosobowe. Zawsze trzeba wielu starań, aby poprawnie wytypować dane szczątki.

Jak Pan ocenia materiał porównawczy, który udało się pobrać od bliskich rotmistrza?

Andrzej Ossowski: Zabezpieczyliśmy próbki DNA od dzieci rtm. Pileckiego – Zofii Pileckiej-Optułowicz oraz Andrzeja Pileckiego. Oboje zgłosili się do naszego polowego laboratorium na Powązkach. Było po nich widać, że są mocno zaangażowani w poszukiwania ojca. Zresztą często zaglądali na Łączkę w czasie poszukiwań i ekshumacji. Materiał genetyczny pochodzi od najbliższej rodziny, więc bardzo dobrzej rokuje.

Czy zabezpieczony materiał był już porównywany z DNA z wydobytych na Łączce szczątków, typowanych jako przynależnych do rotmistrza?
AO: Często się pojawiają głosy, że szczątki rtm. Pileckiego nie zostały odnalezione. Tego nie wiemy. Być może jego szczątki już odszukano, ale do tej pory nie mamy dobrego materiału DNA z kości konkretnej ofiary, którego moglibyśmy użyć do porównań. To znaczy wycinek został już zabezpieczony, ale nie został do tej pory odpowiednio sprofilowany.

Trzeba mieć na uwadze fakt, że każdy sprofilowany szkielet jest porównywany z pełną bazą materiału porównawczego, czyli także z profilami DNA Zofii i Andrzeja Pileckich.

EMIL AUGUST FIELDORF
Data egzekucji: 24 II 1953
Data ekshumacji: ?
Data powiadomienia o identyfikacji: ?
Data uroczystego pogrzebu: ?

Jakie informacje dotyczące śmierci gen. Fieldorfa pomagają w poszukiwaniach jego szczątków?

Krzysztof Szwagrzyk: Generał został powieszony – to jest podstawowa różnica w porównaniu z pozostałymi bohaterami, o których mówimy. Komuniści zhańbili tego wspaniałego oficera, który miał wielkie zasługi dla walki o niepodległość Polski. Oprawcy założyli mu stryczek na szyję, jak pospolitemu przestępcy… W ten sposób osiągnęli to, co chcieli – zrównali bohatera z bandytami. Do egzekucji doszło 24 lutego 1953 roku, a więc zimą. Możemy założyć, że szczątki generała znajdują się więc gdzieś na przestrzeni, na której już pracowaliśmy w 2013 roku. Uważam, że jesteśmy bardzo blisko.

Na czym opiera Pan te przypuszczenia?

KS: Myślę, że od szczątków generała dzieli nas zaledwie 4–6 metrów. Do tej pory, poszukując w poprzek drogi asfaltowej, na odcinku pola więziennego po przeciwległej stronie, odkopaliśmy m.in. szczątki mjr. Szendzielarza. Zwróciliśmy uwagę na bardzo ciekawą sekwencję pochówków, większość szczątków pochowanych w tamtych dołach już zidentyfikowaliśmy. Wśród nich są m.in. kpt. Stanisław Mieszkowski i kmdr Zbigniew Przybyszewski.

Wiemy, kiedy ich stracono. Obu zamordowano zresztą jednego dnia – 16 grudnia 1952 roku. Inni więźniowie byli zabijani w kolejnych tygodniach, aż do stycznia–lutego 1953 roku. O czym to świadczy? Że mamy pewien niezaburzony układ pochówków. Wszystko się tu zgadza, jeśli więc potem nie nastąpiło nic szczególnego, wyjątkowego, to powinniśmy trochę dalej, w tej samej linii, odnaleźć szczątki gen. „Nila”.

Ale tu pojawia się dodatkowa trudność. Kości generała zapewne znajdują się pod współczesnymi pomnikami.

Czy ktoś został stracony tego samego dnia, co „Nil”?

KS: Nie. Jestem niemal pewien, że będzie to pojedynczy grób. Poprzednia egzekucja miała miejsce 17 lutego 1953 roku. Upłynęło więc 7 dni. To zbyt długi odstęp czasu, aby trzymano zwłoki w więzieniu, w oczekiwaniu na

pochówek, aż do kolejnej egzekucji. Z kolei po straceniu gen. Fieldorfa dopiero 30 marca miała miejsce kolejna egzekucja dwóch mężczyzn, czyli ponad miesiąc później.

Dwuosobową jamę grobową należy raczej wykluczyć. Poszukujemy mężczyzny w rzędzie, w którym odnaleźliśmy już komandorów Mieszkowskiego, Przybyszewskiego czy też m.in. mjr. Bolesława Kontryma.

Jeśli więc odnajdą się szczątki prawie 60-letniej ofiary, typowanie będzie formalnością?

KS: To prawdopodobne. Po ułożeniu w układzie anatomicznym okaże się, że ofiara miała ok. 176 cm wzrostu i 15 braków w uzębieniu. Jego czaszka nie będzie nosiła śladów po kuli. Jeżeli znajdziemy szczątki osoby pasującej do tego rysopisu, będziemy bardzo blisko.

Podobnie było z legendarną sanitariuszką V Wileńskiej Brygady AK Danutą Siedzikówną „Inką", której szczątki odnaleziono w Gdańsku. Nie mieliśmy wątpliwości, że to ona, bo opis antropologiczny się zgadzał. Genetycy tylko to potwierdzili. Z generałem „Nilem" też wszystko powinno być jasne.

Rodzina gen. Fieldorfa ciągle czeka…

KS: Miałem zaszczyt poznać córkę generała – Marię Fieldorf. Kiedy zmarła w listopadzie 2010 roku, ekipie badaczy z Gdańska udało się zabezpieczyć próbkę DNA w postaci kilku włosów. Dzięki temu mamy bardzo dobry materiał porównawczy, pochodzący od najbliższej krewnej.

Wtedy jeszcze nie rozpoczęły się prace ziemne, więc nie było nawet mowy o ewentualnej identyfikacji generała „Nila". Dziś jesteśmy pełni nadziei. Utrzymuję stały kontakt mailowy z wnuczką generała Zofią Zarkadas, zamieszkałą w Kanadzie.

Generał Fieldorf i rtm. Pilecki to bezsprzecznie jedni z największych bohaterów narodowych. Identyfikacja ich szczątków jest ważna nie tylko dla rodziny, historyków, lecz także dla całego społeczeństwa. Jak

Pan sądzi, w jakim stopniu przywrócenie im tożsamości odbije się na naszej świadomości historycznej?

KS: Jestem przekonany, że moment, kiedy ogłosimy, że szczątki rotmistrza i generała zostały odnalezione, będzie szczególny. Będziemy go wspominać zawsze. Mam nadzieję, że wszystkie media – bez względu na orientację polityczną czy linię redakcyjną – będą o tym informowały. Bo to będzie wielkie wydarzenia dla Polski i Polaków.

Jestem przekonany, że informacje te obiegną świat. Zwłaszcza że bohaterski rotmistrz jest już rozpoznawalny poza granicami kraju.

Będziemy mieli świadomość, że na naszych oczach wydarzyły się fakty historyczne, których znaczenie trudno przecenić. Znaleźć szczątki wielkich postaci po tylu latach, przy tylu trudnościach, to będzie wielka sprawa. Wiem, że jest takie społeczne oczekiwanie.

To trochę tak, jak z pogrzebem w rodzinie. Żeby mogło dojść do uspokojenia i wyciszenia emocji, trzeba odpowiednio pożegnać bliską nam osobę, zamknąć pewien etap. Musimy więc znaleźć oraz godnie pochować naszych bohaterów.

Na co w szczególności zwracana jest uwaga podczas poszukiwań szczątków „Nila”?

Łukasz Szleszkowski: Istotnymi elementami są: wiek, wzrost (generał był przecież dość wysoki) i brak obrażeń postrzałowych, bo egzekucja wykonana była przez powieszenie, a nie strzał w głowę. Musimy też mieć na uwadze spodziewaną lokalizację grobu, tzn. na tym obszarze Łączki, gdzie grzebano ofiary z początku 1953 roku.

Jak Pan ocenia szansę na identyfikację generała?

Andrzej Ossowski: Mamy już wyizolowany profil genetyczny, uzyskany z włosów jego zmarłej córki. Możliwe więc, że nie będzie żadnych problemów przy identyfikacji. Pewności oczywiście nigdy nie ma. Ostateczna weryfikacja dokona się w naszym laboratorium.

HISTORIA ZATACZA KOŁO

Musimy zatem wiedzieć
Policzyć dokładnie
Zawołać po imieniu
Zbigniew Herbert, *Pan Cogito o potrzebie ścisłości*

Książka ta nie ma klasycznego zakończenia, gdyż opowieść o losach straconych polskich bohaterów, choć zmierza dziś w dobrym kierunku, do tej pory nie doczekała się szczęśliwego finału. Proces przywracania tożsamości ofiarom komunistycznego terroru potrwa jeszcze zapewne długo, a i tak skutek będzie tylko częściowy, bo uhonorować wszystkich – z imienia i nazwiska oraz ze wskazaniem miejsca spoczynku – niepodobna. Miejmy nadzieję jednak, że to, co działo się do tej pory, a i dziać się będzie w dalszym ciągu na Łączce, korzystnie wpłynie nie tylko na wiedzę o ofiarach i oprawcach, lecz także odbije się na świadomości historycznej – zarówno jednostek, jak i ogółu.

Różne były koleje życia bohaterów tej książki, różna działalność, ale łączyła ich ta sama motywacja – pragnienie wolnej, niepodległej Polski. Wszyscy, cała piątka, trafili za mury miejsca budzącego grozę. Osadzeni w więzieniu na Mokotowie, oczekiwali tylko na wyrok śmierci, zasądzony na podstawie sfingowanych w błyskawicznym tempie „dowodów". Propaganda Polski Ludowej uznała ich za największych złoczyńców. Nie było już miejsca na nadzieję, choć niektórzy, wbrew wszystkiemu, jeszcze łudzili się, że życie przed nimi…

Połączyła ich śmierć – wskutek egzekucji, wykonywanej przez jednego z mokotowskich katów. Nie wszyscy ginęli tak samo, najprawdopodobniej wszyscy jednak, wywiezieni w niejasnych okolicznościach, spoczęli gdzieś pod cmentarnym murem. Ich najbliżsi przeczuwali, że ofiary mogą leżeć na Łączce. Przez lata, uczestnicząc w uroczystościach przy symbolicznym pomniku, nieświadomie spacerowali po bezimiennych grobach.

Potrzeba było ponad dwóch dekad wolnej Polski, abyśmy pochylili się nad wieloma tragicznymi życiorysami.

Witold Pilecki, człowiek bezwarunkowo kochający ojczyznę, do dziś spoczywa w dole śmierci, jeśli jego szczątki nie zostały już podjęte i nie oczekują na pomyślną weryfikację w laboratorium genetycznym. Emil August Fieldorf – on też wciąż czeka. Wielki patriota, podobnie jak Pilecki – symbol tragicznych dziejów Polski XX wieku. Bardzo prawdopodobne, że szczątki obu tych wielkich postaci polskiej historii skrywa powązkowska Łączka.

Inni bohaterowie tej książki – Stanisław Kasznica, Hieronim Dekutowski i Zygmunt Szendzielarz – to zasłużeni wojskowi wyjątkowo znający się na swym fachu. Walczyli o Polskę wolną od komunistycznej ideologii. Wszyscy zapłacili za swoją niezłomną postawę najwyższą cenę. Wszyscy odzyskali już należne im cześć i honor.

– *Czy obserwuje Pan zmianę w postrzeganiu żołnierzy wyklętych?* – pytam prof. Szwagrzyka. Historyk, znawca problematyki represji stalinowskich, szef ekipy pracującej na Łączce i w wielu innych miejscach, nie ma wątpliwości:

– *Polacy są już innym społeczeństwem niż jeszcze kilka lat temu. Wtedy żołnierze partyzantki antykomunistycznej, wyrwani przez swych oprawców z naszej świadomości, byli zapomniani. Przywracamy ich tożsamość, pamięć. To jest potrzebne całemu społeczeństwu, niezależnie od korzeni. Przecież wszyscy jesteśmy Polakami, mamy taką samą historię. Jesteśmy bogatsi, lepsi. To wspaniałe uczucie. Idea żołnierzy wyklętych, niezłomnych ma tak ogromną siłę, że jestem spokojny o jej trwałość.*

Historia zatacza koło. Latami szczątki bohaterów spoczywały w nieustalonym miejscu, dosłownie na śmietniku historii. Dziś kwatera „Ł”, czyli Łączka, zlokalizowana na obszarze dawnego pola pochówków więziennych, niesie zarówno przestrogę, jak i nadzieję. To teren szczególny, jakże symboliczny, miejsce, które odkrywamy na nowo od kilku lat. Tam, na krawędzi Cmentarza Wojskowego na Powązkach, jesteśmy świadkami rzeczy ważnych i wielkich.

Ta sprawa musi być dokończona.

17. Cmentarz Wojskowy na Powązkach, kwatera Ł, sektor wytyczony pod badania georadarowe, fotografia współczesna, fot. Andrzej Ossowski

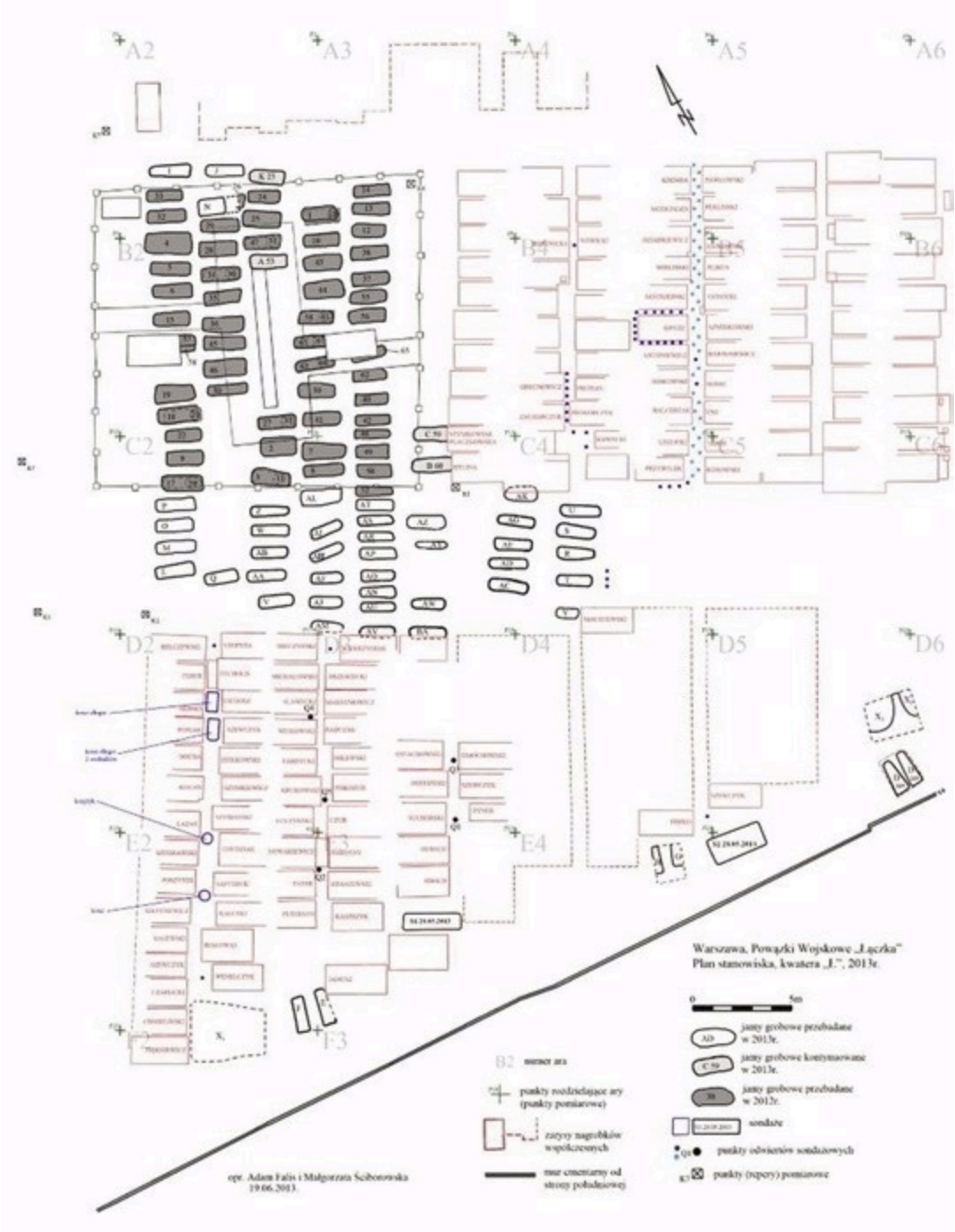

18. Plan stanowisk badawczych w kwaterze Ł na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, oprac. Adam Falis, Małgorzata Ściborowska

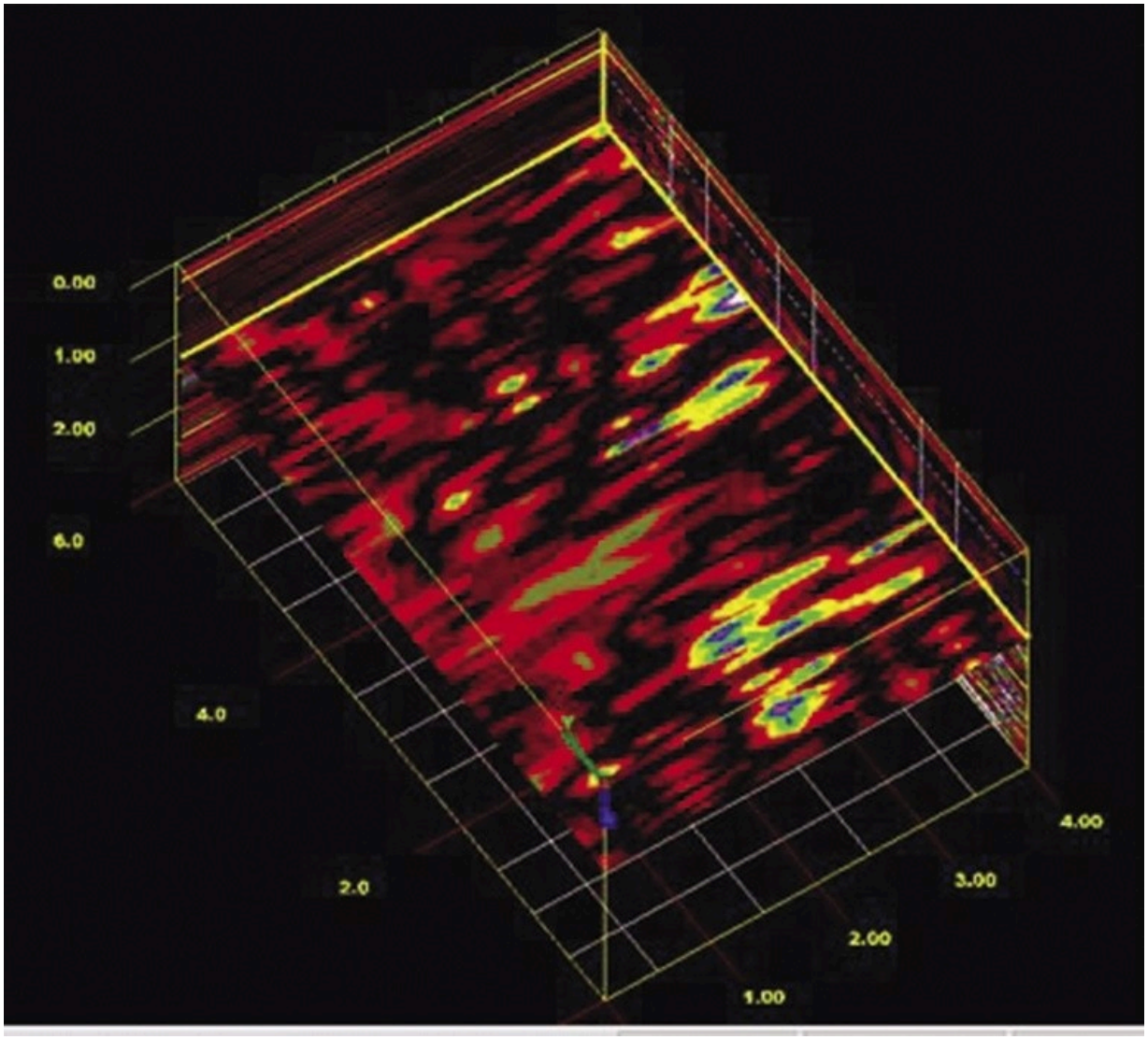

19. Skan georadarowy 3D z kwatery Ł, rejon przy pomniku, widoczne anomalie odpowiadające lokalizacji dołów grzebalnych, 2012 rok, fot. Zakład Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie

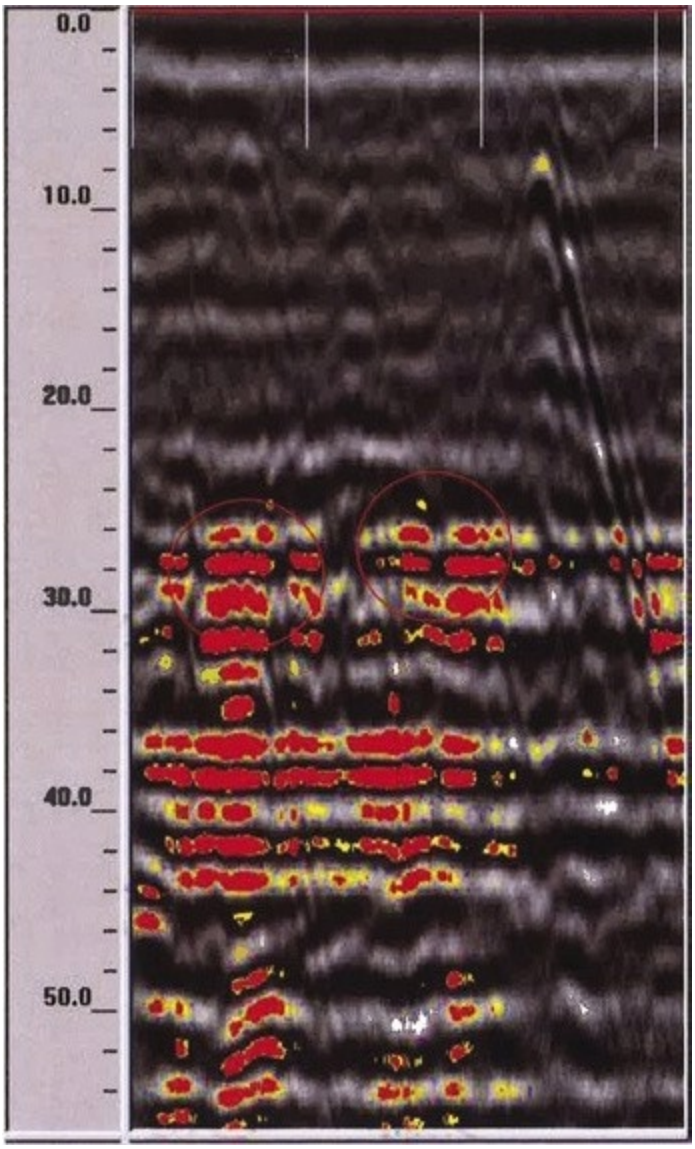

20. Skan georadarowy z rejonu badań B; owalem oznaczono bardzo charakterystyczną anomalię odpowiadającą pochówkowi, 2012 rok, fot. Zakład Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie

21. Ekshumacja na Łączce, 18 maja 2013 roku, fot. Adam Falis

22. Ekshumacja na Łączce, 24 maja 2013 roku, fot. Adam Falis

23. Ekshumacja na terenie znajdującym się wcześniej pod aleją asfaltową, 29 maja 2013 roku, fot. Andrzej Ossowski

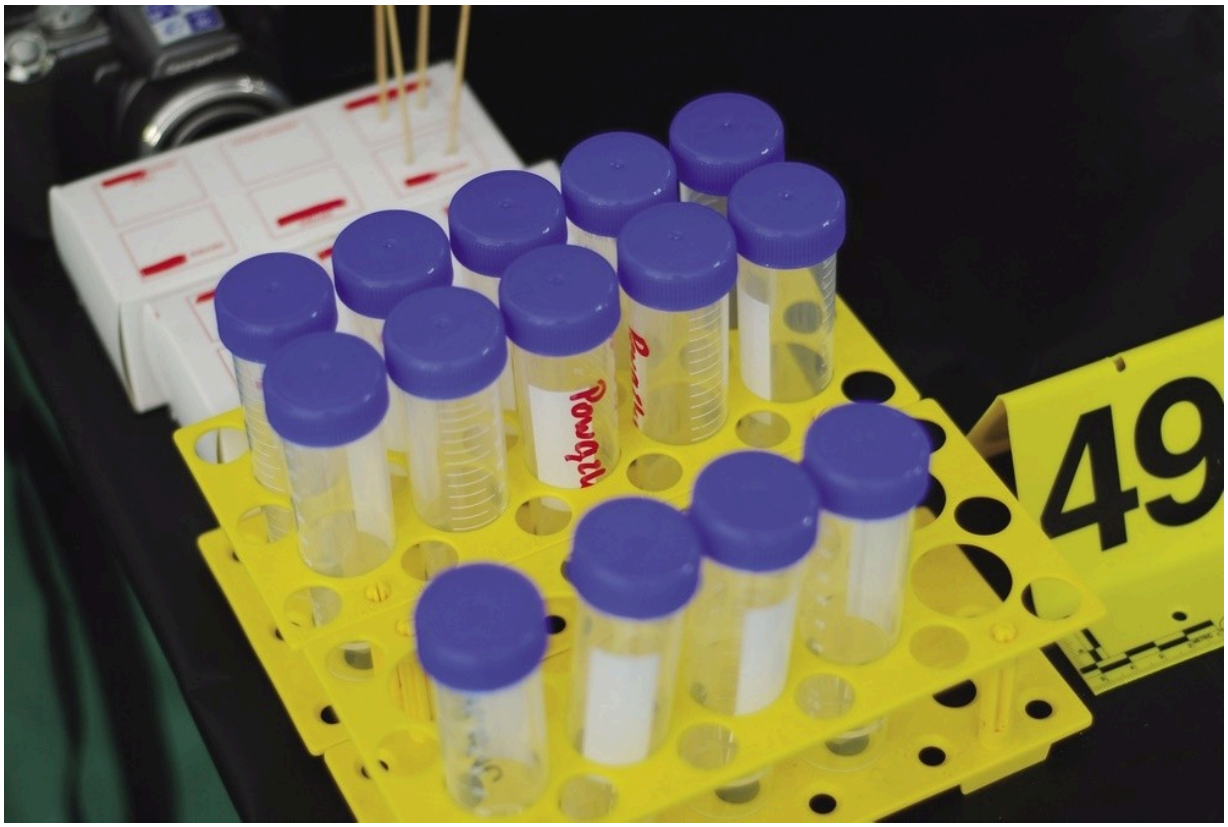

24. Próbki do badań genetycznych szczątków, fot. Marta Kuś

25. Oględziny odkrytych szczątków, fot. Marta Kuś

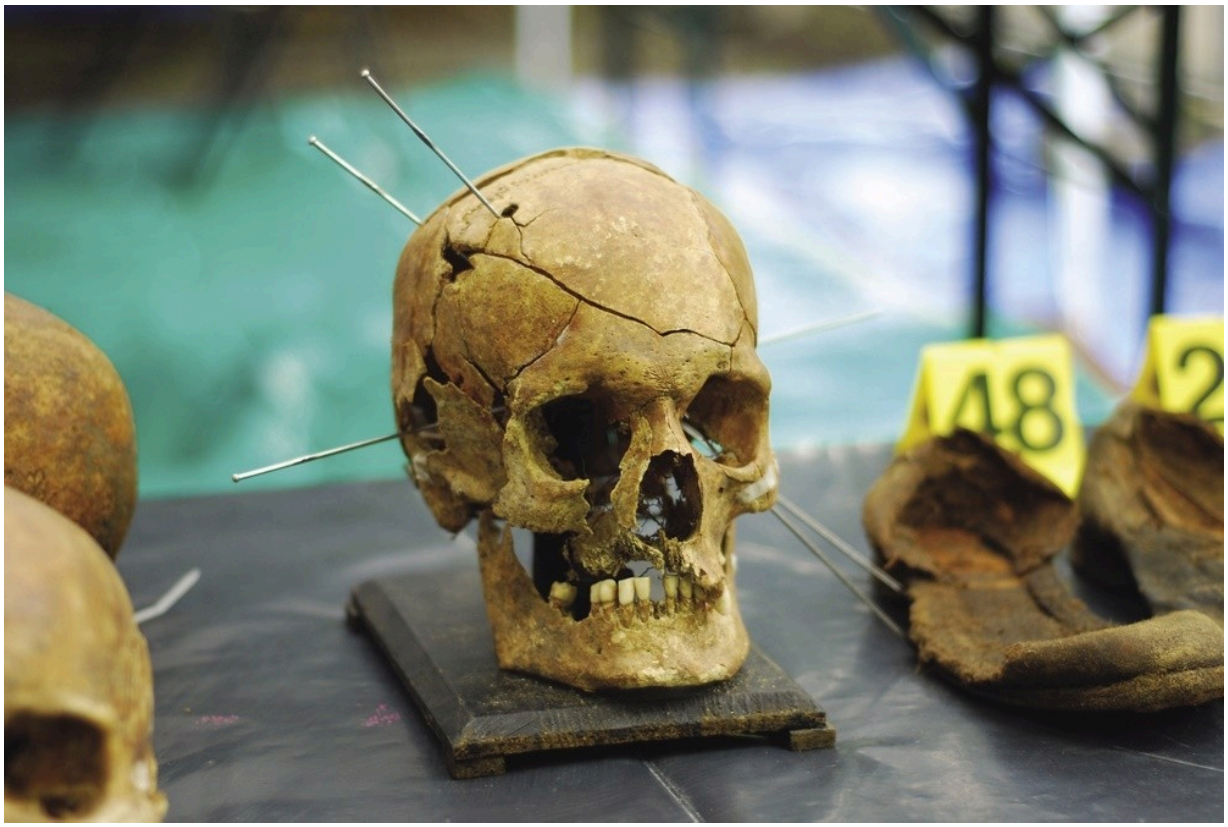

26. Oględziny odkrytych szczątków, fot. Marta Kuś

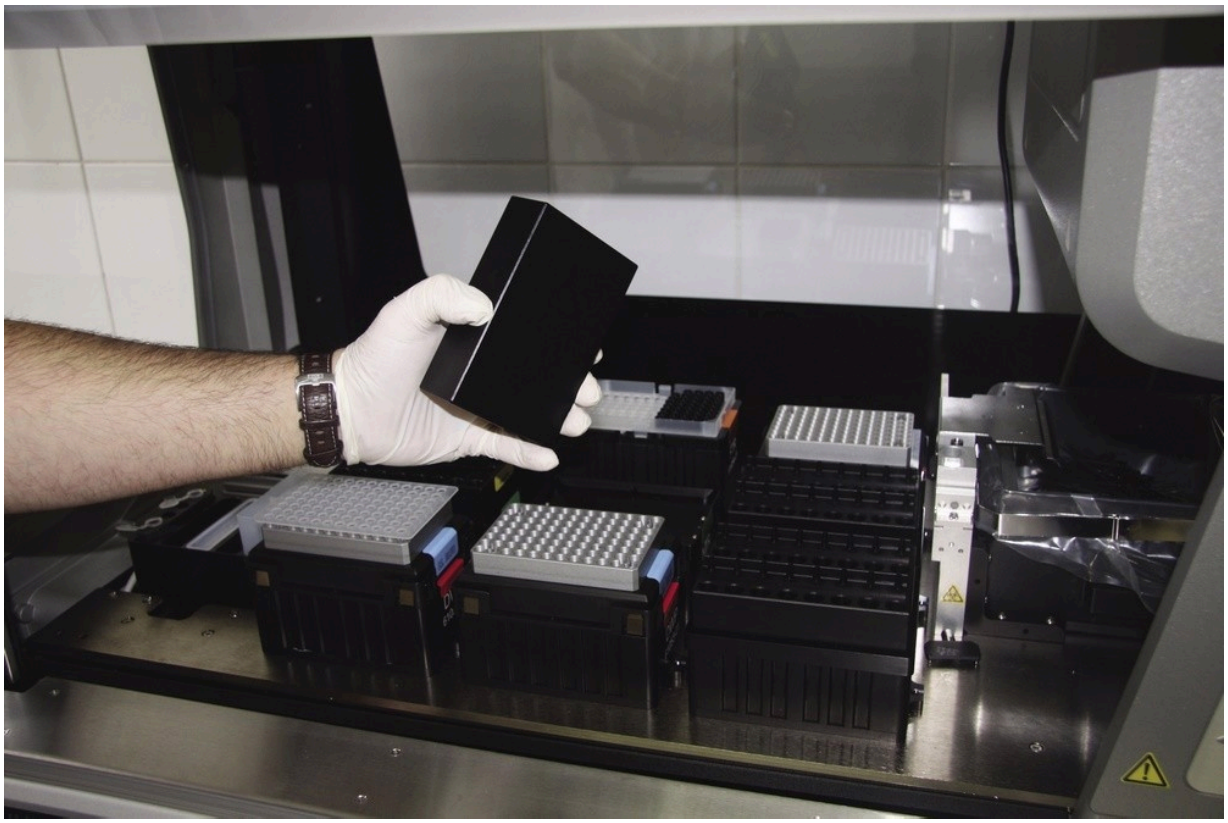

27. Badania genetyczne w laboratorium, Zakład Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, fot. Waldemar Kowalski

28. Badania genetyczne w laboratorium, Zakład Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, fot. Waldemar Kowalski

29. Badania genetyczne w laboratorium, Zakład Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, fot. Waldemar Kowalski

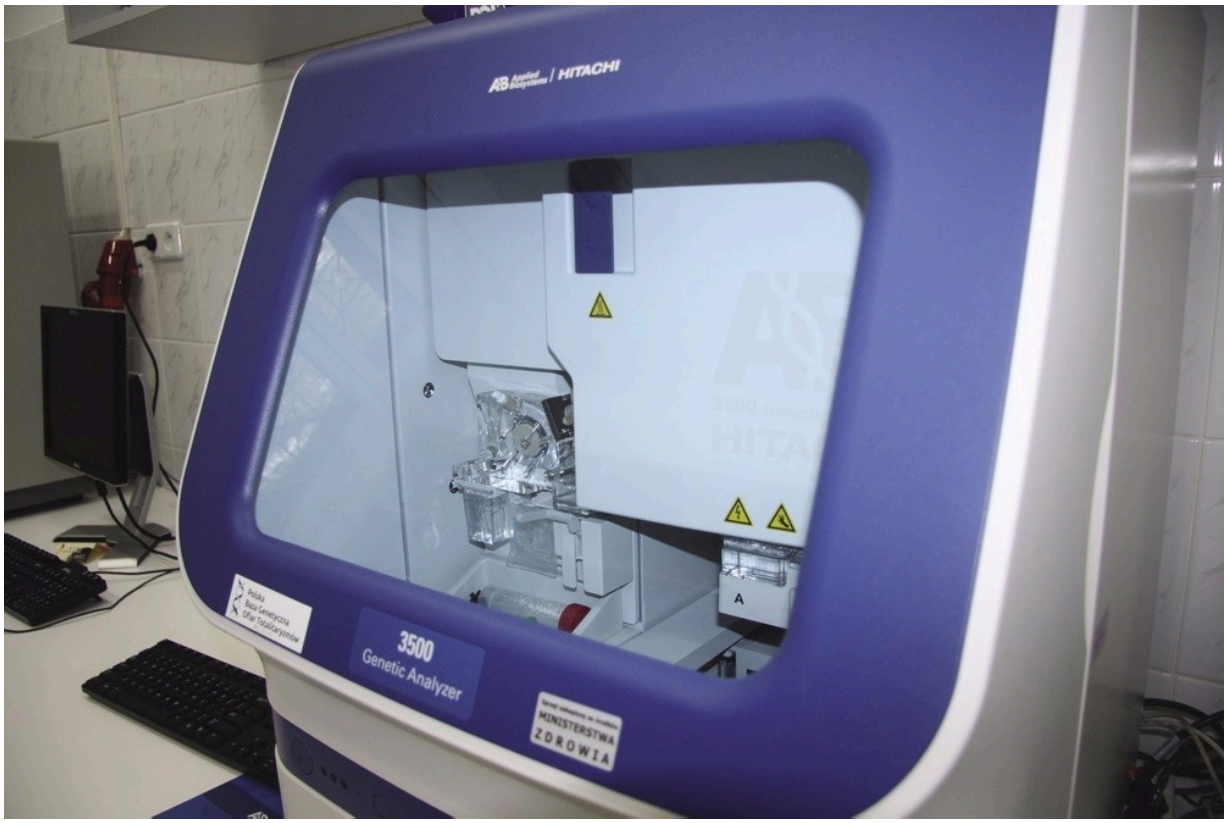

30. Badania genetyczne w laboratorium, Zakład Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, fot. Waldemar Kowalski

W TYM MIEJSCU ZOSTAŁEM ODNALEZIONY
MJR LUDWIK ŚWIDER
W TYM MIEJSCU ZOSTAŁEM ODNALEZIONY
KMDR. ZBIGNIEW PRZYBYSZEWSKI

31. Miejsca odnalezienia szczątków na Łączce oznaczone krzyżem i portretem z napisem „W tym miejscu zostałem odnaleziony”, fotografia współczesna

32. Symboliczny grób Witolda Pileckiego na Łączce z napisem „Jeszcze nie zostałem odnaleziony”, fotografia współczesna

33. Panteon – Mauzoleum Wyklętych-Niezłomnych na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, fotografia współczesna

ANEKSY

Ustawa z dnia 3 lutego 2011 r. o ustanowieniu Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych

W hołdzie „Żołnierzom Wyklętym” – bohaterom antykomunistycznego podziemia, którzy w obronie niepodległego bytu Państwa Polskiego, walcząc o prawo do samostanowienia i urzeczywistnienie dążeń demokratycznych społeczeństwa polskiego, z bronią w ręku, jak i w inny sposób, przeciwstawili się sowieckiej agresji i narzuconemu siłą reżimowi komunistycznemu – stanowi się, co następuje:

Art. 1.
Dzień 1 marca ustanawia się Narodowym Dniem Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”.

Art. 2.
Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” jest świętem państwowym.

Art. 3.
Ustawa wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Przemówienie premier Ewy Kopacz podczas uroczystego pogrzebu zidentyfikowanych ofiar komunizmu w Panteonie Żołnierzy Niezłomnych-Wyklętych, 27 września 2015

W tych 35 trumnach, które za chwilę złożymy w Panteonie, spoczywają szczątki żołnierzy Rzeczypospolitej, Żołnierzy Niezłomnych, Wyklętych. Długo trzeba było czekać – ponad 60 lat, aby można było ich pożegnać w ten najbardziej oczywisty i ludzki sposób, jakim jest pogrzeb i złożenie do grobu. Dzisiaj składamy im hołd za wierność i niezłomność. Zostali zamordowani. Oprawcy i komunistyczne władze chciały także skazać ich na całkowite zapomnienie, kryjąc ich ciała w bezimiennych dołach śmierci.

Co więcej, starano się pohańbić ich nazwiska i wymazać pamięć o ich bohaterstwie. Mieli zostać zapomniani nawet przez swoich najbliższych, którzy bezskutecznie, a często narażając się na represje, chcieli poznać prawdę o ich losie i miejscu bezimiennego pochówku.

Ojczyzną Żołnierzy Niezłomnych-Wyklętych była II Rzeczpospolita, później Polskie Państwo Podziemne. Należeli więc do pokolenia, dla którego odzyskana w 1918 roku niepodległość była wartością niemal mistyczną. Uznawano ją za skarb, którego należy bronić za wszelką cenę, nawet za cenę ofiary własnego życia. Nie pytali o geopolityczne racje jałtańskie porozumienie wielkich mocarstw, walczyli samotnie, by dać świadectwo niezbywalnych praw Polaków do samostanowienia. Był to heroizm najwyższej próby.

Żołnierze Niezłomni-Wyklęci zapłacili za służbę Rzeczypospolitej cenę życia. Jesteśmy świadomi, że mamy wobec nich wielki dług. Wiemy też, że bez ich ofiary nie moglibyśmy się cieszyć wolnością, którą odzyskaliśmy przed ćwierćwieczem. Są oni jednym z ogniw w łańcuchu pokoleń, które walczyły o niepodległą Polskę w minionym stuleciu. Dzisiaj dokładamy starań, by wniknąć w losy każdej z ofiar. By jeśli tylko będzie to możliwe, nikt nie pozostał bezimienny. By komunistyczny terror z lat 1945–1956 nazwać, udokumentować i opisać ku przestrodze dla przyszłych pokoleń. By pamiętać i oddać hołd bohaterom. Dlatego tu jesteśmy.

List prezydenta Andrzeja Dudy z okazji obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, 1 marca 2016

My, Polacy, w ostatnich wiekach, walcząc o wolność narodu i Ojczyzny, zapisaliśmy wiele bohaterskich i tragicznych kart historii. Jednak nawet na tym tle dzieje powstania antykomunistycznego wyróżnia szczególny dramatyzm.

Żołnierze drugiej konspiracji stanęli zbrojnie przeciwko całej potędze sowieckiego imperium. Stanęli w obronie rodaków, poddanych terrorowi przez nową władzę, zainstalowaną w kraju z woli Stalina. Zwalczali funkcjonariuszy i współpracowników aparatu bezpieczeństwa, uwalniali więźniów politycznych, obnażali kłamstwa partyjnej propagandy. Z początku odnosili liczne sukcesy, zwyciężali w wielu potyczkach

z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, rozbijali areszty i komisariaty, karali donosicieli.

Niezłomni wkrótce jednak zdali sobie sprawę, że nie mają szans na trwałe zwycięstwo. Niektórzy żywili nadzieję na pomoc zachodnich aliantów, zmianę sytuacji geopolitycznej – lecz ta rozwiała się szybko. Bili się więc nadal, ale już nie o to, by wyzwolić kraj, ocalić choćby swoich najbliższych lub samemu przetrwać. Walczyli w obronie honoru wojskowego i ludzkiej godności. Walczyli już nie o życie w niepodległym państwie, lecz o prawo do śmierci za Polskę. Walczyli mężnie i umierali z jej imieniem na ustach.

Władze komunistyczne tępiły ich z całą bezwzględnością. Przeciw z roku na rok topniejącym siłom podziemia kierowały regularne oddziały wojska, milicji i UB, ściśle współdziałające z Armią Czerwoną i NKWD. Stosowały masową inwigilację i represje także wobec cywili, którzy wspierali „leśnych”. Łudziły ogłaszanymi amnestiami, by ujawniających się zamykać w więzieniach, torturować i w majestacie sądowego bezprawia skazywać na kary śmierci. Ostatni, najwierniejsi żołnierze Rzeczypospolitej mieli zostać zgładzeni i wyklęci. Po pierwszej śmierci czekała ich śmierć druga: wieczne zapomnienie. Mieli zniknąć na zawsze, pozbawieni własnego grobu, bez nekrologu w gazecie i wzmianki w podręcznikach historii.

I bardzo długo mogło się zdawać, że ten zamysł się powiódł. Szykany wobec weteranów podziemia i ich rodzin oraz fałszowanie prawdy historycznej kontynuowano aż do roku 1989. Jeszcze w początkach transformacji ustrojowej nazywano ich bandytami. Mówili tak często ich dawni kaci i prześladowcy, którzy za zbrodnie popełnione podczas „zwalczania band” nigdy nie ponieśli kary. Ale wówczas też zaczął coraz silniej rozbrzmiewać głos przeciwny, który mówił o nich: bohaterowie. I dzisiaj nie sposób już wątpić, że był to głos odradzającej się Rzeczypospolitej.

Wolna Polska bowiem, chociaż nie od razu, przywróciła dobre imię i cześć swoim najlepszym synom. Pięć lat temu Sejm ustanowił Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” – doroczne święto państwowe, obchodzone 1 marca. Stało się to dzięki inicjatywie ustawodawczej śp. Prezydenta Profesora Lecha Kaczyńskiego i zwieńczyło długoletnie starania wielu osób i środowisk o to, by nasza Ojczyzna uhonorowała bohaterów powstania antykomunistycznego.

Poczytuję sobie za zaszczyt, iż jako Prezydent Rzeczypospolitej mogę sprawować Patronat Narodowy nad tegorocznymi obchodami ku czci Żołnierzy Wyklętych. Pragnę w ten sposób złożyć hołd należny uczestnikom podziemia niepodległościowego z lat 1944−1963. Chcę też zachęcić wszystkich rodaków, byśmy razem uczcili ich odwagę, wierność i zasługi dla Ojczyzny oraz upamiętniali ich działania.

Serdecznie dziękuję wszystkim, dzięki którym prawda o tamtym zrywie została przechowana dla współczesnych i przyszłych pokoleń Polaków. Dziękuję rodzinom niezłomnych, towarzyszom broni i przyjaciołom, którzy przez dziesięciolecia pielęgnowali pamięć o nich w swoich domach i sercach. Dziękuję tym, którzy potajemnie składali kwiaty i zapalali znicze w miejscach walk, kaźni i pochówków. Dziękuję również tym, dzięki którym pamięć o wyklętych mogła po latach wyjść z ukrycia. Dziękuję historykom, pisarzom, dziennikarzom i wszystkim, którzy podjęli trud zbadania, udokumentowania i spisania dziejów drugiej konspiracji. Dziękuję wreszcie tym, którzy wznoszą pomniki i inne formy upamiętnień, organizują lokalne uroczystości rocznicowe i inne wydarzenia, przyczyniające się do upowszechniania w społeczeństwie wiedzy o podziemiu antykomunistycznym.

Dzięki Państwa pracy naród polski wypełnił obowiązek pamięci wobec swoich prawdziwych bohaterów. Aktualnym wyzwaniem pozostaje odnalezienie doczesnych szczątków tych, którzy oddali życie za Ojczyznę. Przecież wielu z nich wciąż spoczywa anonimowo w bezimiennych dołach śmierci. Władze wszystkich szczebli winny czynić starania, aby te mogiły odnaleźć, zidentyfikować ofiary i zapewnić im godny pochówek. Jest to nasza powinność chrześcijańska i ludzka.

Prawda o heroizmie i tragedii powstania antykomunistycznego to fundament suwerennej Rzeczypospolitej. Żołnierze i działacze organizacji podziemnych – Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, Narodowych Sił Zbrojnych, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, Konspiracyjnego Wojska Polskiego, Obywatelskiej Armii Krajowej, Ruchu Oporu Armii Krajowej i innych ugrupowań – są wzorem niezłomnego patriotyzmu i miłości Ojczyzny. Jak już wcześniej kombatanci Armii Krajowej i powstania warszawskiego, jak w czasach II Rzeczypospolitej weterani powstania styczniowego – tak teraz również oni zajmują poczesne miejsce w poczcie bojowników o wolność narodu.

Żołnierze Wyklęci-Niezłomni, którzy zapisaliście piękne karty w księdze chwały oręża polskiego! Niechaj Wasza postawa będzie przykładem dla nas, dzisiejszych Polaków, i naszych potomnych. Niech Wasze imiona, nazwiska, pseudonimy będą chlubą Waszych rodzinnych miast i wsi. Niech zdobią sztandary wojskowe, patronują ulicom i szkołom. Bo to z Waszej ofiary odrodziła się niepodległa Polska. Cześć i chwała bohaterom!

Przemówienie prezydenta Andrzeja Dudy podczas uroczystego pogrzebu mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", 24 kwietnia 2016

65 lat, by przywrócić godność. Ale przywrócić godność nie panu majorowi Zygmuntowi Szendzielarzowi „Łupaszce". Dziś pułkownik tę godność zawsze miał, nigdy jej nie utracił, a przez bohaterską śmierć i cierpienie za ojczyznę ma godność na wieki. Tak on, jak i jego polegli towarzysze broni. Dziś po 65 latach poprzez odnalezienie doczesnych szczątków pana pułkownika, poprzez pamięć o bohaterstwie Żołnierzy Niezłomnych, poprzez te państwowe uroczystości pogrzebowe przywracamy godność Polsce. Godność, którą kiedyś ci, którzy katowali i zamordowali wtedy majora Zygmunta Łupaszkę, podeptali. Godność, którą przez zacieranie pamięci, razem z Żołnierzami Niezłomnymi wrzucili bezimiennych dołów. Dziś ta godność wraca wraz z dumną Rzeczpospolitą, wraz z dumną Polską, która pochyla nisko głowę i oddaje hołd swojemu wielkiemu synowi, bohaterowi niezłomnemu do samego końca. I dlatego chciałem z tego miejsca podziękować.

Podziękować rodzinie pana pułkownika, rodzinom poległych Żołnierzy Niezłomnych, Żołnierzom Niezłomnych, ale także harcerzom, strzelcom, kibicom i wszystkim młodym ludziom, którzy już od lat czcili pamięć Żołnierzy Niezłomnych. Rodzinom chciałbym podziękować za to, że zawsze zachowały godność i zawsze pamiętały o swoich najbliższych. I zawsze czciły to, co było ważne – prawdę, pamięć o bohaterstwie, o niezłomności, mimo wszystkich trudności i prześladowania, jakich przez dziesiątki lat, przez postawę swoich najbliższych, doznały ze strony komunistycznych władz. Za to wszystko, za tę pamięć chciałem ogromnie podziękować.

Chciałem też podziękować panu ministrowi za awans na wyższy stopień oficerski, który dziś otrzymał pan pułkownik. Pośmiertnie, ale to ważne, że

teraz jest taka Polska, która też poprzez swoje najwyższe władze pamięta, oddaje cześć, a przede wszystkim docenia. Nie tylko po to, by pamiętać przeszłość, ale przede wszystkim dlatego kim oni byli, jakim człowiekiem, jakim Polakiem był pan pułkownik i jego żołnierze. Dziś wszyscy wiemy, że byli wspaniali, ale dlaczego? Dlatego, że wychowali się na micie wielkiej bohaterskiej Polski, powstańców styczniowych, tych którzy walczyli o odzyskanie niepodległości i zwyciężyli w 1918 roku, tych którzy obronili Warszawę i Polskę przed bolszewikami w 1920 roku. To budowało postawę tych ludzi, to dlatego z odwagą stanęli potem do obrony Polski w ’39 roku, walczyli w podziemiu, a kiedy przyszły wojska sowieckie i nie chciały opuścić Polski, nie zgodzili się na taką Polskę, która nie była wolna, która nie była niepodległa, która nie była suwerenna.

Czy liczyli na to, że będzie kolejna wojna między Wschodem z Zachodem i Polska zostanie wyzwolona? Może na początku wierzyli, potem z pewnością już nie, ale nie dali się złamać. Byli do końca. Dziś to właśnie na ich przykładzie, na ich bohaterstwie wychowujemy następne pokolenia, aby były takie jak oni – wierne Ojczyźnie do końca, wierne przysiędze żołnierskiej do końca, wierne temu wszystkiemu co wszczepiono w ich dusze, wierni niepodległej i wolnej Polsce. To dzisiaj jest najważniejsze. A więc to nie tylko pamięć o przeszłości, to przede wszystkim budowanie przyszłości. Bo „takie będą Rzeczypospolite jak ich młodzieży chowanie”.

Panie pułkowniku, wychodząc z celi w swoją ostatnią drogę, powiedział pan do współwięźniów: „Z Bogiem, panowie”. Zostaliśmy z Bogiem, panie pułkowniku i z Bogiem jesteśmy cały czas. Ale jedno chcę, skłaniając przed Panem głowę, powiedzieć. Polacy, a zwłaszcza młode pokolenie wie dziś doskonale, że w tamtych czasach, trudnych, beznadziejnych, to wy zachowaliście się jak trzeba.

Szanowni Państwo, cześć i chwała bohaterom, wieczna pamięć poległym. Panie pułkowniku, spoczywaj w pokoju, wreszcie w rodzinnym grobie, niech się Polska przyśni Tobie… piękna.

Wykaz zidentyfikowanych ofiar komunizmu pochowanych na Łączce[894]

1. Stanisław Abramowski (1922–1948)

2. Władysław Borowiec (1916–1948)
3. Henryk Borowy-Borowski (1913–1951)
4. Bolesław Budelewski (1910–1948)
5. Edmund Bukowski (1918–1950)
6. Jan Czeredys (1912–1948)
7. Julian Czerwiakowski (1911–1953)
8. Bolesław Częścik (1924–1951)
9. Hieronim Dekutowski (1918–1949)
10. Adam Gajdek (1915–1949)
11. Stefan Głowacki (1903–1949)
12. Roman Groński (1926–1949)
13. Marian Kaczmarek (1904–1953)
14. Stanisław Kasznica (1908–1948)
15. Aleksander Kita (1912–1952)
16. Bolesław Kontrym (1898–1953)
17. Józef Kozłowski (1910–1949)
18. Zygfryd Kuliński (1924–1950)
19. Stanisław Kutryb (1925–1949)
20. Stanisław Łukasik (1918–1949)
21. Józef Łukaszewicz (1929–1949)
22. Jerzy Miatkowski (1923–1949)
23. Stanisław Mieszkowski (1903–1952)
24. Antoni Olechnowicz (1905–1951)
25. Marian Orlik (1916–1952)
26. Henryk Pawłowski (1925–1949)
27. Tadeusz Pelak (1922–1949)
28. Zbigniew Przybyszewski (1907–1952)
29. Edward Pytko (1929–1952)
30. Karol Rakoczy (1928–1950)
31. Eugeniusz Smoliński (1905–1949)
32. Dionizy Sosnowski (1929–1953)
33. Zygmunt Szendzielarz (1910–1951)
34. Zygmunt Szymanowski (1910–1950)
35. Ludwik Jan Świder (1893–1952)
36. Aleksander Tomaszewski (1904–1949)
37. Edmund Tudruj (1923–1949)

38. Wacław Walicki (1903–1949)
39. Arkadiusz Wasilewski (1925–1949)
40. Ryszard Widelski (1913–1949)

BIBLIOGRAFIA

Materiały źródłowe

Akcje oddziałów „Zapory” w tajnych raportach UB-MO, oprac. H. Pająk, Lublin 1996.

Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945, t. 5, Wrocław 1991.

Dekret o postępowaniu doraźnym, oprac. J. Różański, Kraków 1946.

Dokumenty dotyczące zabójstwa sądowego dokonanego na generale Emilu Fieldorfie „Nilu”, w: Konferencja w 50. rocznicę stracenia gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”, www.ipn.gov.pl.

Fieldorf M., Zachuta L., *Generał Fieldorf „Nil”. Fakty, dokumenty, relacje*, Warszawa 2006.

Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944–1956, MSW Biuro „C”, Warszawa 1964 (reprint – Lublin 1993).

Informator o osobach skazanych za szpiegostwo w latach 1944–1984, MSW Biuro „C”, Warszawa 1984, (reprint – Lublin 1994).

Internetowy System Aktów Prawnych, www.isip.sejm.gov.pl.

Kedyw Okręgu Warszawa Armii Krajowej. Dokumenty – rok 1944, oprac. H. Rybicka, Warszawa 2009.

Łabuszewski T., Krajewski K., *Od „Łupaszki” do „Młota” 1944–1949. Materiały źródłowe do dziejów V i VI brygady Wileńskiej*, Warszawa 1994.

NKWD i polskie podziemie 1944–1945. Z „teczek specjalnych” Józefa W. Stalina, red. A.F. Noskowa, A. Fitowa, Kraków 1998.

Raport rtm. Witolda Pileckiego, w: *Pilecki Witold (1901–1948)*, Muzeum Armii Krajowej, www.muzeum-ak.pl.

Referat Personalny GISZ – opinie inspektorskie o oficerach, Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce, teczki: 701/1/118, 701/1/119, www.pilsudski.org.

Wyklęci. Podziemie zbrojne 1944–1963, wybór i oprac. M. Markowska, Warszawa 2013.

Z archiwum IPN, www.pilecki.ipn.gov.pl.

Wspomnienia, pamiętniki i relacje

Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego, www.1944.pl.

Archiwum Programu Historia Mówiona, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", www.teatrnn.pl.

Bartoszewski W., *Mój Auschwitz*, Kraków 2010.

Błażyński Z., *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii*, Łomianki 2012.

Bór-Komorowski T., *Armia Podziemna*, Warszawa 2009.

Broński Z., *Pamiętnik*, red. S. Poleszak, Warszawa 2004.

Chojnacki M., *Opowiadanie „Młodzika"*, Sierpc 2003.

Christa O., *U Szczerbca i Łupaszki*, Warszawa 2000.

Drogi cichociemnych, red. M. Braszczyk, Warszawa 2008.

Fieldorf J., *Los już mną zawładnął… Wspomnienia*, Gdańsk 2012.

Garliński J., *Oświęcim walczący*, Londyn 1997.

Gawron W., *Ochotnik do Oświęcimia*, Oświęcim 1992.

Jankowski S., *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie: wspomnienia 1939–1946*, t. 1, Warszawa 1980.

Jasienica P., *Pamiętnik*, Warszawa 2007.

Kasznica S.W., *Druga wojna światowa. Wspomnienia spisane na podstawie codziennych notatek*, Warszawa–Poznań 2013.

Korboński S., *Polskie Państwo Podziemne. Przewodnik po Podziemiu z lat 1939–1945*, Warszawa 2008.

Korboński S., *W imieniu Kremla*, Paryż 1956.

Krupa S., *X Pawilon. Katownia UB na Rakowieckiej*, Warszawa 2009.

Krzyszkowski M., Wasztyl B., *Pilecki. Śladami mojego taty*, rozmowa z Andrzejem Pileckim, Kraków 2015.

Marcinkowski T., *Wspomnienia Stanisława Krupy z X Pawilonu*, Goleniów 2002, s. 26.

Minkiewicz M., *Mokotów–Wronki–Rawicz. Wspomnienia 1939–1954*, Warszawa 1990.

Nowak-Jeziorański J., *Kurier z Warszawy*, Kraków 2014.

Piekarski K., *Escaping Hell: The Story of a Polish Underground Officer in Auschwitz and Buchenwald*, Louiseville 1989.

Płużański T., *Z otchłani*, Warszawa 2014.

Rzeczycki W., *Nil, siedziałem z Tobą w jednej celi*, Warszawa 1994.
Siła-Nowicki W., *Wspomnienia i dokumenty*, red. M. Nowicka-Marusczyk, t. 1, Wrocław 2002.
Zaporczycy. Relacje, t. 5, Lublin 1999.

Opracowania

Baran A.F., *Pseudonim „Zapora”*, Staszów 1996.
Baran A.F., *Tarnobrzeg. Szkice z dziejów miasta i jego obywateli*, Tarnobrzeg 2012.
Blood P.W., *Hitler's Bandit Hunters: The SS and the Nazi Occupation of Europe*, Dulles (Virgina) 2006.
Cmentarz komunalny Powązki – dawny wojskowy w Warszawie, red. J.J. Malczewski, Warszawa 1989.
Cyra A., *Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz*, Warszawa 2014.
Dakowicz P., *Łączka*, Kraków 2013.
Drużyńska J., Jankowski S.M., *Wyklęte życiorysy*, Warszawa 2009.
Duraczyński E., *Generał Iwanow zaprasza. Przywódcy podziemnego państwa polskiego przed sądem moskiewskim*, Warszawa 1989.
Eisler J., *Polski rok 1968*, Warszawa 2006.
Fikus D., *Pseudonim „Łupaszka”. Z dziejów V Wileńskiej Brygady Śmierci i Mobilizacyjnego Ośrodka Wileńskiego Okręgu AK*, Warszawa 1990.
Fleming M., *Auschwitz, the Allies and Censorship of the Holocaust*, Cambridge 2014.
Gella A., *Zagłada Drugiej Rzeczypospolitej 1945–1947*, Warszawa 1998.
Generał August Emil Fieldorf „Nil” – w 50-tą rocznicę śmierci, oprac. M. Fieldorf, L. Zachuta, broszura towarzysząca wystawie przygotowanej przez Muzeum Miejskie Wrocławia, Wrocław 2003.
Gontarczyk P., *Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy 1941–1944*, Warszawa 2003.
Kochanowska I., *Major Zapora*, Warszawa 1999.
Korkuć M., *Zostańcie wierni tylko Polsce… Niepodległościowe oddziały partyzanckie w Krakowskiem (1944–1947)*, Kraków 2002.
Kozłowski P., *Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko” 1910–1951*, Warszawa 2011.
Krajewski K., Łabuszewski T., *5 Wileńska Brygada AK. 18 sierpnia 1945. Bitwa w Miodusach Pokrzywnych*, Perlejewo 2005.

Krajewski K., Łabuszewski T., *Danuta Siedzikówna – sanitariuszka „Inka” z 5 Brygady Wileńskiej AK. W sześćdziesiątą rocznicę śmierci z rąk komunistów*, Narewka 2006.
Krajewski K., Łabuszewski T., *Kpt. Władysław Łukasiuk „Młot” podlaski komendant 6 Brygady Wileńskiej AK*, Czaje–Wólka 2006.
Krajewski K., Łabuszewski T., *„Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”. Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)*, Warszawa 2002.
Krajewski K., Łabuszewski T., *Powiat Sokołów Podlaski w walce z reżimem komunistycznym 1944–1953*, Sokołów Podlaski 2007.
Krajewski K., Łabuszewski T., *Z walk oddziałów kpt. „Młota” 6 Brygady Wileńskiej AK na Podlasiu. Pamięci partyzantów poległych 17 lutego 1947 r. w Kiełpińcu*, Kiełpiniec 2005.
Krokowicz T., *Co pozostało? O rodzinach Kaszniców, Durskich i Szymańskich*, Poznań 2013.
Kuciński D., *Aleksander Krzyżanowski „Wilk”*, Warszawa 2016.
Kuciński D., *Hieronim Dekutowski „Zapora”*, Warszawa 2016.
Kunert A.K., *Oskarżony Kazimierz Moczarski*, Kraków 2006.
Kurek E., *Zaporczycy 1943–1949*, Warszawa 2015.
Laar M., *The Power of Freedom – Central and Eastern Europe after 1945*, Brussels 2010.
Leopold C., Lechicki K., *Więźniowie polityczni w Polsce 1945–1956*, Lublin 1986.
Lipiński P., *Raport Rzepeckiego*, Warszawa 2005.
Malinowski K., *Tajna Armia Polska, Znak, Konfederacja Zbrojna*, Warszawa 1986.
Marat S., Snopkiewicz J., *Zbrodnia. Sprawa generała Fieldorfa – Nila*, Warszawa 1989.
Marat S., Snopkiewicz J., *Ludzie bezpieki*, Warszawa 1990.
Modelski Ł., *Dziewczyny wojenne*, Kraków 2011.
Motyka G., *Na białych Polaków obława: wojska NKWD w walce z polskim podziemiem 1944–1953*, Kraków 2014.
Mórawski K., *Cmentarze warszawskie. Przewodnik historyczny*, Warszawa 2012.
Mórawski K., *Przewodnik historyczny po cmentarzach warszawskich*, Warszawa 1989.
Niwiński P., *Okręg wileński AK w latach 1944–1948*, Warszawa 1999.

Nowak S., *Bitwy wyklętych*, Warszawa 2016.
Nowak S., *Oddziały wyklętych*, Warszawa 2014.
Pająk H., *Oni się nigdy nie poddali*, Lublin 1997.
Pająk H., *„Uskok" kontra UB*, Lublin 1992.
Pająk H., *„Zaporowcy" przed sądem UB*, Lublin 1997.
Patricelli M., *Ochotnik*, Warszawa 2011.
Pawłowicz J., *Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948* (album), Warszawa 2008.
Pawłowicz J., *Witold Pilecki (1901–1948)*, Warszawa 2013.
Peszke M.A., *The Polish Underground Army, the Western Allies, and the Failure of Strategic Unity in World War II*, Jefferson 2005.
Pietrow N., *Nowy ład Stalina. Sowietyzacja Europy 1945–1953*, Warszawa 2015.
Pilecki K., *Był sens walki i sens śmierci*, Bydgoszcz 1998.
Piotrowski M., *Ludzie bezpieki w walce z Narodem i Kościołem. Służba Bezpieczeństwa w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w latach 1944–1978*, Lublin 2000.
Płużański T.M., *Bestie. Mordercy Polaków*, Warszawa 2012.
Płużański T.M., *Rotmistrz Pilecki i jego oprawcy*, Warszawa 2015.
Poprzeczny J., *Odilo Globocnik, Hitler's Man in the East*, London 2004, s. 357–359.
Rawson A., *Auschwitz. The Nazi Solution*, Barnsley 2015.
Sawicki J., *Kedyw*, Warszawa 2015.
Sobieraj T., *Orły niepodległości. Cmentarz Wojskowy na Powązkach w Warszawie w setną rocznicę jego powstania (1912–2012)*, Ząbki 2012.
Sudoł T., Żuczkowski M., *Major Hieronim Dekutowski „Zapora" (1918–1949)*, Warszawa 2016.
Swat T., *Niewinni straceni w Warszawie 1945–1956*, Warszawa 1991.
Swat T., *„…Przed Bogiem i historią". Księga ofiar komunistycznego reżimu w Polsce lat 1944–1956. Mazowsze*, Warszawa 2003.
Szejnert M., *Śród żywych trupów*, Kraków 2012.
Szwagrzyk K., *Prawnicy czasu bezprawia. Sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944–1956*, Kraków–Wrocław 2005.
Śląski J., *Żołnierze wyklęci*, Warszawa 1995.
Śledziński K., *Cichociemni. Elita polskiej dywersji*, Kraków 2012.

Tarka K., *Generał „Wilk”. Aleksander Krzyżanowski – komendant Okręgu Wileńskiego ZWZ-AK*, Łomianki 2012.
Tec N., *Resistance. Jews and Christians Who Defied the Nazi Terror*, New York 2013.
Tomaszewski L., W*ileńszczyzna lat wojny i okupacji 1939–1945*, Warszawa 2001.
Tracki K., *Młodość Witolda Pileckiego*, Zabrze 2015.
Tucholski J., *Cichociemni 1941–1945*: s*ylwetki spadochroniarzy*, Warszawa 1981.
Twarze lubelskiej bezpieki, publikacja towarzysząca wystawie IPN, oprac. P. Zawada, Lublin 2007.
Walicki R., *Tortury. W Polsce 1945–1955 i współcześnie*, Warszawa 2013.
Wąsowski G, Żebrowski L., *Żołnierze wyklęci. Antykomunistyczne podziemie zbrojne po 1944 roku*, Warszawa 1999.
Wichowska K., *„Łączka”*, Warszawa 2015.
Wieliczka-Szarek J., *Żołnierze wyklęci*, Kraków 2013.
Wilczur J.E., *Wileński pierścień śmierci*, Warszawa 2012.
Wnuk R., *Lubelski Okręg AK DSZ i WiN 1944–1947*, Warszawa 2000.
Wołkonowski J., *Okręg Wileński Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej w latach 1939–1945*, Warszawa 1996.
Wysocki W.J., *„Nil”. Generał August Emil Fieldorf 1895–1953*, Warszawa 2010.
Wysocki W.J., *Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948*, Warszawa 2009.
Wywiał P., *Generał August Emil Fieldorf „Nil” (1895–1953)*, Warszawa 2013.
Zaborski M., *Ustrój sądów wojskowych w Polsce w latach 1944–1956*, Lublin 2005.
„Zaplute karły reakcji…”. Polskie podziemie niepodległościowe 1944–1956, red. A. Jaczyńska, M. Śladecka, R. Wnuk, Lublin 2008.
Żaryn J., *„Taniec na linie i nad przepaścią”. Organizacja Polska na wychodźstwie i jej łączność z krajem w latach 1945–1955*, Warszawa 2011.

Publikacje zbiorowe

Archeologia totalitaryzmu, *Ślady represji 1939–1956*, red. O. Ławrynowicz, J. Żelazko, Łódź 2015.

Atlas polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956, red. S. Poleszak, R. Wnuk, Warszawa–Lublin 2007.
Auschwitz 1940–1950: węzłowe zagadnienia z dziejów obozu, t. 4, *Ruch oporu*, red. W. Długoborski, F. Piper, Oświęcim 1995.
Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania, Warszawa 1999.
De-Stalinising Eastern Europe. The Rehabilitation of Stalin's Victims after 1953, red. K. McDermott, M. Stibbe, London 2015.
Die polnische Heimatarmee: Geschichte und Mythos der Armia Krajowa seitdem Zweiten Weltkrieg, red. B. Chiari, München 2003.
Do końca wierni. Żołnierze Wyklęci 1944–1963, red. D.P. Kucharski, R. Sierchuła, Poznań 2014.
Generał „Nil", red. A. Kantorowicz, Warszawa 1999.
Komunistyczne amnestie lat 1945–1947 – drogi do „legalizacji" czy zagłady?, red. W.J. Muszyński, Warszawa 2012.
Ksiądz rektor Jan Stępień. Żołnierz, więzień celi śmierci, profesor. Księga pamiątkowa opublikowana w 60. rocznicę Powstania Warszawskiego, red. ks. R. Bartnicki, Warszawa 2004.
„Niezłomni" Lech Neyman i Stanisław Kasznica 1908–1948. Historia ostatnich przywódców NSZ, red. R. Sierchuła, Warszawa 2012.
Polskie podziemie niepodległościowe na tle konspiracji antykomunistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1944–1956, red. S. Poleszak, Warszawa–Lublin 2008.
Przestępstwa sędziów i prokuratorów w Polsce lat 1944–1956, red. A. Rzepliński, W. Kulesza, Warszawa 2000.
Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944–1956, red. T. Łabuszewski, Warszawa 2012.
Transitional Justice in Eastern Europe and the Former Soviet Union, red. L. Stan, London–New York 2009.
W stronę antropologii „bezpieki". Nieklasyczna refleksja nad aparatem bezpieczeństwa w Polsce Ludowej, red. J. Syrnyk, A. Klarman, M. Mazur, W. Kłosek, Wrocław 2014.
Wielkopolski Słownik Biograficzny, Warszawa 1983.
Więzienie mokotowskie. Historia i teraźniejszość, red. M. Gordon, Warszawa 2004.
Wojna po wojnie, red. G. Motyka i in., Warszawa–Gdańsk 2012.

Wojna się nie skończyła, red. F. Musiał, Kraków 2014.
Wolni i zniewoleni. Rtm. Witold Pilecki i inni więźniowie KL Auschwitz wobec nowej rzeczywistości powojennej, red. W. Stankowski, Oświęcim 2010.
Z dziejów prawa, red. A. Lityński, M. Mikołajczyk, W. Organiściak, t. 6 (14), Katowice 2013.
„Zwyczajny" resort. Studia o aparacie bezpieczeństwa 1944–1956, red. K. Krajewski, T. Łabuszewski, Warszawa 2005.

Czasopisma naukowe i popularnonaukowe

„Analecta. Studia i materiały z dziejów nauki" 1995, t. 4, nr 1.
„Aparat represji w Polsce Ludowej 1944–1989" 2006, nr 1.
„Aparat represji w Polsce Ludowej 1944–1989" 2012, nr 1.
„Biuletyn IPN" 2002, nr 6.
„Biuletyn IPN" 2003, nr 7.
„Biuletyn IPN" 2007, nr 7.
„Biuletyn IPN" 2008, nr 1–2.
„Biuletyn IPN" 2008, nr 5–6.
„Biuletyn IPN" 2011, nr 5–6.
„Dzieje Najnowsze" 2012, nr 2.
„International Journal of Legal Medicine" 2015, vol. 129, nr 4.
„Legal Medicine" 2014, vol. 16, nr 4.
„Niepodległość i Pamięć" 1997, nr 1.
„Niepodległość i Pamięć" 2007, nr 26.
„Niepodległość i Pamięć" 2010, nr 31.
„pamięć.pl" 2012, nr 8.
„pamięć.pl" 2013, nr 2.
„pamięć.pl" 2014, nr 3.
„Problems of Forensic Sciences" 2011, vol. LXXXVII.
„Przegląd Historyczno-Wojskowy" 2001, nr 1.
„Przegląd Historyczno-Wojskowy" 2014, nr 3.
„Przegląd Więziennictwa Polskiego" 2008, nr 58.
„Studia Lubuskie" 2010, t. 6.
„Tarnobrzeskie Zeszyty Historyczne" 1995, nr 9.
„Wyklęci" 2016, nr 1.
„Zeszyty Historyczne" 1987, z. 82.

„Zeszyty Historyczne” 1990, z. 94.
„Zeszyty Historyczne” 1992, z. 99.
„Zeszyty Historyczne” 1992, z. 101.
„Zeszyty Historyczne” 1994, z. 110.
„Zeszyty Historyczne «Wiano»” 1994, z. 11.
„Zeszyty Historyczne WiN-u” 2002, nr 17.
„Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 15.
„Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 16.
„Zeszyty Historyczne WiN-u” 2013, nr 38.
„Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach” 2014, nr 103.

Prasa ogólna

„Debata” 2007, nr 3.
„Myśl Polska” 3–10 III 2013, nr 9–10.
„Najwyższy Czas!” 2014, nr 30–31.
„Nasz Dziennik” 23 II 2008, nr 46.
„Nasz Dziennik” 20 II 2013, nr 43.
„Nasz Dziennik” 21 II 2013, nr 44.
„Nasz Dziennik” 23–24 II 2013, nr 46.
„Nasz Dziennik” 2–3 III 2013, nr 52.
„Nasz Dziennik” 27 V 2013, nr 122.
„Nasz Dziennik” 21 XI 2014, nr 270.
„Nasz Dziennik” 5 II 2015, nr 29.
„Nasz Dziennik” 24 II 2015, nr 45.
„Nasz Dziennik” 28 II–1 III 2015, nr 49.
„Nasz Dziennik” 31 VII 2015, nr 177.
„Nasz Dziennik” 8 III 2016, nr 56.
„Polityka” 2013, nr 22.
„Rzeczpospolita” 20 IV 2009, nr 91.
„Rzeczpospolita” 17 V 2013, nr 114.
„Odrodzenie” 7 I 1989, nr 1.
„Odrodzenie” 21 I 1989, nr 3.
„Odrodzenie” 4 II 1989, nr 5.
„Oświęcimski Chemik” 30 V 1991, nr 10.
„Powiat Słupski” 2011, nr 9–10.

„Prawo i życie” 8 XII 1990, nr 49.
„Szczerbiec” 1994, nr 6.
„Źródło” 2011, nr 39.

Dodatki historyczne

1945. Rzeczpospolita utracona, dodatek specjalny IPN, „Tygodnik Powszechny” 9 V 2010.
Akcja „Burza” 1944, dodatek specjalny IPN, „Polska Times” 28 VII 2014.
Jednodniówka Stowarzyszenia Historycznego im. 11 Grupy Operacyjnej NSZ, 7 III 2014.
Najmężniejszy z mężnych, dodatek historyczny IPN, „Rzeczpospolita” 24–25 V 2008.
Po 1944 roku: nie wojna domowa, lecz powstanie, dodatek historyczny IPN, „Nasz Dziennik” 29 II 2008.
Polskie Państwo Podziemne, dodatek historyczny IPN, „Nasz Dziennik” 28 XII 2007.
Polskie rody: Mireccy, Kasznicowie, Celichowscy, dodatek historyczny IPN, „Nasz dziennik” 18 XII 2009.
Trzystu szesnastu, dodatek historyczny, „Tygodnik Powszechny” 27 III 2011.
Warszawa ’44, dodatek specjalny IPN, „Niezależna Gazeta Polska” 7 VIII 2009.
Wierni wyklęci, dodatek specjalny, „Rzeczpospolita” 27–28 II 2010.

Wywiady z badaczami

Rozmowa z dr. Andrzejem Ossowskim, 3 XI 2015.
Rozmowa z dr. Andrzejem Ossowskim, 4 XI 2015.
Rozmowa z dr. Jarosławem Piątkiem, 4 XI 2015.
Rozmowa z dr. Łukaszem Szleszkowskim, 22 XI 2015.
Rozmowa z Justyną Sawicką, 9 XII 2015.
Rozmowa z prof. Krzysztofem Szwagrzykiem, 9 XII 2015.
Rozmowa z prof. Krzysztofem Szwagrzykiem, 12 I 2016.

Materiały audio i wideo

Polskie Radio, 20 III 1990.
Polskie Radio, 23 II 2011.
Polskie Radio, 24 II 2011.

Polskie Radio, 31 III 2011.
Polskie Radio, 19 II 2015.
Polskie Radio, 14 V 2015.
Polskie Radio, 24 II 2016.
Polskie Radio, 4 III 2016.
IPN TV, 22 II 2013.
IPN TV, 23 VIII 2013.
IPN TV, 12 XI 2015.

Strony internetowe[895]

www.1944.pl
www.blog.kurierwilenski.lt
www.duchswietykielce.pl
www.dzieje.pl
www.fieldorf.pl
www.fundacjapamietamy.pl
www.google.com/culturalinstitute
www.gość.pl
www.ipn.gov.pl
www.literat.ug.edu.pl
www.muzeum-ak.pl
www.muzeumpilsudski.pl
www.naszdziennik.pl
www.naukawpolsce.pap.pl
www.newsweek.pl
www.pch24.pl
www.pilsudski.org
www.pogon.lt
www.polskieradio.pl
www.radiomaryja.pl
www.rp.pl
www.sejm-wielki.pl
www.stary.naszdziennik.pl
www.teatrnn.pl
www.telewizjarepublika.pl
www.teologiapolityczna.pl

www.tygodnikprzeglad.pl
www.uwazamrze.pl
www.youtube.com
www.zw.com.pl

PRZYPISY

[1] Zob. Ustawa z dnia 15 maja 2015 r. o zmianie ustawy o cmentarzach i chowaniu zmarłych, ustawy o grobach i cmentarzach wojennych oraz ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Dz.U. 2015, nr 0, poz. 935, Internetowy System Aktów Prawnych, http://isap.sejm.gov.pl/DetailsServlet?id=WDU20150000935.

[2] Zob. *Pogrzeb na „Łączce”. Bohaterowie godnie pochowani* [wideo], IPN TV, 12 XI 2015, www.youtube.com/watch?v=lsWxsr_ltNI.

[3] Komuniści pochowali zwłoki Franczaka bez głowy. Czaszkę partyzanta zamierzali wykorzystać do ekspertyzy medycznej, aby poznać stan uzębienia, co miało pozwolić na ustalenie współpracowników „Lalka”. Początkowo czaszką dysponowała Prokuratura Rejonowa w Lublinie, potem trafiła ona do Zakładu Medycyny Sądowej tamtejszej Akademii Medycznej – obecnie Uniwersytet Medyczny. Właśnie tam odnaleziono ją po wieloletnim śledztwie prowadzonym przez lubelski oddział IPN. O tym, że należy do ostatniego polskiego żołnierza partyzantki antykomunistycznej, poinformowano oficjalnie w styczniu 2015 roku. Zob. *Odnaleziono czaszkę Józefa Franczaka ps. „Lalek”, ostatniego partyzanta podziemia niepodległościowego*, IPN, https://ipn.gov.pl/wydzial-prasowy/komunikaty/odnaleziono-czaszke-jozefa-franczaka-ps.-lalek,-ostatniego-partyzanta-podziemia-niepodlegloscio wego.

[4] Zob. L. Żebrowski, *Podwójnie wyklęci*, „Nasz Dziennik” 8 III 2016, nr 56, s. 16.

[5] L. Żebrowski, *Powstanie antykomunistyczne*, „Nasz Dziennik” 28 II–1 III 2015, nr 49, s. 11.

[6] Por. T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Sowieckie bagnety przeciw Polsce, czyli tzw. wojna domowa po tak zwanym wyzwoleniu*, w: *Wierni wyklęci*, „Rzeczpospolita” 27–28 II 2010 (dodatek specjalny), s. 6–7.

[7] W.J. Muszyński, *Antykomunistyczne powstanie*, w: *Do końca wierni. Żołnierze Wyklęci 1944–1963*, red. D.P. Kucharski, R. Sierchuła, Poznań 2014, s. 21–23. Tenże, *Polskie powstanie antykomunistyczne 1944–1953*, w: *Po 1944 roku: nie wojna domowa, lecz powstanie*, dodatek historyczny IPN, „Nasz Dziennik” 29 II 2008, s. I–III.

[8] Z. Zblewski, *Założenia programowe polskiego podziemia niepodległościowego w pierwszych latach powojennych*, w: *Polskie podziemie niepodległościowe na tle konspiracji antykomunistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1944–1956*, red. S. Poleszak, Warszawa–Lublin 2008, s. 136–137.

[9] *„Zaplute karły reakcji…”. Polskie podziemie niepodległościowe 1944–1956*, red. A. Jaczyńska, M. Śladecka, R. Wnuk, Lublin 2008, s. 64; *Wyklęci. Podziemie zbrojne 1944–1963*, wybór i oprac. M. Markowska, Warszawa 2013, s. 176–177.

[10] J. Śląski, *Żołnierze wyklęci*, Warszawa 1995, s. 248. Por. *Poakowskie oddziały i organizacje zbrojne*, w: *Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach*

i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944–1956, MSW Biuro „C”, Warszawa 1964 (reprint – Lublin 1993), s. 23–55.

[11] Cyt. za: *Atlas polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956*, red. S. Poleszak, R. Wnuk, Warszawa–Lublin 2007, s. XXII.

[12] R. Wnuk, *Podziemie niepodległościowe w Polsce 1944–1953. Zarys problemu*, w: *Wojna po wojnie*, red. G. Motyka i in., Warszawa–Gdańsk 2012, s. 156; T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Z orłem w Koronie*, w: *Wierni wyklęci*, s. 4.

[13] Według W.J. Muszyńskiego walka powojennej konspiracji antykomunistycznej była przedłużeniem antyniemieckiej akcji „Burza”; wielu spośród walczących z komunistami pamiętało boje z Niemcami, zmienił się tylko wróg. *Sytuacja była analogiczna do tej z okresu okupacji niemieckiej: tak jak Niemcy, zwalczając polskie podziemie, korzystali z usług i wsparcia miejscowych volksdeutschów i kolaborantów, tak Sowieci znaleźli wsparcie u komunistów, różnego rodzaju życiowych oportunistów i kryminalistów, którzy zgłosili swój akces do współpracy, licząc na łaskawość protektora*. Cyt. za: W.J. Muszyński, *Antykomunistyczne powstanie*, s. 21. Por. Z. Zblewski, dz. cyt., s. 137.

[14] Cyt. za: W. Siła-Nowicki, *Wspomnienia i dokumenty*, red. M. Nowicka-Marusczyk, Wrocław 2002, t. 1, s. 223.

[15] R. Wnuk, *Podziemie niepodległościowe*, s. 157.

[16] Ł. Kamiński, *Wyzwolenie czy nowa okupacja?*, w: *1945. Rzeczpospolita utracona*, „Tygodnik Powszechny” 9 V 2010 (dodatek specjalny IPN), s. I, V.

[17] Cyt. za: *Atlas polskiego podziemia*, s. XXII. Szerzej w: *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 5, Wrocław 1991, s. 239–240.

[18] P. Gontarczyk, *Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy 1941–1944*, Warszawa 2003, s. 358.

[19] Cyt. za: J. Śląski, dz. cyt., s. 102.

[20] M. Laar, *The Power of Freedom – Central and Eastern Europe after 1945*, Brussels 2010, s. 75; M. Korkuć, *Zniewoleni przez zwycięzców*, w: *1945. Rzeczpospolita utracona*, s. IV; B. Marzec, M. Rosalak, *Niezłomni do końca*, rozmowa z prezesem IPN Januszem Kurtyką, w: *Wierni wyklęci*, s. 1–3. Szerzej w: *Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach*.

[21] Cyt. za: *Wyklęci. Podziemie zbrojne*, s. 25.

[22] Cyt. za: P. Gontarczyk, dz. cyt., s. 380.

[23] A. Paczkowski, *Represje komunistyczne w Polsce w latach 1944–1956. Zarys ogólny*, w: *Archeologia totalitaryzmu, Ślady represji 1939–1956*, red. O. Ławrynowicz, J. Żelazko, Łódź 2015, s. 285, 292; T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Sowieckie bagnety przeciw Polsce*, s. 6; *Atlas polskiego podziemia*, s. XXVIII; *„Zaplute karły reakcji…”*, s. 56; *Wyklęci. Podziemie zbrojne*, s. 175. Szerzej w: G. Motyka, *Na białych Polaków obława: wojska NKWD w walce z polskim podziemiem 1944–1953*, Kraków 2014.

[24] N. Pietrow, *Nowy ład Stalina. Sowietyzacja Europy 1945–1953*, Warszawa 2015, s. 150–151. Por. P. Kołakowski, *Sowiecki kontrwywiad i aparat bezpieczeństwa w walce z polskim podziemiem niepodległościowym 1944–1945*, „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 2001, 1(186), s. 5–33.

[25] H. Moldenhauer, *Der sovjetische NKVD und die Heimatarmee im „Lubliner Polen” 1944/45*, w: *Die polnische Heimatarmee: Geschichte und Mythos der Armia Krajowa seitdem Zweiten Weltkrieg*, red. B. Chiari, München 2003, s. 285–286.

[26] Cyt. za: *NKWD i polskie podziemie 1944–1945. Z „teczek specjalnych” Józefa W. Stalina*, red. A.F. Noskowa, A. Fitowa, Kraków 1998, s. 17.

[27] Por. tamże, s. 226–231.

[28] Przykładem choćby zacięte bitwy z Sowietami: pod Surkontami (21 VIII 1944) między oddziałem AK mjr. Macieja Kalenkiewicza „Kotwicza” (poległ w walce) i wojskami NKWD, pod Kuryłówką (6–8 V 1945), gdzie starli się partyzanci NOW-NZW, dowodzeni przez mjr. Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana”, z żołnierzami NKWD; oraz w Lesie Stockim (24 V 1945) z udziałem Zgrupowania AK-DSZ mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika” i połączonymi siłami NKWD, KBW, UB i MO. Szerzej w: S. Nowak, *Bitwy wyklętych*, Warszawa 2016.

[29] Cyt. za: J. Śląski, dz. cyt., s. 168–169.

[30] Według danych sowieckich w styczniu 1946 roku w obozach NKWD znajdowało się 187 tys. Polaków. Zob. *NKWD i polskie podziemie*, s. 440.

[31] A. Paczkowski, *Polacy pod obcą i własną przemocą*, w: *Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania*, praca zbiorowa, Warszawa 1999, s. 349–350; G. Mazur, *Die Aktion „Burza”*, w: *Die polnische Heimatarmee*, s. 260. Por. M. Laar, dz. cyt., s. 76.

[32] P. Niwiński, *Działania operacyjne Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego wobec środowiska wileńskiego do 1956 roku*, w: *„Zwyczajny” resort. Studia o aparacie bezpieczeństwa 1944–1956*, red. K. Krajewski, T. Łabuszewski, Warszawa 2005, s. 262–263; J. Śląski, dz. cyt., s. 174; A. Paczkowski, *Represje komunistyczne w Polsce*, s. 293; *NKWD i polskie podziemie*, s. 44–45, 441–442.

[33] Zob. A. Paczkowski, *Represje komunistyczne w Polsce*, s. 281.

[34] J. Śląski, dz. cyt., s. 127; R. Wnuk, *Podziemie niepodległościowe*, s. 159; Z. Zblewski, dz. cyt., s. 141–142.

[35] Cyt. za: *Wyklęci. Podziemie zbrojne*, s. 34.

[36] Tamże, s. 40–41, 45. Por. P. Lipiński, *Raport Rzepeckiego*, Warszawa 2005, s. 58–59.

[37] Cyt. za: T. Balbus, *„Zgodnie z instrukcją spotkałem się…”. Konfidenci SB wobec prezesa II Zarządu Głównego WiN płk. Franciszka Niepokólczyckiego (wybór raportów agentury z lat 1957–1974)*, „Aparat represji w Polsce Ludowej 1944–1989” 2006, nr 1, s. 207.

[38] S. Korboński, *Polskie Państwo Podziemne. Przewodnik po Podziemiu z lat 1939–1945*, Warszawa 2008, s. 208.

[39] K. Krajewski, *Kresy Wschodnie. To miał być koniec wojny. Okazał się początkiem nowej*, w: *Akcja „Burza” 1944*, „Polska Times” 28 VII 2014 (dodatek specjalny IPN), s. 3.

[40] A. Łuczak, *Relacje międzyorganizacyjne polskiej konspiracji antykomunistycznej*, w: *Polskie podziemie niepodległościowe*, s. 178; J. Marszalec, *Założenia programowe polskiego podziemia niepodległościowego w pierwszych latach powojennych (koreferat)*, w: tamże, s. 147–148.

[41] J. Rybicki, *Rok 1945*, „Zeszyty Historyczne” 1987, z. 82, s. 23–24.

[42] F. Musiał, *Trzy krzyże Virtuti, dwa sowieckie śledztwa*, w: *Wojna się nie skończyła*, red. tegoż, Kraków 2014, s. 37–38; *NKWD i polskie podziemie*, s. 22–25; S. Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*, s. 212–215.

[43] Cyt. za: P. Jasienica, *Pamiętnik*, Warszawa 2007, s. 197.

[44] Cyt. za: A. Gella, *Zagłada Drugiej Rzeczypospolitej 1945–1947*, Warszawa 1998, s. 66.

[45] Zob. *Stenogram protokołu przesłuchania głównodowodzącego Armią Krajową generała brygady L. Okulickiego*, w: *NKWD i polskie podziemie*, s. 165–170; M. Klecel, *Haniebny proces. Przywódcy Polski podziemnej przed moskiewskim sądem*, w: *Polskie Państwo Podziemne*, dodatek historyczny IPN, „Nasz Dziennik” 28 XII 2007, s. VI. Szerzej w: E. Duraczyński, *Generał Iwanow zaprasza. Przywódcy podziemnego państwa polskiego przed sądem moskiewskim*, Warszawa 1989.

[46] R. Wnuk, *Podziemie niepodległościowe*, s. 157–159; G. Motyka, dz. cyt., s. 223; J. Śląski, dz. cyt., s. 170–173; *„Zaplute karły reakcji…”*, s. 76, 88. Por. *Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach*, s. 10–23; 55–70.

[47] Por. J. Kurtyka, *Na szlaku AK (NIE, DSZ, WiN)*, „Zeszyty Historyczne” 1990, z. 94, s. 13–47.

[48] Cyt. za: F. Musiał, *Wierni testamentowi Polski niepodległej*, „Biuletyn IPN” 2008, nr 1–2, s. 3.

[49] G. Wąsowski, L. Żebrowski, *Żołnierze wyklęci. Antykomunistyczne podziemie zbrojne po 1944 roku*, Warszawa 1999, s. 65, 68–69.

[50] Śmierć ponieśli wówczas także: mjr Adam Łazarowicz, mjr Mieczysław Kawalec, kpt. Franciszek Błażej, kpt. Józef Rzepka, por. Karol Chmiel i por. Józef Batory.

[51] Zob. F. Musiał, *Wierni testamentowi*, s. 6; D.P. Kucharski, *Dzień Niezłomnych*, w: *Do końca wierni*, s. 19–20.

[52] T. Łabuszewski, *Formy działania podziemia niepodległościowego (na przykładzie nurtu poakowskiego)*, w: *Polskie podziemie niepodległościowe*, s. 221–225; P. Lipiński, dz. cyt., s. 61–62; Z. Zblewski, dz. cyt., s. 142. Por. J. Marszalec, dz. cyt., s. 144–146.

[53] Cyt. za: F. Musiał, *Żołnierze wyklęci*, w: *Wojna się nie skończyła*, s. 56.

[54] *Atlas polskiego podziemia*, s. XXIV; R. Wnuk, *Podziemie niepodległościowe*, s. 160; Z. Zblewski, dz. cyt., s. 142.

[55] *„Zaplute karły reakcji…”*, s. 110.

[56] R. Wnuk, *Podziemie niepodległościowe*, s. 160; A. Łuczak, *Relacje międzyorganizacyjne polskiej konspiracji*, s. 179–180.

[57] Szerzej w: Cz. Brzoza, *Od Miechowa do Coburga. Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych w marszu na zachód*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2004, nr 2, s. 221–270; Por. J. Żaryn, *„Taniec na linie, nad przepaścią”. Organizacja Polska na wychodźstwie i jej łączność z krajem w latach 1945–1955*, Warszawa 2011.

[58] S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, Warszawa 2014, s. 65–71; G. Motyka, dz. cyt., s. 258–261.

[59] *„Zaplute karły reakcji…”*, s. 64; R. Wnuk, *Podziemie niepodległościowe*, s. 162; J. Śląski, dz. cyt., s. 173; J. Marszalec, dz. cyt., s. 148–149.

[60] Wiosną 1947 roku bilans rozbitych posterunków wynosił ok. 1300. Zob. *Atlas polskiego podziemia*, s. XXX.

[61] T. Łabuszewski, *Formy działania podziemia*, s. 228–229; J. Śląski, dz. cyt., s. 144–155, 190.

[62] Cyt. za: *Wyklęci. Podziemie zbrojne*, s. 46.

[63] Por. A. Łuczak, *Relacje międzyorganizacyjne polskiej konspiracji*, s. 180–181.

[64] P. Gasztold-Seń, *Problemy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w przygotowaniu i realizacji amnestii 1945 i 1947 r.*, w: *Komunistyczne amnestie lat 1945–1947 – drogi do „legalizacji" czy zagłady?*, red. W.J. Muszyński, Warszawa 2012, s. 47–50.

[65] Tamże, s. 63; R. Wnuk, *Podziemie niepodległościowe*, s. 165.

[66] Cyt. za: S. Korboński, *W imieniu Kremla*, Paryż 1956, s. 15.

[67] Ostatecznie przeprowadzone w styczniu 1947 roku wybory do Sejmu Ustawodawczego zostały sfałszowane, a działacze PSL – zastraszeni, represjonowani i aresztowani. Aby uniknąć tego losu, przewodniczący partii, były premier rządu RP na uchodźstwie (1943–1944) Stanisław Mikołajczyk, opuścił Polskę. Osiadł w USA, gdzie zmarł w 1966 roku. Do Polski rządzonej przez komunistów, którzy pozbawili go zresztą obywatelstwa, nigdy już nie wrócił.

[68] S. Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*, s. 234–235; R. Wnuk, *Podziemie niepodległościowe*, s. 165–166; Por. M. Korkuć, *Zostańcie wierni tylko Polsce… Niepodległościowe oddziały partyzanckie w Krakowskiem (1944–1947)*, Kraków 2002, s. 608.

[69] Zob. *„Zaplute karły reakcji…"*, s. 180–181, 184. Szerzej w: *Meldunek doradcy MSW ZSRR przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego Polski S.P. Dawydowa dla ministra spraw wewnętrznych ZSRR S.N. Krugłowa o wzroście aktywności zbrojnego podziemia w okresie przygotowania do referendum*, w: *NKWD i polskie podziemie*, s. 269–271.

[70] Szerzej w: *Pamiętny rok 1947*, red. M.E. Ożóg, Rzeszów 2001.

[71] N. Pietrow, dz. cyt., s. 162–167; J. Śląski, dz. cyt., s. 25–32; S. Korboński, *W imieniu Kremla*, s. 125–127; 131–132, 190, 238–239.

[72] *Atlas polskiego podziemia*, s. XXXIII–XXXIV; *Wyklęci. Podziemie zbrojne*, s. 176; R. Wnuk, *Podziemie niepodległościowe*, s. 166; P. Gasztold-Seń, dz. cyt., s. 79; S. Korboński, *W imieniu Kremla*, s. 290. Por. tenże, *Polskie Państwo Podziemne*, s. 234.

[73] *Atlas polskiego podziemia*, s. XXXII.

[74] Według szacunków liczba ta wahała się między 1100 a 1800 członków podziemia niepodległościowego. Por. *„Zaplute karły reakcji…"*, s. 142.

[75] Zob. Ł. Kamiński, *Postrzeganie podziemia niepodległościowego przez społeczeństwo polskie – (hipo)tezy*, w: *Polskie podziemie niepodległościowe*, s. 250–253.

[76] Cyt. za: W. Siła-Nowicki, dz. cyt., s. 223.

[77] Służba Bezpieczeństwa, będąca formalną następczynią UB, powstała oficjalnie 28 listopada 1956 roku na mocy uchwały o zmianie organizacji naczelnych organów administracji publicznej w zakresie bezpieczeństwa publicznego. Dwa lata wcześniej

zlikwidowano Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i powołano na jego miejsce Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

[78] Szerzej w: S. Poleszak, *Kryptonim „Pożar”. Rozpracowanie i likwidacja ostatniego żołnierza polskiego podziemia niepodległościowego Józefa Franczaka „Lalka”, „Lalusia” (1956–1963)*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2005, nr 2 (8), s. 347–376.

[79] Tylko od jesieni 1944 roku do lata 1946 roku w wyniku działań 64 Dywizji Wojsk Wewnętrznych NKWD zginęło ok. 2 tys. żołnierzy podziemia. Zob. A. Paczkowski, *Represje komunistyczne w Polsce*, s. 299. Por. *Wojska NKWD i „karły reakcji” z AK: wiosna i lato 1945 roku*, w: G. Motyka, dz. cyt., s. 188–225.

[80] A. Paczkowski, *Represje komunistyczne w Polsce*, s. 299.

[81] T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią”. Księga ofiar komunistycznego reżimu w Polsce lat 1944–1956. Mazowsze*, Warszawa 2003, s. XII.

[82] Cyt. za: G. Wąsowski, L. Żebrowski, dz. cyt., s. 339.

[83] W komunistycznej nomenklaturze określane jako „bandy realizacyjne”. Powstawały z inspiracji Urzędu Bezpieczeństwa, ale także Milicji Obywatelskiej, Wojska Polskiego, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zob. tamże, s. 338.

[84] Przed terrorem „band” politycznych, „silnie powiązanych z poszczególnymi ogniwami opozycji legalnej (PSL)”, ostrzegała m.in. Instrukcja dla Sztabów Powiatowych w sprawie zabezpieczenia akcji głosowania ludowego (referendum) z 4 czerwca 1946 roku. Zob. *„Zaplute karły reakcji…”*, s. 184.

[85] Cyt. za: S. Korboński, *W imieniu Kremla*, s. 180.

[86] G. Wąsowski, L. Żebrowski, dz. cyt., s. 339.

[87] L. Żebrowski, *Szwadrony śmierci*, „Nasz Dziennik” 23–24 II 2013, nr 46 (magazyn), s. M3–M4.

[88] Cyt. za: *Wyklęci. Podziemie zbrojne*, s. 33–34.

[89] J. Kułak, *Zbrodnia zinstytucjonalizowana*, „Biuletyn IPN” 2002, nr 6, s. 40. Zob. R. Walicki, *Tortury. W Polsce 1945–1955 i współcześnie*, Warszawa 2013, s. 41–44.

[90] J. Kułak, dz. cyt., s. 40.

[91] K. Rokicki, *Aparatu obraz własny. Analiza wykresów porównawczych dotyczących kadry aparatu bezpieczeństwa publicznego w latach 1944–1955*, w: *„Zwyczajny” resort*, s. 18–20.

[92] Tamże, s. 17–18.

[93] Szerzej w: M. Zaborski, *Ustrój sądów wojskowych w Polsce w latach 1944–1956*, Lublin 2005; M. Paszek, *Wojskowe sądy rejonowe (1946–1955). Organizacja wewnętrzna*, w: *Z dziejów prawa*, red. A. Lityński, M. Mikołajczyk, W. Organiściak, t. 6 (14), Katowice 2013, s. 175–193.

[94] Przytoczone dane dotyczą służby w UB, KBW, MO, WOP (Wojska Ochrony Pogranicza), SW (Służba Więzienna) oraz SP (Straż Przemysłowa). Zob. M. Piotrowski, *Ludzie bezpieki w walce z Narodem i Kościołem. Służba Bezpieczeństwa w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w latach 1944–1978*, Lublin 2000, s. 17. Por. *Tabela „Ogólny stan zatrudnienia w aparacie BP”*, w: K. Rokicki, dz. cyt., s. 16.

[95] A. Paczkowski, *Represje komunistyczne w Polsce*, s. 280–283.

[96] Szerzej w: *Noty biograficzne sędziów i prokuratorów wojskowych*, w: K. Szwagrzyk, *Prawnicy czasu bezprawia. Sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944–1956*, Kraków–Wrocław 2005, s. 255–475.

[97] Cyt. za: A. Paczkowski, *Represje komunistyczne w Polsce*, s. 283.

[98] Tamże; S. Marat, J. Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki*, Warszawa 1990, s. 100–101.

[99] Cyt. za: K. Moczarski, *Tajne dowody*, „Odrodzenie" 4 II 1989, nr 5, s. 11.

[100] T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią"*, s. XVII; A. Paczkowski, *Represje komunistyczne w Polsce*, s. 283.

[101] Cyt. za: A. Rzepliński, *Przystosowanie ustroju sądownictwa do potrzeb państwa totalitarnego w Polsce w latach 1944–1956*, w: *Przestępstwa sędziów i prokuratorów w Polsce lat 1944–1956*, red. tenże, W. Kulesza, Warszawa 2000, s. 9.

[102] Szerzej w: A. Lityński, *Początki prawa komunistycznego w Polsce. Prawo karne wojskowe przed wrześniem 1944 r.*, „Pamięć i Sprawiedliwość" 1996, nr 39, s. 74–90.

[103] Poszczególne akty są dostępne w Dzienniku Ustaw za konkretne lata. Zob. Internetowy System Aktów Prawnych, http://isip.sejm.gov.pl/VolumeServlet?type=wdu.

[104] Wraz z nim wprowadzono w życie „Dekret o postępowaniu doraźnym", przewidujący zastosowanie wobec oskarżonego szczególnego trybu postępowania karnego – o charakterze wyjątkowym. W istocie sprowadzało się to do powołania tzw. sądów doraźnych, działających na podstawie pośpiesznie sporządzonych aktów oskarżenia. Postępowanie doraźne odbywało się bez śledztwa (!), a rozprawy sądowe – nie później niż po upływie 24 godzin od sporządzenia aktu oskarżenia. *Należy przyznać otwarcie, że zdrowa część społeczeństwa polskiego już dawno oczekiwała sądów doraźnych przeciw rozbojom, gwałtom i łapownictwu i dlatego wprowadzenie obecnych sądów doraźnych przyjęło społeczeństwo nasze z ulgą i nadzieją, że zdołają one oczyścić atmosferę, wprowadzić ład i porządek, zabezpieczyć praworządność dla organizującej się w ciężkich warunkach demokratycznej Polski.* Cyt. za: *Dekret o postępowaniu doraźnym*, oprac. J. Różański, Kraków 1946, s. 4. Por. A. Rzepliński, dz. cyt., s. 21–22.

[105] Zob. A. Bosiacki, *Prawo stalinowskie i jego recepcja w Polsce 1944–1956 – zarys problematyki*, w: *Przestępstwa sędziów i prokuratorów*, s. 43–44; K. Szwagrzyk, *Prawnicy czasu bezprawia*, s. 34–49; A. Rzepliński, dz. cyt., s. 17–20; J. Śląski, dz. cyt., s. 100–101.

[106] Cyt. za: P. Kładoczny, *Kara śmierci jako wykładnik polityki karnej państwa w latach 1944–1956*, w: *Przestępstwa sędziów i prokuratorów*, s. 74.

[107] Szerzej w: *Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1950–1952, taktyka, strategia, metody*, Warszawa 2000.

[108] Zob. *Wykaz niektórych aktów normatywnych dotyczących działalności aparatu bezpieczeństwa w latach 1944–1956*, w: A. Kura, *Represje aparatu bezpieczeństwa publicznego w latach 1944–1956*, „Biuletyn IPN" 2002, nr 6, s. 31–33.

[109] A. Kura, dz. cyt., s. 31.

[110] J. Śląski, dz. cyt., s. 190.

[111] Cyt. za: F. Musiał, *Obwinieni o życie*, w: *Wojna się nie skończyła*, s. 67–68.

[112] R. Walicki, dz. cyt., s. 50–51.

[113] Cyt. za: A. Kura, dz. cyt., s. 30.
[114] Zob. *Różański – komunistyczny Masuy*, w: R. Walicki, dz. cyt., s. 97–104; *Mokotów w relacji załogi*, w: S. Marat, J. Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki*, s. 86–121.
[115] Cyt. za: J. Śląski, dz. cyt., s. 174.
[116] R. Walicki, dz. cyt., s. 44, 57–61. Szerzej w: *Techniki śledcze*, w: tamże, s. 62–88.
[117] Z. Błażyński, *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii*, Łomianki 2012, s. 3–5, 11–16; A. Paczkowski, *Polacy pod obcą*, s. 359.
[118] Szerzej w: *Ludzie bezpieczeństwa*, w: Z. Błażyński, dz. cyt., s. 104–112.
[119] Cyt. za: Z. Błażyński, dz. cyt., s. 73.
[120] Cyt. za: *Bezpieka a rodziny aresztowanych*, audycja Polskiego Radia, 31 III 2011, www.polskieradio.pl/39,Historia/1024,Za-kulisami-bezpieki-i-partii.
[121] Różański i Romkowski usłyszeli wyrok 15 lat więzienia, Fejgin – 12 lat. Wszyscy wyszli na wolność w październiku 1964 roku, po zastosowaniu prawa łaski przez Radę Państwa. Szerzej w: *Proces Romana Romkowskiego, Józefa Różańskiego i Anatola Fejgina w 1957 roku*, cz. 1 i 2, oprac. M. Jabłonowski, W. Janowski, Warszawa 2011.
[122] S. Marat, J. Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki*, s. 9–12.
[123] A. Paczkowski, *Represje komunistyczne w Polsce*, s. 286–287.
[124] K. Szwagrzyk, *Prawnicy czasu bezprawia*, s. 13.
[125] Do spisu dołączono aneks z nazwiskami 514 przestępców wojennych pochodzenia niemieckiego. Zob. J. Czołgoszewski, *Wykonywanie wyroków śmierci w okresie stalinowskim*, „Przegląd Więziennictwa Polskiego" 2008, nr 58, s. 119; Por. *Straceni w polskich więzieniach 1944–1956*, red. S. Pająk, Lublin 1994.
[126] G. Wąsowski, L. Żebrowski, dz. cyt., s. 339.
[127] K. Szwagrzyk, *Prawnicy czasu bezprawia*, s. 85–86; Por. T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią"*, s. XII, XIV–XVI. Zob. K. Szwagrzyk, *Sędziowie i prokuratorzy w procesie rotmistrza Pileckiego*, w: *Wolni i zniewoleni. Rtm. Witold Pilecki i inni więźniowie KL Auschwitz wobec nowej rzeczywistości powojennej*, red. W. Stankowski, Oświęcim 2010, s. 42.
[128] Por. J. Pawłowicz, *Warszawa. Więzienie MBP/K ds. BP (1945–1956)*, w: *Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944–1956*, red. T. Łabuszewski, Warszawa 2012, s. 260–267.
[129] Szerzej w: W.M. Karpowicz, *Początki Więzienia – okres do 1918 roku*, w: *Więzienie mokotowskie. Historia i teraźniejszość*, red. M. Gordon, Warszawa 2004, s. 7–18.
[130] J. Pawłowicz, *Lata 1945–1956 na Mokotowie*, w: *Więzienie mokotowskie*, s. 68–69.
[131] Wcześniej, do jesieni 1949 roku, więźniów przesłuchiwano i torturowano na ostatnim piętrze Pawilonu X.
[132] J. Pawłowicz, *Lata 1945–1956 na Mokotowie*, s. 70.
[133] Cyt. za: S. Marat, J. Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki*, s. 97.
[134] Por. Cz. Leopold, K. Lechicki, *Więźniowie polityczni w Polsce 1945–1956*, Lublin 1986, s. 39.
[135] Cyt. za: S. Marat, J. Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki*, s. 13.
[136] K. Moczarski, *Piekielne śledztwo*, „Odrodzenie" 21 I 1989, nr 3, s. 13.

[137] Zob. A.K. Kunert, *Oskarżony Kazimierz Moczarski*, Kraków 2006, s. 158–160 (por. opis tortur na s. 82); Cz. Leopold, K. Lechicki, dz. cyt., s. 37–40; A. Paczkowski, *Polacy pod obcą*, s. 354; R. Walicki, dz. cyt., s. 58–60.

[138] Cyt. za: A.K. Kunert, dz. cyt., s. 162; S. Marat, J. Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki*, s. 86.

[139] K. Moczarski, *Skazany na karę śmierci*, „Odrodzenie" 7 I 1989, nr 1, s. 5.

[140] Cyt. za: S. Krupa, *X Pawilon. Katownia UB na Rakowieckiej*, Warszawa 2009, s. 53–54.

[141] Tamże, s. 54.

[142] Tamże. Por. T. Marcinkowski, *Wspomnienia Stanisława Krupy z X Pawilonu*, Goleniów 2002, s. 26.

[143] Cyt. za: W. Minkiewicz, *Mokotów–Wronki–Rawicz. Wspomnienia 1939–1954*, Warszawa 1990, s. 75.

[144] *Ksiądz rektor Jan Stępień. Żołnierz, więzień celi śmierci, profesor. Księga pamiątkowa opublikowana w 60. rocznicę Powstania Warszawskiego*, red. ks. R. Bartnicki, Warszawa 2004, s. 57–58.

[145] Szerzej w: J. Stępień, *Ostatnie godziny rotmistrza Pileckiego*, „Oświęcimski Chemik" 30 V 1991, nr 10, s. 6.

[146] Cz. Leopold, K. Lechicki, dz. cyt., s. 23–24.

[147] Cyt. za: T. Wolfram, *Razem na „ogólniaku" mokotowskiego więzienia*, w: *Ksiądz rektor Jan Stępień*, s. 169.

[148] B. Polak, *O miejscach pochówków ofiar komunizmu w Polsce*, rozmowa z Krzysztofem Szwagrzykiem, „Biuletyn IPN" 2007, nr 7, s. 18; J. Pawłowicz, *Lata 1945–1956 na Mokotowie*, s. 73; T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią"*, s. XVI.

[149] W. Bartoszewski, *Mój Moczarski*, w: A.K. Kunert, dz. cyt., s. VIII. Por. A. Machcewicz, *Kazimierz Moczarski. Biografia*, Kraków 2009; K. Moczarski, *Zapiski*, Warszawa 1990.

[150] C. Leopold, K. Lechicki, dz. cyt., s. 22–23, 29.

[151] Cyt. za: J. Musioł, *Egzekucja generała Fieldorfa. Zeznanie świadka wykonania wyroku*, „Prawo i Życie" 8 XII 1990, nr 49, s. 11.

[152] Zeznanie złożone 28 czerwca 1990 roku podczas przesłuchania Gatnera przez prokuratora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich – Instytutu Pamięci Narodowej.

[153] *Śladami zbrodni*, s. 261–263; J. Czołgoszewski, dz. cyt., s. 120–121.

[154] Szerzej w: Ł. Szleszkowski i in., *Gunshot wounds (resulting from execution) of exhumed victims of the communist regime in Poland*, „Legal Medicine" 2014, vol. 16, nr 4, s. 201–207; Ł. Szleszkowski i in., *The possibility of establishing causes of death on the basis of the exhumed remains of prisoners executed during the communist regime in Poland: the exhumations at Powązki Military Cemetery in Warsaw*, „International Journal of Legal Medicine" 2015, vol. 129, nr 4, s. 801–806; Ł. Szleszkowski, A. Thannhäuser, *Postrzał głowy jako metoda wykonania egzekucji „przez rozstrzelanie" we wrocławskim więzieniu w latach 1948–1954*, w: *W stronę antropologii „bezpieki"*.

Nieklasyczna refleksja nad aparatem bezpieczeństwa w Polsce Ludowej, red. J. Syrnyk i in., Wrocław 2014, s. 327–337.

[155] P. Czartoryski-Sziler, *Medalik z żuchwy*, „Nasz Dziennik" 27 V 2013, nr 122, s. 4; T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią"*, s. XVII.

[156] Cyt. za: W. Minkiewicz, dz. cyt., s. 81.

[157] Cyt. za: S. Krupa, dz. cyt., s. 49. Por. T. Marcinkowski, dz. cyt., s. 21.

[158] T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią"*, s. XVI.

[159] Tamże, s. XVII; J. Pawłowicz, *Lata 1945–1956 na Mokotowie*, s. 74.

[160] T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią"*, s. XVI.

[161] Cyt. za: K. Szwagrzyk, *Wykonywanie egzekucji w Polsce. Zarządzenie i korespondencja z lat 1945–1946 (wybór dokumentów)*, „Zeszyty Historyczne WiN-u" 2002, nr 17, s. 258. Por. J. Czołgoszewski, dz. cyt. s. 120–121.

[162] C. Leopold, K. Lechicki, dz. cyt., s. 23; J. Pawłowicz, *Lata 1945–1956 na Mokotowie*, s. 70–71; T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią"*, s. XVII.

[163] Zob. *Śladami zbrodni*, s. 262.

[164] J. Czołgoszewski, dz. cyt., s. 124.

[165] Piotr Śmietański (1899–1950) – od 1945 roku w WUBP w Warszawie, wraz z początkiem 1946 roku na etacie oddziałowego w więzieniu mokotowskim. W latach 1947–1950 najpierw pozostający „do dyspozycji szefa", a później oficer do zleceń. Zob. *Piotr Śmietański*, w: *Katalog Biura Informacji Publicznej IPN*, http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastName=śmietański&idx=&katalogId=2&subpageKatalogId=2&pageNo=1&osobaId=20804&; Szerzej w: Sz. Hermański, T. Wróblewski, *Piotr Śmietański (1899–1950), kat z Mokotowa*, „Aparat represji w Polsce Ludowej 1944–1989" 2012, nr 1, s. 511–522; T.M. Płużański, *Bestie. Mordercy Polaków*, Warszawa 2012, s. 253–255.

[166] Aleksander Drej (1905 – początek lat 90. XX wieku) – od 1945 roku w WUBP w Warszawie, od 1947 roku zatrudniony w więzieniu mokotowskim. Przejął obowiązki kata po Piotrze Śmietańskim, wykonywał je jako oficer do zleceń w latach 1950–1953. W służbie więziennej do 1957 roku. Nagrodzony za skuteczne zwalczanie podziemia niepodległościowe premią w wysokości 30 tys. złotych. Zob. *Aleksander Drej*, w: *Katalog Biura Informacji Publicznej IPN*, http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastName=drej&idx=&katalogId=2&subpageKatalogId=2&pageNo=1&osobaId=30030&; J. Śląski, dz. cyt.,s. 239; T.M. Płużański, *Bestie*, s. 262–265.

[167] Doskonałym przykładem jest Śmietański. O jego postępującej demoralizacji świadczy fakt, że został nawet dyscyplinarnie ukarany za zastraszanie więźniów. Według relacji Śmietański miał pijany wchodzić do cel, bić osadzonych i wymachiwać bronią, wykrzykując przy tym pod ich adresem groźby pozbawienia życia. Karanie funkcjonariuszy więziennych przez ich zwierzchników było jednak działaniem sporadycznym. Por. K. Bedyński, *Sądowa represja o charakterze politycznym wobec funkcjonariuszy więziennych w latach 1944–1956*, w: *Przestępstwa sędziów i prokuratorów*, s. 359–385.

[168] J. Śląski, dz. cyt., s. 237.

[169] Za wykonanie wyroku śmierci inkasowano nawet ponad 3 tys. złotych, czyli 5–6-krotnie więcej niż wynosiła miesięczna pensja nauczyciela. Zob. M. Kamieniecki, *Kaci mieli poczucie bezkarności*, rozmowa z kpt. dr. Dariuszem Fudalim, „Nasz Dziennik" 10 XII 2012, http://naszdziennik.pl/polska-kraj/17617,kaci-mieli-poczucie-bezkarnosci.html.

[170] *Będzie Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Warszawie. „Przekażmy prawdę o walce, która była i jest sensem polskiej historii"*, Polskie Radio, 29 II 2016, www.polskieradio.pl/5/3 Artykul/1588470,Bedzie-Muzeum-Zolnierzy-Wykletych-w-Warszawie-Przekazmy-prawde-o-walce-ktora-byla-i-jest-sensem-polskiej-historii.

[171] Zob. *Część komunalna*, w: *Cmentarz komunalny Powązki – dawny wojskowy w Warszawie*, red. J.J. Malczewski, Warszawa 1989, s. 272–276. Por. K. Mórawski, *Przewodnik historyczny po cmentarzach warszawskich*, Warszawa 1989, s. 27–36. Po latach w publikacji znanego varsavianisty pojawił się dokładnie jeden akapit mówiący o tajnych pochówkach więźniów politycznych z lat 1945–1956. Zob. tenże, *Cmentarze warszawskie. Przewodnik historyczny*, Warszawa 2012, s. 171.

[172] T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią"*, s. XXX.

[173] T. Swat, *Niewinni straceni w Warszawie 1945–1956*, Warszawa 1991, s. 9.

[174] Do wiosny 1948 roku to właśnie tam wywożono i grzebano ciała pomordowanych więźniów politycznych z więzienia przy Rakowieckiej.

[175] T. Swat, *Groby więźniów politycznych Wronek, Rawicza i Warszawy*, „Niepodległość i Pamięć" 1997, nr 1, s. 252–253; K. Szwagrzyk, *Kwatera „Ł"*, „Zeszyty Historyczne WiN-u" 2013, nr 38, s. 159.

[176] W latach 1948–1956 ofiary komunistów z więzienia mokotowskiego – zmarłe, zamęczone, ale nie stracone w egzekucjach na mocy wyroków wojskowych sądów rejonowych – chowano w kwaterach: AII, B, BII, C, D, F, FII, FIII, G. Ich dane osobowe wpisywano do księgi cmentarnej. Tak było w przypadku legendarnego współtwórcy Szarych Szeregów Jana Rodowicza „Anody", który prawdopodobnie zmarł wskutek obrażeń doznanych w śledztwie.

[177] M. Zwolski, *„Praworządność ludowa", czyli co zrobić ze zwłokami?*, „Biuletyn IPN" 2003, nr 7, s. 23.

[178] T. Balbus, *Komunistyczny aparat represji a polskie podziemie niepodległościowe*, w: *Polskie podziemie niepodległościowe*, s. 215.

[179] M. Zwolski, dz. cyt., s. 23.

[180] Cyt. za: S. Marat, J. Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki*, s. 111.

[181] Cyt. za: B. Polak, dz. cyt., s. 4.

[182] Tamże.

[183] Zob. T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią"*, s. XXVI–XXVIII; T.M. Płużański, *Służew: tu leżą ci, co chcieli bój do końca toczyć*, „Najwyższy Czas!" 2014, nr 30–31, s. 56–57.

[184] Miasto stołeczne Warszawa przejęto wówczas, na mocy uchwały Rady Narodowej z 23 grudnia 1963 roku, obie części cmentarza – wojskową i cywilną (24,3 ha). Połączonej nekropolii nadano nazwę „Cmentarz Komunalny – Powązki".

Zob. J.J. Malczewski, *Historia cmentarza*, w: *Cmentarz komunalny Powązki*, s. 12; K. Mórawski, *Cmentarze warszawskie*, s. 169.

[185] K. Szwagrzyk, *Kwatera „Ł”*, s. 161.

[186] Zob. *Męczennicy terroru komunistycznego z lat 1944–1956. Więźniowie polityczni straceni w Warszawie w latach 1945–1956*, w: T. Sobieraj, *Orły niepodległości. Cmentarz Wojskowy na Powązkach w Warszawie w setną rocznicę jego powstania (1912–2012)*, Ząbki 2012, s. 84–85.

[187] C. Leopold, K. Lechicki, dz. cyt., s. 23.

[188] Cyt. za: J. Stępień, dz. cyt., s. 6.

[189] Tak więźniowie nazywali strażnika odpowiedzialnego za pochówki – Władysława Turczyńskiego. Zob. przypis 26, s. 68.

[190] Cyt. za: S. Krupa, dz. cyt., s. 50. Por. T. Marcinkowski, dz. cyt., s. 21.

[191] Cyt. za: T.M. Płużański, *Rotmistrz Pilecki i jego oprawcy*, Warszawa 2015, s. 14.

[192] M. Szejnert, *Śród żywych trupów*, Kraków 2012, s. 8.

[193] Cyt. za: W. Minkiewicz, dz. cyt., s. 80.

[194] K. Szwagrzyk, *Kwatera „Ł”*, s. 159; tenże, *Poszukiwanie nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego 1944–1956. Projekt badawczy IPN*, w: *Archeologia totalitaryzmu*, s. 338.

[195] B. Polak, dz. cyt., s. 10.

[196] Władysław Turczyński (1904–?) – w latach 1945–1950 zatrudniony w więzieniu mokotowskim jako strażnik, w okresie 1951–1954 przeniesiony do działu gospodarczego jako magazynier (w stopniu sierżanta). Od 1956 do 1965 roku pracował w MSW poza organami bezpieczeństwa. Zob. *Władysław Turczyński*, Biuletyn Informacji Publicznej IPN, http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?idx=T&katalogId=2&subpageKatalogId=2&pageNo=1&nameId=19048&osobaId=53194&.

Brat Władysława Turczyńskiego, Kazimierz, był w latach 50. oficerem śledczym GZI (Informacja Wojskowa). Uczestniczył w brutalnych przesłuchaniach, m.in. komandora Stanisława Mieszkowskiego. Por. T.M. Płużański, *Rotmistrz Pilecki i jego oprawcy*, s. 29–30.

[197] T. Swat, *Groby więźniów politycznych*, s. 249.

[198] K. Szwagrzyk, *Kwatera „Ł”*, s. 162; tenże, *Poszukiwanie nieznanych miejsc pochówku*, s. 339.

[199] T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią”*, s. XXI–XXII, XXX.

[200] Oprócz Kosztirki zasiedli w niej: ppłk Marian Frenkiel, szef III Oddziału Naczelnej Prokuratury Wojskowej, oraz Jan Barczak, zastępca dyrektora Centralnego Zarządu Więziennictwa.

[201] M. Szejnert, dz. cyt., s. 259.

[202] Cyt. za: *Śladami zbrodni*, s. 259. Por. T. Swat, *Groby więźniów politycznych*, s. 254–256.

[203] Zob. K. Szwagrzyk, *Poszukiwanie nieznanych miejsc pochówku*, s. 331.

[204] K. Szwagrzyk, *Jesteśmy blisko, Panie Generale*, „Nasz Dziennik” 24 II 2015, nr 45, s. 12.

[205] T. Swat, *Niewinni straceni*, s. 8. Por. tenże, *„…Przed Bogiem i historią”*, XXI–XXII; tenże, *Groby więźniów politycznych*, s. 250.

[206] Zob. P. Dakowicz, *Łączka. Wstęp do semantyki miejsca*, „Teologia Polityczna” 28 IX 2015, www.teologiapolityczna.pl/przemyslaw-dakowicz-laczka-wstep-do-semantyki-miejsca. Szerzej: tenże, *Łączka*, Kraków 2013.

[207] *Śladami zbrodni*, s. 258; K. Szwagrzyk, *Poszukiwanie nieznanych miejsc pochówku*, s. 339; tenże, *Kwatera „Ł”*, s. 159–163.

[208] Szerzej w: P.Ł.J. Andrzejewski, *Wojenne groby bohaterów*, „Nasz Dziennik” 5 II 2015, nr 29, s. 7; Z. Baranowski, *Doły chwały*, „Nasz Dziennik” 5 II 2015, nr 29, s. 6. Zob. także, K. Szwagrzyk, *Poszukiwanie nieznanych miejsc pochówku*, s. 339–340; *Cmentarz komunalny Powązki*, s. 272.

[209] K. Wichowska, *„Łączka”*, Warszawa 2015, s. 20.

[210] J. Lichocka, *Policzyć dokładnie, zawołać po imieniu*, wywiad z dr. hab. Krzysztofem Szwagrzykiem, „Gazeta Polska” 2 X 2013, nr 40, s. 18.

[211] K. Szwagrzyk, *Kwatera „Ł”*, s. 163.

[212] T. Swat, *Groby więźniów politycznych*, s. 248.

[213] Jeden z nich wskazał miejsce tajnych pochówków rodzinie zmarłego w 1948 roku w niejasnych okolicznościach więźnia Stanisława Piwka. Także bliscy straconego 5 lat później Jerzego Tomasza Jętkiewicza poznali prawdę. Krewna ofiary – Malwina Piasecka – trafiła na Łączkę dzięki pomocy ojca, asesora sądowego.

[214] T. Swat, *„…Przed Bogiem i historią”*, s. XXVIII–XXX.

[215] Cyt. za: K. Szwagrzyk, *Poszukiwanie nieznanych miejsc pochówku*, s. 338–339.

[216] Por. T. Swat, *Groby więźniów politycznych*, s. 249.

[217] Owocem tej pracy była przełomowa książka *Śród żywych trupów* – wydana po raz pierwszy w 1990 roku w Londynie, ze względu na obowiązującą jeszcze w Polsce cenzurę.

[218] M. Szejnert, dz. cyt., s. 186.

[219] Tamże, s. 290–291.

[220] Tamże, s. 334–335.

[221] T. Swat, *Niewinni straceni*, s. 11–13; tenże, *Groby więźniów politycznych*, s. 250–251.

[222] Tenże, *„…Przed Bogiem i historią”*, s. XXXII.

[223] Tenże, *Groby więźniów politycznych*, s. 251.

[224] B. Polak, dz. cyt., s. 4.

[225] K. Wichowska, dz. cyt., s. 17–18.

[226] K. Szwagrzyk, *Powrócić po swoich*, w: *Wojna się nie skończyła*, s. 140. Szerzej w: tenże, *Poszukiwanie nieznanych miejsc pochówku*, s. 329–345.

[227] Pierwszy etap przeprowadzono w okresie 18 lipca – 24 sierpnia 2012, drugi: 13 maja – 7 czerwca 2013. W ramach prac, na obszarze kilkuset metrów kwadratowych odnaleziono szczątki 194 osób, w tym prawdopodobnie dwóch kobiet. Kości należące do kilku kolejnych osób odnajdowano także później.

[228] Pracom poszukiwawczo-ekshumacyjnym na Powązkach Wojskowych poświęcone są filmy dokumentalne: *Kwatera „Ł”* (2013) i *Dzieci kwatery „Ł”* (2014), w reżyserii

Arkadiusza Gołębiewskiego.

[229] K. Szwagrzyk, *Kwatera „Ł”*, s. 164–167; tenże, *Powrócić do swoich*, s. 141.

[230] Zob. aneks: *Odnalezieni na „Łączce” i współodpowiedzialni za ich śmierć*, w: K. Wichowska, dz. cyt., s. 163–165.

[231] Cyt. za: M. Krzyszkowski, B. Wasztyl, *Pilecki. Śladami mojego taty. Rozmowa z Andrzejem Pileckim*, Kraków 2015, s. 262.

[232] M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, w: S.W. Kasznica, *Druga wojna światowa. Wspomnienia spisane na podstawie codziennych notatek*, Warszawa–Poznań 2013, s. 36.

[233] S.W. Kasznica, *Autobiografia*, „Analecta. Studia i materiały z dziejów nauki” 1995, t. 4, nr 1, s. 194–197, 200.

[234] Tamże, s. 236–237. Por. *Izabella Trębicka h. Ślepowron*, w: M.J. Minakowski, *Genealogia Potomków Sejmu Wielkiego*, www.sejm-wielki.pl/b/sw.18155.

[235] S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 210–211.

[236] M. Szczesiak-Ślusarek, *Kasznicowie*, w: *Polskie rody: Mireccy, Kasznicowie, Celichowscy*, dodatek historyczny IPN, „Nasz Dziennik” 18 XII 2009, s. IV. Por. S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 204.

[237] S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 215; *Wielkopolski Słownik Biograficzny*, praca zbiorowa, Warszawa 1983, s. 323.

[238] S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 223.

[239] T. Krokowicz, *Co pozostało? O rodzinach Kaszniców, Durskich i Szymańskich*, Poznań 2013, s. 31; M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 36–37.

[240] S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 213–214.

[241] R. Sierchuła podaje, że Kasznica uczęszczał do gimnazjum w latach 1920–1927. Zob. R. Sierchuła, *Poznańscy prawnicy*, w: *Do końca wierni*, s. 58.

[242] Cyt. za: M. Szczesiak-Ślusarek, *Kasznicowie*, s. III.

[243] Cyt. za: S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 229.

[244] M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 38–39.

[245] Zob. R. Sierchuła, M. Szczesiak, *Stanisław Kasznica i Lech Neyman – w służbie Polski Walczącej*, w: *„Niezłomni” Lech Neyman i Stanisław Kasznica 1908–1948. Historia ostatnich przywódców NSZ*, red. R. Sierchuła, Warszawa 2012, s. 7–12.

[246] M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 39–40.

[247] M. Motas, *Odnaleziono szczątki Stanisława Kasznicy*, „Myśl Polska” 3–10 III 2013, nr 9–10, s. 3. Szerzej w: D. Pater, *Polityka przełomu. Działalność Obozu Narodowo-Radykalnego w środowisku Poznania w latach 1934–1939*, w: *Narodowa Demokracja XIX–XXI wiek. Dzieje ruchu politycznego*, t. 2, red. A. Wątor, T. Sikorski, Toruń 2012.

[248] Cyt. za: E. Kasznica, *Wspomnienia od 1 września 1939 r. do wybuchu powstania warszawskiego*, w: S.W. Kasznica, *Druga wojna światowa*, s. 187.

[249] T. Krokowicz, dz. cyt., s. 36.

[250] M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 53.

[251] Cyt. za: S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 235.

[252] Cyt. za: S.W. Kasznica, *Druga wojna światowa*, s. 124.

[253] M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 48–49.

[254] S.W. Kasznica, *Druga wojna światowa*, s. 116–124; M. Szczesiak-Ślusarek, *Kasznicowie*, s. IV; T. Krokowicz, dz. cyt., s. 39.

[255] S.W. Kasznica, *Druga wojna światowa*, s. 132; tenże, *Autobiografia*, s. 224, 226; *Wielkopolski Słownik Biograficzny*, s. 324.

[256] T. Krokowicz, dz. cyt., s. 40–41. Por. J. Drużyńska, S.M. Jankowski, *Wyklęte życiorysy*, Warszawa 2009, s. 245.

[257] Cyt. za: S.W. Kasznica, *Druga wojna światowa*, s. 140.

[258] T. Gnat-Wieteska, *Służba Cywilna Narodu*, „Niepodległość i Pamięć" 2007, nr 26, s. 140–142, 148.

[259] Tamże, s. 143.

[260] D. Szyprowski, S. Bojemski, *Rola komórek likwidacyjnych i sądownictwa w zwalczaniu komunistów przez Narodowe Siły Zbrojne*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach" 2014, nr 103, s. 142–144, 147–155.

[261] Zob. T. Kenar, *O jaką Polskę walczyli?*, w: *Do końca wierni*, s. 30–31. Por. J. Drużyńska, S.M. Jankowski, dz. cyt., s. 247–248.

[262] W literaturze dla nazwania rozłamowców w NSZ stosowane jest też określenie NSZ-ZJ, wskazujące, że ci, którzy nie poparli połączenia z AK, mieli za sobą służbę w Związku Jaszczurczym. Zob. R. Drabik, *Obóz narodowy po 1944 roku*, w: *Do końca wierni*, s. 32–33. Por. M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 59–60.

[263] S. Bojemski, *Oddziały NSZ w walce*, w: *Warszawa '44*, „Niezależna Gazeta Polska" 7 VIII 2009 (dodatek specjalny IPN), s. IV–V; *Stanisław Józef Kasznica*, w: *Powstańcze biogramy*, Muzeum Powstania Warszawskiego, www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Stanislaw_Kasznica.

[264] Por. A. Kasznica, *Wspomnienia żołnierza „Baszty"*, w: S.W. Kasznica, *Druga wojna światowa*, s. 220–234.

[265] J. Drużyńska, S.M. Jankowski, dz. cyt., s. 250–252; M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 60–61; S.W. Kasznica, *Druga wojna światowa*, s. 161–162.

[266] Zob. E. Kasznica, *Wspomnienie spisane w okresie pomiędzy 15 września a 23 października 1944 r. w Boryszewie k. Sochaczewa*, w: S.W. Kasznica, *Druga wojna światowa*, s. 198–219. Por. J. Lang, *Wywiad z Eleonorą Elżbietą Kasznicą* (kontynuacja rozmowy przeprowadzonej przez Annę Piłat), Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego, 31 V 2012, http://ahm.1944.pl/Elzbieta Eleonora_Kasznica/4.

[267] S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 225; T. Krokowicz, dz. cyt., s. 53.

[268] A. Łuczak, *Podziemie niepodległościowe w Wielkopolsce w latach 1945–1956*, „Biuletyn IPN" 2011, nr 5–6, s. 72–73; taż, *Konspiratorzy i partyzanci w Wielkopolsce 1945–1956*, w: *Do końca wierni*, s. 62; M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 69–70.

[269] M. Motas, dz. cyt., s. 3.

[270] G. Wąsowski, L. Żebrowski, dz. cyt., s. 239.

[271] M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 70–71.

[272] J. Drużyńska, S.M. Jankowski, dz. cyt., s. 275.

[273] Zob. M. Waszczyk, *Rosyjski akcent prokuratora*, rozmowa z Eleonorą Kasznicą, „Nasz Dziennik” 2–3 III 2013, nr 52, s. 6.
[274] J. Drużyńska, S.M. Jankowski, dz. cyt., s. 267.
[275] M. Motas, dz. cyt. s. 3. Szerzej w: J. Żaryn, *„Taniec na linie i nad przepaścią”. Organizacja Polska na wychodźstwie i jej łączność z krajem w latach 1945–1955*, Warszawa 2011, s. 95–97.
[276] Zob. S. Korboński, *W imieniu Kremla*, s. 99–100; *NKWD i polskie podziemie*, s. 232–239.
[277] 5 czerwca 1949 roku, w wieku 40 lat, przytłoczona poczuciem winy odebrała sobie życie. Zob. W. Kowalski, *Życie z piętnem zdrajczyni – tragiczna historia kpt. AK Emilii Malessy*, dzieje.pl, 6 VI 2015, http://dzieje.pl/artykulyhistoryczne/zycie-z-pietnem-zdrajczyni-tragiczna-historia-kpt-ak-emilii-malessy. Szerzej w: M. Weber, *Emilia Malessa Marcysia 1909–1949*, Warszawa 2013.
[278] Szerzej na temat ruchu oporu w Wielkopolsce: R. Sierchuła, *Wielkopolscy wyklęci*, w: *Do końca wierni*, s. 68–70.
[279] M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 73–74.
[280] Cyt. za: R. Sierchuła, *Poznańscy prawnicy*, s. 60.
[281] J. Drużyńska, S.M. Jankowski, dz. cyt., s. 276–279.
[282] M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 75.
[283] Jak zauważa J. Żaryn, Prorok nie figuruje na liście tajnych współpracowników MBP z ramienia NSZ, wykonanej przez komunistyczny resort w 1957 roku. Został ponownie uwięziony w 1949 roku i przebywał w więzieniu kilkanaście miesięcy. *Jednak w jednym z dokumentów znajduje się również adnotacja jednego z wyższych oficerów MBP, który zapytuje w niej, czy Leszek Prorok jest tym samym, który był ich informatorem. Próbował w ten sposób ustalić charakter związków Leszka Proroka z MBP, ale w dokumentach nie ma na to pytanie odpowiedzi.* Cyt. za: M. Waszczyk, dz. cyt., s. 7.
[284] Tamże, s. 6.
[285] Tamże.
[286] Cyt. za: *Umarli, abyśmy mogli żyć – Stanisław Kasznica*, audycja Polskiego Radia, 1 III 2016, www.polskieradio.pl/8/2384/Artykul/1060235,Umarli-abysmy-mogli-zyc-Stanislaw-Kasznica.
[287] Cyt. za: B. Szyprowski, S. Bojemski, dz. cyt., s. 144.
[288] Cyt. za: R. Sierchuła, *Poznańscy prawnicy*, s. 60. Zob. J. Drużyńska, S.M. Jankowski, dz. cyt., s. 299–300.
[289] M. Waszczyk, dz. cyt., s. 6.
[290] Cyt. za: A. Piłat, *Wywiad z Eleonorą Elżbietą Kasznicą*, Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego, 17 VIII 2005, http://ahm.1944.pl/Elzbieta Eleonora_Kasznica/3.
[291] Cyt. za: *Umarli, abyśmy mogli żyć*.
[292] Cyt. za: S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 231.
[293] *Umarli, abyśmy mogli żyć.*
[294] Za: J. Drużyńska, S.M. Jankowski, dz. cyt., s. 285. Zob. M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 78.

[295] Zob. B. Szyprowski, S. Bojemski, dz. cyt., s. 149.
[296] Nazwisko ostatniego komendanta NSZ figuruje w rejestrze rzekomych szpiegów, sporządzonym przez resort spraw wewnętrznych w 1984 roku. Zob. *Wywiad reakcyjnych ośrodków emigracji polskiej*, w: *Informator o osobach skazanych za szpiegostwo w latach 1944–1984*, MSW Biuro „C", Warszawa 1984, (reprint – Lublin 1994), s. 271–346. Hasło dotyczące Kasznicy na s. 298.
[297] Cyt. *Umarli, abyśmy mogli żyć*.
[298] J. Drużyńska, S.M. Jankowski, dz. cyt., s. 291–296.
[299] S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 231; M. Waszczyk, dz. cyt., s. 6.
[300] Cyt. za: S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 231.
[301] Zob. *„Niezłomni" Lech Neyman i Stanisław Kasznica*, s. 25.
[302] Cyt. za: T. Krokowicz, dz. cyt., s. 64.
[303] *Ojciec – przedwojenny profesor, brat – dominikanin, a drugi brat – żołnierz od Andersa, który przebywał za granicą. Można powiedzieć: straszna rodzina…* – czytamy w relacji Eleonory Kasznicy. Cyt. za: M. Waszczyk, dz. cyt., s. 6. Por. M. Szczesiak, *Powojenne losy Rodu Kaszniców*, w: *„Niezłomni" Lech Neyman i Stanisław Kasznica*, s. 23.
[304] S.W. Kasznica, *Autobiografia*, s. 231.
[305] Zob. M. Waszczyk, dz. cyt., s. 6.
[306] G. Wąsowski, L. Żebrowski, dz. cyt., s. 141–148.
[307] R. Drabik, dz. cyt., s. 33.
[308] Skazany przez komunistyczne władze 25 lipca 1962 roku. Przysługuje mu prawo kombatanckie, ale do dziś nie usłyszał wyroku unieważniającego wcześniejsze postępowanie sądowe. W 1998 roku Sąd Wojewódzki w Lublinie unieważnił 9 z 13 zarzutów stawianych Kiszce przez komunistów; pozostałe dwa oddalił. Wciąż nie został w III RP w pełni zrehabilitowany. Zob. Z. Baranowski, *Wyklęty w wolnej Polsce*, „Nasz Dziennik" 28 II–1 III 2015, nr 49, s. 3.
[309] Szerzej w: *Rehabilitacja Stanisława Kasznicy*, „Szczerbiec" 1994, nr 6, s. 8–12.
[310] Cyt. za: A. Piłat, dz. cyt.; Zob. M. Szczesiak-Ślusarek, *Historia rodu Kaszniców*, s. 79.
[311] *Kolejni bohaterowie odzyskali tożsamość*, IPN, http://ipn.gov.pl/wydzial-prasowy/komunikaty/kolejni-bohaterowie-odzyskali-tozsamosc]; *Wyniki kolejnej identyfikacji ofiar reżimu komunistycznego* [wideo], IPNTV, 22 II 2013, www.youtube.com/watch?v=pminHF35y8o.
[312] M. Motas, dz. cyt., s. 3; Z. Baranowski, *Łączka oddaje bohaterów*, „Nasz Dziennik" 21 II 2013, nr 44, s. 1, 5.
[313] A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora"*, Staszów 1996, s. 12–15; I. Kochanowska, *Major Zapora*, Warszawa 1999, s. 5.
[314] Mazurek Dąbrowskiego, zmodyfikowaną wersję popularnej pieśni legionowej powstałej w 1797 roku we Włoszech, ogłoszono hymnem państwowym na mocy okólnika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 6 lutego 1927 roku.
[315] D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora"*, Warszawa 2016, s. 16–19.
[316] Tamże, s. 20.

[317] Cyt. za: B. Grzegorczyk, *Jak „Reżu" stał się mężczyzną – czyli o okresie młodzieńczym Hieronima Dekutowskiego*, Jednodniówka Stowarzyszenia Historycznego im. 11 Grupy Operacyjnej NSZ – wydanie w 65. rocznicę mordu sądowego na mjr. Hieronimie Dekutowskim ps. „Zapora" 7 III 2014, www.11go.pl/teksty/Zapora 002.pdf.
[318] D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora"*, s. 25–26.
[319] A.F. Baran, *Tarnobrzeg. Szkice z dziejów miasta i jego obywateli*, Tarnobrzeg 2012, s. 193–194.
[320] T. Sudoł, M. Żuczkowski, *Major Hieronim Dekutowski „Zapora" (1918–1949)*, Warszawa 2016, s. 5.
[321] D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora"*, s. 30–31.
[322] Tamże, s. 32; A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora"*, s. 51.
[323] A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora"*, s. 53.
[324] Niektórzy autorzy wskazują, że Dekutowski w czasie działań zbrojnych dołączył do 32 Dywizji Piechoty dowodzonej przez płk. Ducha, stacjonującej w Nisku. Zob. I. Kochanowska, dz. cyt., s. 6. Por. D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora"*, s. 32.
[325] T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 5; D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora"*, s. 32–33.
[326] D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora"*, s. 33–36; T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 5; A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora"*, s. 53–54.
[327] H. Pająk, *Oni się nigdy nie poddali*, Lublin 1997, s. 10; D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora"*, s. 37.
[328] T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 5; A.F. Baran, *Tarnobrzeg*, s. 194.
[329] Jedno z wyjaśnień nazwy „Cichociemni" podał rotmistrz Adam Mackus: *Nazywają nas cichociemnymi podobno dlatego, że niezauważalnie znikamy z macierzystych jednostek i mamy do spełnienia tajemniczą misję. A cichociemny to po prostu dywersant – pisał członek elitarnego oddziału spadochroniarzy*. Cyt. za: K. Śledziński, *Cichociemni. Elita polskiej dywersji*, Kraków 2012, s. 5.
[330] Cyt. za: A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora"*, s. 55.
[331] K. Śledziński, dz. cyt., s. 53.
[332] Tamże, s. 57.
[333] S. Jankowski, *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie: wspomnienia 1939–1946*, t. 1, Warszawa 1980, s. 140; P. Bukalska, *Cichociemni*, w: *Trzystu szesnastu*, dodatek historyczny, „Tygodnik Powszechny" 27 III 2011, s. II–IV.
[334] Cyt. za: J. Tucholski, *Cichociemni 1941–1945*: s*ylwetki spadochroniarzy*, Warszawa 1981, s. 267.
[335] Kursy szkoleniowe ukończyło ponad 600 skoczków. Łącznie w przeszkoleniach brało udział ok. 2,5 tys. kandydatów.
[336] *Drogi cichociemnych*, red. M. Braszczyk, Warszawa 2008, s. 7–8.
[337] A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora"*, s. 55; I. Kochanowska, dz. cyt., s. 6.
[338] Cyt. za: T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 5–6.
[339] A.F. Baran, *Tarnobrzeg*, s. 195; *Drogi cichociemnych*, s. 9.
[340] *Drogi cichociemnych*, s. 7–8.

[341] M. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora”*, s. 55–57; T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 8.

[342] Region ten był szczególnie narażony na terror okupanta. W nocy z 27 na 28 listopada 1942 roku, realizując tzw. akcję „Zamość”, Niemcy rozpoczęli na Zamojszczyźnie wielką akcję wysiedleńczą. Do sierpnia 1943 roku spacyfikowano niemal 300 wsi, wywożąc m.in. do Rzeszy ponad 100 tys. Polaków. W ich miejsce osadzano niemieckich kolonizatorów z różnych części Europy. Wśród ofiar tej represyjnej polityki było ponad 30 tys. dzieci. Zob. W. Kowalski, *Wysiedlenia z Zamojszczyzny – gehenna ponad 100 tys. Polaków*, dzieje.pl, 27 XI 2014, http://dzieje.pl/aktualnosci/wysiedlenia-z-zamojszczyzny-gehenna-ponad–100-tys-polakow; K.J. Galas, *Zamojszczyzna w latach II wojny światowej 1939–1945. Wybrane zagadnienia militarne, społeczne i ekonomiczne*, „Niepodległość i Pamięć” 2010, nr 31, s. 185–187; A. Jaczyńska, *Aktion Zamosc*, „pamięć.pl” 2012, nr 8, s. 30–34. Szerzej w: C. Madajczyk, *Zamojszczyzna – Sonderlaboratorium SS*. Warszawa 1977; Z. Klukowski, *Zamojszczyzna 1944–1959*, Warszawa 2007.

[343] A. Kruczek, *Walczyłem u „Zapory”*, rozmowa z Marianem Pawełczakiem ps. „Morwa”, „Nasz Dziennik” 2 II 2013, http://www.naszdziennik.pl/mysl/22769,walczylem-u-zapory.html; D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora”*, s. 57–59.

[344] A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora”*, s. 59; T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 9–10.

[345] Cyt. za: A.F. Baran, *Hieronim Dekutowski (1918–1949)*, Jednodniówka Stowarzyszenia Historycznego…

[346] Zob. *Atlas polskiego podziemia*, s. 130–131. Szerzej w: *Akcje oddziałów „Zapory” w tajnych raportach UB–MO*, oprac. H. Pająk, Lublin 1996.

[347] T. Bór-Komorowski, *Armia Podziemna*, Warszawa 2009, s. 203–204; D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora”*, s. 64–65.

[348] I. Kochanowska, dz. cyt., s. 14; A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora”*, s. 63.

[349] D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora”*, s. 71.

[350] T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 12–14.

[351] Cyt. za: J. Wieliczka-Szarek, *Żołnierze wyklęci*, Kraków 2013, s. 144.

[352] S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 289.

[353] A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora”*, s. 70. Tymczasem podwładny Dekutowskiego – kpt. Zygmunt Broński „Uskok” – pisał w dzienniku: *Z „Zaporą” porozumiewaliśmy się i obaj nie objawialiśmy najmniejszej chęci do ujawnienia. Nawet pośród naszych ludzi nie było już chętnych*. Cyt. za: Z. Broński, *Pamiętnik*, red. S. Poleszak, Warszawa 2004, s. 193.

[354] P. Śliwiński, *My nigdy nie poddamy się!*, „Źródło” 2011, nr 39, s. 22; D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora”*, s. 89–91.

[355] E. Kurek, *Zaporczycy 1943–1949*, Warszawa 2015, s. 351–354; H. Pająk, *„Zaporowcy” przed sądem UB*, Lublin 1997, s. 144; T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 14.

[356] Por. T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 15–19.

[357] A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora”*, s. 79; I. Kochanowska, dz. cyt., s. 21–22. Por. K. Rajski, *„Zapora” i Cichociemni*, rozmowa z Krzysztofem A. Tochmanem, „Polonia Christiana” 27 VI 2013, www.pch24.pl/Mobile/Informacje/informacja/id/15918.

[358] *Wyklęci. Podziemie zbrojne*, s. 114–116.

[359] Cyt. za: Z. Broński, dz. cyt., s. 180.

[360] Zob. W. Siła-Nowicki, dz. cyt., s. 224–225.

[361] Cyt. za: Z. Broński, dz. cyt., s. 122–123.

[362] H. Pająk, *„Uskok” kontra UB*, Lublin 1992, s. 34–35; K. Rajski, *„Zapora” i Cichociemni.*

[363] Cyt. za: S. Poleszak, *Siedmiu z Łączki*, „pamięć.pl” 2014, nr 3, http://pamiec.pl/pa/tylko-u-nas/14617,SIEDMIU-Z-LACZKIquot-artykul-dr-Slawomira-Poleszaka.html. Por. I. Kochanowska, dz. cyt., s. 28.

[364] T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 20; S. Poleszak, *Siedmiu z Łączki.*

[365] Cyt. za: H. Pająk, *„Uskok” kontra UB*, s. 38–39.

[366] Cyt. za: Z. Broński, dz. cyt., s. 195–196.

[367] H. Pająk, *„Uskok” kontra UB*, s. 38.

[368] J. Śląski, dz. cyt., s. 237.

[369] Od jesieni 1943 roku dowodził oddziałem partyzanckim w Obwodzie AK Lubartów, brał udział w akcji „Burza”. Po „wyzwoleniu” walczył z komunistami. Zginął otoczony w bunkrze, gdzie przez dwa lata ukrywał się przed UB. Zob. S. Poleszak, *Wstęp*, w: Z. Broński, dz. cyt., s. 16–18.

[370] Cyt. za: H. Pająk, *Oni się nigdy nie poddali*, s. 53.

[371] Cyt. za: Z. Broński, dz. cyt., s. 198.

[372] Zob. L. Pietrzak, *Kto wydał „Zaporę”?*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 15, s. 282–283; S. Poleszak, *Siedmiu z Łączki.*

[373] Kapitan Broński notuje, że niepotwierdzoną informację o schwytaniu „Zapory” otrzymał dopiero 14 kwietnia 1948 roku. 1 grudnia tego roku pisze o procesie i śmierci (!) Zaporczyków*: Ciężko „przetrawić” taką wiadomość!* Zob. Z. Broński, dz. cyt., s. 220, 246.

[374] D. Kuciński, *Hieronim Dekutowski „Zapora”*, s. 99–100.

[375] Ośmiu konspiratorów miało spotkać się w mieszkaniu przy ul. Dąbrowskiego 6. Zeznania uczestników ucieczki nie są jednak ze sobą zbieżne, dlatego miejsce ich zatrzymania przez UB wcale nie jest pewne. Władysław Siła-Nowicki podczas procesu mówił, że „Zaporczycy” pojechali z Nysy do Godowa (zapewne Grodkowa – położonego ok. 30 km od Nysy). Zob. S. Poleszak, *Siedmiu z Łączki.*

[376] L. Pietrzak, *W ubeckiej matni*, „Uważam Rze”, www.uwazamrze.pl/artykul/1045868/w-ubeckiej-matni; A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora”*, s. 85; I. Kochanowska, dz. cyt., s. 28–31.

[377] Czynności operacyjne w sprawie Dekutowskiego UB prowadził mniej więcej od połowy 1945 roku. Pierwsi agenci przeniknęli do oddziału „Zaporczyków” jesienią tego roku. Zob. L. Pietrzak, *W ubeckiej matni.*

[378] Szerzej w: L. Pietrzak, *Kto wydał „Zaporę”*, s. 281–286. Por. A.G. Kister, *Kto wydał „Zaporę” – raz jeszcze*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2001, nr 16, s. 257–259.
[379] K. Rajski, *„Zapora” i Cichociemni*.
[380] Cyt. za: J. Kopiński, *„Zapora” w sieci agentów*, „Gazeta Polska” 21 VI 2006, nr 25, s. 24. Zob. L. Pietrzak, *W ubeckiej matni*.
[381] Cyt. za: J. Kopiński, dz. cyt., s. 24.
[382] Tamże.
[383] Zob. *Twarze lubelskiej bezpieki*, publikacja towarzysząca wystawie IPN, oprac. P. Zawada, Lublin 2007, s. 12.
[384] Cyt. za: I. Kochanowska, dz. cyt., s. 70. Szerzej w: *Byłam łączniczką „Zapory”*, w: tamże, s. 39–82.
[385] A. Kołakowska, *Byłam łączniczką „Zapory”*, rozmowa z Izabellą Kochanowską, „Nasz Dziennik” 16 XI 2012, www.naszdziennik.pl/mysl/15262,bylam-laczniczka-zapory.html.
[386] Por. *„Błyskawica” – Izabella Kochanowska*, w: *Zaporczycy. Relacje*, Lublin 1999, t. V, s. 24–59.
[387] Cyt. za: E. Kurek, *Zaporczycy*, s. 25–26.
[388] W. Siła-Nowicki, dz. cyt., s. 226.
[389] K. Rajski, *„Zapora” i Cichociemni*.
[390] T. Nieleszczuk, *Moi zwierzchnicy by mnie zdradzili?*, Archiwum Programu Historia Mówiona, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, http://biblioteka.teatrnn.pl/dlibra/dlibra/doccontent?id=38071.
[391] Zob. *Wspomnienie o majorze Hieronimie Dekutowskim*, audycja Polskiego Radia, 20 III 1990, www.polskieradio.pl/13/3707/Audio/311637,Wspomnienie-o-majorze-Hieronimie-Dekutowskim.
[392] Cyt. za: P. Czartoryski-Sziler, *Mój wuj „Zapora”*, rozmowa z Krystyną Frąszczak, „Nasz Dziennik” 11 VI 2013, www.naszdziennik.pl/polska-kraj/35330,moj-wuj-zapora.html.
[393] S. Poleszak, *Siedmiu z „Łączki”*; T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 21.
[394] Cyt. za: I. Kochanowska, dz. cyt., s. 31–32.
[395] T. Sudoł, M. Żuczkowski, dz. cyt., s. 22.
[396] Prace poszukiwawczo-ekshumacyjne na Łączce dowiodły, że cała grupa „Zapory”, stracona w więzieniu na Mokotowie jednego dnia, została „pochowana” w mundurach niemieckiej armii.
[397] Cyt. za: W. Siła-Nowicki, dz. cyt., s. 230.
[398] Z. Leszczyńska, *Procesy sądowe w latach 1944–1956 wobec członków organizacji niepodległościowych na Lubelszczyźnie*, w: *Przestępstwa sędziów i prokuratorów*, s. 150; H. Pająk, *„Uskok” kontra UB*, s. 42.
[399] Mowa o pacyfikacji prokomunistycznej wsi Moniaki, powiat Kraśnik, nazywanej potocznie „Moskwą”, przeprowadzonej 24 września 1946 roku przez oddział „Zapory”. W czasie ataku partyzanci podpalili zagrody należące do komunistów (głównie członków ORMO i PPR). Spłonęło 29 zagród, 40 mieszkańców sprzyjających władzy wychłostano. Zob. R. Wnuk, Lubelski Okręg AK DSZ i WiN *1944–1947*,

Warszawa 2000, s. 415; *Akcje oddziałów „Zapory”*, s. 89–90; S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 294.

[400] Cyt. za: Z. Broński, dz. cyt., s. 249.

[401] Cyt. za: E. Kurek, *Zaporczycy*, s. 490.

[402] Cyt. za: H. Pająk, *„Uskok” kontra UB*, s. 42.

[403] Tenże, *„Zaporowcy” przed sądem*, s. 144–145.

[404] Karę śmierci zamieniono mu na dożywocie. Przesądził fakt, że Siła-Nowicki był siostrzeńcem samego twórcy Czeki i „legendy” czerwonego terroru – Feliksa Dzierżyńskiego. O darowanie partyzantowi kary śmierci wnioskowała u ambasadora ZSRR Wiktora Lebiediewa siostra „krwawego Feliksa”, Aldona Dzierżyńska-Kojałłowicz. Siła-Nowicki wyszedł na wolność po 9 latach odsiadki, wskutek amnestii 1956 roku. Zob. *Obrońca opozycji, którego „ocalił” Dzierżyński*, audycja Polskiego Radia, 19 II 2015, www.polskieradio.pl/8/3869/Artykul/1381697,Obronca-opozycji-ktorego-ocalil-Dzierzynski; J. Śląski, dz. cyt., s. 237.

[405] W. Siła-Nowicki, dz. cyt., s. 229.

[406] P. Czartoryski-Sziler, *Mój wuj „Zapora”*; I. Kochanowska, dz. cyt., s. 34; A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora”*, s. 90–92.

[407] Cz. Leopold, K. Lechicki, dz. cyt., s. 23.

[408] Cyt. za: W. Minkiewicz, dz. cyt., s. 101.

[409] J. Wieliczka-Szarek, *„Zapora” się nie poddał*, „Nasz Dziennik” 20 II 2013, nr 43, s. 13; P. Śliwiński, dz. cyt., s. 23; Cz. Leopold, K. Lechicki, dz. cyt., s. 24; S. Poleszak, *Siedmiu z Łączki*; A.F. Baran, *Tarnobrzeg*, s. 198.

[410] Zob. przypis 88 w: Z. Broński, dz. cyt., s. 247.

[411] E. Kurek, *Zaporczycy*, s. 490; P. Czartoryski-Sziler, *Mój wuj „Zapora”*.

[412] W 2012 roku 86-letni Kędziora został skazany przez warszawski sąd za stosowanie tortur na więźniach na karę 3 lat pozbawienia wolności.

[413] L. Pietrzak, *W ubeckiej matni*, J. Wieliczka-Szarek, *„Zapora” się nie poddał*, s. 13.

[414] P. Śliwiński, dz. cyt., s. 22.

[415] H. Pająk, *„Zaporowcy” przed sądem*, s. 214–216, 241–243. Według powtarzanej niekiedy, ale mało prawdopodobnej wersji zdarzeń, „Zapora” zginął wepchnięty do worka i powieszony, a następnie zabity serią strzałów. Zob. J. Wieliczka-Szarek, *„Zapora” się nie poddał*, s. 13; taż, *Żołnierze wyklęci*, s. 147.

[416] Zob. K. Gędłek, *Tysiąc złotych za zabicie „Zapory”*, „Polonia Christiana” 22 VIII 2013, www.pch24.pl/tysiac-zlotych-za-zabicie-zapory-,17170,i.html.

[417] I. Kochanowska, dz. cyt., s. 37.

[418] A.F. Baran, *Pseudonim „Zapora”*, s. 107.

[419] Cyt. za: *Kolejne wyniki identyfikacji ofiar terroru komunistycznego*, IPN, https://ipn.gov.pl/aktualnosci/2013/centrala/laczka. Szerzej w: *Konferencja prasowa poświęcona kolejnym wynikom identyfikacji ofiar terroru komunistycznego, Warszawa, 22 sierpnia 2013 r.* [wideo], IPN TV, 23 VIII 2013, www.youtube.com/watch?v=CbhsU8KI9qw.

[420] Cyt. za: M. Roś, *Epilog*, „Tarnobrzeskie Zeszyty Historyczne” 1995, nr 9, s. 17–19.

[421] A. Kołakowska, dz. cyt.

[422] Tamże.
[423] Szerzej w: *Pawełczak Marian ps. „Morwa”*, w: *Zaporczycy. Relacje*, s. 83–188.
[424] Cyt. za: A. Kruczek, dz. cyt.
[425] Cyt. za: W. Siła-Nowicki, dz. cyt., s. 221–222.
[426] Kapitan Broński charakteryzował w ten sposób „Zaporę” w kontekście wydarzeń z września 1947 roku. W rzeczywistości „Zapora” miał wtedy niespełna 29 lat. Urodziny przypadły już na czas, kiedy siedział w więzieniu.
[427] Cyt. za: Z. Broński, dz. cyt., s. 198.
[428] Cyt. za: J. Gabriołek, *Marsz Zaporczyków 1943–1949*, Fundacja „Pamiętamy”, www.fundacjapamietamy.pl/component/content/article/55-teksty-utworow?start=4.
[429] J. Śląski, dz. cyt., s. 205–207.
[430] P. Kozłowski, *Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko” 1910–1951*, Warszawa 2011, s. 15–16; J. Wieliczka-Szarek, *Żołnierze wyklęci*, s. 296.
[431] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”. Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)*, Warszawa 2002, s. 87.
[432] Cyt. za: D. Fikus, *Pseudonim „Łupaszka”. Z dziejów V Wileńskiej Brygady Śmierci i Mobilizacyjnego Ośrodka Wileńskiego Okręgu AK*, Warszawa 1990, s. 58.
[433] Tamże; P. Kozłowski, dz. cyt., s. 18–19; S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 228–229.
[434] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”*, s. 88; P. Kozłowski, dz. cyt., s. 22–23; D. Fikus, dz. cyt., s. 60–61.
[435] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 23.
[436] Tamże, s. 25; M. Wołłejko, *Major „Łupaszka”*, w: *Do końca wierni*, s. 46; S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 229.
[437] A. Tomaszewicz, *Wilnianie w obronie ojczyzny w 1939 roku*, „Nasz Czas” 2005, nr 8, www.pogon.lt/_NCZ_ARCHYVAS/508/czas.html.
[438] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 25–27; K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”*, s. 88.
[439] D. Fikus, dz. cyt., s. 59; J. Wieliczka-Szarek, *Żołnierze wyklęci*, s. 297; P. Kozłowski, dz. cyt., s. 27.
[440] Pseudonim ten Szendzielarz zaczerpnął od Jerzego Dąmbrowskiego „Łupaszki” (1889–1940), ppłk. kawalerii Wojska Polskiego, znanego na Wileńszczyźnie zagończyka, bohatera wojny polsko-bolszewickiej i kampanii polskiej 1939 roku; przełożonego mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, jednego z najbardziej znanych polskich partyzantów II wojny światowej. Szerzej w: T. Strzembosz, *Saga o „Łupaszce” ppłk. Jerzym Dąmbrowskim*, Warszawa 1996.
[441] Teza D. Fikusa, jakoby Szendzielarz uniknął niewoli i w cywilnym przebraniu zdobytym na jednej z ukraińskich wsi trafi do Lwowa, wydaje się niewiarygodna. Por. D. Fikus, dz. cyt., s. 59.
[442] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 27; S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 229. T. Łabuszewski i K. Krajewski piszą natomiast, że Szendzielarz został ujęty przez Sowietów. Zob. K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”*, s. 88.
[443] Cyt. za: T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Od „Łupaszki” do „Młota” 1944–1949. Materiały źródłowe do dziejów V i VI Brygady Wileńskiej*, Warszawa 1994, s. 228.

[444] M. Wołłejko, dz. cyt., s. 46.

[445] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 28, 31; K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”*, *„Młot”*, *„Huzar”*, s. 88.

[446] W czasie przesłuchania z 1 lipca 1948 roku na pytanie o początek działalności konspiracyjnej „Łupaszko” odpowiedział: *W początku 1940 r. na terenie Wilna, za pośrednictwem podchorążego Ciemieniewskiego znanego mi z 4 pułku ułanów, skontaktowałem się z przedwojennym rotmistrzem (nazwiska nie pamiętam), który zwerbował mnie do tworzonej przez siebie organizacji typu wojskowo-bojowego*. Cyt. za: T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Od „Łupaszki” do „Młota”*, s. 228.

[447] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 31–32.

[448] Tamże, s. 33–34; K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”*, *„Młot”*, *„Huzar”*, s. 88.

[449] Zob. L. Tomaszewski, *Wileńszczyzna lat wojny i okupacji 1939–1945*, Warszawa 2001, s. 162; D. Kuciński, *Aleksander Krzyżanowski „Wilk”*, Warszawa 2016, s. 64–65.

[450] J. Wieliczka-Szarek, *Żołnierze wyklęci*, s. 297–298.

[451] J. Wołkonowski, *Okręg Wileński Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej w latach 1939–1945*, Warszawa 1996, s. 131, 149; L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 397; D. Fikus, dz. cyt., s. 47–50, 57.

[452] K. Tarka, *Generał „Wilk”. Aleksander Krzyżanowski – komendant Okręgu Wileńskiego ZWZ-AK*, Łomianki 2012, s. 81–82; L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 399–401; P. Kozłowski, dz. cyt., s. 34–36.

[453] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 39; J. Wołkonowski, dz. cyt., s. 149–150; S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 228.

[454] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”*, *„Młot”*, *„Huzar”*, s. 13–14.

[455] Według relacji uczestnika walk – Edwarda Pisarczyka – straty w V Brygadzie wyniosły 19 zabitych i 8 rannych. Zob. E. Pisarczyk, *5 Brygada „Śmierci”*, „Zeszyty Historyczne «Wiano»” 1994, z. 11, s. 21. Z kolei inny żołnierz „Łupaszki” – Olgierd Christa – podaje we wspomnieniach liczbę 18 zabitych Polaków. Zob. O. Christa, *U Szczerbca i Łupaszki*, Warszawa 2000, s. 97.

[456] J.S. Smalewski, *Bitwa pod Worzianami – w tle z partyzancką „brygadą śmierci”*, „Powiat Słupski” 2011, nr 9–10, s. 33.

[457] E. Pisarczyk podaje, że Niemcy stracili ok. 80 ludzi. Zob. E. Pisarczyk, dz. cyt., s. 21.

[458] J.S. Smalewski, dz. cyt. 33; D. Fikus, dz. cyt., s. 75–80; O. Christa, dz. cyt., s. 97. Por. J. Wołkonowski, dz. cyt., s. 161.

[459] *Wspomnienie międzywojnia i okupacji na Wileńszczyźnie – rozmowa z Lidią Lwow-Eberle „Lalą”*, nieopublikowany wywiad dla „Kuriera Wileńskiego”, http://blog.kurierwilenski.lt/samsel/2011/05/02/wywiad-z-ksiezna-lwow.

[460] Szerzej w: *Lidia Lwow-Eberle: Łupaszka był dobrym człowiekiem*, audycja Polskiego Radia, 4 III 2016, www.polskieradio.pl/8/380/Artykul/1455177,Lidia-LwowEberle-Lupaszka-byl-dobrym-czlowiekiem.

[461] Por. P. Kozłowski, dz. cyt., s. 50–52.

[462] Cyt. za: E. Pisarczyk, dz. cyt., s. 20.

[463] Przedwojenną granicę Polski wojska sowieckie przekroczyły 4 stycznia 1944 roku w miejscowości Mosty.

[464] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 46–48. Szerzej w: Z.A. Siemaszko, *Wileńska AK a Niemcy*, „Zeszyty Historyczne" 1994, z. 110 , s. 213–214.

[465] Por. K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka"*, *„Młot"*, *„Huzar"*, s. 87. Szerzej w: *Stany osobowe szwadronów 5 Brygady Wileńskiej w 1945 r.*, w: tamże, s. 121–132.

[466] Cyt. za: E. Pisarczyk, dz. cyt., s. 7.

[467] Tamże; L. Kania, *Organizacja i funkcjonowanie podziemnego wymiaru sprawiedliwości na Wileńszczyźnie w latach II wojny światowej (1940–1945)*, „Studia Lubuskie" 2010, t. VI, s. 64.

[468] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 40; D. Fikus, dz. cyt., s. 69.

[469] Zob. *Większe akcje bojowe i dywersyjne oddziałów AK w Okręgu Wileńskim*, w: L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 658–666.

[470] S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 233.

[471] L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 403–404; K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka"*, *„Młot"*, *„Huzar"*, s. 14.

[472] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 53–54; K. Tarka, dz. cyt., s. 86, 102.

[473] J. Śląski, dz. cyt., s. 129–130.

[474] D. Fikus, dz. cyt, s. 111; P. Kozłowski, dz. cyt., s. 56–57.

[475] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 57–59; K. Tarka, dz. cyt., s. 87; S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 237.

[476] Zob. *Lista osób zamordowanych w Glinciszkach 20 czerwca 1944 roku*, w: L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 635.

[477] K. Tarka, dz. cyt., s. 111.

[478] Cyt. za: P. Kozłowski, dz. cyt., s. 64–65.

[479] L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 442.

[480] *Ostatnie wypadki […] przebrały miarę naszej wyrozumiałości, więc z rozkazu Kom. Okr. Wilka karna ekspedycja Polskiej Armii Krajowej wyrusza, by wymierzyć sprawiedliwą karę winnym. Nie będziemy mordować jak wy bezbronne kobiety i dzieci. Kto winien – wiemy, i ręka nasza dosięgnie każdego… A jeśli i ten argument nie zmieni waszego ustosunkowania się do Polaków i sprawy polskiej – potrafimy się zdobyć na siłę, która zgniecie i zmiażdży winnych zbrodni, choćby się ukryli w środku waszego kraju* – napisał w kolportowanych wśród Litwinów ulotkach „Węgielny". Cyt. za: J.E. Wilczur, *Wileński pierścień śmierci*, Warszawa 2012, s. 126.

[481] Por. wspomnienia A. Rymszy zawarte w trylogii Opowiedział mi Maks: J.S. Smalewski, *Aresztowanie, dapros, wojennyj sud*, Legnica 1994; tenże, *Czasowo izolowany F1–233*, Warszawa 1995; tenże, *Maks i Aldona*, Warszawa 1996.

[482] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka"*, *„Młot"*, *„Huzar"*, s. 15–16; L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 443.

[483] Por. P. Kozłowski, dz. cyt., s. 64–67.

[484] O litewskich zbrodniach na polskich mieszkańcach Wileńszczyzny rząd londyński był informowany obszernie przez komendanta AK gen. Grota-Roweckiego w specjalnym raporcie z maja 1942 roku. We wnioskach Rowecki napisał: *Stosunek*

Litwinów do Polaków jest obecnie tak powszechnie wrogi, że nie można liczyć na objęcie ziem północno-wschodnich bez krwawej z nimi rozprawy. W jednej z ulotek kolportowanej przez emigracyjny rząd napisano: *Wypadki na Wileńszczyźnie nie są niczym innym, jak wspólną niemiecko-litewską planowaną i niezmienną próbą wyniszczenia żywiołu polskiego, w warunkach, w których się bronić nie może.* Szerzej w: *Meldunek nr 121 – raport specjalny o sytuacji litewskiej*, w: J.E. Wilczur, dz. cyt., s. 121–134; *Tekst ulotki Rządu Rzeczypospolitej do Litwinów współpracujących z Niemcami*, w: tamże, s. 154–155.

[485] Według P. Rokickiego łącznie w efekcie zbrodni wojennych dokonanych przez Polaków i Litwinów w obu miejscowościach, a także na okolicznych terenach (m.in. w Ołkunach), zginęło ponad 100 cywilów, głównie kobiet i dzieci. Szerzej w: P. Rokicki, Glinciszki i Dubinki. Zbrodnie wojenne na Wileńszczyźnie w połowie 1944 roku i ich konsekwencje we współczesnych relacjach polsko-litewskich, Warszawa 2015. Por. L. Tomaszewski, *Kronika Wileńska 1941–1945: z dziejów Polskiego Państwa Podziemnego*, Warszawa 1992.

[486] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”*, *„Młot”*, *„Huzar”*, s. 13; L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 638; D. Fikus, dz. cyt., s. 86.

[487] L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 492–493; D. Kuciński, *Aleksander Krzyżanowski „Wilk”*, s. 80.

[488] Zob. *Raporty Ł. Berii do Stalina dotyczące akcji rozbrajania oddziałów AK na Wileńszczyźnie w lipcu 1944 r.*, w: L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 644–651.

[489] L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 507–513; D. Kuciński, *Aleksander Krzyżanowski „Wilk”*, s. 82–83.

[490] Mowa o Zgrupowaniu Bojowym nr 5 Zachód, w skład którego weszły IV i V Brygada Wileńska AK. Zob. L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 467–468.

[491] L. Tomaszewski, dz. cyt., s. 426; K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”*, *„Młot”*, *„Huzar”*, s. 14–15; J. Wołkonowski, dz. cyt., s. 270.

[492] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”*, *„Młot”*, *„Huzar”*, s. 19; S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 239; P. Kozłowski, dz. cyt., s. 69–71.

[493] *Współdziałanie z Sowietami nie wyjdzie nam na zdrowie. Ani nam, ani pozostałym brygadom. Zbyt dobrze znam bolszewików, by ufać im. Zresztą mamy ze sobą na pieńku. Nie zapomnę wsi Radziusze. Kat z nimi!* – taką wiadomość miał przekazać „Łupaszko” (za pośrednictwem łącznika) dowódcy IV Brygady kpt. Longinowi Wojciechowskiego „Roninowi”, z którym wspólnie mieli uderzyć na Wilno. Cyt. za: J. Wołkonowski, dz. cyt., s. 270.

[494] Cyt. za: D. Fikus, dz. cyt., s. 105.

[495] Por. K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”*, *„Młot”*, *„Huzar”*, s. 17.

[496] Tamże, s. 21.

[497] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 74–75.

[498] Tamże, s. 79–80; K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”*, *„Młot”*, *„Huzar”*, s. 22–24, 27–34; S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 241–242.

[499] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 84, 88.

[500] Brygada znana w kulturze masowej dzięki książce Janusza Przymanowskiego *Czterej Pancerni i pies*, a także jej serialowej ekranizacji.

[501] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Powiat Sokołów Podlaski w walce z reżimem komunistycznym 1944–1953*, Sokołów Podlaski 2007, s. 24.

[502] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Danuta Siedzikówna – sanitariuszka „Inka" z 5 Brygady Wileńskiej AK. W sześćdziesiątą rocznicę śmierci z rąk komunistów*, Narewka 2006, s. 17–20, 24.

[503] Szerzej w: *Wojna manewrowa majora „Łupaszki"*, w: G. Motyka, dz. cyt., s. 226–254.

[504] S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 243–244; P. Kozłowski, dz. cyt., s. 91, 95.

[505] Cyt. za: O. Christa, dz. cyt., s. 189.

[506] Szerzej w: K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Białostocki Okręg AK-AKO*, Warszawa 1997.

[507] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 88; K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka"*, *„Młot"*, *„Huzar"*, s. 89.

[508] Cyt. za: K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Bohater konsekwentny*, „Nasz Dziennik" 8 II 2011, nr 31, http://stary.naszdziennik.pl/index.php?typ=lp&dat=20110208&id=lp01.txt.

[509] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *5 Wileńska Brygada AK. 18 sierpnia 1945. Bitwa w Miodusach Pokrzywnych*, Perlejewo 2005, s. 8–12. Por. *Ostatnie naboje majora. Miodusy Pokrzywne 18 sierpnia 1945 roku*, w: S. Nowak, *Bitwy wyklętych*, s. 323–346.

[510] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka"*, *„Młot"*, *„Huzar"*, s. 212–223; P. Kozłowski, dz. cyt., s. 109.

[511] P. Niwiński, *Okręg wileński AK w latach 1944–1948*, Warszawa 1999, s. 143–144, 151–156.

[512] Cyt. za: T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Od „Łupaszki" do „Młota"*, s. 127. Por. *Wyklęci. Podziemie zbrojne 1944–1963*, s. 72.

[513] Zob. *Wyciąg z rozkazu nr 2 wydanego przez mjr. Zygmunta Szendzielarza w związku z ponownym wyjściem w pole V Brygady Wileńskiej, 14 IV 1946*, w: T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Od „Łupaszki" do „Młota"*, s. 88–89.

[514] P. Niwiński, *Okręg wileński AK*, s. 203–208; J. Wieliczka-Szarek, *Żołnierze wyklęci*, s. 299.

[515] Cyt. za: T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Od „Łupaszki" do „Młota"*, s. 186.

[516] Cyt. za: W. Brenda, *Major „Łupaszka" – bohater wyklęty*, „Debata" 2007, nr 3, s. 14.

[517] Miała kontynuować tradycję VI Wileńskiej Brygady AK mjr. Franciszka Koprowskiego „Konara", która wzięła udział w operacji „Ostra Brama".

[518] Zob. K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka"*, *„Młot"*, *„Huzar"*, s. 541.

[519] Cyt. za: K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Z walk oddziałów kpt. „Młota" 6 Brygady Wileńskiej AK na Podlasiu. Pamięci partyzantów poległych 17 lutego 1947 r. w Kiełpińcu*, Kiełpiniec 2005, s. 9.

[520] P. Niwiński, *Działania operacyjne Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego*, s. 266–272. Szerzej w: *Rozbicie i odbudowa okręgu wileńskiego: kwiecień 1946–marzec 1947*,

w: tenże, *Okręg wileński AK*, s. 157–195.

[521] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 140–141. Por. T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Od „Łupaszki" do „Młota"*, s. 269.

[522] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Kpt. Władysław Łukasiuk „Młot" podlaski komendant 6 Brygady Wileńskiej AK*, Czaje–Wólka 2006, s. 21–24; tenże, tenże, *Z walk oddziałów kpt. „Młota"*, s. 10.

[523] Cyt. za: Ł. Modelski, *Dziewczyny wojenne*, Kraków 2011, s. 274.

[524] M. Rigamonti, *Dziewczyna Łupaszki*, wywiad z Zofią Lwow-Eberle, „Newsweek" 8 X 2011, http://stylzycia.newsweek.pl/dziewczyna-lupaszki,82562,1,1.html.

[525] P. Kozłowski, dz. cyt., s. 156. Osielec jako miejsce zatrzymania (nie 30, a 29 czerwca 1948 roku) potwierdził w zeznaniach przed UB sam „Łupaszko". Por. *Protokół przesłuchania Zygmunta Szendzielarza, Warszawa, 2 VII 1948*, w: T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Od „Łupaszki" do „Młota"*, s. 231–234. Z kolei u P. Niwińskiego czytamy, że „Łupaszko" został ujęty w Poroninie 26 czerwca 1948 roku. Zob. P. Niwiński, *Okręg wileński AK*, s. 296.

[526] Szerzej w: *Epilog. Operacja „X" – likwidacja struktur podległych mjr. „Łupaszce"*, w: K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka"*, *„Młot"*, *„Huzar"*, s. 850–882.

[527] P. Niwiński, *Okręg wileński AK*, s. 289–296, 302, 310.

[528] Zob. I. Brandt, *Rozmowa ze Stanisławem Krupą*, Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego, http://ahm.1944.pl/Stanislaw_Krupa/1.

[529] Partyzant miał zabiegać o ślub z Lidią Lwow, przebywając już w celi śmierci, ale naczelnik więzienia mokotowskiego Grabicki nie wyraził na to zgody. Zob. S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 255; J. Wieliczka-Szarek, *Żołnierze wyklęci*, s. 306.

[530] M. Rigamonti, dz. cyt. Zob. Ł. Modelski, dz. cyt., s. 276.

[531] Cyt. za: I. Brandt, dz. cyt.

[532] Tamże.

[533] *Nie wiem, kto nas wydał. Mogę się tylko domyślać. Mieszkał z nami chłopak, który rzekomo ukrywał się przed wojskiem. Może był w rzeczywistości ubekiem? Pytała po latach Lwow.* Cyt. za: M. Rigamonti, dz. cyt. Zob. Ł. Modelski, dz. cyt., s. 275.

[534] Por. K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka"*, *„Młot"*, *„Huzar"*, s. 90.

[535] Cyt. za: K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Bohater konsekwentny.*

[536] Cyt. za: S. Krupa, dz. cyt., s. 124. Por. T. Marcinkowski, dz. cyt., s. 65.

[537] Cyt. za: S. Krupa, dz. cyt., s. 124.

[538] Tamże, s. 124–125.

[539] Cyt. za: T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Od „Łupaszki" do „Młota"*, s. 283.

[540] I. Brandt, dz. cyt.

[541] *Proces „Łupaszki" (odc. I)*, audycja Polskiego Radia, 23 II 2011, www.polskieradio.pl/9/310/Artykul/317394,Proces-Lupaszki-odc–1.

[542] Szerzej w: *Wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie w sprawie Antoniego Olechnowicza, Henryka Borowskiego, Zygmunta Szendzielarza, Lucjana Minkiewicza, Wandy Minkiewicz, Lidii Lwow, Warszawa, 2 XI 1950*, w: T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Od „Łupaszki" do „Młota"*, s. 286–299.

[543] J. Śląski, dz. cyt., s. 236.

[544] Cyt. za: *Proces „Łupaszki” (odc. II)*, audycja Polskiego Radia, 24 II 2011, www.polskieradio.pl/9/310/Artykul/317794,Proces-Lupaszki-odc–2.
[545] I. Brandt, dz. cyt.
[546] Cyt. za: S. Krupa, dz. cyt., s. 114. Pot. T. Marcinkowski, dz. cyt., s. 57–58.
[547] Cyt. za: S. Nowak, *Oddziały wyklętych*, s. 256.
[548] Szerzej w: S. Nowak, *„Zostańcie z Bogiem” – powiedział. I zginął… Rozmowa z Lidią Lwow-Eberle*, „Wyklęci” 2016, nr 1, s. 118. Por. Ł. Modelski, dz. cyt., s. 277.
[549] Zob. K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”*, *„Młot”*, *„Huzar”*, s. 88.
[550] Ł. Modelski, dz. cyt., s. 277.
[551] Cyt. za: T. Łabuszewski, K. Krajewski, *Bohater konsekwentny.*
[552] I. Brandt, dz. cyt.
[553] Cyt. za: M. Chojnacki, *Opowiadanie „Młodzika”*, Sierpc 2003, s. 327. Por. K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Bohater konsekwentny.* Według innej wersji „Łupaszko” miał, wychodząc z celi na egzekucję, krzyknąć: „Zostańcie z Bogiem!”. *Zawsze tak mówił chłopakom z partyzantki i później, idąc na śmierć, również w ten sposób pożegnał się z więźniami z celi* – wspominała narzeczona „Łupaszki”. Zob. S. Nowak, *„Zostańcie z Bogiem”*, s. 119.
[554] Cyt. za: M. Chojnacki, dz. cyt., s. 327–328.
[555] T.M. Płużański, *Kto zamordował „Łupaszkę”*, „Wyklęci” 2016, nr 1, s. 98–101; J. Wieliczka-Szarek, *Żołnierze wyklęci*, s. 307; J. Śląski, dz. cyt., s. 236.
[556] P. Niwiński, *Okręg wileński AK*, s. 313.
[557] Cyt. za: Z. Błażyński, dz. cyt., s. 282.
[558] Skazany w 1968 roku na trzy lata więzienia „za rozpowszechnianie informacji szkodliwych dla interesów państwa”.
[559] Zob. M. Solecki, *Major „Łupaszko” oczami literatów*, „Wyklęci” 2016, nr 1, s. 141; D. Fikus, dz. cyt., s. 9.
[560] Na te zarzuty Jasienica odpowiedział w swoim pamiętniku: *Prasa dość dowolnie traktuje obecnie moją osobistą rolę: nie dowodziłem akcją w Narewce; w Boćkach i Siemiatyczach nie byłem nigdy w życiu, nie spaliłem żadnej wioski białoruskiej ani innej*. Cyt. za: P. Jasienica, dz. cyt., s. 199.
[561] K. Krajewski, T. Łabuszewski, *„Łupaszka”*, *„Młot”*, *„Huzar”*, s. 137–139.
[562] Cyt. za: J. Szpotański, *Ballada o Łupaszce*, http://literat.ug.edu.pl/szpot/ballup.htm.
[563] J. Eisler, *Polski rok 1968*, Warszawa 2006, s. 213.
[564] Uchwała Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 23 marca 2006 roku w 55. rocznicę śmierci majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, dowódcy 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, M.P. 2006, nr 24, poz. 263, Internetowy System Aktów Prawnych, http://isap.sejm.gov.pl/DetailsServlet?id=WMP20060240263.
[565] Szerzej w: K. Szwagrzyk, *Poszukiwania i odnalezienie szczątków mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”*, „Wyklęci” 2016, nr 1, s. 131–139.
[566] *Kolejne wyniki identyfikacji ofiar terroru*; *Konferencja prasowa* [wideo].
[567] M. Kozubal, *Nie wszyscy bohaterowie w Panteonie*, „Życie Warszawy” 22 IX 2015, www.zw.com.pl/artykul/668249.html.

[568] Stracona 28 sierpnia 1946 roku w Areszcie MBP w Gdańsku. W 2014 roku szczątki młodej kobiety z ranami postrzałowymi czaszki odnaleziono na terenie Cmentarza Garnizonowego w Gdańsku. Udało się potwierdzić, że należą do „Inki", a o identyfikacji poinformowano oficjalnie 1 marca 2015 roku, w Narodowy Dzień Żołnierzy Wyklętych-Niezłomnych. Zob. J. Hlebowicz, *Grób „Inki" odnaleziony?*, „Gość Niedzielny" 15 IX 2014, http://gdansk.gosc.pl/doc/2159700.Grob-Inki-odnaleziony; *Pięcioro bohaterów odzyskało nazwiska – Warszawa, 1 marca 2015*, http://ipn.gov.pl/aktualnosci/2015/centrala/piecioro-bohaterow-odzyskalo-nazwiska-warszawa,–1-marca–2015.

[569] Cyt. za: *Witold Pilecki 1901–1948*, multimedialna wystawa Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau i Muzeum Historii Polski, Google CulturalInstitute, www.google.com/culturalinstitute/u/0/exhibit/witold-pilecki/QQJStDFF?hl=pl.

[570] W 2015 roku powstał pełnometrażowy fabularyzowany dokument w reżyserii Mirosława Krzyszkowskiego pt. *Pilecki*. W rolę rotmistrza wcielił się Marcin Kwaśny. Pilecki jest też bohaterem jednego z odcinków serialu dokumentalnego *Polscy bohaterowie wojenni* (ang. *Heroes of War*, 2013), emitowanego na kanale History w ponad 40 krajach świata.

[571] Pogląd ten utrwalił brytyjski historyk Michael Foot w książce *Sześć twarzy odwagi* z 1978 roku, w której opisał sylwetki tytułowych sześciu bohaterów, w tym Pileckiego. Zob. M. Foot, *Six Faces of Courage*, London 2003.

[572] M. Krzyszkowski, B. Wasztyl, dz. cyt., s. 53–54. Szerzej w: M. Pilecka, *Dzieje rodu Pileckich* (maszynopis), Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz--Birkenau, t. 223c, k. 1–117; K. Tracki, *Młodość Witolda Pileckiego*, Zabrze 2015, s. 11–14.

[573] M. Patricelli, *Ochotnik*, Warszawa 2011, s. 21–23; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz*, Warszawa 2014, s. 1–2.

[574] Cyt. za: M. Krzyszkowski, B. Wasztyl, dz. cyt., s. 20.

[575] Tamże, s. 45.

[576] K. Tracki, dz. cyt., s. 35–38.

[577] Witold miał dwie siostry i dwóch braci: Marię, Wandę, Józefa (zmarł w wieku 5 lat) oraz Jerzego.

[578] K. Pilecki, *Był sens walki i sens śmierci*, Bydgoszcz 1998, s. 5; K. Tracki, dz. cyt., s. 40–43, 45–46; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 1–3.

[579] Michał Murawjow – rosyjski generał-gubernator Litwy w latach 1863–1865, słynący z okrucieństwa podczas tłumienia powstania styczniowego na ziemi wileńskiej. Przydomek „Wieszatiel" przylgnął do niego po wydaniu rozkazów wieszania Polaków uczestniczących w niepodległościowym zrywie.

[580] Cyt. za: K. Tracki, dz. cyt. s. 52.

[581] M. Patricelli, dz. cyt., s. 25.

[582] K. Tracki, dz. cyt., s. 64; J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, Warszawa 2013, s. 1. Por. tenże, *Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948* (album), Warszawa 2008.

[583] K. Tracki, dz. cyt., s. 65–68; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 4.

[584] J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 2; M. Patricelli, dz. cyt., s. 25–26.

[585] Szerzej w: *Wilno i Wileńszczyzna w pamiętnikach z lat pierwszej wojny światowej (materiały ze zbiorów wileńskich i londyńskich)*, oprac. M. i M. Przeniosło, Kielce 2014.
[586] Stanisław Swianiewicz – profesor sowietologii, ofiara represji NKWD. Był jedynym więźniem obozu w Kozielsku wycofanym z tzw. etapu – transportu śmierci na miejsce kaźni w Lesie Katyńskim. Powody, dla których uniknął egzekucji, nie są do końca jasne. Zob. W. Kowalski, *Stanisław Swianiewicz – ocalony z Katynia*, dzieje.pl, 29 IX 2015, http://dzieje.pl/artykulyhistoryczne/stanislaw-swianiewicz-ocalony-z-katynia.
[587] K. Tracki, dz. cyt., s. 74–75, 82–84; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 5.
[588] K. Tracki, dz. cyt., s. 83.
[589] Tamże, s. 89–91; M. Patricelli, dz. cyt., s. 32; J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 2.
[590] K. Tracki, dz. cyt., s. 93–94.
[591] M. Patricelli, dz. cyt., s. 33; K. Tracki, dz. cyt., s. 98–100.
[592] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 10–11.
[593] Tamże, s. 14.
[594] K. Tracki, dz. cyt., s. 128; J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 3–4; M. Patricelli, dz. cyt., s. 41–43; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 12–13.
[595] Za zasługi Pilecki otrzymał m.in. Krzyż Zasługi Wojsk Litwy Środkowej. Został też uhonorowanym orderem za wyzwolenie Wilna.
[596] K. Tracki, dz. cyt., s. 126, 130–138.
[597] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 19; J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 4.
[598] Cyt. za: K. Tracki, dz. cyt., s. 147.
[599] K. Pilecki, dz. cyt., s. 8.
[600] Cyt. za: B. Rąpała, *Przesłanie mojego ojca. Rozmowa z Zofią Pilecką-Optułowicz*, Radio Maryja, 25 V 2012, www.radiomaryja.pl/bez-kategorii/przeslanie-mojego-ojca. Por. M. Krzyszkowski, B. Wasztyl, dz. cyt., s. 63–64.
[601] J. Wieliczka-Szarek, *Żołnierze wyklęci*, s. 44–45.
[602] K. Tracki, dz. cyt., s. 142.
[603] Niedawno w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie odnaleziono odręczny życiorys Pileckiego, datowany na 30 czerwca 1926 roku, napisany w Wilnie. Zob. *Opublikowano rękopis rotmistrza Pileckiego*, TV Republika, 1 II 2016, http://telewizjarepublika.pl/opublikowano-nieznany-rekopis-rotmistrza-pileckiego,29045.html.
[604] K. Tracki, dz. cyt., s. 164–167.
[605] Tamże, s. 188–189; M. Patricelli, dz. cyt., s. 47.
[606] J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 5, 7; M. Patricelli, dz. cyt., s. 45, 52–53; K. Tracki, dz. cyt., s. 179, 187.
[607] *Pilecki. Od kresowego raju do piekła Rakowieckiej*, audycja Polskiego Radia, 14 V 2015, www.polskieradio.pl/8/3869/Artykul/1441957,Pilecki-Od-kresowego-raju-do-piekla-Rakowieckiej.
[608] Zob. *Sukurcze /poemat/*, w: K. Tracki, dz. cyt., s. 215–226.
[609] Cyt. za: M. Krzyszkowski, B. Wasztyl, dz. cyt., s. 27.

[610] K. Tracki, dz. cyt., s. 190–191; K. Pilecki, dz. cyt., s. 9; M. Patricelli, dz. cyt., s. 62–63.
[611] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 23–24; J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 5.
[612] M. Patricelli, dz. cyt., s. 46.
[613] Cyt. za: K. Tracki, dz. cyt., s. 201.
[614] Formacja Krakusów istniała w latach 1812–1814. Pierwszym dowódcą był gen. Jan Nepomucen Umiński, ostatnim – gen. Józef Dwernicki.
[615] K. Tracki, dz. cyt., s. 199; M. Patricelli, dz. cyt., s. 62; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 25; J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 7.
[616] Cyt. za: M. Krzyszkowski, B. Wasztyl, dz. cyt., s. 82–83.
[617] W.J. Wysocki, *Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948*, Warszawa 2009, s. 35–36; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 32.
[618] J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 8.
[619] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 33; M. Patricelli, dz. cyt., s. 77.
[620] M. Patricelli, dz. cyt., s. 74.
[621] Cyt. za: B. Rąpała, dz. cyt.
[622] K. Malinowski, *Tajna Armia Polska*, *Znak*, *Konfederacja Zbrojna*, Warszawa 1986, s. 24–29; K. Pilecki, dz. cyt., s. 12–13; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 35–36.
[623] Cyt. za: K. Malinowski, dz. cyt., s. 31.
[624] Cyt. za: W. Gawron, *Ochotnik do Oświęcimia*, Oświęcim 1992, s. 113.
[625] J. Nowak-Jeziorański, *Kurier z Warszawy*, Kraków 2014, s. 52.
[626] W.J. Wysocki, *Rotmistrz Witold Pilecki*, s. 40–41; K. Pilecki, dz. cyt., s. 13–14.
[627] A. Rawson, *Auschwitz. The Nazi Solution*, Barnsley 2015, s. 11–12.
[628] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 40–41; K. Pilecki, dz. cyt., s. 14.
[629] Jeden z więźniów Auschwitz, autor obozowych wspomnień, Józef Garliński, pisał, że Pilecki początkowo wyposażył się w legitymację ubezpieczeniową Serafińskiego. Następnie dorobiono do niej – jak dodawał – kolejne dokumenty. Zob. J. Garliński, *Oświęcim walczący*, Londyn 1997, s. 39.
[630] K. Malinowski, dz. cyt., s. 101; M. Patricelli, dz. cyt., s. 89.
[631] Cyt. za: K. Malinowski, dz. cyt., s. 102.
[632] Tamże, s. 101–102; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 45–46; K. Pilecki, dz. cyt., s. 15.
[633] Cyt. za: W. Gawron, dz. cyt., s. 114.
[634] Por. W. Bartoszewski, *Mój Auschwitz*, Kraków 2010, s. 13.
[635] K. Pilecki, dz. cyt., s. 16; M. Patricelli, dz. cyt., s. 91–92.
[636] To, co nazywamy dziś Raportem Pileckiego, to w zasadzie trzy odrębne raporty – dwa napisane w 1943 roku, jeden – w 1945 roku.
[637] Cyt. za: *Raport rtm. Witolda Pileckiego*, w: *Pilecki Witold (1901–1948)*, Muzeum Armii Krajowej, www.muzeum-ak.pl/biogramy/UserFiles/File/raportrotmistrza-pileckiego.pdf.
[638] J. Garliński, dz. cyt., s. 115.
[639] K. Malinowski, dz. cyt. s. 102–103. M. Patricelli, dz. cyt., s. 106.
[640] J. Garliński, dz. cyt., s. 43–44.
[641] Tamże, s. 44–45.

[642] W.J. Wysocki, *Rotmistrz Witold Pilecki*, s. 53–58; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 50–58.
[643] Cyt. za: *Raport rtm. Witolda Pileckiego.*
[644] Od niemieckiego słowa „Musellman".
[645] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki,* s. 79; M. Patricelli, dz. cyt., s. 204–206.
[646] *Raport rtm. Witolda Pileckiego.*
[647] Tamże.
[648] A. Rawson, dz. cyt., s. 7–8, 16.
[649] Tak zwany Raport W, sporządzony jesienią 1943 roku w Warszawie.
[650] A. Cyra, *Ochotnik do Auschwitz. Witold Pilecki – żołnierz II Rzeczypospolitej czasu wojny*, w: *Wolni i zniewoleni*, s. 30; M. Fleming, *Auschwitz, the Allies and Censorship of the Holocaust,* Cambridge 2014, s. 132.
[651] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 64–65.
[652] Cyt. za: *Raport rtm. Witolda Pileckiego.*
[653] M. Fleming, dz. cyt., s. 15.
[654] Cyt. za: *Raport rtm. Witolda Pileckiego.*
[655] Cyt. za: W. Gawron, dz. cyt., s. 174.
[656] Tamże.
[657] W.J. Wysocki, *Rotmistrz Witold Pilecki*, s. 80–81; J. Pawłowicz, *Rotmistrz Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 11.
[658] Łącznie w okresie funkcjonowania KL Auschwitz uciekły z obozu, z różnym skutkiem, 802 osoby. Co najmniej 144 zbiegły szczęśliwie. Szerzej w: H. Świebocki, *Ucieczki z obozu*, w: *Auschwitz 1940–1950: węzłowe zagadnienia z dziejów obozu*, t. IV, *Ruch oporu*, red. W. Długoborski, F. Piper, Oświęcim 1995, s. 110–111.
[659] M. Fleming, dz. cyt., s. 26.
[660] Cyt. za: J. Garliński, dz. cyt., s. 169.
[661] Szerzej na temat przebiegu ucieczki z obozu, odtworzonego na podstawie relacji Ciesielskiego, w: *Udana ucieczka z obozu (27 kwietnia 1943 roku)*, w: K. Pilecki, dz. cyt., s. 30–87.
[662] Zob. M. Patricelli, dz. cyt., s. 245–251.
[663] J. Garliński, dz. cyt., s. 169–170; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 112–115; W.J. Wysocki, *Rotmistrz Witold Pilecki*, s. 84.
[664] N. Tec, *Resistance. Jews and Christians Who Defied the Nazi Terror*, New York 2013, s. 129; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 116–117; K. Pilecki, dz. cyt., s. 88–89.
[665] Cyt. za: W.J. Wysocki, *Cień KL Auschwitz na życiorysie Witolda Pileckiego*, w: *Wolni i zniewoleni*, s. 33.
[666] Cyt. za: *Raport rtm. Witolda Pileckiego.*
[667] Cyt. za: Z. Pilecka-Optułowicz, *Wspomnienie o moim ojcu*, w: *Wolni i zniewoleni*, s. 13.
[668] Cyt. za: B. Rąpała, dz. cyt.
[669] Cyt. za: M. Krzyszkowski, B. Wasztyl, dz. cyt., s. 138.
[670] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki,* s. 126; W.J. Wysocki, *Rotmistrz Witold Pilecki*, s. 88.
[671] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki,* s. 126.

[672] J. Ostromęcki, *Powstańcza reduta „Witolda”*, w: *Najmężniejszy z mężnych*, dodatek historyczny IPN, „Rzeczpospolita” 24–25 V 2008, s. 4–5; *Witold Pilecki*, w: *Powstańcze biogramy*, Muzeum Powstania Warszawskiego, www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Witold_Pilecki.

[673] Szerzej na temat losów wziętych do niewoli powstańców w: P. Stanek, *Niewola powstańców warszawskich (1944–1945)*, „Dzieje Najnowsze” 2012, nr 2, s. 51–68.

[674] M. Patricelli, dz. cyt., s. 305; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 143–144.

[675] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 151; J. Pawłowicz, *Rotmistrz Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 15.

[676] K. Pilecki, dz. cyt., s. 90.

[677] M. Krzyszkowski, B. Wasztyl, dz. cyt., s. 148–149.

[678] M. Patricelli, dz. cyt., s. 322.

[679] J. Pawłowicz, *Rotmistrz Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 16; M. Patricelli, dz. cyt., s. 324.

[680] Zdaniem W.J. Wysockiego wsypę całej grupy spowodowała agenturalna działalność Kuchcińskiego, choć niewykluczone, że bezpieka miała też innych agentów w „grupie Witolda”. *Wydaje się, że faktycznie wokół rotmistrza zaciskały się trzy niezależne pętle aparatu terroru i prędzej czy później doszłoby do wsypy*. Cyt. za: W.J. Wysocki, *Oskarżenie Witolda Pileckiego i współtowarzyszy. Charakter śledztwa, procesu publicznego i procesów odpryskowych*, w: *Przestępstwa sędziów i prokuratorów*, s. 220.

[681] A. Cyra, *Co kryją akta rotmistrza?* „Przegląd” 17 VI 2013, www.tygodnikprzeglad.pl/co-kryja-akrta-rotmistrza; K. Gędłek, *Zabić rotmistrza*, „Polonia Christiana” 25 V 2015, www.pch24.pl/zabic-rotmistrza,15025,i.html.

[682] Zob. *Wykradzione dokumenty z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i meldunki*, Z archiwum IPN, www.pilecki.ipn.gov.pl/rp/z-archiwum-ipn/7137,dok.html.

[683] Tak twierdzi T.M. Płużański (syn T. Płużańskiego – współpracownika Pileckiego), według którego Kuchciński był nieświadomy prowokacji ze strony Alchimowicza. Niewykluczone jednak, jak zaznacza badacz i publicysta, że obaj brali udział w rozpracowywaniu grupy Pileckiego. Zob. T.M. Płużański, *Bestie*, s. 184–190; tenże, *Rotmistrz Pilecki i jego oprawcy*, s. 62–67. Por. K. Gędłek, *Zabić rotmistrza*.

[684] *Dr Tomasz Łabuszewski: Witold Pilecki nie poszedł na układ z bezpieką*, dzieje.pl, 27 V 2013, http://dzieje.pl/aktualnosci/dr-tomasz-labuszewski-witold-pilecki-nie-poszedl-na-uklad-z-bezpieka. Por. T. Łabuszewski, *Kulą w płot. Kto podważa legendę rotmistrza Pileckiego?*, „Polityka” 2013, nr 22, s. 46–49.

[685] K. Gędłek, *Zabić rotmistrza.*

[686] W konspiracji autor posługiwał się pseudonimem „Tadeusz Radwan”. Zob. *Płużański Tadeusz*, w: *Lista represjonowanych IPN*, http://ipn.gov.pl/lista-represjonowanych?queries_q_name_query=Płużański+Tadeusz&queries_q_wsr_query=&queries_q_num_query=&queries_q_year_query=&search_page_97209_submit_button=Szukaj&current_result_page=1&results_per_page=10&submitted_search_category=&mode=.

[687] Cyt. za: T. Płużański, *Z otchłani*, Warszawa 2014, s. 219–220.

[688] W.J. Wysocki, *Oskarżenie Witolda Pileckiego*, s. 220.

[689] Cyt. za: B. Rąpała, dz. cyt. Por. M. Krzyszkowski, B. Wasztyl, dz. cyt., s. 194.

[690] Zdaniem J. Pawłowicza Pileckiego aresztowano najprawdopodobniej dwa dni wcześniej, 6 maja, a więc w czasie, kiedy ujęto też Płużańskiego. Z kolei – jak wskazuje badacz – 8 maja to data, która widnieje na dokumencie pierwszej rewizji osobistej Pileckiego. Zob. M. Płociński, *Rotmistrz oczerniony*, rozmowa z Jackiem Pawłowiczem, „Rzeczpospolita" 17 V 2013, nr 114, s. A13.

[691] Oboje zostali zatrzymani dzień wcześniej – 7 maja.

[692] M. Patricelli podaje, że aresztowania dokonano w mieszkaniu Bronisławy Jarzyńskiej, przy ul. Skrzetuskiego w Warszawie. Zob. M. Patricelli, dz. cyt, s. 325.

[693] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 168.

[694] W.J. Wysocki, *Oskarżenie Witolda Pileckiego*, s. 221; *Dr Tomasz Łabuszewski: Witold Pilecki nie poszedł na układ z bezpieką.*

[695] W 1996 roku Chimczak został skazany na 7,5 roku więzienia w procesie Adama Humera, ale nie odbył kary ze względu na zły stan zdrowia.

[696] W.J. Wysocki, *Rotmistrz Witold Pilecki*, s. 128; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 170–171.

[697] Por. przypis 112 (w tym rozdziale).

[698] Cyt. za: M. Płociński, dz. cyt., s. A13.

[699] M. Patricelli, dz. cyt., s. 326.

[700] Cyt. za: B. Rąpała, dz. cyt.

[701] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 171.

[702] Cyt. za: W.J. Wysocki, *Oskarżenie Witolda Pileckiego*, s. 224.

[703] Por. K. Gędłek, *Wyrwane paznokcie i „pal Andersa"*, rozmowa z dr. hab. Filipem Musiałem, „Polonia Christiana" 5 III 2014, www.pch24.pl/Mobile/Informacje/informacja/id/21517.

[704] J. Ostromęcki, *W rękach komunistycznych katów*, w: *Najmężniejszy z mężnych*, s. 6.

[705] Zob. T. Płużański, dz. cyt., s. 409–410.

[706] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 178, 185.

[707] Zob. M. Radwan, *Przyjdą, wyprowadzą, pieprzną ci w łeb…*, rozmowa z profesorem Tadeuszem Płużańskim, w: T. Płużański, dz. cyt., s. 8.

[708] W.J. Wysocki, *Oskarżenie Witolda Pileckiego*, s. 227; J. Ostromęcki, *W rękach komunistycznych katów*, s. 6. Szerzej w: K. Szwagrzyk, *Sędziowie i prokuratorzy w procesie rotmistrza Pileckiego*, w: *Wolni i zniewoleni*, s. 41–50.

[709] W.J. Wysocki, *Oskarżenie Witolda Pileckiego*, s. 228–230; Z. Pilecka-Optułowicz, dz. cyt., s. 14. Zob. *Akt oskarżenia*, Z archiwum IPN, www.pilecki.ipn.gov.pl/rp/z-archiwum-ipn/7138,Akt-oskarzenia.html.

[710] M. Patricelli, dz. cyt., s. 338.

[711] Według rejestru rzekomych szpiegów, sporządzonego w 1984 roku przez MSW, Pilecki „gromadził i przesyłał za granicę wiadomości stanowiące tajemnicę państwową, m.in. dotyczącą organizacji, działalności i obsady personalnej kierowniczych stanowisk w MBP i MO". Zob. *Wywiad reakcyjnych ośrodków emigracji polskiej*, w: *Informator o osobach skazanych za szpiegostwo*, s. 271–346. Hasło dotyczące rtm. Pileckiego na s. 321.

[712] Por. *Korespondencja Andersa z bandami terrorystycznymi*, „Dziennik Łódzki” 8 III 1946, w: T. Płużański, dz. cyt., s. 411–412.
[713] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 180.
[714] Cyt. za: M. Patricelli, dz. cyt., s. 339. Por. K. Pilecki, dz. cyt., s. 107.
[715] K. Pilecki, dz. cyt., s. 109.
[716] Zob. *Wyrok z 15 marca 1948 r.*, Z archiwum IPN, www.pilecki.ipn.gov.pl/rp/z-archiwum-ipn/7142,dok.html.
[717] Inni sądzeni zostali skazani na kary od 5 do 15 lat pozbawienia wolności, z wyjątkiem Sieradzkiego, który usłyszał wyrok dożywocia.
[718] Cyt. za: *Uzasadnienie wyroku*, Z archiwum IPN, www.pilecki.ipn.gov.pl/rp/z-archiwum-ipn/7143,dok.html.
[719] Cyt. za: J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 18.
[720] W czasie rozprawy, zgodnie z relacją Eleonory Ostrowskiej, miano odczytać list od Cyrankiewicza, który miał zabiegać o to, aby oświęcimska działalność rotmistrza w żadnym stopniu nie wpływała na ostateczny wyrok. W dokumentacji z procesu nie ma jednak o tym piśmie ani słowa. Nikt z uczestników procesu nie potwierdził tej relacji. Nie wiadomo nawet, czy obaj kiedykolwiek spotkali się w obozie. Zob. W.J. Wysocki, *Cień KL Auschwitz*, s. 36; J. Ostromęcki, *W rękach komunistycznych katów*, s. 7; A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 187–188; K. Pilecki, dz. cyt., s. 119.
[721] A. Cyra, *Rotmistrz Pilecki*, s. 186–187.
[722] J. Stępień, dz. cyt., s. 6.
[723] Cyt. za: K. Piekarski, *Escaping Hell: The Story of a Polish Underground Officer in Auschwitz and Buchenwald*, Louiseville 1989, s. 4.
[724] Tamże, s. 249; K. Pilecki, dz. cyt., s. 120.
[725] Cyt. za: J. Pawłowicz, *Witold Pilecki (1901–1948)*, s. 21.
[726] T. Płużański, dz. cyt., s. 9; W.J. Wysocki, *Oskarżenie Witolda Pileckiego*, s. 235.
[727] Cyt. za: W.J. Wysocki, *Oskarżenie Witolda Pileckiego*, s. 235.
[728] *Błądził, myśląc, że pracuje dla dobra Polski. […] żyjemy wciąż bez niego. Chcemy, aby nasze życie było jak najbardziej pożyteczne dla Polski Ludowej. Z czynami, jakie wyznawał on, sumienie nie pozwala nam się solidaryzować, ale rozumiemy, że błądził nieświadomie. Stąd nasza wielka rozterka, że człowiek ukochany przez nas ma być tak surowo ukarany za błąd, na drogi którego zaprowadziła go perfidna polityka siedzących w Anglii „wodzów”* – napisała w liście do Bieruta, w akcie desperacji, Maria Pilecka. Cyt. za: tenże, *Rotmistrz Witold Pilecki*, s. 203.
[729] Cyt. za: J. Stępień, dz. cyt., s. 6.
[730] Mońko był do niedawna ostatnim żyjącym świadkiem stracenia Pileckiego. Zmarł w kwietniu br., pochowano go na cmentarzu w Hrubieszowie. W 2015 roku IPN zdecydował, że nie postawi byłego wicenaczelnika więzienia mokotowskiego przed sądem z uwagi na fakt, że bezpośrednio nie uczestniczył w zabiciu rotmistrza i nie brał udziału w przesłuchaniach, a jedynie asystował przy egzekucji. Z relacji złożonej przez por. Mońkę w 2002 roku wynika, że w czasie wykonywania wyroku stał na zewnątrz budynku, w którym uśmiercono Pileckiego. Zob. M. Kozubal, *Spór o ostatniego*

świadka śmierci rtm. Pileckiego, „Rzeczpospolita” 4 VI 2005, www.rp.pl/Historia/306049862-Spor-o-ostatniego-swiadka-smierci-rtm-Pileckiego.html.

[731] W tym czasie naczelnik Grabicki znajdował się na wyjeździe służbowym – kończył kurs więziennictwa w Łodzi.

[732] Cyt. za: T.M. Płużański, *Rotmistrz Pilecki i jego oprawcy*, s. 14.

[733] W 2002 roku IPN przedstawił mjr. Łapińskiemu akt oskarżenia. Były stalinowski prokurator nie dożył procesu – zmarł w 2004 roku.

[734] M. Patricelli, dz. cyt., s. 348.

[735] K. Feusette, *Bociany strącone przez burzę*, rozmowa z dziećmi rotmistrza Witolda Pileckiego – Zofią i Andrzejem, w: *Najmężniejszy z mężnych*, s. 7.

[736] Cyt. za: M. Krzyszkowski, B. Wasztyl, dz. cyt., s. 204.

[737] B. Rąpała, dz. cyt. Por. K. Feusette, dz. cyt., s. 7.

[738] M. Radwan, dz. cyt., s. 9.

[739] Por. Z. Baranowski, *Tu leży Pilecki?*, „Nasz Dziennik” 31 VII 2015, nr 177, s. 1, 4.

[740] J. Stępień, dz. cyt., s. 6.

[741] P. Kładoczny, *The Release and Rehabilitation of Victims of Stalinist Terror in Poland*, w: *De-Stalinising Eastern Europe. The Rehabilitation of Stalin's Victims after 1953*, red. K. McDermott, M. Stibbe, London 2015, s. 76–77.

[742] Cyt. za: Uchwała Senatu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 7 maja 2008 r. w sprawie przywrócenia pamięci zbiorowej Polaków bohaterskiej postaci rotmistrza Witolda Pileckiego, M.P. 2008, nr 38, poz. 333, Internetowy System Aktów Prawnych, http://isap.sejm.gov.pl/SearchServlet.

[743] Cyt. za: B. Rąpała, dz. cyt.

[744] Cyt. za: Z. Pilecka-Optułowicz, dz. cyt., s. 14.

[745] Cyt. za: W.J. Wysocki, *Rotmistrz Witold Pilecki*, s. 203.

[746] W.J. Wysocki, *„Nil”. Generał August Emil Fieldorf 1895–1953*, Warszawa 2010, s. 13–14; M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”. Fakty, dokumenty, relacje*, Warszawa 2006, s. 11, 22. Skrócony życiorys Fieldorfa w: taż, tenże, *Generał August Emil Fieldorf „Nil*”, „Biuletyn IPN” 2008, nr 5–6, s. 158–165.

[747] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 23.

[748] W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 14; A. Przewoźnik, *Żołnierz Niepodległości, Generał August Emil Fieldorf 1895–1953*, w: *Generał „Nil”*, red. A. Kantorowicz, Warszawa 1999, s. 11.

[749] Zob. *Fieldorf Emil August*, w: *Wykaz Legionistów Polskich 1914–1918*, Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, http://mjp.najlepszemedia.pl/wykaz-legionistow/wykaz/legionista/28634-fieldorf.

[750] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 24; W.J. Wysoki, *„Nil”*, s. 15.

[751] Cyt. za: J. Fieldorf, *Opowieść o moim mężu, Emilu Fieldorfie* (zapis z taśmy magnetofonowej nagranej w roku 1977), oprac. A.M. Kobos, http://fieldorf.pl/index.php/Relacje-świadkow/janina-fieldorf-opowie-o-moim-mu.html.

[752] Janina Fieldorf spisywała wspomnienia w latach 1956–1979 (aż do śmierci), pozostawiając po sobie zbiór 30 zeszytów z relacjami o mężu. Część z nich w 1977 roku nagrała na kasetę magnetofonową. Po 15 latach ich transkrypcję opublikowano

w „Zeszytach Historycznych”, wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu. Zob. J. Fieldorf, *Opowieść o moim mężu, Emilu Fieldorfie*, oprac. A.M. Kobos, „Zeszyty Historyczne” 1992, z. 101, s. 91–114.

[753] Krwawe walki o wołyńską wieś toczyły się od 4 do 6 lipca 1916 roku. Cena za utrzymanie pozycji w obliczu nacierających przeważających liczebnie Rosjan była ogromna: zginęło, odniosło rany lub zaginęło bez wieści ok. 2 tys. legionistów, w tym wielu oficerów. Bilans strat czyni tę bitwę najkrwawszą z udziałem Legionów. Zob. W. Kowalski, *Bitwa pod Kostiuchnówką – najkrwawszy bój Legionów*, dzieje.pl, 3 VII 2015, http://dzieje.pl/artykulyhistoryczne/bitwa-pod-kostiuchnowka-najkrwawszy-boj-legionow.

[754] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 31; A. Przewoźnik, dz. cyt., s. 11; W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 16.

[755] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 76.

[756] W dokumentacji 5 pułku piechoty dotyczącej stanu służby Fieldorfa napisano: *Udział w bitwach: Brzegi, Czarkowa, Winiary, Budy Michałowskie, Niedabył, Chyżówki, Stopnice Królewskie, Marcinkowice, Pisarzowa, Łącko, Łowczówek, Nida, Kozinek, Kujawy, Konary, Ożarów, Tarłów, Wyżnianka, Urzędów, Strzeszkowice, Jastków, Kamionka, Wysokie Litews., Stochód, Serechowo, Hulewicze, Rudka Miryńska*. Zob. M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 34.

[757] Cyt. za: J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął… Wspomnienia*, Gdańsk 2012, s. 27.

[758] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 34–36; W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 16–17; A. Przewoźnik, dz. cyt., s. 11.

[759] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 36.

[760] Tamże, s. 36–37; A. Przewoźnik, dz. cyt., s. 11.

[761] W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 18; M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 37–39.

[762] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 44–45, 51–52.

[763] Tamże, s. 59–62; W.J Wysocki, *„Nil”*, s. 22–23.

[764] Cyt. za: M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 48. Por. P. Wywiał, *Generał August Emil Fieldorf „Nil” (1895–1953)*, Warszawa 2013, s. 4–5.

[765] W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 20.

[766] Cyt. za: M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 39.

[767] Tamże, s. 80.

[768] A. Przewoźnik, dz. cyt., s. 12.

[769] *Referat Personalny GISZ – opinie inspektorskie o oficerach*, Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce, teczka 701/1/119, www.pilsudski.org/archiwa/dokument.php?nonav=1&nrar=701&nrzesp=1&sygn=119&handle=701.180/4379].

[770] Tamże, teczka 701/1/118, www.pilsudski.org/archiwa/dokument.php?nonav=1&nrar=701&nrzesp=1&sygn=118&handle=701.180/3628.

[771] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 89; W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 27.

[772] J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 29–30; M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 75.

[773] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 100–105; A. Przewoźnik, dz. cyt., s. 14; W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 29.
[774] P. Wywiał, *Generał August Emil Fieldorf*, s. 5; M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 107–109.
[775] Cyt. za: J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 33.
[776] Cyt. za: W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 31.
[777] Cyt. za: M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil*”, s. 142.
[778] Cyt. za: J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 29.
[779] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil*”, s. 144–145.
[780] Pod koniec listopada 1939 roku z terytorium Węgier Fieldorf wysłał żonie pierwszą wiadomość o swoim losie.
[781] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 149–153.
[782] Tamże, s. 153–156; W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 34.
[783] P. Wywiał, *Generał August Emil Fieldorf*, s. 6.
[784] M.A. Peszke, *The Polish Underground Army, the Western Allies, and the Failure of Strategic Unity in World War II*, Jefferson 2005, s. 30; M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 163–171.
[785] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 139.
[786] Cyt. za: J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 34.
[787] W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 37–38.
[788] *Kedyw Okręgu Warszawa Armii Krajowej. Dokumenty – rok 1944*, oprac. H. Rybicka, Warszawa 2009, s. 14.
[789] Cyt. za: J. Sawicki, *Kedyw*, Warszawa 2015, s. 14. Por. M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil*”, s. 202–204.
[790] J. Sawicki, dz. cyt., s. 18–19, 58–59.
[791] Cyt. za: T. Bór-Komorowski, dz. cyt., s. 131.
[792] Tamże.
[793] Por. T. Strzembosz, *Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939–1944*, Warszawa 1983; tenże, *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy 1939–1944*, Warszawa 1983; R. Piotrowski, *Rozkaz: trzaskać! Zapomniane akcje polskiego podziemia*, Warszawa 2015.
[794] J. Sawicki, dz. cyt., s. 59; P. Wywiał, *Generał August Emil Fieldorf*, s. 7.
[795] W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 44–45.
[796] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 273–274; A. Gella, dz. cyt., s. 118.
[797] P. Wywiał, *Generał August Emil Fieldorf*, s. 8.
[798] Cyt. za: *Statut „NIE” z 1944 r.*, w: W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 141. Szerzej w: *Statut i instrukcja „Nie”*, „Zeszyty Historyczne” 1992, z. 99, s. 228–234.
[799] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 281, 285–286.
[800] *August Emil Fieldorf*, w: *Powstańcze biogramy*, Muzeum Powstania Warszawskiego, www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/August_Fieldorf.
[801] P. Stawecki, *Generałowie polscy w wojnie obronnej 1939 roku i ich dalsze losy wojenne*, cz. 2, „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 2014, nr 3, s. 106. Jak podają

M. Fieldorf i L. Zachuta, w londyńskich archiwach nie odnaleziono dokumentu, który poświadczałby oficjalną nominację dla Fieldorfa jako zastępcy komendanta głównego AK. Zob. M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 309.

[802] Zob. *Wiedza organów bezpieczeństwa na temat gen. Fieldorfa przed jego ujawnieniem się*, w: J. Bawolak, *Śmierć Generała. W 60. rocznicę sądowego morderstwa gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”*, w: *Z dziejów prawa*, s. 197–198.

[803] Oficer WP, żołnierz AK, powstaniec warszawski, szef sztabu Okręgu Wilno AK. Zwerbowany przez NKWD w 1940 roku. Zob. B. Polak, *Największa opozycja antykomunistyczna*, rozmowa z Wojciechem Frazikiem, Januszem Kurtyką i Tomaszem Łabuszewskim, „Biuletyn IPN” 2008, nr 1–2, s. 16; J. Bawolak, dz. cyt., s. 197.

[804] Cyt. za: E. Duraczyński, dz. cyt., s. 41. Por. M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 309.

[805] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 312–313.

[806] Zob. A. Zechenter, *Pan Walenty*, „Nasz Dziennik” 24 II 2014, www.naszdziennik.pl/mysl/69220,pan-walenty.html.

[807] P. Lipiński, dz. cyt., s. 56–57; M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 309.

[808] Ludzie z otoczenia Fieldorfa, w tym m.in. Mazurkiewicz, wprowadzali dodatkowo organa ścigania w błąd, rozpowszechniając informacje, jakoby „Nil” wyjechał do Anglii.

[809] W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 51–52.

[810] Por. M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 335–338.

[811] P. Stawecki, dz. cyt., s. 106; P. Lipiński, dz. cyt., s. 71.

[812] Zmarł w niewyjaśnionych do końca okolicznościach 24 grudnia 1946 roku w więzieniu na moskiewskiej Łubiance.

[813] Por. *Sprawa Fieldorfa w Procesie Szesnastu*, w: M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 342–364.

[814] D. Golik, *Zabić legendę*, w: *Wojna się nie skończyła*, s. 31.

[815] Szerzej w: M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 379–409.

[816] Tamże, s. 410–412; W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 52–54; P. Wywiał, *Generał August Emil Fieldorf*, s. 9.

[817] W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 55.

[818] 8 września 1945 roku zwrócił się do AK-owców z apelem o ujawnienie się i skorzystanie z amnestii. U części oficerów AK spotkało się to z dezaprobatą, a nawet posądzeniem o zdradę. W wyniku jego odezwy ujawniły się tysiące członków podziemia. Zob. B. Nowożycki, *Losy byłych żołnierzy Zgrupowania AK „Radosław”, 1944–1989*, „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 2014, nr 1 (247), s. 108–11; S. Korboński, *W imieniu Kremla*, s. 22–23. Szerzej w: T. Łabuszewski, *Amnestia 1945 r. i deklaracja Jana Mazurkiewicza „Radosława”*, w: *Komunistyczne amnestie*, s. 83–136.

[819] Zob. A.M. Kobos, *Uzupełnienia*, w: W. Rzeczycki, *Nil, siedziałem z Tobą w jednej celi*, Warszawa 1994, s. 11.

[820] J. Śląski, dz. cyt., s. 171–172. 16 listopada 1953 roku Mazurkiewicz został skazany na karę dożywotniego więzienia. Na wolność wyszedł w 1956 roku, w wyniku amnestii. Rok później został zrehabilitowany.

[821] Cyt. za: *List gończy*, w: W.J. Wysocki, *„Nil”* (wkładka z ilustracjami).
[822] W.J. Wysocki, *„Nil”*, s. 58–59.
[823] Tamże, s. 57.
[824] Cyt. za: J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 35.
[825] J. Bawolak, dz. cyt., s. 197–198.
[826] *Nieznane dokumenty dotyczące gen. Fieldorfa „Nila” odnaleziono w CAW*, dzieje.pl, 24 IV 2014, http://dzieje.pl/aktualnosci/nieznane-dokumenty-dotyczace-gen-fieldorfa-nila-odnaleziono-w-caw.
[827] Zob. *Działalność operacyjna Zarządu Informacji Wojska Polskiego i Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego wobec A.E. Fieldorfa*, w: J. Bawolak, dz. cyt., s. 198–201.
[828] A.M. Kobos, *Uzupełnienia*, s. 12.
[829] S. Marat, J. Snopkiewicz, *Zbrodnia. Sprawa generała Fieldorfa – Nila*, Warszawa 1989, s. 30; J. Bawolak, dz. cyt., s. 201–202.
[830] Cyt. za: J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 136.
[831] Cyt. za: J. Fieldorf, *Opowieść o moim mężu.*
[832] J. Bawolak, dz. cyt, s. 202.
[833] Cyt. za: J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 36.
[834] Tamże.
[835] Cyt. za: M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 604.
[836] Cyt. za: S. Marat, J. Snopkiewicz, *Zbrodnia. Sprawa generała*, s. 77.
[837] Górski powie później o skazanym: *To był człowiek na wysokim poziomie, bardzo inteligentny. Charakter śledztwa nie zależał ode mnie, wykonywałem tylko rozkazy przełożonych. Dziś żałuję, że musiałem w tym wszystkim uczestniczyć.* Cyt. za: T.M. Płużański, *Mordercy generała „Nila”*, http://fieldorf.pl/index.php/Artykuły-wyrożnione/mordercy-generaa-nila.html.
[838] S. Marat, J. Snopkiewicz, *Zbrodnia. Sprawa generała*, s. 86. Por. P. Wywiał, *Uznany za (nie) winnego*, „pamięć.pl” 2013, nr 2, http://pamiec.pl/pa/edukacja/akcje-i-obchody/ogolnopolskie/polskie-panstwo-podziem/artykuly/13549,UZNANY-ZA-NIEWINNEGO-artykul-dr-Przemyslawa-Wywialaz-numeru–22013-miesiecznika-.print.
[839] Cyt. za: S. Marat, J. Snopkiewicz, *Zbrodnia. Sprawa generała*, s. 88.
[840] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 557.
[841] Zob. S. Marat, J. Snopkiewicz, *Zbrodnia. Sprawa generała*, s. 95–96; M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 574–575.
[842] Cyt. za: J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 36, 38.
[843] S. Marat, J. Snopkiewicz, *Zbrodnia. Sprawa generała*, s. 29, 94.
[844] Powieszony 6 grudnia 1952 roku w więzieniu mokotowskim.
[845] Szerzej w: J. Poprzeczny, *Odilo Globocnik, Hitler's Man in the East*, London 2004, s. 357–359; P.W. Blood, *Hitler’s Bandit Hunters: The SS and the Nazi Occupation of Europe*, Dulles (Virgina) 2006, s. 213–240.
[846] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 586–590.
[847] S. Marat, J. Snopkiewicz, *Zbrodnia. Sprawa generała*, s. 100–101.
[848] Tamże, s. 100; P. Wywiał, *Generał August Emil Fieldorf*, s. 15.
[849] Cyt. za: A. Strzembosz, *Zbrodnie sądowe*, w: *Generał „Nil”*, s. 38.

[850] S. Marat, J. Snopkiewicz, *Zbrodnia. Sprawa generała*, s. 68–70, 102.
[851] Cyt. za: L. Stan, *Poland*, w: *Transitional Justice in Eastern Europe and the Former Soviet Union*, red. taż, London–New York 2009, s. 93
[852] Cyt. za: M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 551–552.
[853] Tamże.
[854] Cyt. za: P. Wywiał, *Generał August Emil Fieldorf*, s. 15.
[855] J. Bawolak, dz. cyt., s. 212. Zob. *Osądzić morderców generała Fieldorfa!*, w: T.M. Płużański, *Bestie*, s. 370–378; A. Zechenter, *Spokój morderców*, „Nasz Dziennik” 4 X 2012, www.naszdziennik.pl/mysl/11540,spokoj-mordercow.html.
[856] Cyt. za: J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 37.
[857] Tamże. Por. M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 603.
[858] D. Golik, dz. cyt., s. 32.
[859] Cyt. za: J. Musioł, dz. cyt., s. 11. Por. M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 611.
[860] J. Bawolak, dz. cyt., s. 209.
[861] Szerzej w: *Dokumenty dotyczące zabójstwa sądowego dokonanego na generale Emilu Fieldorfie „Nilu”*, w: Konferencja w 50. rocznicę stracenia gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”, http://ipn.gov.pl/aktualnosci/2006/centrala/konferencjaw–50.-rocznice-stracenia-gen.-augusta-emila-fieldorfa-nila.
[862] J. Musioł, dz. cyt., s. 11.
[863] Tamże; M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 612.
[864] Gatner zeznał: *W mojej obecności nikt go nie bił. Wyroków wysłuchał – mogę to tak określić – w postawie „na baczność”. Jeszcze raz stanowczo zaprzeczam, aby był maltretowany w mojej obecności. Został powieszony w pełni świadomości*. Cyt. za: J. Musioł, dz. cyt., s. 11.
[865] J. Bawolak, dz. cyt., s. 209.
[866] S. Marat, J. Snopkiewicz, *Zbrodnia. Sprawa generała*, s. 23–24.
[867] Mazurkiewicz został skazany na dożywotnie więzienie 16 listopada 1953 roku. W wyniku amnestii 1956 roku odzyskał wolność, a po roku został zrehabilitowany. W 1980 roku Rada Państwa nadała mu stopień generała brygady.
[868] M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 546, 570.
[869] A. Przewoźnik, dz. cyt., s. 9–10.
[870] List ten ukrywała przed Janiną Fieldorf jej córka, Maria, obawiając się o zdrowie nieświadomej śmierci męża matki. Pokazała go jej dopiero po dopisaniu rzymskiej cyfry I, „przesuwając” tym samym datę ze stycznia na luty.
[871] Zofia Zarkadas (z domu Gierwiatowska), wnuczka generała mieszkająca w kanadyjskim Edmonton.
[872] Cyt. za: J. Fieldorf, *Opowieść o moim mężu.*
[873] J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 155.
[874] Cyt. za: *Gen. August Emil Fieldorf Nil – wierny żołnierz Niepodległej*, audycja Polskiego Radia, 24 II 2016, www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/788049,Gen-August-Emil-Fieldorf-Nil-wierny-zolnierz-Niepodleglej.
[875] Cyt. za: J. Fieldorf, *Los już mną zawładnął*, s. 154.

[876] Szerzej w: *Jak doszło do ufundowania pomnika gen. Emila Fieldorfa „Nila” przez ministra obrony narodowej gen. broni Wojciecha Jaruzelskiego*, w: tamże, s. 154–158.

[877] Zlokalizowany w alei A, kwaterze 14, rzędzie IV.

[878] Po procesie rehabilitacyjnym, w lipcu 1960 roku, Janina Fieldorf otrzymała 50 400 zł odszkodowania.

[879] P. Kładoczny, *The Release and Rehabilitation*, s. 77.

[880] Tamże; L. Stan, dz. cyt., s. 93; A. Strzembosz, dz. cyt., s. 45–46; S. Marat, J. Snopkiewicz, *Zbrodnia. Sprawa generała*, s. 103–109.

[881] A. Zechenter, *Spokój morderców*; P. Wywiał, *Generał Emil August Fieldorf*, s. 17.

[882] Starania córki generała o wymierzenie sprawiedliwości oprawcom jej ojca ukazuje film dokumentalny *W sprawie generała Fieldorfa „Nila”* (2001), w reżyserii Aliny Czerniakowskiej.

[883] Zob. A. Czerniakowska, *Samotna walka o prawdę*, „Nasz Dziennik” 21 XI 2014, nr 270, s. 18; M. Rutkowska, *Moją Ojczyzną jest Polska Podziemna*, „Nasz Dziennik” 23 II 2008, nr 46, s. 13–15.

[884] Zob. *Symboliczny grób gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”*, w: T. Sobieraj, dz. cyt., s. 86.

[885] Cyt. za: P. Szubarczyk, *Wierny Polsce do końca*, „Nasz Dziennik” 23–24 II 2013, nr 46 (magazyn), s. M10.

[886] *IPN zdobył informacje mogące umożliwić odnalezienie grobu gen. Fieldorfa*, PAP „Nauka w Polsce” 7 IV 2009, http://naukawpolsce.pap.pl/aktualnosci/news,360516,ipn-zdobyl-informacje-mogace-umozliwic-odnalezienie-grobu-gen-fieldorfa.html;
P. Zychowicz, *Odnajdziemy ciało generała „Nila”*, „Rzeczpospolita” 20 IV 2009, nr 91, s. A6. Zob. *Wiemy, gdzie spoczywa generał Fieldorf*, w: T.M. Płużański, *Bestie*, s. 379–384.

[887] Szerzej w podrozdziale *Życie po życiu*.

[888] Cyt. za: M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”*, s. 422.

[889] Cyt. za: Uchwała Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 29 lutego 2008 r. w sprawie uczczenia 55. rocznicy śmierci generała Augusta Emila Fieldorfa – „Nila”, M.P. 2008, nr 19, poz. 198, Internetowy System Aktów Prawnych, http://isap.sejm.gov.pl/DetailsServlet?id=WMP20080190198.

[890] *Generał August Emil Fieldorf „Nil” – w 50-tą rocznicę śmierci*, oprac. M. Fieldorf, L. Zachuta, broszura towarzysząca wystawie przygotowanej przez Muzeum Miejskie Wrocławia, Wrocław 2003, s. 9.

[891] Wypowiedzi naukowców zamieszczone w III części książki pochodzą z wywiadów przeprowadzonych w okresie od listopada 2015 roku do stycznia 2016 roku (nagrania w posiadaniu autora).

[892] Szerzej w: A. Ossowski i in., *The use of search techniques employing ground-penetrating radar in forensic medicine*, „Problems of Forensic Sciences” 2011, vol. LXXXVII, s. 253–263.

[893] W 2013 roku prezes IV Komendy Zrzeszenia WiN został pośmiertnie awansowany do stopnia pułkownika.

[894] Zestawienie obejmuje nazwiska ofiar, które ogłoszono publicznie na organizowanych przez IPN konferencjach. Stan na koniec kwietnia 2016 roku.
[895] Ostatni dostęp do wszystkich stron: 27 IV 2016.

SPIS ILUSTRACJI

1. Stanisław Kasznica w więzieniu, fotografia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, 1947 rok, fot. wikimedia commons
2. Proces pokazowy członków Organizacji Polskiej i Narodowych Sił Zbrojnych, na ławach oskarżonych: (w pierwszym rzędzie, od lewej) ostatni komendant NSZ i główny oskarżony – Stanisław Kasznica, Mieczysław Paszkiewicz, Lech Neyman; (w drugim rzędzie, od lewej) Stefania Żelazowska-Sokołowska, Wanda Salska, Tadeusz Jastrzębski; luty 1948 roku, fot. CAF/PAP
3. Hieronim Dekutowski ps. „Zapora”, 1945 rok, fot. wikimedia commons
4. Partyzancki oddział „Zapory”, na zdjęciu (od lewej): Wacław Socha ps. „Turek”, Hieronim Dekutowski ps. „Zapora” i Aleksander Sochalski ps. „Duch”, 1945 rok, fot. Biblioteka Cyfrowa Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie
5. Pogrzeb partyzantów z oddziału „Zapory” poległych 24 maja 1944 roku pod Krążnicą Okrągłą: Mariana Figlusa ps. „Mewka”, Stanisława Pietrasa ps. „Gwizd”, Jana Smutka ps. „Swen” i Edwarda Szebesty ps. „Czarny”; na zdjęciu (od lewej): Ryszard Kaczkowski ps. „Ryszard”, Bogusław Marzyś ps. „Rosa”, Hieronim Dekutowski ps. „Zapora” i Stanisław Wnuk ps. „Opal”, fot. Biblioteka Cyfrowa Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie
6. Partyzancki oddział „Zapory”, na zdjęciu (od lewej): N.N. ps. „Zawada”, Hieronim Dekutowski ps. „Zapora”, Roman Wroński ps. „Żbik”, N.N., Aleksander Pieczewski ps. „Maks”, 1945 rok, fot. Biblioteka Cyfrowa Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie
7. Hieronim Dekutowski ps. „Zapora” (od lewej) i Zdzisław Broński ps. „Uskok”, 1947 rok, fot. wikimedia commons
8. Zygmunt Szendzielarz ps. „Łupaszko”, przed 1948 rokiem, fot. wikimedia commons
9. Zygmunt Szendzielarz w więzieniu, fotografia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, 1948 rok, fot. wikimedia commons

10. Witold Pilecki w mundurze podporucznika, przed 1939 rokiem, fot. Archiwum PWN
11. Witold Pilecki jako Tomasz Serafiński, więzień KL Auschwitz nr 4859, 1940 rok, fot. wikimedia commons
12. Witold Pilecki podczas procesu, marzec 1948 roku, fot. Archiwum PWN
13. Maria Szelagowska podczas procesu Pileckiego, marzec 1948 roku, fot. Archiwum PWN
14. August Emil Fieldorf ps. „Nil”, fot. Archiwum PWN
15. August Emil Fieldorf w więzieniu, fotografia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, 1950 rok, fot. wikimedia commons
16. Więzienie na Rakowieckiej w Warszawie, 1965 rok, fot. Grażyna Rutowska/NAC
17. Cmentarz Wojskowy na Powązkach, kwatera Ł, sektor wytyczony pod badania georadarowe, fotografia współczesna, fot. Andrzej Ossowski
18. Plan stanowisk badawczych w kwaterze Ł na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, oprac. Adam Falis, Małgorzata Ściborowska
19. Skan georadarowy 3D z kwatery Ł, rejon przy pomniku, widoczne anomalie odpowiadające lokalizacji dołów grzebalnych, 2012 rok, fot. Zakład Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie
20. Skan georadarowy z rejonu badań B; owalem oznaczono bardzo charakterystyczną anomalię odpowiadającą pochówkowi, 2012 rok, fot. Zakład Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie
21. Ekshumacja na Łączce, 18 maja 2013 roku, fot. Adam Falis
22. Ekshumacja na Łączce, 24 maja 2013 roku, fot. Adam Falis
23. Ekshumacja na terenie znajdującym się wcześniej pod aleją asfaltową, 29 maja 2013 roku, fot. Andrzej Ossowski
24. Próbki do badań genetycznych szczątków, fot. Marta Kuś
25–26. Oględziny odkrytych szczątków, fot. Marta Kuś
27–30. Badania genetyczne w laboratorium, Zakład Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, fot. Waldemar Kowalski
31. Miejsca odnalezienia szczątków na Łączce oznaczone krzyżem i portretem z napisem „W tym miejscu zostałem odnaleziony”, fotografia współczesna, fot. Archiwum PWN

32. Symboliczny grób Witolda Pileckiego na Łączce z napisem „Jeszcze nie zostałem odnaleziony”, fotografia współczesna, fot. Archiwum PWN
33. Panteon – Mauzoleum Wyklętych-Niezłomnych na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, fotografia współczesna, fot. Archiwum PWN